http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XIX.

http://rcin.org.pl

PISMA

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

TOM SIÓDMY.

KOSZOWATA I UKRAINKI.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
—
1865.

http://rcin.org.pl

KOSZOWATA
I
UKRAINKI

PRZEZ

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

WYDANIE DRUGIE, PRZEJRZANE I POPRAWIONE.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
—
1865.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

MOIM TOWARZYSZOM JAZDY WOŁYŃSKIEJ.

Wam druhom mojej młodości, mieszkańcom Berdyczowskiej dzielnicy, towarzyszom najdzielniejszej chwili Ukraińskiego życia, poświęcam to drugie wydanie Ukrainek i Koszowatej. W smutnej godzinie szlę wam te moje słowa pamięci o was, to moje przypominanie się o pamięć waszą. —

Telegramy i gazety ze wszech miejsc głoszą: na Ukrainie, Wołyniu i Podolu, powstanie narodowe rozbite, chłopi ze szlachtą niemogli się porozumieć, szlachta, jak zawsze dzielnie walczyła, ale jeden na tysiące, to niepodolna, zejść z pola musiała; chłopi jak niegdyś, poduszczeni przy Moskwę w imię wiary prawosławnej, w imię prawosławnego Cara odnowili Koliszczyznę Gonty. I Ukraina cała, po krwi, po łzach, w grobowej żałobie; Annenkow i Car Aleksander II Nikołajewicz stanęli nad nią, jak dwaj antychryści śmierci — czy na nowe mordy — czy na ostateczną zagładę.

Kirkor Bey, pułkowodzca kozaków Ottomańskich, raportuje z dnia 7. Września b. r.: Kapitan Adam Baranowski, chorąży kozaczego pułku, chory, wieziony na wozie z kożan, zmarł we wsi Kajlary i u Kajlarach go pochować kazałem. Kajlary jest to wielka wieś Muzułmańska, w bliskości niebyło żadnej wsi Chrześciańskiej, muzułmanie miejsce przeznaczyli

http://rcin.org.pl

na grób, pomogli do wykopania dołu, dostarczyli narzędzi, deszczek do zrobienia trumny i z wielką przyzwoitością asystowali całemu pogrzebowi.

Adam Baranowski był wachmistrzem pierwszego szwadronu w jeździe Wołyńskiej Karola Rożyckiego w 1831 r. a potem od roku 1853 — Kapitanem chorążym w pułku kozaczym Ottomańskim. Dziesięć lat woził chorągiew Zaporoża, dar Sułtanów, na której z jednej strony, na srebrnem polu błyszczał złoty krzyż prawosławny — a z drugiej, na polu krwi, srebrzył księżyc Sułtanów.

Muzułmanie zmarłego Chrześcianina polaka, kozaka, między swojemi zmarłemi złożyli — i uczcili jak swojego.

Namiestnik prawosławnego Cara, sam prawosławny, pcha żywych Chrześcian, polaków i kozaków kulą i szubienicą, w psie groby, na psie cmentarze, nie czci je, ale nad niemi się urąga i bezcześci pośmiertne zwłoki.

O Boże Wielki, spojrzyj z wysokości na ten Muzułmanizm: i na ten Chrześcianizm prawosławny; ulituj się nad ludem twoim — i w swem miłosierdziu zatamuj i krew i łzy. Pozwól, aby Ukraina rozbudziła się i zagrała po swojemu, po kozacku, jak pod Mołoczkami, jak pod Tyszycą. —

Jeszcze Ukrainę ani Car ani Annenków z hłuzdu niezsunął, do reszty w zbrodnią niewplątał, kiedy w Lisianie lud Ukraiński, chłopi, krew z krwi, kość z kości, kozacza, zachcieli Hetmańszczyzny, swobody kozaczej, a z nią zachcieli i Polski, i krwią sołdatów Carskich ochrzcili to chcenie. To chrzest nowy, nowe odrodzenie się Ukrainy, nowy żywot ukraińskiego ludu.

Kiedy w Białocerkiewszczyźnie, w Humańszczyźnie, od Berdyczowa przez Pawołocz w Szmiliańskie bory, w całej tej Ukrainie, pamiętnej dawną sławą, dawną swobodą, lud kozaczy, chłopi wołają: chcemy Polski i króla Polskiego, a niechcemy Moskwy i złych panków, tak i dawniej wołali:

Korol Polski to nasz bátko, nasz Pan,
Piel nym Lach, Kozak, Żyd i Cygan —
A wasza Pospolita rzecz,
Z Wyzuwitami i pankami precz, precz, precz! —

http://rcin.org.pl

Ludzie prawi wówczas niechcieli czy nieumieli przejrzeć prawdy, a oszuści pochwycali lud i tym ludem, który jak pacierz codzienny powtarzał, że chce króla i Polski, rozdzierali łono z matki Polski i deptali koronę króla Polskiego. —

I teraz mówią ludzie, że kiedy w 1853 r. chłopi Ukrainy, zebrani w kilkotysięczny tabor, przyszli do jednego z możnych Panów, zapraszać go na Hetmana, by stanął na ich czele i wiódł ich bić Moskwę, wypędzić z Polski i posadzić na tronie króla Polskiego, i mówili: tam Turcy i nasi — i Francuzi i Anglicy nad Prutem i w Krymie — czas spełnić przepowiednią ojca Wernyhory: Stań na naszem czele i prowadź nas — ów Panek powiedział dobrze: czekajcie, i pojechał; naprowadził Moskwę z harmatami i z sołdatami, żeby chamów, łajdaków rozumu nauczyć: niech siedzą, pańszczyznę odrabiają i Boga chwalą, kiedy ich nahajem łupią, — i rozumu nauczył. Kartacze, knut i Sybir przetrzebiły chłopstwo; Panek, nie wiem, czy dostał jakiś order od rządu Carskiego, ale szlachta mu tego za złe nie miała, bo to cham chamem; jadła z nim, piła, polowała jak dawniej i niechciała pomyśleć, że to była zbrodnia przeciwko Polsce, ale chłopi to widzieli i pamiętali.

Kiedy to wielkie, narodowe, w dziejach ludzkich niesłychane powstanie zawitało do Polskiej ziemi, znowu możni panowie Ukrainy uprosili czy kupili u namiestników Carskich łaskę, by ich powywożono w głąb Moskiewskiego kraju a potem puszczono na święte pielgrzymki, żeby uniknąć zaprosin chłopskich na hetmanów, na wodzów, w tany wojenne z moskwą — o polskę, o króla polskiego. O, wolą ci pankowie być zasłańcami moskiewskimi, i zgrywać się w karty, albo spijać się szampanem z gubernatorami sowietnikami i Isprawnikami Carskiemi, wolą z diabłem w duszy, z rozpustą, w ciele udawać świętych pielgrzymów, naigrawać się z wiary ojców, jak być takimi, jak był Jeremi Wiśniowiecki, Rewera Potocki, Żółkiewski. To za olbrzymy dla tych karłów — i maż to lud Ukraiński cześć takich powodyrów, nie, pogardza niemi a pogarda tak dobrze jak nienawiść ludu objawia się tępieniem tych, któremi pogardzają, albo których nienawidzą. —

Lud Ukraiński chce króla i polski, ale niechce złych, niecześnych panków.

http://rcin.org.pl

Dzielna nawet szlachta, ta, która chwyciła za broń i stanęła do walki, dziwnym i niepojętym sposobem chciała porozumiewać się i łączyć z chłopstwem; w obozach śpiewała im: dominus vobiscum i oremus, łaciną wyzuwitów, brała na siebie świtki i czapki chłopskie a niechciała z niemi się bratać, bo oprócz dworskich sług, chłopów ze wsi, prawdziwgo korzenia ludu niezaciągano w szeregi narodowe. Jak kawalerya narodowa pana Jerlicza, albo pana Stempkowskiego, chłopstwo miała do dostarczania kar dla tych kurojadów i mołodyc do wycinania trapaka.

Panowie bracia szlachta z sercem braterskiem, z dumą kozaczą, a nie w świtce i czapce chłopskiej, przychodnie do ludu Ukraińskiego, Panowie Atamani, koszowe Assawuły i cała starszyzna, nosiła się w karmazynowej sojecie od złota i srebra, w niedźwiedziach i w sobelach — jeździła na dzielnych dżametach i bachonatach, kutych drogim kruszcem a jednak lud Ukraiński szedł z niemi i za niemi, bo lud rozumie, co prawda, co szalbierstwo — i oszalbierzyć się nieda. Lud niechce starszych zniżać do siebie, ale chce zasługą i sławą wznieść się do nich; niechce obdzierać złote szaty, ale chce mieć prawo nosić takie same. Niezniżajmy się do motłochu, ale motłoch podnieśmy do siebie i przeistaczmy go w siebie.

Z takę wolą, z takiem postanowieniem idźmy do Ukraińskiego ludu, a on nas zrozumie, tak jak rozumiał wielu z naszych praojców, tak jak niektórych z nas w wielu miejscach rozumiał w roku 1831.

I śpiewajmy z nim po obozach na chwałę Przedwiecznego, sławiańskie: — Światy Boże, światy Wełyki-Hospody, pomyłuj nas; Bóg nas pobłogosławi, bo lud nas zrozumie, a i Papa Rzymski niepotępi, bo i on przyjął do łona kościoła Rzymskiego Unitów modlących: Hospody pomyłuj, dla czego szlachta Polska ma odpychać od siebie lud Ukrainy tem łacińskim — Dominus vobiscum! —

Złote hramoty, to w demokracyi jak noty pojedyńcze czy zbiorowe dyplomacyi Francyi, Anglii i Austryi, piękne w dziennikach, wyargumentowane, że im nikt nie wierzy, a przez tę niewiarę niewiodą do czynu.

Lepiej pójść między chłopów z szablą, z rusznicą i zawołać:

http://rcin.org.pl

w imię Boga, w imię Polski i jej Króla, pana naszego, ze mną i za mną na Moskala — a kto stanie do walki, ten szlachcicem, polakiem i kozakiem, a kto niestanie i się schowa albo zemknie do wroga, na tego hańba, przekleństwo a jak wpadnie w ręce, szubienica — to będzie i złota i srebrna hramota, którą lud zrozumie. —

Lepiejby Polska zrozumiała skuteczność dyplomacyi, gdyby widziała dwadzieścia tysięcy dziarskich Francuzów w Połądze albo w Odesie, niż te bazgraniny PP. Drouin de L'Huys, Russela i Rechberga — skuteczniejsze dla episierów na różki, na korzenie, jak na zbawienie czyli wybawienie Polski z jarzma Moskali i Niemców. —

Wolałby lud Ukraiński hramoty stalowe a prawdziwe, a serdeczne i braterskie.

Wôlałaby Polska zbrojnych Francuzów, choćby sowizdrzałów, jak te bardzo rozumne noty!

Ogłoście Panowie bracia po czterech kończynach Ukrainy i Litwy, po wszej Polsce, że ci wszyscy panowie i pankowie, którzy poupraszali albo pokupowali dla siebie wywóz w głąb Rossyi, swobodę udania się na pielgrzymkę świętą albo udania się za granicę bez przyczyny, jedynie, żeby uciec z kraju, kiedy się w kraju biją, kiedy z wrogiem walczą; — potracą prawo do swoich dochodów i do swoich majątków — a te dochody i te majątki pójdą na sajety i na hafty, na dżamety i na bachmaty dla chłopów, którzy się biją na ich miejscu: wtenczas będzie i sens i pożytek. —

Rzućcie owe usiłowania zyskania dla naszej sprawy Austryi i Anglii, bo to rzecz daremna; prędzej wynajdziecie i kwadraturę koła i ruch nieustający, jak sposób przerobienia Habsburga i Palmerstona. — Wiecie prawdziwe przysłowie: Jak świat światem, nigdy Niemiec nie był Polakowi bratem i niebędzie. Prędzej się z Moskalami zbratamy jak z Niemcami. Niemcy nas zgubili i niepostawią na nogi, dla tego samego. Z kupcem przyjaźń oparta na zysku; my zysku Anglii nieprzyniesiemy, Moskwa przynosi i przynosić będzie: więc lepsza Moskwa od nas, nad Polskę. Na mityngach zakwiczą, na konferencyach zapłaczą, a Moskwie pożyczają pieniądze i niedadzą jej poszkodzić, bo to ich hypoteka. Hypoteka pieniężna to grunt, hypo-

http://rcin.org.pl

teka ludzkości to idea, wiatr; z wiatrem uleci z rachunkowego gabinetu, z kupieckiej cywilizacyi i postępu. Francyi się trzymajcie, bo tam serce ludu jest wielkiem sercem a rozum Napoleona jest wielkim rozumem. —

Spieszcie pokłonić się prawdziwemu i jedynemu Cesarzowi Wschodu i w imię świętej księgi proście o pomoc tego najwierniejszego i najpewniejszego sprzymierzeńca Polski. On was wezprze, nie notami dyplomatycznemi, ale hufcami dzielnej jazdy, waszej, rodzinnej, z waszą mową, z waszem sercem. —

O, wtenczas i koście Adama Baranowskiego, Ukraińca, zabierzemy, by je złożyć na swobodnej ziemi Ukrainy.

I was, towarzyszów Jazdy Wołyńskiej, pozostałych przy życiu, uściskamy w rodzimym Berdyczowie, i będziemy wołali: Święć Boże Rusi, Litwie i wszej Polsce! Niech żyje król Polski, Pan nasz miłościwy!

29. Września, 1863.

http://rcin.org.pl

Strona

I. 3
II. 16
III. 28
IV. 41
V. 60
VI. 73
VII. 84

Termołama 93
Czerwona sukienka 111
Kto z Bogiem to Bóg z nim 145
Konstanty Horodeński 169
Do Pani Konstancyi Ł. 187
Trech-tymirów 215
Złoty krzyżyk 235
Słobodyszcze 261

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

KOSZOWATA.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I.

Ale nasz Kozak ne trus,
Schwatyw szablu, czobit wzuw,
Podywiwsia, skrutyw wus,
Siw na czajku, taj dmuchnuw

Padura.

Jest na Ukrainie ziemia w dziwne przeploty mogiłami unizana; na mogiłach sterczą z rzadka rozsochate dęby, niby cienie Atamanów i Watażków, po dolinach plecie się gęsta łozina, niby zmartwychwstałe tabory Kozaczej młodzi. Pomiędzy te groźne postawy Atamańskich dębów oko daleko hula, aż na stepy; a kiedy wicher stepowy z poświstami, z porykami, po swojemu wpadnie w odwiedziny na kozaczy mogilnik, to łozina gwarnie zaszumi, jak kozacza młodź w bojowej dobie, przed zawrzaskiem: Sława Bohu! a konary dębowe wyją jak gromkie głosy Atamanów! bij! kol! siecz! O! wtenczas dusza kozacza panoszy się i rwie do boju jak tabunny rumak do biegu, i na myśl niże a niże dumki o sławie kozaczej, o dawnej Ukrainie.

Niby na straży tego mogilnika pamiątek postawiono Krutо-Horby sioło; strojne białemi chatami i białym dworem, co jak tęskne a widne dziewice poklękły w około matczynej mogiły. W chatach mieszkał lud kozaczy, a we dworze Pan Cześnik Bychowski; krew lacka, szlachcic od prapraojców.

Pan Cześnik siedmdziesiąt lat z górą już uronił ze swojego życia. I Pani Cześnikowa mężatką i matką trzech synów, już drugiego Jubileuszu się doczekała, a po pierwszym narodziła się jej córka Marynia. Starszy syn Stefan mecenasował w Lublinie, a dwaj młodsi Stanisław i Antoni byli towarzyszami w kawaleryi narodowej brygady Jerlicza. Marynia od półtora roku wyszła za mąż za Pana Starostę Koszowackiego.

Cześnik niegdyś mieszkał za Bohem w Sawrańszczyznie; tam dzierżawił mnogie włości, ale od ośmnastu lat jak porzucił dawną swoję siedzibę, kupił liczne włoki ziemi obok Koszo-

http://rcin.org.pl

waczyzny, i zasiedlił sioło Kruto-Horby. Ludzie przebąkiwali, że miał kupę pieniędzy w grosiwie i na procentach u rozmaitych polskich panów, bo córce dał posag bogaty, brzęczącem złotem, za nadto szumny na szlachcica, posiadacza jednej wioski. Ile razy zdarzyło się przy Panu Cześniku mówić o Sawrańszczyznie, o starym Wojewodzie Kijowskim, albo o braciach Zaporożcach, to tyle razy wychodził z towarzystwa, przez cały dzień był chmurny i przed pójściem spać gorąco się modlił.

Pani Cześnikowa miała imię Marya, i córka także nazywała się Marya; przez rodzicielskie pieszczoty zdrobniono jej zwanie na Marynię. Dzień Niepokalanego Poczęcia Maryi Panny był dniem imienin matki i córki; zawsze obchodzono go uroczyście w Kruto-Horbach, i dziś kilka osób z sąsiedztwa i kilku wojskowych przyjaciół Panów Stanisława i Antoniego raczyło przyjechać na obiadek; proszono ich do zostania na wieczerzę, a sądzono, że dadzą się namówić, aby przenocowali, bo na dworze taka zawierucha, iż świata Bożego nie było widać, nawet w dzień.

Już dwie godziny jak zapalono świece. Pan Cześnik zasiadł do maryasza w pulę z Panem Podkomorzym Czarkowskim i z Panem Rotmistrzem Świderskim, już krzepko sędziwemi ludźmi. Pani Cześnikowa, Pani Podkomorzyna, Państwo Sęstwo Zalescy i Ksiądz Proboszcz z Koszowaty, koło głównego stolika stojącego przy kanapie grali w ćwika. Pani Starościna Koszowacka, dwie Panny Żaleskie, i Panna Czarkowska siedziały w drugiej komnacie. Panowie Stanisław i Antoni, Pan Porucznik Dłuski, kawaler trochę już sponiewierany wiekiem, i młody Namiestnik Tadeusz Niemirycz, jak to mówią, cholewki smalili.

W trzeciej komnacie zwanej wchodową, Pan Starosta Koszowacki rozmawiał z Panem Chorążym Trzeciakiem i z Panem Antonim Topczewskim, dawnym towarzyszem i jedynym przyjacielem Pana Cześnika; rozmawiali o gospodarstwie, o sprzedażach i o Dubieńskich kontraktach. Starosta przechadzał się ciągle z końca w koniec komnaty, rozmawiał, ale ustawicznie zerkał okiem na żonę, czasem podeszwą głośniej stuknął, czasem wąsa targnął i chrząknął.

Pan Starosta ze trzy lata temu jak czterdziesty rok skończył, czarne włosy przyszroniła szpakowacizna, i wąs zeszpakowaciał, ale na twarzy jeszcze ani jednego zmarszczka nie było, zęby białe i całe wszyściuteńkie. Nie miał on nigdy tego rumieńca, co to się wypieka na licach przesytem pohulanek, ani tej bladości, co to idzie ślad w ślad po pijaństwie uczucia, albo i z niem razem; w czarnem oku nie było śladu tej gry życia, co to chwilami ogniem błyska, a chwilami łzą się łzawi, rysy twarzy męzkie, piękne nawet, ale podobne im rysy tysią-

http://rcin.org.pl

cami można było napotykać w świecie, i w ludzkiej pamięci nie zapisywały się wyrazami: raz go widziałem, to go poznam. Kibicią dość rosły, ani chudy, ani otyły; przystojny, czerstwy mężczyzna, ale surowy wejrzeniem i twarzą, a sztywny postawą. W stroju jego ani jednej błyskotki, ani jaskrawej barwy: kontusz, żupan, pas, wszystko ciemne. Skrzętne ochędóstwo i wyrachowane szanowanie sukień widzieć się dawały za pierwszym rzutem oka, ale tej samowoli, co to robi wdzięk i okazałość stroju, darmoby u niego szukać.

Starościna dziś kończyła dwudziesty rok; jej imieniny były zarazem jej rodzinami. Laszka milutka, ponętna jak nadzieja kochania. Usteczka, czoło, nos i cała twarzyczka takie cudne i takie ładne, jak oblicze anioła, utkane rojeniem bujnej myśli człowieka: ale w ciemnobłękitnych oczach jest ogień ziemi zmieszany ze światłem Nieba; i ziemski rumieniec, to blednie, to się krasi na licu, jak zwój polnej róży, jak różowe światło jutrzenki. Czarno-brewa i ciemno-włosa, a taka szykowna, taka składna, jakby zarazem ziemską i nieziemską istotą była. Z twarzy, z postawy widno, że nie smutek, nie cierpienie wionęły w jej duszę, ale jakieś tęskne chcenie, co to samo nie wie skąd się wymknęło i dokąd bieży; co to i na ziemi chciałoby zostać, i do nieba radeby lecieć, i ma już czem zaspokoić pragnienie uczucia, a jeszcze myślą błąka się i szuka krainy szczęścia.

Starościna uśmiechała się z wesołych opowiadań Pana Niemirycza, poglądała nawet dość uprzejmie na urodziwe lice, na rycerską postać młodego Namiestnika, ale w tym uśmiechu, w tych spojrzeniach nie było tej pół tajemnicy, co to na wspak woli objawia ludziom uczucie serca niewiasty; u niej to wszystko było bez myśli, tak sobie, przez pustotę, przez grzeczność, przez chęć bawienia się w dzień swoich i matki imienin; a jednak mimowolnie, od czasu do czasu, jakiś niepojęty niepokój ściskał jej serce: zadumała się, westchnęła nawet, a sama nie wiedziała dla czego: może to nieziemska przestroga, a może ludzkie przeczucie.

— No i jakże Mości Starosto, czy już rzecz skończona z Wojewodą — odezwał się Chorąży Trzeciak.

— Skończona, pieniądze posłałem; jak podpisze kontrakt, każe wziąść intromisyę.

— Zapewne dla tego Pan Skandyba tu nieprzyjechał?

— Skandyba został w Koszowatej, trochę chory.

— Ja sądziłem, że Pan Starosta go posłałeś z pieniędzmi?

— Nie, ja posłałem kozaka Maksyma.

— Tego chwata, co to Waszmość Panu we wrześniu na święty Hieronim darował na wiązanie Wojewoda Kijowski?

http://rcin.org.pl

— Tego samego.

— No wiedz Waszmość Pan, że to trzeba diablej odwagi, powierzać pieniądze i to grube człowiekowi, którego się niezna, Bóg wie jakiemu wołokicie i to jeszcze w teraźniejszych czasach. —

Zdało się, że Starosta trochę się uśmiechnął, ale to tylko się zdało.

— Pan Wojewoda, kiedy mi dawał Maksyma, to powiedział: Panie Hieronimie, daję ci chwackiego chłopca; chaptes łaptes to nie w jego obyczaju, prędzej zabije jak okradnie; on to z tej krwi, co woli krew jak złoto, albo jakie rupiecie. Pan Wojewoda zna się na ludziach.

— Daj Boże, żeby złoto doszło do przeznaczonej szkatuły, w teraźniejszych czasach. —

W drugiej komnacie zaśmiano się głośniej, Starosta już roztwierał usta do odpowiedzi, ale nie odpowiedział, zwrócił nagle swoje jednostajne kroki, przeszedł przez drugą komnatę do trzeciej, zapewnie przypatrywać się grającym w ćwika, w maryasza, a śmiech ustał. Starosta i słówka nie rzekł, ledwie spojrzał na żonę; jednak wszyscy zamilkli, i Niemirycz nie wiedzieć po jakiemu zakończył opowiadanie; chociaż Starosta nie junak a Niemirycz nie tchórz. Jeden z nich był jak zawistny skąpiec, kiedy zastanie nad swoim skarbem obcego człowieka w podziwieniu, zadrzy z obawy ale nie śmie powiedzieć, tyś złodziej; drugi był jak człowiek podziwiający skarb bez żadnej złej myśli, zobaczywszy obawę Pana, zmiesza się i pomyśli: skarb mi się podobał, może on mnie ma za złodzieja.

Temczasem Topczewski zbliżył się do Trzeciaka.

— Cóż to Mości Chorąży mówiłeś o teraźniejszych czasach?

— Złe czasy i bardzo złe; niech to będzie między nami, tylko Waćpan Dobrodziej nikomu nie gadaj, bo po co to płoszyć ludzi przed czasem, może Bóg da, że z tych zachodów nie będzie płodów; rzecz pewna, że popi bechtają chłopom, żeby się wzięli do nożyków na szlachtę i na żydów.

— To bajki; na żydów pozwalam, niech z korzeniem wyplenią, mniejsza o to, ale na szlachtę, broń Boże, nie pozwalam.

— Czy Waszmość Pan pozwolisz czy nie pozwolisz, to oni na to uważać nie będą; jak to mówią, jak przyjdzie kryska na Matyska, to swoje zrobią i szlachcie się dostanie.

— Oni przecie a my, to wszystko jedno, dzieci jednej matki. I któżby to miał taką czarną duszę, żeby ich namawiał na bratobójstwo.

http://rcin.org.pl

— Ludzie.

— To być nie może, ja dziś jeszcze gadałem z chłopami, a z samymi pronozami, oni tak nas kochają.

— W Kruto-Horbach być może, ale pojedź no Waszmość Pan do Koszowatej, a tam zapytaj?

— Ba! to prawda, że srom ludziom powiedzieć, co ten Skandyba dokazuje, ale takich nie wielu.

— O nie Mospanie, na nieszczęście takich Skandybów u nas co niemiara, a ledwie gdzie niegdzie znajdzie się poczciwy człowiek, co chłopów ma za ludzi — zniżył głos — Bogiem a prawdą rzekłszy, jaki pan taki kram, i Starosta w tem wszystkiem nie bez grzechu. —

Topczewski bąknął przez zęby, ale dla siebie tylko. — To mąż naszej Marysi — tak on nawykł nazywać córkę swojego przyjaciela; potem mówił ale nie głośno. — Dalibóg djabeł nie taki zły jak go malują; Starosta zacny obywatel, ale przez skaranie Boże zawierzył komu, temu Skandybie, temu Jurkowi, co go to zrobił pisarzem prowentowym, przechrzcie; samem widział, jak tego parcha chrzczono, i temu Moszkowi arędarzowi rodzimemu żydowi; a to omne trinum perfectum, ale na szubienicę.

— Masz Waćpan prawdę, że na szubienicę, ale też i Starosta nie chłopczyk, nie weźmie wody za wino, a kiedy trzyma u siebie złych ludzi, to i sam nie musi być bardzo dobry.

— Opamięta się.

— Biada to, kiedy kto nabroiwszy licha, po czterdziestce chce się opamiętać i to tym sposobem; ale daj Boże.

— Prawda zawsze wyjdzie jak oliwa na wierzch.

— Ale prawda w oczy kole, a kto mu ją powie?

— Znajdą się tacy, zobaczysz Waszmość Pan.

— Byle nie chłopi mu ją gadali.

— O broń Boże, co na to, to nigdy nie pozwolę; chłopów hołubić, sprawiedliwość im zrobić, ale przeciwko sobie samym nie buntować, bo przepadniemy jak muchy, i my i oni.

Starosta wszedłszy do trzeciej komnaty, stanął przy piecu i wcale nie zważał na to, co tam się działo.

Cześnikowa rozdawszy karty, na azardzie wyświeciwszy niżnika dzwonkowego, spojrzała i skrzywiła się.

— Pas. —

Pan Sędzia zażył tabaczki — Maleńki ćwiczek, kto mi pomoże; proszę w płatkę mnie nie wpędzać.

— Pewnie ma tuza, króla i przynajmniej wyżnika — odezwał się Ksiądz Proboszcz. — Ja nie pomagam i azardu nie biorę.

— Ja wezmę azard, ale do mojej dziesiątki, czy wolno?

http://rcin.org.pl

— Nie wolno, Mościa Dobrodziejko, to nie na żart się gra, tylko w pieniądze, dwadzieścia groszy w puli, to piechotą nie chodzi.

— To ja nie biorę.

— Ja biorę — i wzięła azard Pani Podkomorzyna, niewesoło okiem przezierała karty.

— Imość Dobrodziejka się sparzyła, nauczka w las nie pójdzie, na drugi raz będzie się ostrożniejszą.

— Zobaczemy, kto nic nieważy, to nic nie ma; może ja wpędzę w płatkę Pana Sędziego.

— Może, służę Asindce Dobrodziejce: w ten, w ten, a z resztą w nogi. — Zadał króla, tuza, a potem wyżnika.

— A ja mówiłem — odezwał się Proboszcz — Mościa Dobrodziejko po co tu filować, jak to mówią: kręć, wierć, a kiedy przyjdzie śmierć, to trzeba umrzeć. —

Podkomorzyna paluszkiem w paluszek szturchała, którą kartę ma odrzucić na wyżnika Sędziego; a paluszki jak na złość, albo raz po raz się mijały, albo raz po raz jeden w drugi trafiały; położyła karty na krawędzi stołu, ale tak, że brzegami wystawały trochę za krawędź, dłonią trąciła w obiedwie, i odwróciła tę, co się naprzód wysunęła.

— Niech się dzieje wola Boża.

— Nie Boża wola, ale djabla, Mościa Dobrodziejko — pokręcił wąsa Sędzia.

— No co trafiono to trafiono, tuż żołędny pojechał, a u Pana Sędziego jest taki król.

— Proszę na niego. —

U Podkomorzyny był król czerwienny — Mężu, Pan Sędzia wpędził mnie w płatkę.

— Przepraszam Asindzkę, tak sprawiedliwość kazała. —

Podkomorzy odezwał się od drugiego stolika. — Moja Panno, wczoraj przedałaś indyki, masz karbonkę pełną grosiwa; lepiej tu z dobrymi przyjaciołmi przegrać dla zabawy, jak roztrwonić na te wasze manele, na które niedość, że trzeba pieniędzy huk wysypać, ale jeszcze posyłać do Dubna, gdzieś tam na koniec świata. —

I Pan Sędzia i Pan Cześnik i Pan Rotmistrz potakiwali. — Pradwda, prawda.

— No zaczepiliśmy, nie będzie końca zrzędom, święta to prawda, że jak mężczyźni się rozgdyrają, to sto razy gorzej jak najgadatliwsze baby.

Już Ignacy, stary kredencerz, wniósł tacę zastawioną sztofami z rozmaitą wódeczką, solą i chlebem pokrajanym w drobne kawałki, polska to podnieta do apetytu przed każdem jedzeniem. Pan Cześnik skinął na Starostę.

http://rcin.org.pl

— Panie Szymonie, wyręcz mnie Waćpan. —
Starosta wziął się do kielicha. — W ręce Pana Podkomorzego.
Wtem wszedł Topczewski.
— Mości Starosta, kozak Maksym przyjechał.
— Przyjechał — i żywo wyszedł. —

W pierwszej komnacie stał kozak, rosły, czupurny, pohoży, młody, taki chwat, iż na nim literami życia wypisana ta treściwa gadka:

A ja kozak z Ukrainy,
Kozak z rodu, kozak z miny.

Skłonił się i patrzał, nie jak sługa, ale jak pan.
— A co Maksymie?
— Sława Bogu, dobrze.
— Pan Wojewoda?
— Oto list od Wojewody — i oddał Staroście list. —
Starosta czytał i twarz jego zarumieniła się niezwykłym rumieńcem, ale nie rumieńcem gniewu i oburzenia, bo dość wesoło spojrzał w oczy kozakowi i nie zagniewał się na widok tej hardej postawy dziecięcia stepu, tego dumnego wzroku, co to bez słów mówi napuszonemu pankowi: niepowitałeś mnie nawet, jak z psem się obszedłeś, ale nie pytaj, co o tobie myślę, bo dalibóg powiem.
— A kiedyś z Humania wyjechał?
— Wczoraj z wieczora.
— Pan Wojewodzic kiedy miał wyjeżdżać?
— Niewiem.
— Powiedz Iwanowi, żeby zaraz po wieczerzy konie zaprzęgał. —
Kozak obrócił się i wyszedł.
Starosta wrócił i wziąwszy Cześnika na stronę, pokazał mu list, a kiedy go Cześnik przeczytał, on rzekł:
— Musimy jechać i to zaraz.
— Ależ noc, taka zawieja i psa ciężko na podwórze wygonić. Ja to widzę, że trzeba jechać. Wiesz Waćpan, tak zróbmy, jedź dziś sam, a jutro moja stara odwiezie Marynię.
— Nie, bez gospodyni w domu nie dałbym sobie rady, a Wojewodzic może do dnia nadjechać, on to robić umie. —
Cześnik zamilkł, a po chwili przystąpił do żony i coś do ucha mówił, właśnie wtenczas, kiedy Starosta Maryi oświadczył, że zaraz po wieczerzy pojadą.
Starościna ani słówka nie rzekła, tylko na ślicznej twarzy obok nieprzyjemnego wrażenia odbiło się zupełne posłuszeństwo mężowskiej woli. Panowie Stanisław i Antoni a z nimi

http://rcin.org.pl

Namiestnik Niemirycz oświadczyli się, iż odprowadzą Starostwo aż do Koszowaty. Starosta schmurzył się.

— Bardzo dziękuję, i sami zajedziemy bez trudu Waszmość Panów. —

Na grzeczne naleganie wojaków Starosta niegrzecznie odpowiedział.

— Obejdziemy się bez tego, każdy niech robi to, co do niego należy, a nie wtrąca się do cudzych rzeczy. —

Byłoby może przyszło do sporu, bo już Niemirycz zakraśniał i wąsik musnął; ale Marya spojrzała na niego wzrokiem tak błagalnym, iż on się zatrzymał, a w tem dano do wieczerzy.

Przy wieczerzy jakoś niekoniecznie było wesoło. Cześnik nie gadał już zięciowi po raz drugi: nie jedźcie, zostaw żonę.

Cześnikowa jak przykazań Bożych tak i tego dopełniała, żeby nigdy nie narażać się na odmówienie zięcia, do czego najkrótszą drogą było o nic nie prosić, nigdy też w obec ludzi nie upominała swoje dzieci, a nawet rad im nie dawała. Na osobności, kiedy była z niemi sam na sam, to i radę i przestrogę i pocieszenie udzielała, jak co komu było potrzebnem. Maryni zaś przedewszystkiem zalecała posłuszeństwo, łagodność i przywiązanie dla męża. Bezustannie jej powtarzała: co ci mąż każe, to rób skwapliwie, z uśmiechem, z dobrą wolą. i zawsze mów pacierz na jego intencyę, to zastępca rodziców, to twój pan i opiekun, on ciebie połaje i popieści, on czuwa nad tobą, ty mu osładzaj życie, przez wdzięczność, przez powinność winną.

Dwaj bracia z ukosa pozierali na szwagra, a Pan Namiestnik widocznie gniew powstrzymywał i milczał. Panny nawet, choć to tam żadnej zwady nie było i milczenie miało widoczną górę nad słowami, jakoś zastrachały się małżeńskiego posłużeństwa, i mimowolnie myślały o małżeństwie. Starzy tylko panowie rozmawiali, o ile jadło pozwalało wolności zębom, bo też wieczerza była wyśmienita.

Jaglany krupnik z półgęskiem, zrazy zawijane z zawiesistym sosem, obwarzana kasza ze świeżą słoniną, lemieszczane pirogi z serem, suto podlane masłem, a do nich śmietana jak w maju żółtawa; cietrzew z buraczkami, mleczko z cynamonem i z gwoździkami, i kapłon ze świeżem masłem i z imbirem, do tego stary miód lepszy od małmazyi, wonny malinnik i węgrzyn złoty, co myszką trącił, a w kieliszku jak obrączką oliwy lgnął do szkła.

Podkomorzy rozkoszował z tem winkiem.

http://rcin.org.pl

— Mosanie Cześniku, po takiem winku całą noc możnaby na hysie wśród zawieruchy wystać i niezmarznąć; dalipan we mnie starym, a już krew tak zaczyna grać, jak to bywało niegdyś przed trzydziestu laty.

— Masz Waszmość prawdę, winko i dobre i smaczne — odpowiedział Topczewski — ale wolałbym po niem siedzieć w ciepłej izbie, jak wyścibiać nos na mróz i śnieg. Ot i Państwo Starostwo lepiejby zrobili zanocować, a ja podejmuję się przed świtem zbudzić. —

Starosta nic nie rzekł, a Rotmistrz nadpił winka.

— Zapewnie lepiej zostać, tożeż to dziś Niepokalanego Poczęcia, wilcy zaczynają się gromadzić; nie bardzo to bezpieczna rzecz spotkać się z tymi paniczami w drodze. —

Marya sama niewiedzieć dla czego zadrżała, a Starosta spojrzał na nią.

— Mam z sobą sztuciec loftkami nabity, a z resztą, żeby wilka się bać, to nietrzeba ani kroku z domu wychodzić.

— Wilka bać się nie trzeba, ale narażać się na niebezpieczeństwo i to bez potrzeby.

— Dla Waszmość Pana niemasz potrzeby, a dla mnie jest; żadnego niebezpieczeństwa niemasz, z resztą potrafię obronić moją żonę.

— Ale wiesz Waćpan Dobrodziej — rzekł Sędzia przełykając spory kawałek kapłoniego skrzydełka — że drogi muszą być zupełnie pozasypywane.

— Niezdaje mi się.

— Maksym nam najlepiej o tem powie — podchwycił Topczewski. —

A Cześnik, który przez cały czas słowa niemówił, dodał: — Zawołać Maksyma.

Wszedł Maksym hardo, zuchowato, aż dusze wojaków skoczyły ku niemu jakby na powitanie brata, i Cześnik spojrzał na niego z uśmiechem.

— Jak się masz Maksymie?

— Dziękuję ojcze, Sława Bogu zdrów. — Cześnikowa w szklankę malinniaku nalała.

— Wypij Maksymie.

— Za zdrowie Wielmożnych Państwa i wszystkich Pań i Panów. —

Duszkiem łyknął.

— Czy wielki śnieg upadł?

— Cały dzień jak z rękawa sypało; a tak nasypało, że koniowi aż za kolana.

— A drogi pozawiejane?

— Wszędzie gładko jak na stole, djabła tam drogi szukać.

— I jakżeś tu trafił?

— U nas droga w głowie, taj w oczach. —

http://rcin.org.pl

Cześnik pokręcił głową. — To prawda, prawda, u nas tak; chłopcze, tybyś nie zbłądził do Koszowaty?

— Na biedę by przyszło, żeby jeszcze błądzić; mogiły za mogiłami, dęby, jary, futory, to droga kozacza. —

Starosta obrócił się. — Maksymie, ty z nami pojedziesz, a Chwedko tu zostanie, jutro twoim koniem przyjedzie.

Starościna uprzejmie spojrzała na męża jakby na podziękowanie; ta ufność Maksyma w samym sobie odegnała trwogę z jej serca, a Cześnikowa mrugnęła na Ignacego.

— Pamiętaj tam o Maksymie — i z cicha dodała — dać mu jeść to, co się ze stołu zostało.

— Moja Imość, któżby o nim nie pamiętał, to taki zuch, że aż miło. —

Po wieczerzy Cześnik mówił: — Ja teraz spokojniejszy jestem; jak widzę tego chłopca, to mi się zdaje, że to jakiś z tych dawnych chwatów Zaporozkich; on się nie uczył tych słów: trudno, niepodobna; co pomyśli, to można, a co można, to i zrobi.

Niemirycz zbliżył się do pięknej Maryi.

— Gdyby nam było wolno, mybyśmy chcieli odpowiadać za jej bezpieczeństwo, i tak niech Pani Starościna udzieli nam łaskawie pozwolenia, a my kroku od jej sani nie odstąpiemy pomimo zakazów.

— Panie Namiestniku, na miłość Boga, niech Panowie nie jadą. — W jej głosie było coś tak błagalnego, że trudno było niespełnić, a nawet przeciwić się jej woli. Niemirycz milczał tem milczeniem, co to nieśmie powiedzieć: tak nie zrobię, albo tak zrobię. Starosta wnet tam przystąpił.

— Żono ubieraj się, zaraz jedziemy. —

Starosta we wchodowej komnacie obcierał nabój sztućca i podsypywał świeży proch na panewkę, a Starościna przybierała się w kobiecym pokoju, żegnała gości i domowych, a łzy jej stały w oczach; ten wyjazd nie miał w sobie nic nadzwyczajnego, ale ta oschłość i surowość mowy i postawy męża jakąś nieznaną trwogę lała do duszy; ściskając matkę, nie powiedziała, ale pomyślała: — Oj mamo! mamo! czemuś mnie wydała za mąż, mnie tak dobrze było koło mamy.

I ojciec i matka nie śmieli słowami pocieszać lubego dziecięcia, tylko dali córce po kilka pocałunków na błogosławieństwo i kilka razy przeżegnali krzyżem świętym na odegnanie wszelkiego nieszczęścia.

Niemirycz pokłonił się i pocałował w rękę Starościnę, ale po twarzy u niego widać, że jakąś dumkę marzył, bo spojrzawszy na Starostę, oczyma dziko zatoczył i coś szepnął na ucho Panu Stanisławowi, a ten skinął głową, na znak, że się rozumieją.

http://rcin.org.pl

Zawierucha już ustała, śnieg jeszcze polatywał, a srebrnolicy księżyc poodchylał chmury i wypłynął na niebiosa; sieje tumannem światłem po białawych obłokach, a na ziemi rozmaite cienie łamią się w dziwne kształty. Starosta wilczurą otulił nogi żony i sam koło niej się usadowił. Maksym wskoczył na kozioł obok Iwana i ruszyli.

Saneczki leciuchne, a dwa konie silne jak lwy, dziarskie jak sokoły, kopią śniegiem, dzwonki pobrzękują. Iwan lejcem kieruje przez znane uroczyska; Starościna po cichu myślą modli się, Starosta rozmyśla, a Maksym rozpatruje pomiędzy te dęby z rzadka rozrzucone, pomiędzy te mogiły, co na białym śniegu bieleją jeszcze jaśniejszą bielizną, niby przypruszone tumanem światła księżycowego.

Tęskno kozaczej duszy, to mogilnik ludzi pomarłych w uczciwości wojskowej, to pomnik sławy nie sterany ludźmi, nie spożyty wiekami; a i on kozak dziecię stepu, a sługa niewolnik lackiego panka, nieraz słyszał ostre słowa i ostrzejsze jeszcze groźby, a cierpiał i znosił; widział niewolę, mitręgę ludu i niesarkał i nic nie mówił: ale kiedy zobaczył ten mogilnik synów wolności, ludu bezpańskiego, co pobratymczo z Lachami bronił Matki Polski, tęsknota zagrała mu w duszę na nutę zemsty i wolności, jakby to były dwie rodzone siostry, jakby ten, co stracił wolność, powinien był mścić się koniecznie, a ten, co się już zemścił, odzyskiwał wolność natychmiast. Mimowolnie głowę obrócił ku państwu; surowe oblicze Starosty dorzuciło dzikości do i tak już dzikiej duszy; ale wejrzenie Maryi, ku niebu wzniesione, jakby tam modły słało, i ztamtąd błagało łaski, takim tchem wionęło na rozognioną duszę, jak błogi wietrzyk na wędrowca palonego skwarem słońca wśród bezwodnej pustyni; popatrzył na świat, zadumał. — Oj dola nasza, biedna dola — wzniósł oczy ku niebu, zaszemrał. — Boże pomiłuj nas — i trochę mu spokojniej było na sercu.

Ale ten spokój trwał krótką chwilkę, jakby on tylko był odpoczynkiem szamotania się kozaczej duszy, na to tylko, aby rozhukana dumka w czyn się nie przeobraziła, na to, aby znowu duszę zwrócić do tych podstrajań rozmarzania się.

Wicher po swojemu zawył, konary dębów dziko, ponuro zaszemrały, i kozakowi zdało się, że to szatańskie pośmiewy z jego niewoli, z jego sromoty; jakby na wtór im zanucił w myśli: — Na pohybel, na pohybel, wrażym ludziom, co bratnie karki w jarzmie sromoty i niewoli gniotą — i ręką sięgnął do pasa; czy serce czy nóż chciał dłonią z tamtąd wyrwać. W tem z jarugi głos rzewny, taki jak matki za straconem dziecięciem zawył, a za nim ze wszech stron korowodem wycia zapłakały, zaskomlały; konie zachrapały i żachnęły się w miejscu.

To ostatni jar do przebycia, za nim step, mnogie futory, dalej Koszowata.

http://rcin.org.pl

Iwan krzyknął — wilcy! — i lejcem targnął konie.

Starosta porwał się do sztućca.

Marya przeraźliwie, boleśnie zawołała: — O Boże, mój Boże! moje dziecko.

W strachu przypomniała dziecinę swoję, malutkiego synka; nie o siebie się lękała, tylko o to, żeby go na tym świecie w niemowlęctwie nie zostawić sierotą.

Maksym porwał za lejce, obrócił się.

— Pani nie bój się, Panie mierz a niestrzelaj, ty Iwanie dobądź krzesiwa, krzesz ognia, a nie krzycz. —

Z cicha cmoknął i lejcami trącił konie.

Konie poznały, że ręka, co niemi kieruje, ani na włos nie drgnęła; szły stępą, powolnie, żaden chrapnąć nawet nie śmiał. O! jest w człowieku siła ducha, co bez słowa, bez podniesienia ręki tchnie w zwierza i odwagę i ślepe posłuszeństwo.

Spuszczali się nad jar, jeszcze wilków widać nie było, wycia ustały, kiedy nagle z za dębu jak dwie świece błysnęło; powyk zaskomlał, nawet zdało się słyszeć klamśnięcie zębów, i w duch z jaru wyskoczyła czereda, iskrząca oczyma, klaskająca zebami; otłumionym a okropnym powykiem skomlące, kity do góry wzniesione, paszcze rozwarte, blaskiem księżycowym i odbielą śniegu na olbrzymy porosłe, poskakują ku saniom.

Staroście i Iwanowi czapki rosną jak na drożdżach, włosy szczeciną stają. Marya oczy zamknęła i osunęła się w sanki. Maksym spojrzał po nich, żeby im otuchy dodać swoją śmiałością.

— Iwanie, krzesz ognia, Panie nie strzelaj, a mierz ciągle, Pani nie bój się; wszystkiego tylko siedem. —

Konie drżą a idą stępą; Starosta mierzy to w prawo, to w lewo; Iwan ogień krzesze a krzesze; wilcy do koła sań skaczą, a wszystko w oddali, to wykacają się po śniegu jak dla igraszki i pył śniegowy w powietrze pomiotą; to skaczą ku saniom, aż do calca ziemi pazurami zadrapią i śniegowym wichrem po za siebie wyrzucą, staną i patrzą a w zęby klekoczą.

Już z jaru pod górę konie raźno a wolno wyciągały sanki, kiedy widno wilczyca ze zjeżoną szerścią na karku, z rozdziawioną paszczą sunęła się ku saniom, jak rozhukany koń, kiedy go silna ręka osadza w miejscu; w posuwistych podrygach zatrzymywała się. Maksym krzyknął.

— Panie nie strzelaj. —

A tu z tem słowem huknął strzał. Wilczyca szczęknęła, wilcy zaskomleli, i razem posuwali się w poskokach ku saniom.

Marya wrzasnęła.

— Maksymie ratuj! ratuj! — i ręce ku niemu wyciągnęła. —

http://rcin.org.pl

Maksym spojrzał na Panią, oddał Iwanowi lejce, wychwycił nóż z zapasa i skoczył z sani w śnieg, wołając:

— Ruszaj, ruszaj. —

Konie w cwał pomknęły. Marya wołała: — Ratujmy, ratujcie, Boże, Boże — i całą postacią z sanek się wysuwała, mąż ją w pół ujął, i krzyczał:

— Ruszaj! ruszaj! —

W tem miejscu, gdzie skoczył Maksym z sanek, wzniósł się tuman śniegowy, za nim i wilków i Maksyma widać nie było, tylko majaczał jak cień jaki wierzchołek dębu. Konie mknęły cwałowemi skokami, a step przed niemi uciekał, i z niemi w przegony gonił, i one od stepu uciekały. Iwan lejcami niewładał, konie same cwałowały, a Starosta nadarmo wrzeszczał — Ruszaj! ruszaj! — Marya omdlona jak bez życia nie wyrywała się z jego objęciów i słowa już nie mówiła.

Kiedy zajechali do Koszowaty przed bramą na głośne szczekanie psów i głosy warty rządca i służba wybiegli naprzeciw.

Starościna przyszła do siebie i błagała męża — Ratuj Maksyma.

Starosta dawał rozkazy, a rządca pomrukiwał: — Jednym chamem mniej, to mniejsza o to, chwała Bogu, że Państwo cali.

Marya pobiegła do komnaty dziecięcia, z kolebki je wyjęła. — Mój aniołku, tyś jemu winien matkę i ojca, módl się za nim, módlmy się.

Dziecie kwiliło, a Marya jak gdyby ono rozumiało, ciągle powtarzała:

— Módl się, módlmy się — i modliła się za Maksyma.

http://rcin.org.pl

II.

Szczo czort zrobyt', toho czołowik neodrobyt'.

Gadka Gminna.

Po odjeździe Państwa Starostwa z Kruto-Horbów, Niemirycz z Panem Stanisławem, wymawiając się zbytniem utrudzeniem, gdyż tego dnia z rana przybyli z Bohusławia, a choć wojacy, zdrowie u nich nie kamienne, oddali dobranoc, i poszli na ekonomią spać, ale spać się nie położyli, wskoczyli na posiodłane już konie, za niemi kopnęło trzech wiernych kozaków Pana Cześnika; a zbrojni w strzelby i spisy ruszyli śladem sanek Państwa Starostwa. Nie spodziewali się oni żadnego niebezpieczeństwa, przynajmniej nie przeczuwali go na pewno; od wieków wilcy snuli się i snują się po kozaczej Ukrainie, a jednak ludzie jeździli i jeżdżą tak dobrze w nocy jak i w dzień, po stepach i po puszczach i wilków się nie boją; ale Pan Niemirycz Owrucki szlachcic, z tego to rycerskiego szczepu, co przy boku nosi szablę ku obronie wiary, ojczyzny i niewiasty. On bez niewolnej myśli, bez nieczesnego celu, stawia na grę losu swoje życie, byle pokazać niewiastom, że to dla nich, i teraz chce powiedzieć Starościnie: choć mi zakazano, czuwałem nad Panią.

Z mogiły na mogiłę między dęby i po nad jarugi szły konie trop w trop za śladem połozów, wyciągały szyje, głowy wnurzały ku śniegowi, poprychiwały nozdrzami i nie myliły drogi. Ale ta zygzakowa krętanina śladu nie w smak jeźdźcom; kłusowali a sanek zajrzeć nie mogli, choć na bieliźnie śniegowej i jasno i daleko widać; przy świetle księżycowem, przy śniegowej bieli oczy w obłęd wpadają: gdzie spójrzeć zdaje się, że wszędzie rysuje się drożyna; gwałtem konie zwrócili na bezdroże i kopali śniegiem, darmo im kozacy mówili:

— Panowie, puśćmy na wolę koniom, oni lepiej widzą, jak my. —

http://rcin.org.pl

Raz zjechawszy ze śladu, już nań wrócić nie mogli, brnęli ku Koszowackiemu stepowi, a jeden z kozaków im powodyrował, sam kierując się od prykmety do prykmety. W tem w lewo w oddali huknął strzał, i cicho: chwilkę chwycili uchem posłuch; wiatr wyje, konary szemrzą i nic więcej; na daleko zarzucili wzrokiem, księżyc świeci, szarzeją dęby, śnieg polatuje; kozak powodyr zawołał:

— Nad Atamańskim jarem — i konia w poskoki wypuścił.

Czterej jeźdźce za nim poskoczyli, sadzą uboczą, śniegiem po za siebie miotą, strzelby chwycili w ręce, a wzrokiem przed siebie rzucają het daleko, a nic nie widzą. Niemirycz i Stanisław konie bodzą, naprzód powodyrskiemu koniowi zaskakują, kozak powodyr dżga szkapę nahajem.

— Panowie nazad, nie bałamućcie prykmety. —

Tu nagle wszyscy zawołali. — Wilcy! wilcy, hutiu! ha! ha! — i konie przypuścili na wyparcie ducha.

Jak niesforne charty pojmawszy zająca zdala od szczwaczów, ciągną go w prawo i w lewo, rwą na szmaty, tak wilcy po nad jarugą szamocą jakąś pastwę, ale nie wszyscy, dwa czy trzy niby strażnicy pod dąb podskoczyli.

Już, już dolatują jeźdźce, wypalili ze sztućców i zawrzeszczeli gromko, razem, na postrach; o mało rozjuszonych wilków kopytami końskiemi nie pomiażdżyli. Wilcy rozskoczyli się na stronę, zażaryli iskrzącemi oczyma, zaskomleli żałośnie i posunęli w jarugę, jak krnąbrne dzieci odgonione surowym piastunem od zakazanej zabawki.

Złażą z koni, podnoszą, burka kozacza poszarpana w szmaty, i kawałki kozaczej czapki; rozpatrują, aż tu z dęba zsunął się w śnieg kozak i stanął między nimi, niby zmartwychwstały Ataman z mogilnika. Ani przestrachu, ani znużenia, ani radości na jego twarzy.

— Hej Ojcowie! dajcie konia, żeby tam czasem Państwu czego złego się nie stało. —

I nie czekając odpowiedzi porwał za najpierwszego konia, zarzucił cugle, wskoczył na siodło, i z kopyta dernął w step. Nikt mu nie śmiał powiedzieć: nie bierz, albo, poczekaj. Czterej jeźdźce koni dosiedli i za nim czwałem kopnęli; Mykita pozostał, zamruczał:

— Djabeł nie chłopiec, rodzony Ataman — po gałęziach wylazł w pół dęba i patrzał.

Bez czapki, bez burki, Maksym po przodzie sadzi, w prawo, w lewo wykręca się na stepie, a koń tak wyskakuje, że aż lubo widzieć. Czterej jeźdźce co duszy w koniach prą; a jednak Maksym od nich się odsuwa jak od stojących.

— Oj chłopiec mi to chłopiec; djabeł porwie wronego; ale

http://rcin.org.pl

ani on ani jego ojciec tak nigdy nie biegał. Co chwat to chwat. Oj kiedyb takiego Atamana Ukrainie!! —

I wronego nie żałował, i zimno mu nie było, bo patrzał na rodzimego kozaka, i rozpanoszała w nim kozacza dusza.

Nadedniem Pan Stanisław i Niemirycz powrócili do Kruto-Horbów i rozpowiadali Cześnikowi całą przygodę; rozpowiadali o niebezpieczeństwie córki, o czynie Maksyma: jak on poborukawszy się trochę z wilkami, zostawił im burkę i czapkę, a sam na dąb się wdrapał; drwił z wilków i dumał o Państwu.

— Wiecie Waszmość Panowie — rzekł Trzeciak — że to jakiś niesamowity człowiek! Ja dosyć już lat nażyłem się; zwiedziłem kawał świata, a przyznam się, że słyszałem tylko, iż tacy oczajdusze są do dziś dnia na Zaporożu.

— Kto wie, może on i z Zaporoża — powiedział Podkomorzy.

— I zkądże by Wojewoda ztamtąd go wydobył? Jak wieść niesie, Wojewoda nie w bardzo dobrej zgodzie z Zaporożem. —

Cześnik wstał nagle i wyszedł z komnaty, a kiedy żona szła mu dawać wiedzieć, iż zastawiono do śniadania, zastała go klęczącego przed obrazem Matki Najświętszej i odmawiającego w głos modlitwę za dusze zmarłych.

Po śniadaniu, którego Cześnik ani tknął nawet, bo tylko udawał dla zaspokojenia żony i dla zachęty gości, że napił się wódki i przekąsił trochę; zaprosił Pana Sędziego i Rotmistrza do swojej osobnej komnaty, zamknął drzwi i zasuwką zasunął. Rotmistrz z Sędzią spojrzeli się po sobie. Cześnik usiadł.

— Ufny w Waszmość Panów przyjaźń i dawną zażyłość, postanowiłem prosić ich o przyjacielską posługę, a razem powierzyć im jeden wypadek mojego życia. — Zasumował stary, nawet głową parę razy poruszył. — Żebyście nie pomyśleli, że na podejrzeniu buduję rzeczy.

— Mości Cześniku, możesz na nas rachować jak na samego siebie; pewni jesteśmy, że nie zażądasz rzeczy przeciwnej dobru Ojczyzny i uczciwemu imieniu człowieka.

— Tak, tak, podchwycił Rotmistrz, jeszcześmy może spełna cały korzec soli nie zjedli z sobą, ale nadjedliśmy już go uczciwie; znamy się, mów Waćpan Panie Cześniku, rozrządź nami, jak ci się będzie zdawało.

— Bardzo Waszmość Panom dziękuję; o tem możecie być pewni, że jabym nie chciał krzywdy kochanej Ojczyzny; jabym dla niej dobytek, dzieci, żonę i siebie poświęcił; z torbami bym poszedł, żeby jej służyć, to nasza jedyna Matka. — Do starego

http://rcin.org.pl

oka Cześnika łza się cisnęła. — A uczciwości Waszmość Panów na szwank narażać nie poważyłbym się. O bogdaj to tak i zemną byli postępowali ludzie, ale potem o tem, a teraz słujchajcie:

— Słuchamy.

— Przyjąłem za obyczaj, żeby zięcia mojego kochać jak własnego syna, ale nie naprzykrzać się mu z radami; toby mogło oziębłość między nas wmieszać: a wtenczas Bóg wie, w coby się obróciło szczęście mojej Maryi. — Zatrzymał się trochę i podumał, jakby szukał w myśli, co ma dalej powiedzieć. —

Rotmistrz zwyczajnie szczery i rubaszny, jak wojak co nie w stolicy szablę ciągał po pańskich pokojach i po bruku, ale przeżył połowę wieku na bójkach z wrogiem, albo na straży od dżumy, częściej pod gołem niebem, jak pod dachem, chciał Cześnika z kłopotu wyprowadzić, pomuskał wąsa.

— Cóż to, Pani Starościna nieszczęśliwa z Panem Starostą?

— A broń Boże! ja tego ani mówię, ani myślę: o inną tu wcale rzecz idzie. Waszmość Panowie wiecie, że Pan Szymon wzrósł pod okiem starego Wojewody, i był mu najulubieńszym ze wszystkiej młodzieży, wplątał on i mnie w różne sprawy, ale o tem wam zaraz powiem; jakoś ja go odciągnąłem od pańskiego dworu. Król Jegomość nadał mu tytuł Starosty Koszowackiego, i Bogu dzięki własnemi pieniędymi płaci dzierżawę Koszowaczyzny, choć to Bogu świętemu wiadomo, jakie prawo mają ci, co ją przedają. Młody Wojewodzic Kijowski nie takiego hartu jak stary, ale takiejże samej dumy, znowu mojego zięcia ku sobie wabi: już powchodził w jakieś kupno Skibiniec i dziś albo jutro sam Wojewodzic ma zjechać do Koszowatej. Duma pańska to gorsza pjaństwa; kto do niej nawyknie, nie odwyka nigdy i na nic nie baczy, tylko żeby jej dogodzić. Boję się, żeby Pan Wojewodzic nie użył mojego zięcia do jakiej roboty, coby zagroziła szkodą Ojczyźnie, a jemu przyniesła sromotę. Mnie do Koszowatej jechać nie wypada, ale Waszmość Panowie tam pojedziecie niby z przypadku, i tam, jak będziecie umieli i mogli, zatrzymajcie od złego, jeśliby co było. —

Sędzia pogładził się po łysinie. — Pojechać, pojedziemy, ale dalibógże nie wiem, czy to co pomoże. Wojewodzic zapewne przed nami ze swojemi myślami się nie otworzy, a Starosta nie usłucha.

— Wojewodzic jeśli co ma na myśli, to się wygada, a jak Waszmość Panowie, mając na celu dobro Ojczyzny, zaczniecie przekonywać, że to niedobre, jeśli w samej rzeczy niedobre, to Pan Szymon dalibógże zrozumie rzecz; on nie bity w ciemię.

— Dałby to Pan Bóg, żeby można złe odwrócić, jeśli wisi nad krajem. —

http://rcin.org.pl

Rotmistrz machnął ręką. — Co to wątpić, hula babula, uda się, to dobrze, a nie uda się, to nas nie powieszą, a przynajmniej nie można będzie nam zarzucić, żeśmy nie oddali posługi Ojczyźnie i przyjacielowi.

— To jedźmy, ja nie odmawiam; i owszem ja z mojej strony dziękuję Panu Cześnikowi za zaufanie; zaraz jedźmy.

— Poczekajcie trochę, ja Waszmość Panom opowiem moją rzecz: wiecie o tem, że niegdyś, przed latami, trzymałem dzierżawą Sawrańszczyznę. Często miałem stosunki z Zaporożcami, a szczególniej z Dymitrem Czorbą, zięciem Apostoła, mieszkającym podówczas w Koniecpolu nad Berszadą; był to mój szczery i prawdziwy przyjaciel. Kochaliśmy się jak bracia. Ot tak, polowaliśmy z sobą, piliśmy i do chrztu trzymaliśmy sobie dzieci nawzajem, bo i on był unitą; a żadnego sporu między nami nie bywało, nawet jeden na drugiego nie skwasił miny. On miał czterech synów a dwie córki; raz przy kieliszku przyrzekliśmy sobie, że moja córka pójdzie za jego najmłodszego syna, a mój Staś i Antoś pożenią się z jego córkami: było to na chrzcinach Maryni, i Bóg mi świadkiem, czylim niegorąco pragnął dotrzymać przyrzeczenia. — Siwy włos targnął i dalej mówił.

— Było to właśnie w chwili, kiedy Książe Michał i Książe August Czartoryscy poczęli swoje usiłowania, aby nieład Rzeczypospolitej na ład przerobić, i z Króla, owej malowanej lalki, zrobić Pana potężnego u siebie, a groźnego dla obcych; ukrócić samowolę i wybryki Panów, szlachcie oczy otworzyć i doprowadzić do tego, aby w Polsce był naród i Król, ład i potęga. Do nas i do Zaporożców doleciała o tem głucha wieść. Już wtenczas zaczynało kozactwo poznawać złe z odstrychnięcia się od matki Polski. Gadaliśmy z sobą, i Czorba i Jeremi Apostoł, jego teść, powtarzali: Kiedy ci Panowie chcą dobra Polski, po co za granicami szukają pomocy u obcych ludzi; niechajby nam powiedzieli: Panowie bracia, co mamy ciągnąć jeden w lewo, drugi w prawo; jedni służyć białemu Carowi, drudzy Bisurmanowi, a trzeci djabli wiedzą komu; razem, do kupy, a weźmy się za wóz ojczyzny, to i wyciągniemy z błota. — I dobrze mówili.

— I czemu to tak Mospanie nie było zrobić? bylibyśmy teraz nieproszonych gości u siebie nie mieli.

— Słuchajcie Waszmość Panowie, byłoby to może się i zrobiło; jużem miał ruszać w poselstwie do Warszawy, kiedy zajechał do mnie Pan Miecznik Smoleński, ojciec Pana Szymona. Chodziliśmy z sobą do proformy i do retoryki u Ojców Jezuitów w Żytomierzu; a szkolna przyjaźń to rzecz nielada. Jak mi zaczął kłaść w głowę, że Pan Wojewoda taki dobry jak i inni, że jak Sasa djabli wezmą, to i on takim może być Królem jak Sobieski, że to wszystko od nas szlachty zależy; my mamy

http://rcin.org.pl

prawo robić Królem, kogo nam się podoba; a wara tam komuś targać się na szlachecką prerogatywę. Przyznam się Waszmość Panom, że jest coś w sercu szlachcica Polskiego, co djabelnie pasuje z tem: Niepozwalam. — Szlachcic na zagrodzie, równy Wojewodzie. — Każdego szlachcica głowa dobra do korony. Tak mnie udobruchał Miecznik, iż z nim pojechałem do Koniecpola.

— Przepraszam Waćpana Dobrodzieja. Po co?

— Kabacić braci Kozaków na stronę Wojewody.

— I cóż oni na to?

— Że niechcą — mówili — lada kto Królem Polszczy być nie może, a jak mamy dawny bezład popierać, to lepiej siedźmy, stróżmy wrzeciona w domu i czekajmy. Miecznik dowodził, aż ochrypł, a oni swoje i swoje. Wasz Wojowoda, jak wszyscy Pankowie, obiecuje, a nie wie o tem, że my tu wiemy, iż pańska obiecanka na pstrym koniu jeździ. Z resztą my Polszcze gotowiśmy służyć, ale Wojewodzie i żadnemu Pankowi nie. Chodźmy Królowi służyć, to zgoda. Po raz pierwszy poswarzyłem się z Czorbą, ale myślałem, że na tem koniec; aż wróciwszy do Sawrania, zastaliśmy samego Pana Wojewodę: zajechał do mego domku szlacheckiego w gościnę, a z sobą miał pięciuset Kozaków pod dowództwem Pana Mołodeckiego i Pana Szymona. Taki wielki Pan, taka łaska na mnie; gdybym mógł dostać, to bym go był przyjmował ptasiem mlekiem. Opowiedzieliśmy Wojewodzie skutki naszych rozhoworów, zmarszczył się. — Poszlij Wać do tych Kozaków z zaprosinami, żeby tu przyjechali.

— To to początek tego sławnego zajazdu?

— To, to, niech mu Pan Bóg odpuści — targnął biały wąs. — Przyjechali teść z zięciem, w dobrej wierze, we dwóch tylko, i nie mieli z sobą ino jednego Kozaka do koni. Z początku pogadanka była jako tako, ale po pierwszej próbie grzeczności, Wojewoda był dumny, ostry w słowach. Kozacy hardzi, nieugięci w woli. Chciałem przerwać rozmowę, i nie udało się, przyszło do tego, że Czorba Wojewodzie powiedział: — Jeśli źli Pankowie, jak wy, nie przestaniecie biednej Matki kłócić, to u nas znajdą się na was noże. — Wojewoda podniósł rękę, i Czorba rękę podniósł. Wojewoda macnął dłonią za rekojeść karabeli, Czorba szablę wydobył z pochwy do pół. Myśmy go porwali i wytrącili z komnaty; Wojewoda jak burak poczerwieniał, sierdził się i wołał: — Zamknąć tu zaraz chamów in fundo, ja ich mores nauczę. — Hej! Mołodecki powiązać, zamknąć, na koń, do Koniecpola; w pień tam wszystko wyrznąć, z ziemią wszystko zrównać. Niech z ruski miesiąc chamy popamiętają, co to na Pana rękę podnieść. — I ten Wojewoda surowy, ale ponury zazwyczaj, tak wykrzykiwał, aż strach o tem pomyśleć.

http://rcin.org.pl

— I cóż Waćpan na to, Mości Cześniku, wszak to w twoim domie?

— W moim, ba! już on wtenczas nie był moim; ja tam byłem gorzej od gościa. Mnie o nic nie pytano; ledwie mogłem u Miecznika uzyskać, że Czorbę i Apostoła nie wiązano, tylko tak trzymano pod strażą. Wojewoda chciał obudwóch kazać powiesić, bez prawa i bez sądu, jak się to działo, a i teraz jeszcze dziać może w naszej Rzeczypospolitej. Moja żona uprosiła im życie na parę dni. Jak w czyścowych mękach przepędziliśmy te dwa dni całe; ani było można przebłagać Wojewodę. Na trzeci dzień z rana powrócili Kozacy Wojewody, naprowadzili z sobą koni i pełno wozów; nie chciałem nawet patrzeć na to, zwłaszcza, kiedy usłyszałem słowa Pana Szymona, odpowiadającego na wyrzuty ojca: — Cóż robić, Pan każe, sługa musi. Raz spuściwszy charty ze smyczy za zającem, nie można ich odświstać nazad, póki swego nie zrobią. Był to dzień przeznaczony na powieszenie moich przyjaciół. Pamiętam ... za kolana ułapiłem Wojewodę, do nóg mu chciałem się rzucić. On już nie był sierdzisty, ale ponury, surowy jak zawsze, powstrzymał mnie za ramie. — Słuchaj Waé, weź ich sobie i zrób co zechcesz; źle się zrobiło. Pan kazał, żeby wybili, a słudzy zabili; ale co się stało, to odstać nie może. — I zaraz Wojewoda wyjechał ze swoimi Kozakami. — Tu znowu Cześnik się zadumał, po smutku w oczach widać, że nie zbierał pamięcią przypomnienia do opowiadania, ale tęskno mu było one wyłonić. —

Sędzia to rozumiał i milczał, ale Rotmistrz, którego dusza nie miała innego uczucia nad oburzenie się na czyn Wojewody, gryzł wąsy z niecierpliwości i gniewu.

— Ha Pan! skórka na buty; no i cóż ci poczciwi Kozacy? —

Cześnik parę razy dłonią obtarł oczy, a jednak łza zrosiła oko, i zdało się, że ciężką boleścią ołzawiła pomarszczone lice.

— Raz na wolności, obawiałem się, aby nie było jakiej zasadzki, bo sługom Wojewody i to się czasami zdarzało. Nie chciałem ich puścić samych, ale z niemi pojechałem i wziąłem z sobą malutki poczet moich Kozaków; co się zaś stało w Koniecpolu, o tem nie wiedziałem. Pan Wojewoda zaraz po powrocie swoich Kozaków, wyjechał; ja nie miałem serca zapytać dowódców, a Kozacy Wojewody ludziom nie gadali; u nich nałogiem było robić, a milczeć: myślałem tylko, że nagrabili, i po wszystkiem. Jużeśmy minęli równiny Sawrańskie i Swatczyne bagna, w lewo w doli srebrzył się Bracławski Boh, w prawo pomiędzy ługi snuła się Berszada. Słońce jasno świeciło, a nie bielały domy Koniecpola, jak to zawsze bywało; i kruki i gawrony stadami leciały ku Koniecpolowi, jak by tam jaka uczta dla nich była. Myśmy milczeli, ale mnie serce

http://rcin.org.pl

się ściskało, a u nich w oczach był niepokój. Zapewnie sercem nie śmieli przeczuwać nieszczęścia, bo słowem o niem nie śmieli mówić. Spojrzeliśmy na siebie, i bez mowy, wszyscy razem, jakbyśmy się umówili, przecieramy oczy; tu niedaleko powinno być Koniecpole, a tam nie widać tylko zgliszcza starego zamku: a na polach dokoła ani ludzkiej duszy. Czorba wypuścił konia; stary Apostoł poskoczył za nim, i ja ruszyłem. Wiatr wiał ku nam, coraz bardziej a bardziej zapach ogorzelizny w nos mi dolatywał, a nawet zdało mi się widzieć dym ścielący się nad polami. Oni pobiegli prędko, ja wstrzymałem konia, jakby mnie co trącało i szeptało: nie ma po co jechać. —

I zatrzymał się; milczał i tą razą nikt milczenia nie przerywał. Nareszcie Cześnik podniósł się.

— I nie było po co jechać; miasteszko, dwór, wszystko popalone, ani psa, ani człowieka nigdzie. Czorba już na pieszo stał koło słupa, na którym to wypisano: Koniec — Polski; oparł się o drzewo, blady, z zaciśniętemi zębami, z oczyma w słup obróconemi. Stary Apostoł stał obok niego, ale w oczach miał łzy, a na twarzy głęboki smutek. Za mojem zbliżeniem się Czorba porwał się do szabli, ale Apostoł go wstrzymał. On ucinkowym głosem zowołał: — Patrz, ciesz się. — O żebyście Waszmość Panowie wiedzieli, ile mi wtenczas te słowa złego zrobiły. On posądzał moją poczciwość. — Usiadł Cześnik.

— Ja mu odpowiedziałem: — Jak Ojczyznę kocham, jakem Sodalis Marianus, takem niewiedział o niczem. — Dymitrze!... złaziłem z konia, i chciałem przystąpić ku niemu; ale on zacisnął dłoń — Lachy!, Lachy! krew za krew, ogień za ogień! o damy my wam, damy. — Apostoł na mnie patrzył. — Ja wierzę, tyś nie winien, niech ciebie Bóg od złego chowa, zostaw nas, wracaj. — O! nie, ja was nie opuszczę — Czorba zadrżał. — Apostoł wziął go za rękę, a drugą wskazał na słup. — Bywaj zdrów, po takich sprawach będzie dla nas ... Koniec Polski. Oni poszli, konie ich za nimi jak psy ruszyły, a ja jak kamień na miejscu stałem i przypatrywałem się pogorzelisku; widziałem jak Czorba i Apostoł przechadzali się po niem, i szukali zapewne kości swoich dzieci; widziałem, jak obadwa się ściskali, zapewnie płakać musieli; widziałem, jak siedli na konie i pojechali, a ja jeszcze stałem. W moim domie moich przyjaciół więziono; z mojego domu nieszczęście na nich spadło, a oni mnie nie zamordowali; uwierzyli słowu starego przyjaciela, a może tylko gościa nie chcieli żelazem częstować na swojej ziemi. Srom na mnie cięży, bo czy ludzie uwierzą, żem czysty, nieskalany zbrodnią. Przyjaźń, zażyłość, zięć i synowe wybrane sercem, a kto wie, czy i nie dobre imię, wszystko na przepadłe poszło. — Takem dumał, kiedy wierny kozak

http://rcin.org.pl

przerwał moje gorzkie dumanie. — Ojcze serdeczny, dosyć boleć, co djabeł zrobił, to człowiek nie odrobi. — O! prawda, że djabeł, prawda. — Jeszcze raz spójrzałem za nimi, ale już ich widać nie było; siadłem na koń, jeszcze raz okiem przeczytałem to bolesne: Koniec Polski, i pojechałem. O! bolesna to była chwila. —

Rotmistrz poglądał na Cześnika, ale widać, że i jemu nie dobrze na sercu, bo tylko przebąkiwał: — Ha, to, ot, Mospanie źle.

— Źle — powtórzył Sędzia — z takiem bezprawiem, to pewnie zrobimy koniec Polski. —

Cześnik się ocknął ze swojego dumania.

— Otóż wiecie Waszmość Panowie, później od ludzi się dowiedziałem, że ta służba Pana Wojewody raz poczuwszy pot rabusiowski, nie dała się już pohamować: ogniem i mieczem spełniła rozkaz Wojewody; żonę i sześcioro dzieci Czorby zamordowano i siła Bożego ludu, reszta porozbiegała się w stepy, a płomień dokończył, co ręka zaczęła; tak to jedno słowo pańskie w gniewie rzeczone, narobiło złej doli ludziom, a zakały samemu panu.

— Oho Mości Cześniku, Wojewodę nie wymawiaj; hula babuła, należałoby go wskazać na gardło, a przynajmniej wsadzić w wieżę in fundo, żeby tam zginił za życia.

— Zachowaj mnie Boże od uniewinniania Wojewody, ale on człowiek jak każdy. Pan możny i dumny, bez bojaźni Boga, bez strachu prawa, może i niewie, że źle zrobił.

— Oj wiedział on wiedział, odezwał się Sędzia — żebyście Waćpanowie tak go widzieli, jak ja niedawno temu (już on teraz na schyłku życia), samibyście powiedzieli, że nie trzeba było sadzać go in fundo; srodze go sumienie dręczy a ciągle powtarza: — zrobić wiele rzeczy mogę; mogę wszystko zrobić, ale złego co się raz zrobiło, odrobić niemożna. Teraz już o sobie ani myśli, tylko o synie. Ja z Panem Cześnikiem trzymam, nie Panowie tym wszystkim rzeczom winni, ale bezprawie i bezład naszego narodu. Uderzmy się w piersi, powiedzmy: nasza wina, nasza wielka wina. Zachowajmy prawa Boże, kościołem nie pomiatajmy, zróbmy u siebie ład, ustanówmy władzę, a wszyscy będziemy musieli zostać dobrymi.

— Zapewne, zróbmy jak można: ja nie wchodzę w sposoby, byle nam było dobrze i naszym dzieciom, nie tak jak dzisiaj. —

Cześnik po chwilce milczenia znowu biały wąs zamuskał.

— Otoż muszę Waszmość panom skończyć. Jakiem przyjechał do Sawrania, jakbym był zbrodniarzem, ani na krótką chwilkę nieschodziły mi z oczów żona i sześcioro dzieci Czorby,

http://rcin.org.pl

i ci dwaj poczciwi ludzie, dawni przyjaciele, i ten słup z napisem Koniec Polski. Już niemogłem wysiedzieć w Sawraniu, zbyłem dzierżawę Panu Korczewskiemu za pół-darmo; chudobę, remanenta, pasieki, wszystko poodstępywałem i powiem Waszmość panom, że po szesnaściu leciech mieszkania, z taką radością ztamtąd wyjeżdżałem, jak student ze szkół na wakacye i za nic w świecie tambym niepowrócił. Kiedy mnie niewinnemu tak się działo, cóż to tam musiało się dziać Wojewodzie. Wojewoda mnie zapraszał do siebie, za nic niepojechałem. Pan Miecznik mi naraił kupno tej Słobody. Wiecie Waszmość Panowie, że ten Apostoł tak poszkapił sprawę iż przeszedł do Moskwy, a Koszowata stała się starostwem, królewszczyzną, Pan Szymon od Króla Jegomości dostał przywilej na Starostwo Koszowackie, nie za wstawieniem się niczyim z Wojewody rodu. Wydając córkę za niego, zastrzegłem, iż wszelkie związki z tym rodem zerwie, przyrzekł, a teraz od siedmiu miesięcy znowu wrócił do swojego, powiadając, że on z synem a nie z ojcem się łączy.

— Ależ Waćpan masz prawo przypomnieć przyrzeczenie — wszak syn a ojciec to jedno.

— Póki niebył moim zięciem, miałem prawo podawać warunki, kłamka zapadła, już po harapie; dziś swarząc na niego, rzucałbym kość niezgody między małżeństwo, a na stare moje lata nieodważyłbym się szczęścia i spokoju córki na szwank narażać, i dla tego upraszam Waszmość panów, abyście mnie posługę przyjacielską oddali i czuwali nad Panem Szymonem mimo jego wiedzy i woli.

— My zrobimy, ale czyż Waćpan Dobrodziej myślisz, że toby znowu miała być jaka podobna sprawa?

— Ja nic niemyślę, ale ostrożnego Pan Bóg strzeże; kto się sparzył na gorącej wodzie, to i na zimną dmucha. Ja powiem Waszmość Panom, że jak mi kto wspomni o Wojewodzie, o Zaporożu, o Sawrańszczyznie, albo myśl o nich sam sobie do głowy przywiodę, to mi natychmiast staje przed oczy Czorba i Apostoł.

— Mości Cześniku — przemówił Rotmistrz. Cóż się stało z tym biedakiem Czorbą?

— Niewiem, gdzie się on obraca, wiem tylko, że z Apostołem nie służy Moskwie, może gdzie i zakończył życie; to był poczciwy człowiek ten Dymitr, pyłki, uparty, ale serdeczny Polak; żeby mógł, toby Wojewodę i wszystkich tych co jego rozkaz wykonywali, na kawałki porąbał, ale na Polskę przez zemstę za nicby się nieporwał. O taki to był człowiek; musiał gdzieś zamrzeć, kiedy tak długo o nim ani słychu, ani wieści. — I łza po łzie spadały z oka starca.

— Ależ Mości Cześniku nie płacz, ja słyszałem o Czorbach na Zaporożu.

http://rcin.org.pl

— Czorbów wielu, ja ich znam ... poczciwi ludzie; ale Dymitr to była perła. — Chustką ocierał oczy.

— Jedźmy Mości Sędzio, bo dalibóg, że tu trzebaby się rozbeczeć. —

W tymże samym czasie na ekonomii Pan Niemirycz i Panowie Cześnikowicze wybierali się w drogę do Bohusławia. Chorąży Trzeciak i Pan Topczewski mieli jechać z chartami na zające. Chorąży w kurcie lisami podbitej nadziewał na wierzch kożuch, Panowie Cześnikowicze wyszli.

— Mospanie Namiestniku, a nie korci Waszecia na łowy?

— O! niech ich tam djabli wezmą.

— Waszeci inne łowy w głowie, ja wiem, żeby to tak się chciało — i nucił:

«Pojedziemy na łowy towarzyszu mój, w ten gaik zielony, towarzyszu mój. — Aż tu bieży zając, zając; puszczaj charty ze smyczy, niech zająca uchwycą.

— Pojedziemy na łowy, towarzyszu mój, w ten gaik zielony, towarzyszu mój. — Aż tu bieży sarna, sarna; puszczaj charty ze smyczy, niech sarnę uchwycą.

— Pojedziemy na łowy, towarzyszu mój, w ten gaik zielony, towarzyszu mój. — Aż tu bieży sobol, sobol; puszczaj charty ze smyczy, niech sobola uchwycą.

— Pojedziemy na łowy, towarzyszu mój, w ten gaik zielony, towarzyszu mój. — Aż tu bieży Panna, Panna; puszczaj konia dowoli, niech Pannę dogoni.

— Teraz będziemy się dzielić towarzyszu mój, towarzyszu mój. Tobie zając i sarna, mnie sobol i Panna; a kiedy ci w tem krzywda towarzyszu mój: Mnie koń z kulbaką, tobie rożek z tabaką; kiedy ci i w tem krzywda, towarzyszu mój, Tobie siodło, mnie koń, siadaj na siodło i Pannę goń.»

— A co jak Waści się podoba?

— Mości Chorąży, daj mi czysty pokój.

— Dałbym ja ci pokój; Waszeć może chciałbyś mieć w Koszowatej pokój, ale daremno ... próżna praca, z tego chleba nie będą kołacze dla Waszeci.

— Jak będziesz gadał, Mości Chorąży, djabli wiedzą o czem, to dalibóg że zająca ani w oczy nie zobaczycie.

— Jedź Waszeć do Koszowatej i przywieź nam tu szczęścia, a dalipan, gotowem się dzień zatrzymać, bo i tak zając tylko koło kubła pożyrował, daleko nie wychodził, trzeba go szukać jak na upatrzonego, a Waszeć do swojego możesz na heco ruszać jak w dym.

— Co to się po głowie roi?...

— Jak po śliwkach, prawda, ale Waszeci wczoraj i w głowie

http://rcin.org.pl

i w gębie, a może i w serduszku djabelnie się roiło, a kto wie, czy się i nie broiło. — No, chwała Bogu, że ten Maksym gracko się spisał.

— A gracko, to gracko, ażem go ucałował przed bramą Koszowatej.

— Czy to dla tego, że gracko się spisał; czy dla tego, że komuś tam życie ocalił?

— I za jedno i za drugie.

— To lubię, przynajmniej choć szczerze; dalej, dalej do wszystkiego się przyznamy, ale ja za język nie ciągnę, z resztą teraz cyt, idą Cześnikowicze. Zbliżył się do ucha — ze Starostą sprawa nielada, on żartować nie lubi. — Panie Tadeuszu, wiesz Waszeć, słuchaj mojej rady, nie zaskakuj chytro, mądro, a utnij koperczaka do Sędzianki, i bałamucić się przestaniesz i będziesz miał żonkę, gospodynię w domu. —

Niemirycz się skrzywił, ale nic nie odpowiedział, bo już weszli do izby Stanisław i Antoni. Widno było z twarzy Pana Namiestnika, że jak go Chorąży dręczył wyciąganiem na słówka o Pani Starościnie, to choć się niby wzdragał, ale w duszy się radował, i chciałby, żeby ta pogadanka dłużej trwała; lecz kiedy wspomniał o małżeństwie z Panną Sędzianką, to i nosa skrzywił i wąsami mrugnął, a jednak Sędzianka hoża dziewczyna, motorna, gospodarna, jak to mówi gadka stara ale dobra. I do stroju, i do łoju; to jest i gości zabawić i gospodarstwem się zająć. Ale Starościna to cuda nie niewiasta. Wzdłuż i wszerz zjeździć Ukrainę, a jeszcze takiej znaleść niemożna jak ona. I Rusałka Czaromoca, z chmur i z wiatru zwiana, śniegiem ubielona, promykiem słońca okraszona, jak gwiazda błyszcząca, jak wiosna ponętna, jeszcze nie taka czarodziejka, jak ona.

http://rcin.org.pl

III.

Dumka twoja buła korolom zostaty.

Pieśń gminna o Potockim.

Nie często to zdybać stary zamek na kozaczej Ukrainie; od dawien dawna nawyknięto, aby wałem matki Polski była pierś kozacza; pomnikiem: pośmiertna mogiła. Tam od dawien dawna naddnieprowe zamki w Dniepr się powaliły, a palanki Zaporozkie to nie zamki; z nich palą do wroga, ale w nich pankowie się niepanoszą i ludu Bożego nie ciemiężą. Na krańcach Ukrainy zdarza się napotykać zamki; stawiali one Laccy Panowie, a za ich przykładem starszyzna kozacza, czasami w dobrej, a czasami w złej dumce; kozactwo nieraz pokazało jawem czynu, że, co ludzkie ręce wzniosą, to i ludzkie ręce zniszczą.

W Koszowatej stał jeszcze Atamański zamek Daniela Apostoła. Śnieg makatami posłał się na przekopach i na wałach, a inej poobrastał po zamkowem cielsku i po basztach. Jakby zamek przykrył się całunem bielizny, z żalu po kozaczych czasach, po Atamańskim rodzie swoich rodzimych panów. Jakby chciał zakryć kozaczemu oku tę groźną postawę, co przez oczy do duszy szepce: albo zamek niech będzie siedzibą takich ludzi, jak był dawniej, albo lepsza mogiła jak zamek. Od czasów, jak Bohdanko Chmielnicki zawołał: — Od Słuczy po Nizowskie stepy, po Czarne morze, po Doniec, każdemu być kozakiem we wszej Ukrainie — po Bogu, Królu, i ich namiestnikach wszyscy chcą być jednacy, i dla tego wolą mogilnik możnowładnej potęgi, jak stojące postrachy możnowładców.

Państwo Starostwo mieszkali w zamku: zamek już począł wsuwać się w ziemię, ale jeszcze zniszczenie niesponiewierało komnat; niewyganiano z nich dawnych sprzętów Atamańskich; makaty, powołocze, adamaszki, kobierce i bisiory, wyzłacane obrazy świętych pańskich, bisurmańska broń, zdobycze wojenne, nawet kropielnica ze święconą wodą i świecznica bezustannie gorejąca pod obrazem Matki Dziewicy, wszystko

http://rcin.org.pl

tam było nietknięte, jak za czasów od dawna zmarłego Atamana. Niewiadomo, czy to się działo z rozkazu jeszcze starego Wojewody, czy też nieśmiano poruszać z miejsca tych starych, a nieruchomych gospodarzy zamku. I Starosta wydawał się między nimi, jakby gość świeży i to chwilowy tylko; rzecz dziwna; w tym zamku obszernym, suto przybranym, każdemu co przyjechał w odwiedziny do Starostwa, choć ich zastał, zdawało się: niema pana w domu, i zdawało się, że sprzęty nieme niemo mówią: kiedyś on przyjedzie.

Jeszcze dzień niezaszarzał, i ledwie kury na doświtki pjać poczynały, a już w izbie pana rządcy świeciło się światełko. Pan rządca niewielkiego wzrostu, przysadkowaty, łysy, bo tak mało jasnych włosów na głowie, jak ludzi na jarmarku w Rajgródku, gdzie możnaby tabuńskim koniem czwałować wzdłuż i w poprzek, a żadnego człowieka niepotrącić; siedział na stołku i jeszcze trzymał jakiś papier w ręku. Widno dopiero co skończył czytać, bo siwe oczy po kociemu jaskrawiały, a twarz powszednio czerwona jak burak naraz złością i nadzieją się przyśmiechała; na stole stała flasza z wodczanym wiszniakiem i szklanica do pół nadpita, musiał Pan Rządca szukać w trunku albo pociechy, albo pomysłów, napił się.

— Ha! i dla mnie może kiedyś słońce zaświeci; czy prostą, czy nieprostą drogą do niego dójdę, mniejsza o to. Ludzie... o! ja ich nienawidzę, oni mnie nie chcieli uznać za wyższego, a może i za równego sobie, ja sam się wzniosę, niech sarkają wtenczas, niech klewoczą, byłem ja był wyżej; ludzie krzykną: szpieguje, zdradza; ja będę i szpiegował i zdradzał, a jak się wzniosę, powiedzą: zacny człowiek. — Popatrzył na papier. — Obiecuje wszystko, ale czy dotrzyma; gdyby i niedotrzymał, przynajmniej będę ludzi trapił; o! ja ich nie lubię. —

Tak sam z sobą rozmawiał Skandyba. Kto był ten człowiek?... nie Polak, nie Sławianin. Syn mieszczanina z nad Baltyckiego miasta, podszywający się pod zwanie Polaka; pycha zakołysała jego duszą w tej chwili życia, kiedy człowiek z dziecka na młodzieńca przechodzi; nie miał ani jednej zdolności, ani jednej cnoty, żeby stanąć wyżej od drugich; a brakowało mu tej szczeroty serca, tego chrześciańskiego ducha prawdy, co nietylko pozwala, ale nakazuje uznać wyższość, a nie stracha się równości; u niego pycha hodowała się zawiścią ku drugim, a w końcu nienawiścią ku wszystkim. On, jeszcze młodzieniec, każdy czyn bliźniego różnobarwą klewotą jeźli ni zaćmić, to chciał przyćmić przynajmniej, a używał do tego cudzych ust, cudzego imienia; nigdy nie śmiał powiedzieć: ja to mówiłem. Z takiem schydzonem ziarnem w sercu, jawie świata go lękało, bezbożnik chciał świętą suknią obsłonić pokalany duch, wszedł do duchownego stanu; ale sam oko w oko z pokorą, z wiarą i z mi-

http://rcin.org.pl

łością nie mógł długo wytrzymać; szatan w nim zagrał i wygonił precz ze świętego miejsca; wywlokł się, i wtenczas zapewnie nauczył się sam sobą pogardzać, kiedy prawda choć na jedną chwilkę zaświeciła w jego duszy; po wywłoctwie złość jego i nienawiść ku ludziom nie miała ani miary, ani hamulca. Jak odrzutek jaki w kale występku się kąpał, i złem ludzi karmił swoją pychę. Cztery lata temu jak przez wypadek jakiś poznał się z Panem Starostą Koszowackim w Warszawie, umiał pochlebiać hardej duszy szlachcica, i pozyskał jego przyjaźń i zaufanie; z nim przybył na Ukrainę, został pełnomocnym rządcą a razem przyjacielem ścisłym Pana Starosty, przynajmniej tak się zdawało Pana Staroście.

Pan Skandyba bezustannie odbywał jakieś tajemne przejażdżki i widywał się z tajemnymi posłami: ludzi ćwiczył łozami, i w nieludzkiej ryzie surowości trzymał; zdzierstwem dostarczał grosza do pańskiej szkatuły i sam w rachunkach w żaden d e c e s niewpadał; podwładnych zaś ekonomów, leśniczych i tak dalej umiał tak dobrze wpędzić w rachunki, iż po roku skończonym każdy nie tylko nie dostał rocznej płacy, ale ani jednego sprzętu nie wywiózł z Koszowaczyzny; wszystko, nawet odzienie żony i dzieci pograbiono na korzyść pańską. I chłopi i podwładni Rządcę nie cierpieli, lecz Starosta, jak prawowierny w dziesięcioro Bożego przykazania, tak wierzył w jego poczciwość. I sąsiedzi powtarzali: może trochę i uciemięża, ale pańskiego dobra pilnuje jak oka w głowie.

Umiał Skandyba ludnem słówkiem Starostę utrzymać w samolubstwie i w jakiemś oddaleniu od ludzi; umiał utwierdzać w nim przekonanie, że żona jest dzieckiem potrzebującem rozkazu i napomnienia, a nie oznak miłości, powiernictwa i zaufania. Rządca wiedział, że tacy ludzie jak Starosta przyjmują rozkazy od wyższych, rady od niższych, a od równych sobie nic, i dla tego był pewnym swojego panowania nad nim. Do swojego zaś dobrze ograniczonego zaufania przypuścił tylko dwóch ludzi, Jurkę przechrzczonego żydka z Bohusławia, którego Pan Starosta trzymał do chrztu, a jako umiejącego czytać i pisać umieścił u siebie za pisarza prowentowego, i Moszka, głównego arendarza Koszowatej, żyda w całem znaczeniu tego słowa. Obadwa ci ludzie lubili pieniądze nad wszystko; Pan Rządca używał Jurka za rachmistrza i do pisania kontraktów, i pozwalał brać rebochem i porękawiczne. Arendarza upoważnił do handlowania i borgowania, a kozaków dworskich dawał na eksekucye, do poboru należności od chłopów. I sromota ludzka powiedzieć! na wszystkich sprawach przed Panem Rządcą, Żyd parch miał prawdę, a poczciwy chłop był winien. Jurko i Moszko jak psy wierne służyli Panu Rządcy, wierniej jak Panu Staroście.

http://rcin.org.pl

Już drugą szklankę wiszniaku wychylił Pan Rządca, bardziej zapyrzał twarzą.

— Ślad w ślad za nią... O! Panie Namiestniku... Ona — i oczy mu pobłyszczały. — Kto wie?...

W tem drzwi się otworzyły i wszedł żyd, słuszny, cienki, o kruczych pejsach, a oczu takich latających, że ani można zachwycić ich barwy i kształtu; nisko pokłonił się.

— Kłaniam, a co Wielmożny Pan każe?

— Co tam słychać Moszku?

— Nu, śnieg wielki i zimno wielkie, a tu niema, czem raty zapłacić.

— To poczekamy, ale cóż tam więcej słychać?

— Nu wczoraj wieczór panicze z Krutohorbów zajechali do karczmy zagrzać się, i oni mówili o tym przypadku Jasnych Państw; to strach!

— Cóż oni mówili?

— Że ten Maksym państwa uratował; i to jak.

— Prawda, że odważnie — i przygryzł usta.

— A ja przyznam się Wielmożnemu Panu, że ja tego Maksymcia nie lubię.

— Dla czego; dla tego, że nie pije?

— Nu i dla tego, ale i dla tego, że wszystkie te chamy jego strasznie kochają, a on niebardzo dobrze na Wielmożnego Pana gada.

— Cóż gada?

— Ja tego nieumiem powiedzieć; on gada, że wszystko złe, co się tu dzieje, to od Wielmożnego Pana idzie, że Pan Starosta nic niewie, że on dobry, a Wielmożny Pan to gorszy od djabła i od żyda, i niewiedzieć, jakie imiona wygaduje; on namawia, żeby szli na skargę do Pana Starosty na Wielmożnego Pana, i obiecywał, że on sam pójdzie po ich przodzie. —

Rządca wstał z miejsca. — Ha! gada; zobaczemy — przeszedł się po izbie. — To na potem, a teraz Panie Moszku...

— Co Wielmożny Pan każe — i żyd powracał się za chodzącym Rządcą i oczyma po nim świdrował, ile razy on mu w oczy nie patrzał, to oczy w dół spuszczał.

— Teraz ma tu przyjechać Pan Jenerał gwardyi królewskiej.

— Nu, Pan Branicki.

— I Pan Wojewodzic Kijowski.

— Nu tacy wielcy Panowie u naszego Pana Starosty? —

Rządca widać zapomniał, że żyd był w izbie, bo pomrukiwał sam do siebie, ale tak, iż żyd niektóre słówka uchem podchwytał.

— Tak, do Pana Starosty, on im za dudka służy a oni służą za dudka komu innemu, a mnie to gratka. — Chodząc po izbie

http://rcin.org.pl

trącił o stół, i szkło zabrzęczało; i ocknął się z dumania i spojrzał na żyda.

— Otóż Moszku, od ludzi trzeba żebyś wszystko się wywiedział. Kto bywa u Panów, z kim mają konszachty, i jakie.

— Nu, ja rozumiem, co Wielmożny Pan chce, oni przy czarce wszystko wygadają.

— Nieżałować ani wódki, ani miodu, co zechcą, wszystko dawać, a jak nie zapłacą, to ja zapłacę.

— Nu niech Wielmożny Pan będzie spokojny, a ten moskal od Jenerała. —

Aż białki oczów poczerwieniały Rządcy. — Cyt... był... ale o tem wara gadać?... milczeć ... rozumiesz?...

— Rozumiem. Ja mam prośbę do Wielmożnego Pana; ten Hryćko Sałop winien mnie dwadzieścia złotych polskich, które przyrzekł oddać po zapustach, a mnie teraz ich potrzeba, a jego czumaki przywieźli ośm maź soli.

— Dobrze, zaraz każę mu sól zabrać i Waćpanu oddać.

— Nu, to sprawiedliwie, a on taki hajdamaka, na Wielmożnego Pana gada. —

Rządca nie odpowiedział, a Moszko poznał, że to ma znaczyć, pójdź precz.

— Nu kłaniam Wielmożnemu Panu; pokłonił się i wyszedł. —

Pan Rządca znów łyknął wiszniaku. — Ha! cham gada na mnie, przeciwko mnie podszczuwa, nie zapomnę mu tego, ale teraz czem innem mam się zająć.

Wszedł Jurko; małego wzrostu, dosyć zwinny, twarzy żółtawej jak surowa kartofla, a miny nie poczesnej, złodziejskiej.

— Pan prosi Pana Rządcę.

— Już nie śpi?... zaraz idę, ale, ale, słuchaj no Jurku, dziś tu u Pana mają być dwaj wielcy Panowie, zapewne będą rozmawiać w bawialnej komnacie. Waść będziesz kończył te rachunki z Jakubowskim w przedpokoju pańskiej kancelaryi, z kancelaryi są drzwiczki do bawialnej komnaty skryte z cieńkiego przepierzenia, ztamtąd można wszystko słyszeć; rozumiesz Waść? to dla nas potrzebne.

— Rozumiem Panie Rządco, i czarne oko przechrzty z radości się uśmiechnęło, bo ciekawość każda, a szczególniej tego rodzaju bardzo ponętną dla niego. —

Jeszcze w nocy, nim Starościna pokończyła swoje modlitwy, nim Starosta, zajęty rozmaitemi rozkazami, przyszedł do sypialnej komnaty, wbiegła Marta, czarnobrewa dziewica, wierna służąca Maryi; u niej w ciemnem oku blask radości i łzy

http://rcin.org.pl

radości, a na licach bielutkich żarzy się rumieniec oledwie nie tak kraśny, jak czerwona życzka, wijąca się między warkoczem kruczych włosów.

— Pani! Maksym przyjechał.

Marya dłoń do dłoni jeszcze silniej przycisnęła. — O! Boże mój, jak to, O! Boże?... dzięki Tobie. — I wstała z klęczek i słuchała radośnego szczebiotania Marty; ta jej wyszczebiotała wszystko od deski do deski i nie zapomniała powiedzieć, że młody Namiestnik i Pan Stanisław Maksyma aż do zamkowej bramy odprowadzili, całowali go i ściskali jakby serdecznego brata, jakby równego sobie szlachcica.

Maryi lice przed chwilą blade, rozmilało się cieniem rumieńca, coraz żywszym, coraz śmielszym, i oczy zatroskane od łez zabłyskiwały jak odbryzgi rosy zbrylantowane słońcem; usta słodko się uśmiechały a czoło rozpogadzała radość.

— I gdzież on jest?

U Pana.

Marya bez zawołania męża nie śmiała pójść do jego komnaty i podziękować swojemu zbawcy; nie śmiała kazać zawołać go do siebie, a jednak serce jej przepełnione wdzięcznością, chciało, miało potrzebę wyłonić je, i powiedzieć choćby jedno słówko — dziękuję. — Cóż kładło zaporę chęciom Maryi? Może ta powaga bezgranicznego posłuszeństwa mężowi, co wstrzymuje od zrobienia jednego kroku bez jego woli; co mówi w ucho posłusznej żonie — gdyby było potrzeba, onby ciebie zawołał. — O! nie, to obawa, aby jej dobrej chęci, jej szczerego uczucia nie wzięto za inną chęć, za inne uczucie, do kogo innego bieżące. Surowa twarz Starosty w Kruto-Horbach, jego groźne a nawet opryskliwe obchodzenie się z Namiestnikiem, wśliznęły w duszę Maryi myśli, o którychby inaczej nigdy i nie myślała, obudziły uczucia drzemiące w błogim spokoju i w słodkiej niewiadomości. Ona niepokalana, niewinna, snuła w swojej głowie obawę o podejrzenie jej anielskiego serca, i po raz pierwszy lękała się męża, nie przez małżeńskie posłuszeństwo, ale przez inne uczucie.

Kiedy nadszedł Starosta, zapytała o Maksyma, ale na jego zimną i uciñkową odpowiedź:

— Zdrów, nic mu się niestało, i bez nich byłby powrócił. —

Maryi zabrakło słów na dalsze zapytania, na oświadczenie swojej chęci, iż chciałaby go widzieć. Całą noc oka nie zmrużyła, a przed niesennem okiem, jakby senne marzenia snuły się i ci wilcy z paszczami śmierć ziejącemi, i ta chwila okropna, w której już nie było ratunku ocalenia życia, i Maksym skaczący między wilków, wspaniały ludzką odwagą, wspanialszy nadludzkiem poświęceniem się. Nie śpiąc, nawet kilka razy jakby ze snu krzyknęła, ale skoro mąż zaczął rozbudzać się, milkła, oddech zciszała i myślą błąkała się po krainie marzenia.

http://rcin.org.pl

Z rana, jak tylko Starosta wstał z łoża, Marya prędko się ubrała, wzięła w ramiona malutkiego synka, wyszła do kobiecego pokoju i wysłała Martę po Maksyma.

Wszedł Maksym, pokraśniał i po swojemu nie śmiał hardo oczyma spojrzeć, nawet nieśmiało pokłonił się, nie tak jak zawsze; to uczucie człowieka, którego dusza więcéj chce i zrobić może, jak się umie chełpić ze zrobionego czynu. U kozaka przechwałka częściéj się objawi przed czynem, kiedy mówi — ja to zrobię — ale kiedy już się zrobiło, czyn więcéj mówi jak słowo, jak mina, i sam przed sobą ze skromności kraśnieje, że się tak gracko sprawił.

I Marya zarumieniła się uczuciem wdzięczności, ręce ku niemu wyciągnęła i synka mu na ręce podała.

— Dziękuję ci, Maksymie, i on ci dziękuje.

Maksym nim wziął dziecię na ręce, pocałował w rękę Panią z nieśmiałem poszanowaniem.

— Nie ma za co Pani; Bóg tak chciał, jemu dziękować.

I pieścił dziecinę, a dziecina rączętami z nim się bawiła, oczkami do niego uśmiechała.

Starosta jak paw napuszony służbie rozkazy dawał, żonie mówił przestrogi, jak ma wielkich Panów przyjmować; to podkadzenie dumie szlachcica pyszałka wybiło mu z głowy nie tylko wczorajsze niebezpieczeństwo i czyn Maksyma, ale nawet niemiłe wrażenie, jakie na nim dnia wczorajszego zrobiło grzeczne postępowanie Namiestnika względem jego żony, i to gonienie jego w ślad za niemi. Z początku na tę ostatnią wieść bardzo się zachmurzył; on szczerze chciał pochwalić Maksyma za jego śmiałość, a jednak nie tyle powiedział, ileby był powiedział, żeby Namiestnik nie był go odprowadził i uściskał. Kładł się spać z chmurną dumką w głowie, ale za przebudzeniem się wszystko to znikło z głowy, na ponętną myśl — Wielcy Panowie mojemi gośćmi — dla tego mamidła próżności, czegożby nie zapomniał szlachcic pyszałek, który pnie się, aby stanąć na równi z najwyższymi, a oprócz chęci niema najmniejszego zarodu w duszy, coby go tam wyniósł.

Chodził po komnatach, czuprynę na wsze strony zagładzał, ręce zacierał i podstrajał postawę, ruchy twarzy, rzuty oczów, na Pańską okazałość; jakby to tem udawaniem można było nabyć tego powierszchownego władztwa, co się snuje z samowoli duszy, bez wiedzy, bez myśli i bez woli człowieka. Bogactwa i sprzęty Atamańskich komnat, choć już przyszarzane, swoją staroświecczyzną w oczy mu wyrzucały — za małyś dla nas — a on jakby im na przedrzeźnianie, sam do siebie, ale w głos powtarzał — ja tu Pan, ja tu Pan.

Z Panem Rządcą Starosta miał długie pogadanie; przed

http://rcin.org.pl

nim jednym nie wahał się powierzyć swoje podziwienia: co znaczą odwiedziny Pana Jenerała królewskich gwardyi; o nich on dopiero się dowiedział po swojem przybyciu do Koszowatéj. Rządca może i wiedział co one znaczą, ale swoją wiedzę przysłonił przyznaniem się do zupełnego niedomyślania się; a w końcu ot tak sobie, żeby zło zrobić Staroście, napomknął, że Pan Jenerał wszystkie domy odwiedza, gdzie są ładne i grzeczne gospodynie. Kogo innego byłby ofuknął Starosta, ale od Rządcy przyjął to za przyjacielską radę. Poszedł do żony i krótko powiedziawszy, iż nie ma tego doświadczenia, ani nawyknienia, aby przyjmować wielkich Panów, mogłaby popełnić jaki błąd; a zatem lepiéj, żeby została w swojéj komnacie, niby chora; wczorajszy wypadek doskonale posłużyć może za przyczynę choroby.

Marya i słówkiem jednem nie sprzeciwiła się woli męża; ale zabolało jéj serce; ona niewiasta, a takowe powiedzenie niemiłe każdéj niewieście; po wyjściu męża płakała.

Rządca wiedział o skutku swoich słów, ale on to jedynie robił, żeby usunąwszy przytomność niewiasty, zostawił więcéj wolności naradom, więcéj czasu i sposobności do gadania i wygadania się. Dowiedziawszy się od którejś z pokojówek, nie od Marty, bo ta wierną była Pani i sercem i milczeniem, że Starościna płakała; ucieszył się, bo w miejscu jednego zła, zrobił podwójne.

W Koszowackim zamku była wielka paranina, póki nie zajechał Pan Wojewodzic z Panem Stolnikiem Kijowskim, i z Panem Złotnickim, podówczas Pod-Dowódzcą Kamienieckiego zamku, i z hucznąą dwornią; choć ze trzy części tego zostało w Humaniu, a tu tylko przyjechał na jeden dzień, jednak było ze czterdziestu ludzi, dworzan, hajduków, kucharzy, woźniców, a zbrojnych kozaków na koniach całkowita sotnia, z dziesiątek sań, jak w jakiéj karawanie: trzeba było to wszystko i pomieścić i nakarmić.

Pan Wojewodzic był w kwiecie wieku, ale smutny, posępny, jak gdyby smutek ryczałtem nasypał na jego życie czarnego kwiecia żałoby. Szczęsny z imienia a nieszczęsny z życia, nosił w łonie zakrwawione serce i myślał, że sławą, potęgą i wielkością, obmyje krew z tych ran, że znaczeniem, kto wie, może i koroną je zagoi; i dla tego powolnie, bez wstrętu, rzucił się w wir publicznego życia, tam dokąd go dumny ojciec popychał, gdzie go ciągnęli ludzie frymarki i niewiary, tam do czego go podbechtywali podli zausznicy. Miano zbrodni już kołowało nad jego głową, a on niewiedział, że coś podobnego kiedyś na niego spaść może. On w dobréj wierze myślał: służę Ojczyźnie, bronię przywilejów i wolności narodu. I jam Potocki z ukraińskiéj rodziny, ona nigdy a nigdy ani krwi, ani skarbów nie żałowała dla Polski, idę śladem moich naddziadów; i ani dumka

http://rcin.org.pl

mu na myśl przychodziła, że może kiedyś później wnukowie jego rodu radziby go się zaprzeć.

Stolnik był to ów pochlebca pańskiego dworu, który tak skacze, jak mu Pan zagra, ale miał jeden wielki przymiot, że w oczy Panu się łasił a po za oczy go chwalił, nie zaprzedawał, a w potrzebie bronił i słowem i kordem. Pan Złotnicki zaś jak zagrał Panu, tak on musiał skakać, umiał zręcznemi słówkami rozdmuchać zapał w pańskiem sercu, ale umiał go, kiedy tego była konieczność, wyziębić do szczętu; umiał Pana utrzymać w tem ciągłem pasowaniu się między chcę a nie chcę, złe zwalić na Pana, dobre przyjąć na siebie, zgoła wszystko nakręcać na swoją korzyść; swoich tumanić, z wrogiem zupełnie nie zrywać, obcym bogom się zasługiwać, a w ostateczności i Pana i swoich sprzedać, jak tylko to będzie korzystnem.

Jeszcze się Wojewodzic nie rozgościł, kiedy nadjechał Pan Branicki z Pułkownikiem Baniewskim i Rotmistrzem Janikowskim; bez dworzan, bez służby, jednemi saniami z woźnicą i z kozakiem przydwornym.

Pan Branicki pięknej twarzy, hardego wejrzenia, rosły i okazałéj postawy, w swojém obliczu nosił piętno człowieka, co chce znaczenia i władzy, a dostawszy, możeby i potrafił je utrzymać; on nie ślepy był na zło i na dobro, ale niewzdragał się bynajmniéj największéj zbrodni, najczarniejszego występku, byle swego dopiąć; głowę swoją, majątek, nawet sławę gotów na szwank wystawić; ale to nie dla Ojczyzny, tylko dla siebie. Przystępny, hulaszczy, otwarty nawet, wszystkich potrafił omamić, ale siebie omamić nie łatwo dawał; za swoich stronników miał tych, którzy go słuchali; rad ani przestróg niczyich nie potrzebował. Jeśli przed obcem mocarstwem się płaszczył, to dla tego, aby pod jego skrzydłem mógł swoje robić. Ani jednej chwilki nie wahałby się ojczyste powietrze zakłębić dymem pożarów, strugami krwi zlać ziemię ojczystą, byle nią władać i korony się dochrapać; ale na nieszczęście trunek i jadło i bezprawia życia równoważyły w nim dumę i wolę; marnotrawstwo wiodło do przedajności, a tak w miejscu stanąć na najwyższym szczeblu sławy i wielkości, snadno mógł wpaść w najnikczemniejszy kał zbrodni. Obiedwie te rzeczy stały mu przed oczyma; on o tem wiedział, ale z namysłu dobrowolnie puszczał wodze swoim żądzom; nie żałował przeszłości, a przyszłości wyglądał.

Swoich przybocznych nie używał do rady; jak mu czasami kto z ludzi nie przypadł do smaku, Baniewskiemu kazał policzki obić, Janikowskiemu zastrzelić albo zarąbać, chociażby jedno i drugie sam potrafił zrobić, gdyby nie można było inaczéj; a że miał ich, wołał swoje ręce i swoje życie na insze potrzeby zachować.

I prawdę powiedział Pan Rządca, mówiąc, że ci wielcy Pa-

http://rcin.org.pl

nowie mają Starostę za dudka, a odwiedziny te jego spotkały dla tego, że oni chcieli widzieć się z sobą; może i drugie przepowiedział, że oni zostaną dudkami.

Ledwie Pan Branicki powitał gospodarza uprzejmie, po szlachecku, jak to było w jego obyczaju, i po bratersku przywitał się z Panem Wojewodzicem; natychmiast dano do śniadania, a nim jeszcze skończono jeść, Wojewodzic z Jenerałem zabrali się do bawialnej komnaty na pomówienie, a Pan Złotnicki prosił gospodarza, aby ich oprowadził po starym zamku; w czasie tych obchodzin nie szczędził grzeczności i wypytywań o sąsiedniej szlachcie.

Po długich trzech godzinach, właśnie kiedy niespodziewani wcale Rotmistrz z Podkomorzym nadjechali w gościnę do Koszowatej, dwaj wielcy Panowie wyszli z perehoworu. Staroście w niesmak ci nowi goście, jednak przedstawiał ich Wojewodzicowi, a potem Jenerałowi i pocieszył się dobrem ich przyjęciem, myśląc: oni to w sąsiedztwie rozgłoszą, jak wielcy panowie przyjmują ludzi przezemnie przedstawianych.

Wojewodzic był nietylko jak zawsze smutny, ale trochę nawet zmieszany; szukał Złotnickiego oczyma, a kiedy ten to spostrzegłszy, odszedł na stronę, zbliżył się do niego i rzekł z cicha:

— On sam chce korony, co tu robić?

— Czy chce, czy nie chce, to niewiem, czy jej dostanie; możnaby szlachtę skonfederować, Starostę użyć i tych Panów.

Wojewodzic skinął głową na znak przyzwolenia.

Branicki uśmiechał się tylko, a patrząc w okno, przy którem stał Baniewski, szepnął:

— Widzisz Waść, chce się mu korony. Ojciec za stary, syn za dudek.

— Ja go nauczę, jak Pan Jenerał każe.

— Poczekaj Waść — i sam dla siebie domówił — Szlachta na mój głos nic nie zrobi, ale są nożyki u chłopów, a gdzieś znajdziemy pieniądze.

Tak to dwóch ludzi dumnych, każdy z innego powodu i dla innego celu, bez żadnego prawa i zasług swoich rodów, spierali się o koronę będącą jeszcze na królewskiéj głowie Króla Polaka; w miejscu popierać rodzimą władzę, ku schyłkowi ją chylili rozdmuchiwaniem bezładu, i nie pomnieli, że naród cały w nieszczęścia ciągną a Ojczyznę do zguby prowadzą.

Przed obiadem jeszcze Pan Jenerał zapytał o Panią Starościnę, i tu dopiero zaczęły się opowiadania o wczorajszym wypadku. Starosta dziękował Wojewodzicowi.

— Jaśnie Wielmożnemu Panu Wojewodzie winniśmy życie.

— A to dla czego Mosanie Starosto?

— Maksym, to dar od Jaśnie Wielmożnego Pana Wojewody.

— Cieszę się tem mocno, ale chciałbym go widzieć.

http://rcin.org.pl

Branicki uśmiechnął się pogardliwie z pochlebstwa Starosty i z Wojewodzica przyjmującego to pochlebstwo jakby prawdę.

Kiedy wszedł Maksym i hardym pokłonem wszystkich powitał, i hardziejszym wzrokiem spojrzał na wszystkich, Wojewodzic dobył sakiewkę pełną złota.

— Dobrześ się spisał chłopcze, na, weź, to dla ciebie — i całą sakiewkę mu oddał.

— Dziękuję ojcze, to będzie dla mojego starego.

Jenerał okiem znawcy przejrzał od stóp do głów Maksyma i zbliżył się do Starosty.

— Waść mnie odstąp tego gracza, dam ci dziesięciu kozaków do wyboru z całéj Biało-Cerkiewszczyzny, i paręset dukatów dodatku.

Maxym pokraśniał ale nie wstydem, bo tak zaiskrzył oczyma, jak wczorajsi wilcy, ale Starosta prędko podchwycił.

— Daruje Jaśnie Wielmożny Jenerał, ja mu wolność chcę nadać w nagrodę jego czynu.

— Dobrze robisz Mosanie Starosto — odezwał się Wojewodzic, a przywoławszy Starostę do siebie, dodał — Z niedopłaconych tysiąca czerwonych złotych za Skibińce z nami kwita. Kontrakt już podpisany, Pan Stolnik wręczy Waszmość Panu.

Branicki widział grę twarzy kozaka i wcale go ona nie zagniewała: śmiały lubi śmiałego, wąs poprawił.

— Zróbmy go szlachcicem, wszak nas tu znajdzie się dwunastu dobrej szlachty do podpisania szlacheckiego świadectwa dosyć, a ten chwat tego wart.

Wyprostował się Maxym — Za wolność dziękuję, szlachcicem być nie chcę, a chcę służyć do śmierci Panu Staroście — I na te ostatnie słowa spuścił oczy ku posadzce.

Po kilku jeszcze pochwałach, które przyjmował bez tej hardej i panoszącej się miny kozaka, pokłonił się i wyszedł, a Wojewodzic wtenczas powiedział:

— Mosanie Starosto, przywiązałeś go do siebie, będziesz miał wiernego sługę, z serca ci tego winszuję.

— A ja zazdroszczę Waści; gdyby on był mój, zrobiłbym go Watażką moich kozaków, bo dalibógże coś on więcéj na Pana jak na chama wygląda, i możeby nie źle panował w takim Atamańskim zamku jak tu. — Powiódł wzrokiem z Wojewodzica na Starostę.

Wojewodzic zbladł, widno ze sromu za sprawę ojca, a Starosta poczerwieniał i odwrócił oczy, ze sromu za własną sprawę. Złotnicki zręcznie zmienił tę rozmowę widocznie skierowaną przez Jenerała do gospodarza domu i jego przemożnego gościa.

Przy obiedzie panowały najlepsza zgoda i najpozorniejsza grzeczność; ani śladu, żeby miało być jakie nieporozumienie

http://rcin.org.pl

się, albo wspólubieganie się o jedną rzecz między Panem Potockim a Panem Branickim. Wielcy Panowie arcy-doskonale to umieją wadzić się między sobą, a przy ludziach udawać najszczerszą zgodę. Oni, dopóki nie wystąpią przeciw sobie jawnie na harc, chcą, żeby ludzie, co ich z wierzchu tylko widzą, mówili: trzymają się z sobą za ręce, jak serdeczni bracia. U stołu było wesoło, jadła huk i to dobrego, wina starego podostatek; gadano o polowaniu, o rozmaitych fatałaszkach, a o sprawach ojczystych bardzo mało. Jenerał mało nie sześć razy wszczynał rozmowę o gospodyni domu i zapowiadał, iż cieszy się nadzieją, że nie wyjedzie z Koszowatej, niezobaczywszy Starościny. Na to wszystko Starosta odpowiadał grzecznie, uniżenie, ale zawsze jedno: że mocno cierpi, zapewnie choroba kilka dni potrwa, i dla tego posłał do Kruto-Horbów dać znać Cześnikowstwu; spodziewa się jednak, iż Jenerał raczy zabawić z parę dni w jego domku. Na grzeczność Jenerał grzecznie odrzekł i obiecał, że za kilka dni przyjedzie. Rotmistrz z Podkomorzym mocno się radowali ze swojego przyjazdu do Koszowatéj, bo to nie lada rzecz dla szlachcica pochwalić się przed żoną i przed dziećmi, albo przed przyjaciółmi: byłem na obiedzie z Panem Potockim i z Panem Branickim, i dalipan tak z nimi gadałem jak z wami, i o tychże samych rzeczach. Ale razem dziwowali się Cześnikowi, skąd mu wlazła do głowy taka myśl, żeby tacy możni, zacni i grzeczni Panowie mogli szlachcica podmawiać do złéj sprawy. Oni klejnoty narodu, podpory władzy! I w obec dwóch wielkich Panów przecie coś robiących, żadnemu szlachcicowi nie przyszła na myśl dumka: że większa część tych panków, to trutnie, co miód narodu spożywają, a niechcą nań pracować; co zazdroszczą władzy, ssą jej dobrodziejstwa, a zamiast ją podpierać, podkopują jej siłę, prawie zawsze skrycie, rzadko jawnie. Takby może pomyślał szlachcic bywałec, nie dzisiejszy człowiek; miałby za sobą prawdę i wielką prawdę.

Po obiedzie jak przy obiedzie gadano o rozmaitych rzeczach; żeby ugościć Pana Jenerała, często przynoszono wino i kielichy i spijano różne zdrowie, a nawet Wojewodzic, Jenerał, Stolnik i Starosta zasiedli do kwindecza ulubionej gry Pana Branickiego. Pan Złotnicki temczasem jakieś konszachty miał z bracią szlachtą, każdego z osobna brał na stronę i z każdym coś szeptał.

Dopiero w parę godzin po wieczerzy porozchodzili się wszyscy; po odejściu Panów, szlachta na rozchodnem, na dobranoc wypiła jeszcze kilkanaście butelek wina, i poszła spać pokotem na sianie przykrytem kobiercami; bo oprócz Panów, dla kilku tylko przedniejszych znaczeniem i starszych wiekiem posłano osobno. Przy łóżku Pana Jenerała postawiono dwa kapłony pieczone, bochenek chleba i cztery butelki starego

http://rcin.org.pl

węgrzyna; to jego zwyczajna przekąska, kiedy się w nocy przebudzi, a przebudzał się każdej nocy.

Kiedy w zamku już wszyscy spali, albo się spać pokładli; Pan Rządca jeszcze nie spał. Już wyszli od niego Jurek i Moszko: musieli mu dużo nadonosić, bo każdego z nich poczęstował wiszniakiem. Sam jeden siedział koło stołu i pisał, i wiszniak popijał; zatarł ręce.

— Dobrze, dwóch współubiegaczy do korony, a trzeci Król w koronie na tronie siedzi, dla niej gratka, woda mąci się coraz bardziej, niech ryby łapie, kiedy potrafi; albo niech wszystkich wydławi, to mi jedno. I ten dudek wmiesza się do nie swoich rzeczy — dobrze — łyknął wiszniaku — a ona, zobaczemy — Uśmiechnął się, złożył napisany list w kopertę, zapieczętował i podpisał; potem otworzył boczne drzwi od ciemnego alkierza, coś tam potrącał, a ztamtąd głos się odezwał, ale moskiewskim narzeczem:

— Słucham Wasza Wielmożność.

— Cicho, oto masz list.

— Do jego Jasności Jenerała Kreczetnikowa?

— Cicho, chodź za mną — Zapalił latarnkę i wyszedł, a za nim Moskal przybrany w chłopską świtkę; niebawem powrócił, zacierając ręce — Ja swoje zrobiłem, teraz niech oni swoje robią, teraz myślmy o sobie; wplączę go koniecznie, a ona, może i z nią potrafiemy, wszak mówią, że chcącemu nie ma nic niepodobnego. — Nalewał wiszniak w szklankę i jedną po drugiej wychylał; jak mu pijaństwo zamroczyło w głowie, nierozbierając się, zwalił się na łóżko, bełkotał jakieś niezrozumiałe złorzeczenia i pogróżki, o po chwili zasnął, silnie chrapiąc.

http://rcin.org.pl

IV.

Oj! noczuje myj myłeńki w stepu pry dołyni.
Oj! prywiazan Konyczeńka k' czerwonoj kołyni.

Stara Piosnka Ukrainy.

Z nowym rokiem zawitały zmiany do Koszowatej; Starosta gdzieś w dalekie okolice wysłał Pana Rządcę, od czterech tygodni Koszowacka gromada trochę wolniéj oddychała; nie jeden chłop dziwną dumkę zadumał. — Może Bóg nas pomiłował i wymłokę djabli wzięli. Jurek przechrzciak bez swojego mistrza jakoś zbił się z pantałyku, sam choć wiele złego zrobićby chciał, ale nie na wiele się odważyć umie; a Rebe Moszko zapisuje a zapisuje w rejestrach borgi, exekutnych wyrobić nie może, bo Pan Starosta zawsze odkłada od jutra do jutra; zajęty ważniejszemi sprawami, o tak małej fatałaszce gadać nie chce. Za przyjazdem Pan Rządca to załatwi.

O! jakieś ważne sprawy zaprzątnęły Pana Starostę; jak gdyby kulig zapustny już go omoroczył, tak lata po sąsiedztwie, konie zajeżdża, sanki łamie; a co większa, młodej żonie pozwala bawić w Kruto-Horbach, po pięć, sześć dni, ciągle, chociaż wie, że Pan Niemirycz częstym gościem u Państwa Cześnikostwa; czasami i u Pana Starosty się zgromadzają, ale to sami mężczyźni, jak gdyby on był bezżennym; wiele piją, wiele jedzą, ale więcej jeszcze radzą, choć najczęściej nic nie uradzą.

Było to ku końcowi stycznia roku pańskiego tysiąc siedmset sześćdziesiąt ósmego. Państwo Starostwo oboje tylko co powrócili z Kruto-Horbów. Już słońce zniżyło się ku zachodowi, krwawe było jego oblicze, i promienie krwią barwiły bieliznę śniegową; mróz się krzepił, aż gonty na dachu trzaskały, i śnieg się mocował a tak się iskrzył, jak gdyby za lada chwilę iskrami miał posypać. Starosta ledwie z sanek wylazł i wilczurę zrzucił, natychmiast poszedł pisać do swojej kancelaryi; a Marya nie widząc już Pana przed sobą, i myśl na dumanie puściła i śliczną twarz obrzuciła dumaniem; weszła do pokoju synka i tam

http://rcin.org.pl

siadła przy kołysce; dziecina śpi, muszą się mu snuć we śnie aniołka marzenia, bo usteczkami uśmiecha się jak aniołek, i niespowite rączęta wyciąga: czy przeczuło, że mama koło niego tak blisko, czy chce lecieć daleko, tam do Boga Ojca, między aniołki? Marya popatrzyła na synka, matczynemi ustami popieściła się z jego czołem, i lżej go muskała jak powiew wietrzyka, żeby ze snu anielskiego nie obudzić aniołka; a potem dumała.

Już słońce zaszło, mrok się nasunął, gwałtem szarzył biel śniegową, obłoki dobrze zaszarzały; mamka dzieciny weszła, czujnem uchem posłuchała, dziecina śpi, nie zważała Pani; i wyszła do kobiecego pokoju będącego tuż podle, i drzwi nie przymknęła.

Tam w piecu bezustannie ogień podsilany kułami słomy, buchnie, żarzy się i popieli, i znowu toż samo rozpoczyna i tak samo się kończy. Mała dziewczynka na kuli słomy siedzi i kociubą żywi ten ogień wieczora; na dwóch ławkach na przeciw siebie stojących siedziało kilka dziewcząt i przędło. Od czasu do czasu słów kilka, cicha śpiewka, albo śmiechy niegłośne plątały się między błogość sielskiego wieczora; i w słowach, i w uśmiechu i w śpiewce była tęsknota Ukraińskiéj dumy, co odgania tę pustą wesołość, znamie pustych serc. Czarnobrewa Marta, polubienica Pani, do tych zabaw się nie mieszała, siadła na stronie, pochyliła czoło i dłonią je podparła, jakby się bała, żeby ciężka myśl smutku nie przeważyła głowy ku ziemi; jakby bała się, żeba grą oka, grą lica, nie dać ciekawemu oku ludzi pochwycić tajni swojej duszy. Jednak wszystkie dziewczęta o niej choć przy niej mówiły, i tak mówiły, że gdyby jej ucho albo chciało, albo mogło słuchać, nie skarżyłaby się na ciche szepty.

— Biedna Marta.

— Czemu biedna?

— Kłopocze się kogo wybrać, czy Pana Pisarza, czy Kozaczeńka.

— Jeszcze głowa nikogo nie bolała od tego kłopotu.

— A to dla czego?

— Maksym harny chłopiec, gdzie powróć to kozak; a Pan Pisarz i paskudny i przechrzta — ciszej to wymówiła.

— Jawdocho nie gadaj tak, on niezabawem będzie Podstarościm, a ty pójdziesz za mąż, przypomni on tobie na pańszczyźnie, alba na kolei.

— Niech się diabeł z nim trzyma, niech i dusze wybije z ciała, a ja powiem, że wolałabym Maksyma od niego.

— I Marta go woli, ale on coś bardzo spaniał od niejakiegoś czasu.

— On taki zawsze, jak stanie przed Panem albo przed jakim innym; to zdaje się, że on Pan; tylko Pani rad słucha, i malut-

http://rcin.org.pl

kiego Panicza od czasu tych wilków, to ustawicznie by pieścił.

W tem dziecina zakwiliła, matka głosem poczęła koić płacz, mamka z miejsca się zerwała, a dziewczęta ucichły. Marta ani na chwilkę nie przerwała dumania, głowy nie podniosła, okiem nie spojrzała na ogień, do dłoni się tuliła, może tam chce wyczytać swój los, jak wróżka cyganka, a może ciepłem dłoni chce wysuszyć łzę z oka.

W parę godzin później Pan Starosta zamknął się u siebie z Panem Rządcą, ledwie co przybyłym z drogi; a Pani Starościna po wieczerzy potęskniwszy trochę za rodzicami, odmówiwszy modlitwy wieczorne, pieszczotami osypawszy dziecinę, chciała w łoże się położyć na dalszą tęsknotę; Marta przyszła ją rozbierać.

Pani spojrzała na wierną służebnicę i westchnęła; Marta popatrzyła na Panią i łza jej w oku zabłysła; milcząc obiedwie pożałowały siebie... Po chwilce tego milczenia, Starościna pogładziła Martę po twarzy.

— Moja Marto, co ci jest takiego?... powiedz mi wszystko.

Marta padła do nóg.

— Pani moja, zlituj się nademną.

— Co ci jest takiego? wstań — i podniosła ja ręką.

— Ja biedna, nieszczęśliwa, ten Jurek chce do mnie przysyłać w swaty.

— No i cóż z tego, jak ty nie zechcesz, to on ciebie nie weźmie.

— On będzie się mścił nad rodzicami, on wyprosi u Pana, że Pan każe....

— Nie bój się Marto, ja będę prosiła Pana.

W głosie jej było to lękliwe brzmienie, co na raz jawi i niepewność, czy wymodli swoją prośbę, i przedczasową trwogę przystąpienia do tej prośby.

— Dziękuję Pani; jak mnie Pani nie poratuje, to już mnie młodej choć zaraz umierać; nie wiem cobym wolała, jak iść za mąż za niego.

— To ty tak go nie kochasz?

— Więcej jak samą śmierć.

— Może ty za kogo innego chciałabyś pójść za mąż?

— Może, ale kiedy może mnie nie chcą. — Westchnęła i umilkła. —

Starościna o nic więcej niepytała, a Marta choć chciała mówić, nic nie rzekła; kiedy już rozebrała Panią, jeszcze stała przy łożu; Starościna spojrzała na nią okiem współczucia.

— Bądź spokojną Marta; ja poproszę Pana; ty jeszcze taka młoda. — I czołem cisnęła się do poduszki. Odchodzącej

http://rcin.org.pl

Marcie zdawało się widzieć w oku Pani łzę pomiłowania, a w ustach tęskne błąkanie się słów pociechy, którym snadniej westchnieniem się wyłonić jak zaszemrać głosem. Cicho było w komnacie Starościny, ona bez westchnień dumała, jakby się przyuczała do milczenia śmierci.

Pan Starosta jeszcze rozmawiał z rządcą, a w przedpokoju oparty o ścianę stał kozak Maksym; od godziny zawołał go rządca do Pana i kazał czekać. Kukułka ściennego zegaru dwunastokrotnem kukaniem odliczyła północ, dokoła zamku wiatr zawył, zatargał okienicami, jak gdyby diabli całą czeredą na harc pomykali. Maksymowi sen do siwego oka się niewciskał, nie ziewał, śniada twarz niepociągała się nudą ani utrudzeniem; czasem poprawił czarną czuprynę, błysnął wzrokiem i naponoszył się postawą; czasem zgrzytnął zębem i machnął ręką, widno po kozaczemu, że swoją dumką się bawił.

Starosta skończył pisanie listów, z kryjówek dębowego kantorka wydobywał jakieś papiery i wszystko to razem w jedną paczkę składał. Na jego lackiéj twarzy duma się rozgościła i z nią mu było i dobrze i wesoło nawet. Rządca siedząc pod piecem, udawał, że drzemie, a z pod jasnej rzęsy z ukradka okiem jak kot pozierał i uśmiech nikczemnéj niewiary twarz wywłoki krzywił. Pomrukiwał niby przez sen, myślami jak szatan matał, i jak szatan uśmiechał się do nadziei, że może narobić licha ludziom a sobie dogodzić.

Już zapieczętował paczkę, obrócił się — Waćpan śpisz.

— Zasnąłem trochę, Wielmożny Panie, bo też jestem mocno utrudzonym.

— Prawda, prawda żeś nielada podróż odbył, i dobrześ wszystko Waćpan zrobił, panów szlachtę Kijowskich wyśmienicie przygotowałeś; ja o tem piszę do starego Pana Wojewody, on niezwykł zapominać zrobionej sobie posługi — Skandyba powstał i za kolana ułapił Starostę.

— Dziękuję Wielmożnemu Panu; ja to wszystko robiłem przez moje przywiązanie dla Wielmożnego Pana, mego najosobliwszego Dobrodzieja.

— Dobrze i ja niezapomnę; ale słuchaj no Waćpan, czy nie zanadto to bezpiecznie tyle ważnych papierów posyłać przez jednego człowieka; ja tu ich nagromadziłem; a jakby wpadły w ręce pana Branickiego, to dalibóg, wszystko w łeb wziąć może. Prawda, że ten Maksym to chwat.

— Niech Wielmożny Pan będzie spokojny; już to jak na niego spuścić się nie można, to i na nikogo w świecie; z resztą kilku ludzi posyłając, można prędzej zwrócić baczność wojsk pana Branickiego.

— Rad jestem, że Waćpan straciłeś złe uprzedzenie do tego Maksyma, to tęgi chłopiec.

http://rcin.org.pl

— Od chwili, jak ocalił życie Wielmożnym Państwu, któżby do niego śmiał żywić jakąś niechęć; my wszyscy wierni słudzy radzibyśmy mu okazać naszą wdzięczność. — I te słowa wymawiał, trzymając oczy spuszczone ku podłodze, zaciskając zęby.

Starosta otworzył drzwi i zawołał — Maksym!

I Maksym przed nim stanął, jak Watażka przed Atamanem, nie jak przed panem sługa.

— Oto masz papiery — wybierz najlepszego konia ze stajni i jeszcze przed świtem ruszaj do Humania; w ręce oddać samemu Panu Wojewodzie; weź z sobą pistolety i szablę; w tych papierach więcej jak mój majątek, moja głowa, moja żona i dziecko, tam wszystko moje; lepiej spalić, jak żeby komu miały się dostać. Rozumiesz.

— Rozumiem... Bóg da... śpij spokojnie ojcze.

Dobył garść talarów — To na drogę.

— Dobrze. Sława Bogu. Pokłonił się, czupurnie się zwrócił, i wyszedł. Starosta zamuskał wąs, a Skandyba spójrzał za nim wzrokiem psa, co potajkiem chwyta.

W stajni przy świetle latarni Maksym siodłał dziarskiego rumaka, rodzimego bieguna stepu, podciągał popręgi, a koń brzuch nadymał, zębami za żłób chwytał, i kopytem zbitą ziemię kołupał; skarogniady jak przepalona smoła, z czoła do chrapy bieli się strzałka, i lewa noga zadnia po pęcinę biała; łaskotliwy, zły, sierdzisty; ale pod jeźdzcem mełki i czupurny i zwał się chwat. Na nim kozak o zakład mógł wiatry po stepie przeganiać, z niego jak na żart po czarnej stepie każdego zająca nahajką można było zabić; znano go na całej okolicy od Rosi aż do Bohu. Maksym nie karcił go, ale pieścił jak kochankę; zdjął uzdę, odwrócił w klatce i począł kiełznać.

Inne konie chrupoczą owies albo śpią, i stajenni kozacy zagrzebawszy się w siano śpią takoż; żywej duszy nie masz, któraby życzyła dobrej drogi kozakowi. Już Maksym kaletę z papierami do kożucha przycisnął, spiął burkę, czapkę poprawił i przeżegnał się krzyżem świętym, kiedy nieprzymkniętemi drzwiami wsunęła się jakaś postawa w bieli i zamajaczała oczom kozaka. Maksym żyjącego stworzenia się nie lękał, ale serce jego drżało przed widmem, przed upiorem; zemknął się do konia; i imie Boże na pomoc wezwał.

To nie widmo, nie martwica, ale dziewcze zakochane, czarnobrewa Marta.

— Maksymie.

— To ty Marto?

— Cyt — i zbliżyła się do niego i z cicha mu szeptała, jak gdyby bała, się żeby konie nie usłyszały tajemnicy — Słuchaj Maksymie, nie jedź ty aż świtem, może nieszczęście ciebie spotkać.

http://rcin.org.pl

— A to czemu?

— Ot ja ci po prawdzie powiem, ten Jurko mówił: Maksyma djabli wezmą.

— Śmiej się z tego, moja dziewczyno, jeszcze się taki przechrzciak nie urodził, żeby mnie co mógł zrobić; ale dla czegoż to on tak gadał?

Marta zarumieniła się, spuściła oczy ku ziemi, i po chwili dopiero mogła słówka z ust wydobyć.

— Mnie się śniło, że pies wściekły ciebie kąsał, i spać nie mogłam, i wyszłam do sieni i widziałam, jakeś szedł do stajni.

— Bóg ci zapłać, krasna dziewczyno, nie bój się, Bóg z nami — I nie pocałował dziewczynę, tylko konia wyprowadził; drzwi przymknął, zarzucił cugle i nogę do strzemienia włożył.

— Bywaj mi zdrowa dziewczyno, szczęście tobie, gościńca z drogi przywiozę.

— Bywaj zdrów, ja niechcę gościńca, tylko ty powracaj — Cichym głosem te słowa domawiała, ale już kozak był na koniu, a skarogniady w stepie basował i zrywał się do poskoku; Maksym żegnał się krzyżem świętym trzykroć razy, i dziewczyna trzykroć razy żegnała krzyżem świętym nie siebie, tylko odjeżdżającego; widziała, jak straż bramę mu otworzyła, i za nim przymknęła podwoje; a ona jeszcze przez dębowe dyle chciała przepatrzeć wzrokiem; modliła się za Maksymem, i przed oczyma jéj duszy majaczało widmo kozaka.

Wiatr poświstuje, ale śniegiem niemiecie; pełno gwiazdek złotem iskrzy się na niebiosach; koń rzeźwo, ochoczo kroczy; kozak w myśli dumki do dumek dorzuca, a okiem na daleko wodzi, aż ćmi się w oku od bieli, takie tam śniegowe obszary, a wszystkie biegną ku lasowi, a las zdaje się od nich uciekać, i obłędem mami kozaczy i koński wzrok.

Długo, długo tak było, nim wjechał w las; gwiazdy jedne po drugich poczęły przygaszać się, konary dębowe jakby na podrzeźnianie lekkim ruchem wiatr odganiały i na przechwałkę szemrały ponuro. Maksym zanucił sobie wojenną dumkę o Dunaju, i potęsknił myślą, że on tam nigdy może nie będzie, a czarnobrewa dziewczyna ni razu mu w dumce się nie przesunęła; przypomniał sobie te wilki w Krutohorbskim lesie, i zastrachanem uchem wilczego powyku nie wysłuchiwał, tylko pomodlił się za krasną panię, za malutkiego panicza i wciąż o nich dumał.

Na dąbrowie, na dwóch wzgórzach dwie karczemki naprzeciw siebie stały, a między niemi jar głęboki; jedna należy do Koszowatej, druga do sioła Łuki; jak dwie strażnicze palanki patrzały na pograniczne kopce, ciągnące się het, het wzdłuż jaru i w lewo, i w prawo; z obu karczem światełko wygląda, żydzi do boruchów jeszcze się zbudzić nie musieli, i doświtny podróżny nie zajechał na siwuchę. Kozacze oko sokole na

http://rcin.org.pl

daleko widzi i na wsze strony zyrka; kozacze ucho czaple lada co to posłyszy; ale kozacze serce orle od lada czego nie zadrży, ani mocniej nie zakołace. Maksym zasłyszał zaszerkotanie śniegu, i zajrzał cień czy ludzki, czy zwierza, jak się duchem wsunął do sieni karczemnej; stanął, posłuchał; cicho, dokoła obrzucił wzrokiem; nic nie widać, może to djabeł do żyda w gościnę melknął; przeżegnał się krzyżem świętym; może to złodziej lasu do brata żyda wskoczył. Maksym zaklął żydowski ród w trzysta djabłów i jechał dalej.

Nie zimno kozakowi, i wódki się nie chce; jego grzeje kozacza krew i poi kozacza dumka; daleka droga przed nim, a czas niedaleki, po karczmach niema co wstępować. Koń zachrapał, żuchnął się i w miejscu jak koza zatupotał, strybnął, jakby chciał z kopyta w cźwał poskoczyć; ale kozak cuglem skarcił i już nahajkę dobywał, skarogniady nasrożył się, i jak gdyby stąpał po gorącym żarze, tak podrywając zbierał nogami, ale stępą mijał karczemkę i zsuwał się w las. Maksym poprawił się w siodle — No już tu musieli albo wilcy, albo djabli pałamerować — Spojrzał na jar, tam gęsto szarzeją oczerety i łozy; aż tu zagwizdało, zaszumiało jak gdyby burza niebieska miała się zrywać; obejrzał się, z karczmy hurma jeźdźców się wysypała, i z po za łóz, i z góry od Łukskiej karczmy jeźdzce w poskokach do niego sadzą.

Maksym poznał, że niema rady, migiem pod burką z kalety wyjął papiery i wsunął je za chołosznie, nie wziął się ani do szabli, ani do pistoletu, tylko powstrzymywał rwącego się konia, i czapkę poprawił.

Obskoczyli go jeźdzce do koła.

— Stój kozacze, ty z Koszowatej.

— Z Koszowatéj, panowie bracia. — Po burkach, po czapkach poznał Maksym, że to nie djabli, ale kozacy jakiegoś panka.

— Ty z pismem jedziesz od Pana Starosty? oddaj pismo.

— Ludzie dobrzy, co wam takiego? ja pisma nie mam; ze słowem jadę od Pana Starosty do Pana Sędziego prosić jutro rano na polowanie.

— Łżesz, panie swacie.

— Niech mnie djabeł weźmie, że prawdę mówię, pojedziecie do Koszowatéj taj zobaczycie; Ot i godziny nie ma, jak Panu dali znać, że wilcy zjedli cielicę u Ostapa Sołopczuka; Pan Starosta kazał: dmuchaj do Pana Sędziego, żeby jutro z chartami przyjeżdżał, a damy łupnia wilkom; a kiedy nie wierzycie, to szukajcie pisma — i burkę odwinął.

— Jedź z nami do karczmy — i jechali pod górę, a patrzyli na twarz, na ręce Maksyma; on spokojnie poglądał, jakby

http://rcin.org.pl

z panami bracią na wódkę jechał, konia podbierał w kupę i nahajką się czwanił.

Dwóch starych jeźdzców, widać Watażków, szepnęli sobie coś z cicha i podjechali do Maksyma.

— Chłopcze, my tobie złego robić nie chcemy, powiedz prawdę, czy żaden inny kozak oprócz ciebie ani wyjechał, ani miał wyjeżdżać z Koszowatej?

— Jeszcze tej nocy miał jechać Semen, Watażka pańskich kozaków, ale przysięgam Bogu, nie wiem gdzie.

— Semen Łysiuk, kozak starego Miecznika?

— On sam.

— Hej Prokop, wróć się ze swojemi do karczmy, i z za łozy trzeba pilnować Semena, a ja tego opatrzę i odeszlę do Pana Baniewskiego.

Jeden z Watażków i połowa kozaków żywo skoczyli na powrot, a Maksyma wwiedziono do sieni. Watażka zawołał:

— Żywo ognia. — I w izbie zapalono światło.

Maksym spokojnie zsiadł z konia — Nie przystępujcie do konia, bo uderzy, a mnie pozwólcie panowie bracia fajkę zapalić — Wszedł do izby, rozpiął burkę, z kaptura świty dobył już nałożoną fajkę i zapalił ogromny kawał hubki.

Watażka szukał w kalecie, za pazuchą, za pasem.

— Przysięgam Bogu, tam nie ma.

— Ojcze Watażko chcecie, to ja rozbiorę się; szukajcie. — Zabierał się do rozbierania.

— Poczekaj chłopcze, tam ciebie w Łuce rozbiorą, a teraz powiedz prawdę, czy Semen sam, czy z kozakami jedzie?

— Dobrze nie wiem, ale zdaje się, że pietnastu Koszowackich kozaków jedzie z nim.

— Teraz panie bracie, szablę i pistolety oddaj, a sam na konia, i pojedziesz z mojemi młodzćcami.

Maksym wtenczas dopiero zrzucił hubkę z fajki na ziemię i przydeptał nogą, oddał szablę i pistolety, a Watażka dał rozkaz czterem kozakom, aby go prowadzili do Łuki.

— Tylko patrzcie panowie młodźce, żeby wam się nie wymknął, bo choć on zdaje się prawdę mówić, djabeł że wie co w nim we środku siedzi; strzeżonego Pan Bóg strzeże, trzymajcie konia za cugle.

Po oczach Maksyma widać, że na te słowa zawitała mu do głowy nowa dumka; nim siadł na koń, poprawił uzdeczkę. Jeden z kozaków wziął powód od uzdeczki Maksymowego konia, i potrójnym węzłem przywiązał swojemu koniowi na szyi. Siedli i pojechali; kozak był przodem, drugi jechał z tyłu, trzeci wiódł Maksyma jak tabunowego konia, a czwarty obok niego jechał z dobytą szablą.

Skarogniady się niecierpliwił, głową rzucał, a Maksym spokojnie fajkę kurzył, i braci kozakom śpiewkę nucił.

http://rcin.org.pl

Oj wernysia Sahajdaczny,
Woźmy swoju żynku,
Oddaj moju lulku,
Neobaczny.

Meni z żynkoju ne wozytsia,
A tiutiun, toj lulka,
Kozakowi w drozi
Znadobytsia.

Hej! kto w lisi, obozywsia
Taj wykreszem ohnia,
Taj potiahnem lulki,
Nežurysia.

— Panowie bracia, wy dobrzy ludzie, jedźmy trochę prędzej, mnie pilno do Łuki. Pan Starosta będzie się gniewał, a już i na świt się zabiera.

— My ciebie wiedziemy, dalibóg że nie z własnej ochoty, ale tak Pan i Watażka kazał; kiedy chcesz kłusem, to i kłusem.

W kłus kopnęli. Maksym w wielkie gawędy z niemi się niewdawał; on porozumiał, co to znaczy: kozacy spełniali rozkaz, ale nie wiedzieli, dla czego.

Świtać poczynało na niebie, i na ziemi jaśniej, bo już, już wymykali się z Koszowackiego lasu, ostatnie dęby po dębach gubili za sobą; w lewo daleko jeszcze szarzeje Łuka sioło, w prawo step i step, gdzieś ciągnąć musi aż za krawędzie obłoków, to owe sławne Czarne pole, co go niegdyś hordy Tatarskie kryły, a do niego Kozacy i Lachy szlakami biegli; co nieraz szczerą ludzką krwią się czerwieniło, bieliło się kośćmi, i coraz to nowemi mogiłami porastało. I któryżby kozak ujrzawszy to pole pamiątek, z pod śniegowej bieli tchnące rodzimemi wspomnieniami, niezwrócił ku niemu oczów, i myśli nie popierał lubą dumką o praojcach.

Konie kłusowały, a wszyscy kozacy patrzyli na step, po śniegu szukali okiem mogił. Jednym razem Maksym przygiął się do kuli, lewą ręką schwycił za naczółek i jednem szarpnięciem uzdeczkę z głowy końskiej precz zrzucił; konia nogami ścisnął nahajką ksobie i na odlew zawinął, z pomiędzy kozaków z drogi w step szusnął.

Kozacy za nim — trzymaj, łapaj! — ramiona z nahajkami podnieśli do góry.

Maksym nogami przytula konia, nahajką i pogania i kieruje, a skarogniady sadzi po śniegu, jak chart, jak kozioł dziki, jak sumak w prawo się powrócił, za mogiłę zakołował, i kozacy w gonie musieli za nim jeszcze większe koło zakreślić; odsadził się, jak z pieca na łeb w jar jednym susem skoczył i dwóch kozaków z końmi koziołka przewróciło, dwóch jeszcze goni.

http://rcin.org.pl

Jarem z pół gony czwałował i na samym załomie pod górę wyskakiwał. Jeden z kozaków na wiatr z janczarki wypalił; i kula nawet nieświstnęła na pożegnanie Maksymowemu uchu. Kozackie konie już ustają, mimo krzyk i nahaj, ledwie z postękiwaniem telepią się; skarogniady jeszcze chwacko skacze, i Maksym nie po skórze końskiej, ale po nad głową nahajką wywija; na podrzeźnianie, na przechwałkę wpadł między wysokie budjaki, chwilkę pomajaczał i utonął, już go niewidać.

Dzień jasno bielał, dwaj kozacy dobili się śniegiem do bodjaków, i konie stanęły nad tropem, dalej iść niechcą; obadwa żegnają się krzyżem świętym i patrzą na trop... wyraźnie końskí; aż tu ni z tąd ni z owąd, zając widać pomknięty przez Maksymowego konia, pod jego trop na sztych do kozaków nadbiegł jak ślepy, dopiero o kilkanaście kroków w bok w burzan zaskoczył. Oni splunęli tfu, djabeł; będzie nam licha godzina. I jeszcze okiem szukali wiatra w polu.

Kiedy tak Maksym nie z ochoty, ale z musu hulał po śnieżnych stepach czarnego pola, w Humańskim zamku działy się jakieś ważne obrady. Od trzech tygodni bawił tam stary Wojewoda z synem i z licznym pocztem przydwornej szlachty, obywateli i synów obywatelskich; dwa pułki kozaków Potockich domu przyszły na służbę do Humania; a nieskąpią tam niczego, panowie szlachta mają w bród i jadła i napoju: takie wygody, o jakich im ani śniło się we własnych domach; i do tego, jeśli nie dwa, to raz na dzień oglądają oblicze Pańskie.

Był to dzień sobotni z rana. Tylko co po wysłuchanej mszy świętej w zamkowej kaplicy hajducy przynieśli w krześle Pana Wojewodę do jego komnaty, bo już mu wiek i podogra o swojej sile chodzić niedozwalały; natychmiast kazał zawołać Złotnickiego, a za jego przyjściem polecił, żeby nikogo niewpuszczano.

Pan Wojewoda siwy włosem, zgarbiony ciałem, siła zmarszczek miał na twarzy i na czole, a oko niewesołe; w spojrzeniu duma Pańska panowała nad wszystkiem; jeśli tam czasem zgryzota sumienia, albo pomiarkowanie się, albo jakie uczucie serca chciały się wyjawić, to natychmiast je duma głuszyła i trudno komu było dostrzedz tych przelotnych objawień się.

— A cóż Mospanie?... i jakże tam szlachta gra?

— Szlachta zawsze szlachtą, jeść, pić, sejmikować, a słuchać ani weź.

— Cóż tedy robić Mospanie?

— Chłopstwa użyć; tę szlachtę co zechce słuchać, to przyprowadzić do posłuszeństwa, a tej, co nieodwyknie od sejmikowania... pozbyć się.

— Mospanie za daleko. I Pan Branicki na to goni, i jeszcze tam wyżej gdzieś o tem myślą.

http://rcin.org.pl

— Jednym mieczem wszyscy mogą chcieć rąbać, a kto pierwiej i zręczniej użyje, ten swoje zrobi.

— I jakże to Waćpan myślisz?

— Niech Jaśnie Wielmożny Wojewoda stąd wyjedzie; niechęć chłopstwa ku panom i żydom już od dawna tleje... są ludzie, co namowami i pieniędzmi ją poddmuchują... przyspieszyć to; niech przetrzebią trochę i tę gawiedź sejmikową, i półpanków, co to każdy ma siebie za Króla. Pan Branicki będzie myślał, że to na jego korzyść się dzieje i niebędzie się wahał nieposłać wojska na skarcenie buntu. Jaśnie Wielmożny Pan każesz swoim kozakom potulną szlachtę zabezpieczyć, a jak już będzie zadość, to i bunt uspokojemy.

— A potem co będzie?

— Jaśnie Wielmożnego Pana uznają wszyscy za Dobrodzieja i przyjmą za Pana.

— Mospanie, ja tego dla siebie niechcę; ja stary już, dla syna, to co innego.

— Niech i tak będzie, to zależy od woli Jaśnie Wielmożnego Pana.

— Ale jak szlachtę wyrzniemy, to co będzie z Ojczyzną, Mospanie?

— Cokolwiek zostanie, a w potrzebie nowej naszlachciemy.

— Mospanie źle, na to niema zgody, lepiej ze szlachtą trzymać; nalało się nam biedy w uszy, może i poprawiemy się; wszak wiesz, że Pan Biskup Kamieniecki coś ważnego zamyśla. Pan Starosta Koszowacki z jego stronnikami porozumie się.

— Na nic się to nieprzyda; oni zechą się konfederować, rękoma Jaśnie Wielmożnego Pana Króla zrzucić, nowe elekcye robić, i Bóg wie kogo królem obrać; bez tego wszystkiego, bez ich łaski, bez stawiania rzeczy na grę przypadku, Jaśnie Wielmożny Wojewodzic może zostać królem.

— Królem?... — I oko Wojewody zajaśniało dumą, nawet podniósł się w krześle — Ale cóż zrobiemy ze szlachtą?

— Trzymać ją na kawecanie; łudzić, a swoje robić.

— Mospanie, to źle; lepiej otwarcie powiedzieć, tak zawsze Potoccy robili.

— Ale tu idzie nie o Województwo, nie o buławę, ale o koronę.

— Prawda, prawda; i jakżeś by to zrobił, Mospanie?

— Niech Jaśnie Wielmożny Pan każe, a ja zrobię.

— Poczekaj Mospanie, co tam nam Pan Starosta doniesie. — Po chwili rozmowy Pan Złotnicki wychodził, zabawiając się myśleniem o gadce: zmącić wodę, a rybki będą się łowić — a Wojewoda tego dnia był serdeczniejszym jak zazwyczaj dla syna, nawet rzecz dziwna, parę razy chciał z krzesła podnieść się przed nim, czy to dla uściskania go, czy dla oddania mu hołdu uszanowania w oczach ludzi; ze szlachtą był uprzejmym, choć

http://rcin.org.pl

dumnym, i z temi najuprzejmiej, którzy najwięcej czci okazywali synowi. Stary Wojewoda już zamarzył, że jest ojcem królewskim. O królu Polaku, siedzącym na tronie, z taką niechęcią gadał, jak o najzaciętszym wrogu Ojczyzny, z taką pogardą, jak o najlichszym zbirze. Myślał o władzy, a już burzył władzę. Spiskował przeciw prawemu Królowi, a chciał, żeby szanowano i słuchano króla, którego on da, dla tego tylko, że to jego.

Oprócz starego Cześnika Bychowskiego, wszystka szlachta z pogranicza Bracławskiego i Kijowskiego Województwa, pozjeżdżała się do Humania, żeby nieprzekroczyć temu narowowi polskiemu, co to chociaż po za oczy psy wiesza na pana, w oczy śpieszy ofiarować mu swoje pokorne służby.

Późno wieczorem, przy zapalonych światłach, już po wieczerzy, dano znać, że kozak przybiegł od Pana Starosty Koszowackiego, i nikomu niechce powierzyć pisma, tylko do rąk samemu Panu Wojewodzie.

Wojewoda mruknął — Niech go tu przyprowadzą.

Wszedł Maksym, pokłonił się — Sława Bogu — i pismo Wojewodzie oddał.

Wojewoda biorąc pismo, nieznacznie zadrżał, i czy niemógł, czy niechciał patrzeć na hardą twarz znanego sobie kozaka, wnurzył wzrok w pismo i odrywał pieczęć.

Pan Chorąży Trzeciak, który znał i Maksyma i konia Chwata, a przypadkiem był wtenczas na dziedzińcu, kiedy zajechał kozak na zgonionym koniu, ujrzał w miejscu uzdeczki pas dziwnie powiązany. Nim posłuchanie u Wojewody wyrobiono, rozpytał o wszystko, dowiedział się, że Maksym wymknąwszy się kozakom Branickiego, zmożonego konia zatrzymał, na prędce uzdę przyrobił, i już bezpiecznie dojechał do Humania. Chorąży to wszystko szeptał braci szlachcie, Pan Wojewoda zasłyszał, i kazał Maksymowi opowiadać.

Zarumienił się kozak jak dziewczyna, hardość odleciała z oka, głos jego niemiał brzmienia przechwałki; on jak wszyscy kozacy chełpliwości pozwalał sobie przed czynem, ale skromnym był po czynie; krótko opowiedział całe zdarzenie, wszystko dobro zwalił na skorogniadego konia, i zaczął od Sława Bogu, i skończył na Sława Bogu.

Wojewoda parę razy rozchmurzonem okiem na niego spójrzał, ale długo na niego patrzeć niechciał. Szlachta dokoła obstąpiła kozaka, i o mało go nieściskała jak brata, jak herbowego człowieka; Pan Wojewoda kazał mu dać wygodę i czekać na odpowiedź, a Wojewodzic do odchodzącego parę słów łaskawych powiedział.

W półgodziny poźniej Wojewoda był znowu sam na sam w swojej komnacie z panem Złotnickim.

— Mospanie, prawdę powiedziałeś, chcą konfederacyi przeciw Moskwie, a o teraźniejszym królu tak mówią, jakby gotowi

http://rcin.org.pl

go zachować, o nowym wcale nic, a nawet są tacy, co brzdąkają o Sasie. Weź, czytaj — i dał mu papiery.

— Ja to dobrze wiedziałem, że tak będzie — przebiegał papiery jedne po drugich i oko jego rozśmiechało się radością — A to wyśmienicie, możemy ich mieć w ręku; tu rzecz rozpoczynać, a ja pojadę do Kamieńca i pokrzyżuję zamiary panów szlachty, i Jaśnie Wielmożny Wojewodzic za parę miesięcy będzie nam najmiłościwszym Panem. —

Uśmiechnął się Wojewoda — Mospanie i jakże to zrobisz?

— Niech Jaśnie Wielmożny Wojewoda przyzwoli, a wszystko się stanie jak najpomyślniej.

— Chciałbym wiedzieć, jak.

— Tych, co poddmuchują chłopów do buntu, tak podmówić, aby już go rozdmuchnęli, a zamiary panów szlachty wykryć przed nimi.

— Mospanie, na to niema zgody; przed wrogiem wykrywać zamiary polaków?... to nie.

— To nie Jaśnie Wielmożny Wojewoda zrobisz, tylko ja, wierny sługa pański.

— Niechcę, żebyś Waćpan się plamił dla posługi mojego rodu.

— Ja się tem nie splamię, tylko zasłużę. Potocki Królem Polskim, to Polska zbawiona. —

Wojewoda milczał.

— W rodzie Jaśnie Wielmożnego Pana jedyna nadzieja Ojczyzny.

Wojewoda się uśmiechnął i potrząsł głową, jakby potakiwał swojej dumie.

— Bez przyzwolenia Jaśnie Wielmożnego Pana Polsce niemasz ratunku.

— To kiedy tak, to i rób Waćpan.

— Więc pojadę do Jenerała Kreczetnikowa i do Pana Branickiego.

— Tylko nie mojem imieniem.

— Moja robota i zasługa przed Jaśnie Wielmożnym Panem, a jemu i jego rodowi cześć z ocalenia Ojczyzny.

— Mospanie, ja wdzięcznym być potrafię — Złotnicki zabrał papiery i wyszedł, a Wojewoda pozostał sam.

Ani mu przez myśl przeszło o śnie: syn królem. I któryżby ojciec nie chciał jak najdłużéj tego marzenia snuć i przesnuwać na jawie; a cóż dopiero dumny Pan, co to w sercu swojem wyżywił dwie sprzeczne wiary: nie pozwalam, chcę królować. Wojewoda, obrońca tej złotej wolności, jak on nazywał, a jak lud Boży mienił szatańskiego bezprawia szlachty, od dawien dawna dla tego tylko bratał się z panami szlachtą, o równości

http://rcin.org.pl

im gadał, podszczuwał na władzę, do sejmików podbudzał; żeby snadniej siebie lub syna posadzić na tronie, a potem szlachtę wziąść za łeb. Jednak te pociechy dumy mąciła jakaś myśl niewesoła, i rzecz dziwna, pojawienie się kozaka Maksyma ją obudziło. Wojewoda znał go dobrze, widział go wzrastającego na swoim dworze i sam darował Panu Staroście Koszowackiemu, choć Maksym był siostrzeńcem i wychowańcem Berezy, najpowierniejszego kozaka Wojewody. Wojewoda nie mógł znieść widoku młodego Ukraińca; duma Pana najwięcej się szamocąca przy schyłku życia, nie chciała poglądać na młodociany przejaw dumy kozaczej — i nie wiedzieć czemu, on Pan wielki, możny, niepolubił pojedyńczego kozaka, i to jeszcze swojego chłopa.

Patrzył na bogate makaty i karabele na nich wiszące, potrząsł głową.

— Kostka w kostkę, mostka w mostkę, taki podobny, czyżby on miał mnie oszukiwać — Westchnął, jakby westchnieniem chciał ulżyć sumieniowi; klasnął na hajduka i kazał przywołać Księdza Okryńskiego.

Ksiądz Okryński bazylian od bardzo dawnego czasu kapelan nieodstępny Pana Wojewody, sędziwy wiekiem, łagodny postawą, stawił się na wezwanie Pana. Wojewoda natychmiast wskazał mu krzesło.

— Siadaj, Księże kapelanie.

I obadwa milczeli. Wojewoda zakłopotał się, od czego ma zacząć mowę; Ksiądz śledził okiem po twarzy Wojewody, czy trzeba słowami łagodnemi usidlić dobro serca poczęte głosem żałującego sumienia, czy rzucić słowa cierpkiej prawdy na zatamowanie choć chwilowe grającej dumy; długie lata z sobą przeżyli, znali siebie. Wojewoda ciągle patrzył na kobierzec ścielący się pod nogami.

— Księże kapelanie, i jakże tam Bereza?

— Spowiadał się.

— Jak to, już niema nadzieji?

— Nadzieja jest w łasce Bożej.

— W łasce Bożej — powtórzył Wojewoda; jeszcze bardziej zachmurzył i tak już chmurne oblicze — O tak Księże kapelanie, chyba łaska Boża na nas spadnie... O! te Koniecpole... Trzystu tam było, wszyscy poumierali, na ten rok czterech tylko zostało... i to zemną. Mołodecki i Trzech Króli nie doczekał, zaraz po Nowym Roku umarł; Bereza nas rzuca, teraz na mnie albo na Starostę kołej — odetchnął, czy mu lżej, że się wygadał, czy czekał pociechy od Księdza.

— Panie Wojewodo! pokuta grzech maże. Bóg nie mści się za przestepstwa, ale karze zatwardziałych w grzechu.

— Księże! o ja żałuję za mój, gdybym mógł odrobić, co się zrobiło, ale zapóźno.

http://rcin.org.pl

— Nie późno, kto kołace do Bożej łaski prożbą i dobremi uczynkami, ten nigdy zapóźno nie przychodzi.

— Postawię kościoł w Koszowatej i na klasztor przeznaczę sto tysięcy funduszu; wystawię kościoł w Koniecpolu, i zapewnię na wieczne czasy nabożeństwo za dusze zmarłych — Czekał i poglądał w oczy Księdzu, czy nie powie: Bóg ci przebaczył.

Ale Ksiądz skinął głową — Bóg się zmiłuje nad Panem Wojewodą, lecz nie dość na tem; ofiary dawane kościołowi świętemu, to ofiary dla Boga; ale do zbawienia duszy trzeba jeszcze wielu innych.

— Cóż ja zrobię, zmarłych nie wskrzeszę i zmartwychwstania im nie wyproszę.

— Lecz są żyjący, z żyjącemi się pojednać.

— Księże... niepodobna... między nami jest krew...

— Pokorą i żalem krew nawet zmazać można.

Krwią zaszło oko Wojewody — Ja pokorzyć się przed niemi... ja... gdyby nie oni... ha!... jużby tu co innego było... nie... nigdy... — I rozgniewana duma słowom nie pozwalała wyłonić myśli.

Ksiądz patrzył na Wojewodę i nic już nie mówił, twarz Wojewody sczerwieniła się i zmarszczki zsuwały się jedne do drugich.

— Księże, ty wiesz może co... Bereza... przed śmiercią... ja domyślałem się... ha!...

— Panie Wojewodo, uspokój się, ja nic nie wiem, miłosierdzie Boże nad Berezy duszą, on przygotował się do śmierci jak chrześcianin w żalu za grzechy, w zgodzie z ludźmi, Bóg mu przebaczy.

— Księże nie mówmy teraz o tem... drugą razą; wiesz, co się dzieje w Polsce?

— Wiem i boleję.

— Dla czego?

— Pycha, grzech śmiertelny a osobiste dobro występek niedarowany, targają się na prawą władzę.

— Szlachta go wybrała, szlachta i zrzucić z królestwa może.

— Ale kościoł uznał i uświęcił jego królewską władzę.

— I innego uświęci.

— Panie Wojewodo, hamuj twoje słowa, jako Polak złego złem nie lecz, wesprzyj władzę i na frymarkę szalonej gawiedzi nie daj jej przechodzić. Jako syn prawego kościoła nie bluźń przeciw kościołowi; on w swojej mądrości świeckie rzeczy uświęca ale niemi nie kieruje; świeccy ludzie mają prawo targać się na uświęcenia kościoła, na dzieło, któremu sami wprzódy dobrowolnie hołd złożyli? Panie Wojewodo, już raz zakrwawiłeś bratnią krwią łono Ojczyzny, bój się gniewu Bożego.

Wojewoda milczał, po chwilce Ksiądz kapelan wstał, pokłonił

http://rcin.org.pl

się i wychodził, a Wojewoda nawet mu się nie odkłonił, tak się zagrążył w myślach, ale kiedy Księdza już nie było w komnacie, gorzko zadumał; w oczach, w twarzy widać, że w duszy myśli sprzeczne z sobą się targały. Już koło północy, w strasznej godzinie dla przestępnego a jeszcze wierzącego serca, wołał do siebie Złotnickiego, a kiedy mu powiedziano, że ten niebawem po wyjściu z komnaty pańskiej pojechał, powtórzył:

— Pojechał, pojechał, pojechał — zatrzymał się, pomyślał i nie wydał rozkazu, żeby za nim bieżono w pogoń.

Na pańskie zawołanie szatny i dwaj hajducy weszli do rozbierania Pana. Wojewoda marudził, o nic nieznaczące rzeczy wypytywał, a spoglądał na zegar; wybiła dwunasta, pierwsza; i wskazówka zegaru zwolna się posuwała do drugiej godziny po północy, a Wojewoda jeszcze nie zaczął się rozbierać; nareszcie o pół do trzeciej kazał adamaszkową kotarę rozsunąć. Hajducy czuli, jak buty obszerne z ciężkością przychodziło im zdejmować, jak gdyby je noga zumyślnie zatrzymywała, i szatnemu z trudnością przychodziło odpasywać pas, zdziewać kontusz, żupan. Wojewoda krzywił się i ofukiwał — Nie tak prędko, ostrożnie Waść, boli mnie ramie — kazał sobie podawać jedne po drugich obrazy świętych do pocałowania. Trzykroć razy musiano prześcieładać łoże, bo Pan znachodził je niedogodnem. Przy szatnym i hajdukach cały Rożaniec, Ojcze nasz, Zdrowaś Marya, i Wierzę w Boga, odliczył. Coraz to nowe powody wynajdywał, żeby hajduków i szatnego na nogach trzymał, tak mu ciężko zostać sam na sam z nocą bez snu.

Pół do piątej wybiło. Jeden z hajduków do drugiego tak szepnął, żeby Pan słyszał:

— No, już i kur na dzień pieje. —

Wojewoda niby ziewnął — Kładnijcie się Waść spać.

Szatny wyszedł, jeden hajduk przy drzwiach w pańskiej komnacie, na kobiercu, nie rozbierając się, położył; drugi w drugiej komnacie takoż bez rozbierania na kobierzec się rzucił, ale wprzódy obudził dwóch innych hajduków, żeby czuwali w pogotowiu na rozkaz pański.

Wojewoda nie spał, przewracał się w łożu i pacierze odmawiał, może w tej chwili sumienie gadało do niego słowami prawdy, ale on w głos nie miał przed kim je powtórzyć, a ledwo dzień biały szczeliną bryznął na komnatę, w Wojewody duszę wstąpiła otucha a z nią razem słodka myśl: mój syn będzie królem. Mary trwożące sumienie precz z białym dniem uleciały, rozjaśniały się czarne myśli, i sen skleił zmęczone powieki dumnego starca. W sennem życiu widział berło, koronę, szlachtę uginającą kolana przed nim, lud Boży bijący pokłony jak przed Panem Bogiem. Rodzina jego ściskała się i wodziła po pod ręce z koronowanemi głowami dawnych Królów i Cesarzów świata; a nie marzył o krwi przelanej dumą swoją i o

http://rcin.org.pl

tej, co ma się przelać na jego wolę; nie zamarzył o niedoli Ojczyzny wołającej o zgodę, o ład. Wśród wesołych twarzy, wśród płaszczących się postaw, jedna twarz tylko była smutna, ponura; jedna postawa harda, dzika, wołała rozdzierającym głosem: moja żona, moje dzieci; i ten głos, ta postać człowiecza zmąciła i w nic rozproszyła całe szczęście sennego marzenia. Ocknął się Wojewoda — W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego; wszelki duch chwali Pana Boga. Hej! — I hajducy wbiegli.

— Wołać szatnego, niech mi daje ubierać się. — Pozierał do koła i okiem odganiał zalęknienie z serca.

Niedaleko zamku, w zamożnej chacie, na tapczanie zasłanym baranim kożuchem, leżał stary kozak; siwą głowę sparł na poduszcze kozaczego siodła, a przykrył się burką kozaczą; nie stękał, nie żalił się, ale patrzał jak w tęczę na młodego Maksyma tuż stojącego koło tapczana.

Po nad tapczanem na ścianie wisiał obraz matki dziewicy, jaskrawy i złocisty, z Kijowskiéj Ławry; przy nim płonęła świeczka z żółtego wosku, a pod nim kropielnica ze święconą wodą. Ksiądz wyspowiadawszy chorego, odszedł, a w izbie oprócz Berezy i Maksyma nikogo niebyło. Bereza popatrzył na Boga Rodzicę.

— Synu Maksymie, już na mnie przyszedł koniec; ty nie krew moja ani moich, ale ja tobie powiedzieć nie mogę czyja. Pan by się gniewał, a to mój ojciec, mój Pan; i tobie na nic by się niezdało. Sława Bogu, ty teraz kozak; ot weź żonkę, pobuduj chatkę, taj swoim pługiem orz; i licha nieznaj, póki Bóg pozwoli.

Zatrzymał się chwilkę, Maksym nie mówił tylko patrzał jemu w oczy. Bereza wziął to za prożbę; poszukał obok siebie jedwabnej chustki, odwinął srebny obrazik Matki Najświętszéj z Carogrodzkiemi napisami.

— Słuchaj synu, tam daleko, na stepach, już niepowiem gdzie ja ciebie znalazłem, i ten obraz był na twoich piersiach, weź jego, to twój; może kiedy znajdziesz swoich; weź wszystko, co do mnie należy; i mojego konika woroneńkego, i mój miecz jasneńki; i moją długą spisę i siodło orzechowe, i kaletę z czerwońcami, i pas czerwony, i wszystko; już to mnie na nic nie zda się, a pamiętaj synu po śmierci przybrać mnie w nowy żupan, taj w kontusz; niezapomnij szabli włożyć i paszport na tamten świat, i piątaka na drogę; zrób to synu, a Bóg da, że i tobie po śmierci tak zrobią.

Maksymowi łzy w oczach stanęły — Ojcze, ty nieumrzesz.

— Oj umrę synu, daremna rzecz; kiedy przyjdzie czas, to ani odmodlić się, ani odkupić się śmierci nie można; to nawie-

http://rcin.org.pl

dzone licho. — W tem przed chałupą dały się słyszeć kroki kilku ludzi.

— Synu chowaj to — oddał mu srebrny obraz — a niepłacz, lepiej módl się za moją duszę. —

Weszło kilku ze starszyzny.

— No i jakże tobie, Panie Swacie?

— Źle, głowy niezwiodę.

— Ot wstawaj i chodź z nami na gorzałkę.

— Dziękuję wam panowie i z sobą nieproszę; bo nie wiem, czy tam dobra szumówka, czy gorzej jak u żydów wodą chrzczona.

— A ty Maksymie, czego tak tęsknisz, nie płacz jak baba, tobie takiemu zuchowi to nie barno.

— Dajcie mu pokój, niech sobie trochę popłacze, to moja dziecina. — I Berezie łzy stanęły w oczach.

— Ot do stu djabłów i my wszyscy zaczniemy płakać; otoż to będzie kozacka sprawka.

— Idźcie precz, jak macie tu beczeć; ot lepiej mnie staremu na pożegnanie zaśpiewajcie pieśń wojenną. —

I oni mu śpiewali dumkę, na skoczną, na wesołą nutę, a w głosie był dźwięk smutny, płaczliwy nawet; a choć ustami śmiech, a twarzą przedrzeźnianie się ze śmierci chcieli pokazać, jednak dobrze widać, że to udawali na pociechę umierającemu. Bereza ból taił, czuł on, jak mu życie się wymykało, a jednak udawał przed braćmi, że go ma zadosyć i powtarzał; kozak powinien tak umierać, jakby diabeł duszę porwał.

— Ot chłopcy, przynieście gorzałki, i dajcie mnie lulki; taj zakurzemy i łykniemy na drogę. —

Maksym tylko nie taił ani smutku, ani łez, ale nic a nic niemówił.

W tem jeden z kozaków rzekł do drugiego.

— A to skąd taki złoty pierścień na palcu?

— To Pan Mołodecki mnie podarował, jak umierał.

— A on że jego skąd dostał?

— Mówili starzy, że z Koniecpola przywiózł. —

Bereza na te słowa podniósł się na łożu. — Panowie bracia i ty mój Maksymie, przed wami przysięgam na uczciwość wojskową, że w Koniecpolu ani jedna kropla krwi niepociekła po moim mieczu; żadne tam oko na mnie niezapłakało. Bóg i Przeświętа Matka Zbawiciela to widzą, że wam prawdę mówię; bądźcie zdrowi. Opadł na łoże, jeszcze w konaniu zawołał — Maksymie! Maksymie! — dusza pożegnała się z ciałem.

Maksym mu zamknął powieki.

Przyniesiono wódkę a nikt jej pić niechciał. Wszyscy jak bobry płakali, a choć to kozacy ze śmiercią znają się jak z powszednim chlebem; ale to brat serdeczny pomarł; i już go niezobaczą między sobą ani na pohulance wojskowej, ani na biesiedzie.

http://rcin.org.pl

W parę dni później na cmentarz Humański niesiono trumnę okrytą czerwoną kitajką, zasługą kozacką; za trumną Maksym z odkrytą głową wiódł wronego konia, całkiem osiodłanego, i szło dwóch druhów najbliższych Berezy, jeden niósł miecz jasny, drugi spisę długą. W końcu mnoga drużyna kozacza, czapki w ręku, a głowy skorzone. Przed trumną szli Księża w żałobnych przyborach, i krzyż święty nieśli, i święconą wodę z kropielnicą.

Pan Wojewoda przez okno orszak pogrzebowy zajrzał, potrząsł głową: — Teraz albo na mnie, albo na Starostę kolej. — I duma nie mogła ani odgonić, ani zagłuszyć smutnego przeczucia.

http://rcin.org.pl

V.

Za tyżdeń
Wełykdeń.

Powrócił Maksym, przywiózł listy od Pana Wojewody. Starosta wprzódy wiedział o całej sprawie na czarnem polu, po swojemu Maksyma pochwalił temi suchemi słowami, co to ani serca nierozrzewnią, ani duszy niepodniosą; ale mianował go drugim Watażką swoich kozaków, zastępcą Semena Łysiuka, i darował skarogniadego Chwata. Rządzca zyzem na Maksyma spozierał, ale panu nic nie mówił. A Pani Starościna mało nie sto razy kazała czarnobrewej Marcie opowiadać sobie wszystkie szczegóły tego wypadku. Pani miała zawsze na podorędziu o co nowego zapytać, a sługa miała zawsze na pogotowiu w odpowiedzi nową rzecz dodać do odpowiadania dawnego. Marya chcąc niechąc marzyła i mówiła o kozaku, swoim zbawcy; Marta o nikim innym ani marzyła, ani mówiła, tylko o Maksymie kochanku. Maksym po powrocie niebył wesoły, smucił się śmiercią Berezy, ale smucił się jeszcze bardziej dumką, że on sierota; w świecie jak na hysie, sam jeden; ni go kto nazwie bratem, krewniakiem, ni ludzie powiedzą, to człowiek znaszego sioła. Jak popatrzy na Starościnę witającą braci, łzy mu w oczach stają — ja niemam siostry; a kiedy przy nim popieści malutkiego synka, to z serca głos mu się wyrywa: mnie tak nigdy matka niepieściła Nie tak jak dawniej miłe mu były pochwały Panów szlachty i poczciwe słowa państwa Cześnikostwa, i cześć braci kozaków, a nawet serdeczne pomrugi czarnobrewej dziewicy. Jak mu już w duszy tęsknota dobierze miary, to idzie do skarogniadego konia. — Ty ze stepów, z daleka, i ja z daleka ze stepów. Ty może sierota, bez rodu, i ja sierota, bez rodu. Ty mi brat — I przytulał końską chrapę do swoich ust.

http://rcin.org.pl

Już marzec z szarugami na niebo zawitał, kiedy przybiegli gońce z wieścią, że konfederacya zawiązana w Barze, z powołaniem do Pana Starosty Koszowackiego, aby jak przyobiecał, dotrzymał, sąsiednią szlachtę na koń powołał, i z nią przystąpił do podpisania aktu konfederacyi. Pan Starosta szlachcic butny, ale Panu Wojewodzić jak djabłowi swoją wolę zapisał; a Wojewoda nie kazał z konfederatami się łączyć, tylko być w pogotowiu i czekać na jego rozkaz. Pan Szymon nie tylko że sam nieposzedł, ale wszystkich znajomych i przyjaciół od konfederacyi odwiódł.

Choć go w sąsiedztwie niebardzo miłowano, jednak wszyscy oprócz młokosów i starych, którym nadawano przezwę: Szaławiła; radzi byli człowiekowi, co mówił: Siedźmy i czekajmy; i słuchali; tylko Pan Chorąży Trzeciak sumował i powiadał:

— Brzydki to szlachecki obyczaj, rozprawiać, sejmikować, świecić baki wszystkim i brać się do wszystkiego a do niczego szczerze; lepiejby było siąść na koń, powiedzieć, jestem taki albo owaki, z tym trzymam, i bić się za Ojczyznę.

Po nad granicami Wołoszy i po Czerwonej Rusi krzewiła się konfederacya; szlachta z poczciwem sercem, z dzielnem ramieniem biegła na to narodowe hasło; czysta sumieniem, poświęceniem się ufna, nie pomniała, że z niesforności i bezładu niepodobna urobić sforność i ład; że kiedy nie ma nakazu i kierunku z góry od władzy takiej, coby nie zależała od szlacheckiego: niepozwalam; od pańskiego: ja cię zrobiłem władzą, ja ciebie i zrzucić potrafię, wtenczas najdzielniejsza drużyna, jak pszczoły bez matki, jak okręt bez sternika, jak wojsko bez wodza, będzie się silić, mocować, niepojęte dziwy robić, i wszystko szczeznie, na pożytek Ojczyźnie nie pójdzie; ledwie puste wspomnienia po sobie zostawi. Wrogowie o tem wiedzieli, i choć mogli od razu zatłumić rozniecający się ogień, dali pokój, powiadając: niech się swarzą, wszystko zniszczą, nic nie zbudują; niech się mąci w Polsce, oni sami mętów nie oczyszczą, a jak przyjdzie czas, to i ich zdusiemy i ład po swojemu zrobiemy. Wojska białej Carycy i pułki koronne pod wodzą Pana Branickiego, zwolna, jakby żółwim krokiem posuwały się w Bracławskie i ku Podolowi; jak obława płoszy zwierza i zagania gdzieś tam w dalekie ostępy, nim go zacznie polować. A po całej Ukrainie jakoś dziwnie rzeczy się plotą.

Choć jeszcze śnieg pstrokacieje na polach, po stepowych mogiłach, po mogilnikach kozaczych, co noc grobowe ognie wielkiemi łunami płoną i wilają się po stepach, po lasach, po nad siołami; jak gdyby chciały całą ukraińską ziemię spalić płomieniem grobu; co noc wielkim korowodem po oborach bydło ryczy, a owce na wtór beczeniem płaczą, po chlewach nierogacizna ryje i w kupki się gromadzi, choć wilka koło sioła ani zasłychać; w stajniach konie rżą i kopytami kołupią ziemię;

http://rcin.org.pl

puszczyki puhaczą pojękiem śmierci, gwiżdżą sowy, a psy ja płaczki skomlą i wyją; w lasach bez wiatru drzewa skrzypią, a zwierz jak obałamucony biega i biega, wietrzy, grzebie ziemię; jak gdyby stał się grabarzem śmierci.

We dnie i jasno słońce świeci, a dymy się słaniają po ziemi. Bóg wie skąd naleciały nieprzeliczone chmury wron, gawronów i kawek. Z rana na dobry dzień, i o zachodzie słońca na dobry wieczor, czarne kruki kraczą; orły po mogiłach jak opudała siedzą, w dzioby klekoczą, wyglądają żeru; a sokoły bezustannie to pod obłoki skrzydłem się wzbijają, to spadają do ziemi kulką.

Mnóstwo dziadów lirników po siołach i po miastach się włóczyło, i rzecz dziwna, choć zaczynali pieśń wesołem, albo kochaniem brzmiącą; wyższą mocą, czarem jakimś, zawsze kończyli na wojnie, na krwi i na śmierci. Nieraz upiór zajrzawszy w okno chaty, gdzie były wieczernice, napłoszył dziewczęta i parobkom strachu nabawił. Nieraz idący na doświtki słyszeli chychotanie bezpiętego, kiedy zmykał przed piejącym kurem. W Koszowatej okociła się owca z jagnięciem o dwu głowach. W Kruto-Horbach kwoka wysiedziała trzy gąsiątka bez głów. W Łuce mołodyca powiła dziecię z psią głową, z kurzemi nogami; a gadano, że w Bohusławiu starzec Znachor umarł, a ciała jego nie stało na łożu śmierci, djabli przy ludziach wykradli, co do nich należało. W Kahorliku topiono dwie czarownice z ogonami i nie mogli zatopić. A w okolicach Smiły widziano dziewicę w bieli, zwiastunkę pomorku i czarnego starca, zwiastuna rzezi. Te złowróżbe poznaki, lały w duszę niepokój, a serca smutkiem i trwogą ściskały. Tak się działo we wszej Ukrainie, kiedy nadszedł Wielki tydzień, tydzień Chrystusowej męki, za wieki wieków zbawienia ludzkiego rodu.

Wielkanocne dnie już już za pasem. W Kruto-Horbach Pani Cześnikowa staropolskim obyczajem gotowała sute święcone dla dziatek i dla czeladzi. Pani Starościna jeszcze we Czwartek na wieczerzę Pańską przyjechała, dla pomocy matce. To pczewski aż z Kijowa dwoma saniami nazwoził cukru, rodzynków czarnych, złotych, z pestkami, bez pestek; cynamonu, bobków, muszkatołowej gałki, imbiru, szafranu, migdałów, suchych pomarańczek, bławatu i alkiermesu do farbowania cukru, kminku i kubeby, cały sklep korzenny, tak żeby nie trzeba było zaganiać posłańców za lada czem do Bohusławia albo do Stawiszcz. Pan Cześnik porządny człowiek; wolał, żeby zostało w zapasie na przyszły rok, jak miało czego zabraknąć.

Klucznica otworzyła skrzynie pełne jaj i jeszcze kopami wybierano je po siole za daninę i za pieniądze; kłuto prosięta, smalono wieprze, zarzynano indyki, baranki, gołąbki, kapłony; rozmaitych gatunków mąkę przesuszano, zaprawiano wódki; ze stebnika, z ulów dobywano miód plastrami; wszystko to na uczczenie Zmartwychwstania Pańskiego.

http://rcin.org.pl

I w kuchni i w piekarni wielki ruch; ze dwanaście mołodyc i dziewcząt biało przybranych, z rękoma wymytemi czysto jak u pań, pora się koło pieczywa; biją jaja i oddzielają żółtki od białków, mąkę sieją przez sita gdańskie, w moździerzach tłuką korzenie i cukier. Sama Pani Starościna z Wackowską stołową panną Pani Cześnikowej, na szalkach ważą rozmaite ingredyencie, na funty, na łóty, la grana nawet; a stara Cześnikowa nałożywszy okulary na nos, w ogromnej pisanej księdze czyta, widać z nałogu raczej jak z potrzeby, dla tego, aby nie miała do wyrzucenia sumieniowi piekarki jak się nie uda; bo na pamięć mową poprzedzała każdy wyraz, nim go okiem w księdze wyczytała.

— Dwie kwarty mąki, półtory kopy jaj, kwaterkę mleka, dobrze zamiesić; trzy funty i pół cukru, dwa łuty cynamonu, łót gwoździków, pół uncyi szafranu; ubić bijaczką, żeby ciasto nie rwało się, ale ciągnęło, żeby nie było grudek; drożdży pół kwaterki, rozmiesić: rodzynków złotych bez pestek ćwierć funta, ćwierć funta parzonych migdałów i czarnych rodzenków, dobrze rozrzucić: wlać w formę, czekać, nim podrośnie, i jak najmniej poruszając wstawić w piec. —

Cześnikowa przestawała w czytaniu, a rzucała okiem, i wszystko to wykonywano jedno po drugiem: nieraz ofuknęła:

— Maryniu niedoważasz. Wackosiu cynamonu za wiele. Hapko pomału mieszaj, a dobrze wymieszaj. Bijesz jakby mleczko Horpyno, mocniej. Patrz dobrze Jawdocho, czy piec nie za gorący. —

Jawdocha wetknęła rękę w piec, nawet głowę tam wścibiła trochę — Same dobre — przygarnęła czysty piasek i posypała grubą mąką formę klejoną z grubego papieru, w której był już nadrośnięty roszczyn, zewnątrz posmarowała ciastem do tego umyślnie przygotowanem i wstawiła w piec.

I tym sposobem robiono baby, jajeczniki, placki; w drugiej piekarni paski dla ludzi, a potem zabierano się i do mazurków. Pani Cześnikowa zawsze z księgą w ręku.

Dziwna to była księga, zbieranina różnych a różnych rzeczy. Tam po modlitwie do Pana Boga o urodzaj ziemski, szła rozmowa Pana Cześnika z Panem Miecznikiem o sprawach ojczystych, miana roku Pańskiego tysiąc siedemset drugiego wiernie i dosłownie spisana przez Pana Cześnika: dalej sposób robienia bab wielkanocnych: potem, wiersz liryczny o Orfeuszu, pietnasto, dwudziesto, a nawet i więcej zgłoskowy ale rymowy; po nim, sekret od Pani Podstarościny Fedorowiczowej robienia placka migdałowego i smażenia konfitur: tuż pod sekretem sentencya moralna.

Jak z gorzkich ziołek pszczołka miodu nieurobi,
Tak przyjaciela złością nikt nie przysposobi.

http://rcin.org.pl

Dalej sposób marynowania śliwek, i sposób wygubienia pluskiew i pcheł: potem po łacinie Joanida czyli spis rzeczy zabranych w obozie Tureckim, przez króla Jana III w czasie wyprawy Wiedeńskiej. O obrazie cudownym Matki Najświętszej Berdyczowskiej. Mowa Pana Woźnego Zbrożka o zabezpieczeniu żyta od rożków. Treny Panny Strybolówny uwiedzionej w sześćdziesiątym roku życia, przez Łowczyca Worcela.

Worcelu,
Zwodzicielu,
Tyranie
Panie;
Za mój kwiat,
Wez cię kat;
Miłość szaleństwo,
Zdrada przeklęstwo.

Po trenach szły marynowane ogórki i sposób farbowania lisów; dalej:

Po kozacku rzecz Atamana Szacha,
Do Bisurmana, Carogrodzkiego Padyszacha.

Kazanie Księdza Proboszcza Bohusławskiego o obżarstwie, z pamięci przepisane przez Pana Cześnika roku pańskiego 1750. O karmieniu kapłonów jałowcem i prosiąt jajami. Przywilej szlachecki, liberum veto, i o znamienitości herbu Jastrzębiec. O równości kozackiej na Zaporożu. O wygubianiu wilków z drzew owocowych i tak dalej; podobnym przekładem szły rozmaite a rozmaite rzeczy.

Nie jedną taką księgę miał Pan Cześnik, ale ze siedm; była to niejako kronika domowa od ojca i od dziada, a może i od wyżej jeszcze. Jak Pan Topczewski powiadał, dzieło wyśmienite, nieoszacowane, przedziwne, choć tam wszystko było pomieszane, jak groch z kapustą; gdyby się dostało pustej, wietrznej głowie, byłoby w niej jak po śliwkach, ale rozumna znajdzie w niej poradnika życia domowego i obywatelskiego, i naukę i zabawkę.

Pani Cześnikowa jak rosnącemi dziatkami cieszyła się, ile razy widziała, jak ciasto rośnie, troskała się zaś o to, ażeby ciasto nie zapadło albo zakalec się nie zrobił, i chwaliła i gderała na wtór dobrym i złym nadziejom.

Panowie Cześnikowicze, Pan Namiestnik Niemirycz, Pan Chorąży Trzeciak i Pan Topczewski jak wilcy włóczyli się po pod piekarnią, i z ukradka zazierali w okna, bo nie tylko im, ale nawet i staremu Cześnikowi niewolno było wejść do piekarni.

http://rcin.org.pl

Męzkie oko natychmiastby nawroczyło pieczywo i wszystkoby się nieudało.

Pan Trzeciak powiedział Niemiryczowi: — Ot ożeń się Waćpan, a będziesz miał taką babinę jak Starościna; patrz Waćpan, czy nie ładna babka?

— O! że ładna, to ładna. —

Starościna w białem pudermanie, w białem czepeczku na głowie, nieściśnięta, nie usznurowana; z rumianem licem, z ustami na pół przymkniętemi, nosiła na sobie tę cechę samowoli krasy, co to i oczy i serca garnie ku sobie; bracia chlubili się taką śliczną siostrzyczką. Topczewski nią się cieszył; on ją wynosił, wypiastował na swojem ręku, i własną dziecinę więcejby niekochał. A Niemirycz mało nie sto razy pomyślał; czemu ona nie panna? Czemu panną ją nieznałem? O! ten mruk jej niewart; złego jednak Staroście nieżyczył, chociaż go nielubił.

Kiedy tak młodzi panicze i stare ćwiki, kłamiąc przypowiastce kobieca ciekawość, zazierali do piekarni dla tego tylko jedynie, że im to niewolno było, w pokoju kobiecym czarnobrewa Marta płakała i skarżyła się przed Nastką, kawiarką państwa Cześnikowstwa.

— O gorzka moja dola; lepiejby mi było świata nie widzieć; jak tak młode lata przepłakać.

— Poczekaj jeszcze, może da Bóg, że to się nie stanie.

— Ba, Pani wyprosić nie mogła. Pan powiedział — dosyć już tego, próżne zwady, lepszego męża nie dostanie; ja każę i tak być musi.

— A czemuż ten Maksym nieposyła swatów; Pan jego tak lubi, dla niego wszystkoby zrobił. —

Marta milczała.

— Słuchaj Marto, ty jego kochasz, a on o ciebie ani dba; porzuć twoje dumki, zapomnij o nim.

— Prędzej to można powiedzieć, jak zrobić. Nastko, żeby ty wiedziała, jak ja jego kocham, a tego Jurka nienawidzę.

— Biedna ty dziewczyna! Ot wiesz co, pójdź do starej matki Bezwerchiego, ona znachórka taka, jakiej i za sto mil nie znaleść; poproś pięknie, ona i powróży i da ziela, a zobaczysz, że dobrze się stanie. —

Westchnęła. — Ja tego niezrobię, Bógby mi za to niepobłogosławił i Maksymowi mogłoby stać się złe.

— Śmiej się z tego; żeby ja tyle szczęścia miała, ile dziewcząt chodziło do starej Bezwerechy, a żadną diabeł nieporwał, wszystkie powychodziły za mąż, a nawet i dzieci mają.

— Nie pójdę.

— To siedźże cicho i czekaj, co będzie. —

W tejże samej chwili Pan Cześnik w jadalnej komnacie rozmawiał z jakimeś dziadem lirnikiem, nieznanym w siole, ani

http://rcin.org.pl

w sąsiedztwie, widno przybyłym z dalekich okolic. Oprócz Cześnika i dziada nikogo w komnacie nie było.

— I gdzież Wasze widział tego człowieka?

— Daleko, na stepach, nad Podpalną rzeką, niedaleko Siczy panów Mołodźców.

— A jakiż on był?

— I wyższy i duższy od Wielmożnego Pana i odemnie. — Mruknął Cześnik — czy nie Czorba?

— Siwy jak gołąb? —

O nie, on jeszcze taki być niemusi; daleko młodszy odemnie.

— O ten to, starszy.

— Jakże się nazywał, imię przynajmniej.

— Niemówił tego, a ja się niepytałem; dość że człowiek, i dobry człowiek, bo nakarmił i napoił dziada.

— Powtórzno Wasze jeszcze, co on mówił.

— Stary, ty idziesz na Ukrainę, tam nad Rosią; tam niedaleko Koszowatej mieszka Pan Cześnik Bychowski, pamiętaj, Pan Cześnik Bychowski; powiedz, że jego dawny przyjaciel kłania się mu i może niezadługa tam przyjedzie. Niech się on mnie nielęka, choć ludzie będą Bóg wie co o mnie gadali; ja zawsze dobry człowiek; komu przyjaciel to przyjaciel, a komu nie, to nie. Każdemu zapłacę, co mu się należy, cudzej rzeczy niezachcę. Niech do mnie przyjedzie, jak o mnie zasłyszy, przysięgam Bogu, na złe mu to niewyjdzie. Tyle tylko gadał.

— Słuchaj Wasze, jeśli to jaka tajemnica, ja jej niewydam; chybaby była na szkodę Ojczyzny, bo gdyby na szkodę mego rodzonego dziecka, jeszcze bym nie powiedział.

— Wierzcie mi Wielmożny Panie, że ja nic nie wiem, tylko com wam powiedział. Ja dziad lirnik, zagram pieśń, o jałmużnę poproszę, wezmę co dadzą, powiem, co każą powiedzieć; o nic nie pytam, niczego nie wypatruję, nie słucham i nie słyszę, jak nie do mnie mówią, i na tem koniec.

Cześnik pokręcał głową, nawet parę razy mruknął, dobył długą sakiewkę, robioną na drutach z zielonego jedwabiu, rozwiązał węzeł, którym przewiązaną była w pół, dobył srebrnego talara:

— Weź Wasze, przenocuj tu, a może i zostań na Paschę Bożą z nami, dziad lirnik zawsze pożądanym gościem dla Ukraińca.

— Dziękuję Wielmożnemu Panu, kiedy łaska pańska, to przenocuję; ale na kraszankę święconą muszę zaciągnąć się aż do Humania, tam bracia lirnicy na mnie czekają.

Po wyjściu lirnika Cześnik zawołał Ignacego.

— Dać wygodę temu dziadowi lirnikowi.

— Dobrze Panie.

— Poczekaj Waść, posadź go u stołu z sobą, sam na sam, dodaj mu dobrze miodku, a słuchaj co będzie gadał; rozumiesz?

http://rcin.org.pl

— Rozumiem.

— Miodek to najlepiej wyciągnie na język, co jest w myśli. Pytaj go Waść o Zaporożu, o jakimś człowieku; tylko ostrożnie.

— Dobrze Panie.

Bo to widzisz, coś ludzie gadają o nie dobrych rzeczach, lepiejby się dowiedzić kiedy, można i zaradzić złemu.

— Ja zrobię, jak Pan każe. —

Cześnik zostawszy sam, długo myślał i pogadywał sam do siebie.

— To nie podstęp, ja Polak jestem, gadają o buntach, o rzeziach, o wytępieniu szlachty; i takie dziwne rzeczy się dzieją na świecie, że dalibóg kto wie, czy co z tego się nie wyświęci, może jakie. złe dla Polski; wrogowie nie śpią, czuwają, a my jakby to nie u nas się działo, ani przystępujemy do Konfederacyi, żeby z Ojczyzny obcych wypędzić, a potem u siebie gospodarować jak można; ani popieramy królewskiej władzy, żeby niesnaski uspokoić, a pod powagą Majestatu tronu rozprawiać się z wrogami, ma się rozumieć zwyciężyć i u siebie lepiej zagospodarować. Gadam ja to gadam, ale kiedy mnie nie słuchają. Synkowie rwą się do Konfederacyi, a Pan zięć widno z nastrojenia Pana Wojewody, jak dawniej grał w Konfederacyą, tak teraz na niej psy wiesza. O! dalibógże dla tego, że Pan Wojewoda nastaje na Konfederacyą, ja byłbym za nią; musi być w niej wiele dobrego; pozwoliłbym i moim synom iść do niej, gdyby nie ta myśl, że oni wojskowi, przysięgli na wierność Królowi Jegomości i Rzeczypospolitej, a kto targa się na jednego, to i na drugą; tonie po wojskowemu i nie po katolicku. Ksiądz proboszcz powiada: Szanujcie władzę i słuchajcie jej, a we wszystkich waszych pacierzach i modlitwach nie zapominajcie się modlić za Króla Jegomości i Jego Królewską rodzinę. —

Taką długą gawędką Cześnik czyścił sobie poczciwe sumienie, że udał się do podstępu dla wywiedzenia się rzeczy przez prostą ciekawość u tego nieznajomego człowieka. Po chwili poszedł pomodlić się za dusze rodziny Czorby i o oddalenie nieszczęścia grożącego Ojczyźnie, o którem ani wiedział, tylko tak mu ono w myśli stało, jakby smutnego przeczucia nachwytał z powietrza.

Przed samym wieczorem przyjechał Pan Starosta z Panem Skandybą. Pan Starosta był więcej jak zawsze naburmuszony, a rządzca uśmiechający się, zacierał ręce i nawet jakiejś ukradkowej radości dał przystęp do twarzy. Pan Szymon witał teścia choć z poszanowaniem, ale z wyraźną obojętnością, a Panów szwagrów i Niemirycza z jawnym wstrętem. Kiedy po skończonej pracy przybyła żona i z tą dziecinną radością, co to po każdej zabawie uśmiecha się rodzicom na podziękowanie, przy-

http://rcin.org.pl

szła witać męża, i co jej się bardzo rzadko, prawie nigdy nie zdarzało, chciała mu objąć szyję rączkami, ucałować; on jej powstrzymał ręce i w czoło nie pocałował, tylko z lekka odsunął od siebie. Jak puch śniegowy wiatrem powiany znika ze skały, tak znikła lekka dziecinna radość; jak na drzewie pod promieniem słońca kryształ śniegowy w krople wody się zamienia, tak uśmiech Maryi pod gniewnem obliczem męża w łzy się przeobraził, w łzy piękne, urocze; co tak błyszczały na błękitnem oku, jak majowa rosa na kwiecie bławatka.

Wszyscy to widzieli, ale nikt nie śmiał nieść jej pociechy, jemu opamiętania, bo nikt nie wiedział prawdziwej przyczyny. Jeden tylko rządzca, ile razy mógł, tyle razy zerknął, to na twarz Maryi, to na twarz Starosty, i na przemiany, to rumieniec i blask oka, to złośliwy przyśmiech i przygryzienie ust pojawiały się na jego twarzy.

Po wieczerzy, kiedy Państwo Starostwo zostali sam na sam w komnacie dla nich przeznaczonej, Marya padła na kolana i modliła się, a Pan Szymon chodził po komnacie i nic nie mówił. Marya wstała z klęczek, popatrzyła na niego i czekała, czy co jej nie powie, ale on uparł się w milczeniu, myślała tedy, że to nie na nią się zagniewał, bo i za cóżby miał spaść na nią gniew, ona nie przekroczyła. Zbliżyła się do niego, chciała wziąć rękę, lecz on uchylił, czy umyślnie, czy z przypadku.

— Mężu! i jakże, czy moja prośba nic u ciebie nie wyjedna. —

Widocznie zadrżał. — Jaka prośba?

— Za moją Martą.

— Powiedziałem, że pójdzie za Jurka.

— Ale ona go nie kocha.

— I tyś mnie niekochała, a jednak nic złego ci się niestało. —

Słowa nie rzekła Marya, po raz pierwszy takie słowo słyszy z ust męża, postała trochę i nie śmiała na niego spojrzeć, skryła się za kotarę i po chwili już była pod kołdrą, z twarzą obróconą do ściany. Oj! nie spała ona, nie niosła ulgi zadraśniętemu sercu płaczem, westchnieniami; ale raniła je jeszcze bardziej gorzkiem dumaniem i takiem milczeniem, że ani tchu z piersi dosłyszeć można było. Starosta jeszcze się przechadzał szerokim krokiem, nareszcie odchylił kotarę, stanął nad łóżkiem, słucha: żona milczy, spać musi, ani się porusza, jakby nie żyła.

— Prawdę powiedział, jednem słowem usta zamknąłem, odkryłem całą prawdę. Tak, tak, o! niewiasta... zdrada, niewiara, serce toczą... a pieszczotami z ust sypie, uśmiechem łasi się i kiedy największy grzech popełnia, wtenczas najpotulniejsza... O! serce szatańskie — Podniósł rękę i palce cisnął w dłoń — O! nie... niesławą mojego imienia nie okryję, kaźń na mój ród nie sprowadzę, zamilczę, ale się zemszczę. — Całą noc przechodził, nie rozbierał się i białym dniem wyszedł z komnaty,

http://rcin.org.pl

jak gdyby tylko co się ubrał, na sobie kazał suknie oczyścić i zgromił sługę, czemu raniej po nie nie przyszedł.

Marya z rana poszła do matki opowiedzieć wszystko, poskarżyć się na swój los, poboleć nad nim. Matka potuliła córkę i na słowa pociechy się siliła — Nie smuć się moja duszko, nagadali mu źli ludzie, on się przekona, trzeba go zostawić tak jakiś czas, nic mu nie mów.

— O! jabym nie śmiała nic mu powiedzieć.

— I ojcu nie mówmy, on by się zmartwił. — Zaraz poszła do synów i namówiła ich, żeby z Panem Niemiryczem na cały dzień pojechali do Państwa Sędstwa, przeszkadzać Pannom Sędziankom pieczywa ciast i psoty płatać. Marya nic się nie domyśliła albo bardzo mało skąd i o co gniew męża, ale Cześnikowa od razu jasno widziała rzeczy.

Kiedy matka z córką wychodziła do kończenia pieczywa ciast, jak gdyby nic nie było, co im niemiłem robiło to zatrudnienie uroczyste; w pierwszym pokoju zastały Watażkę Maksyma oddającego jakieś pismo Staroście; bo taki był rozkaz, że sam Watażka miał je przywozić Panu. Maksym popatrzył na Panią i smutno mu się zrobiło, o! dostrzegł on i ślady łez i stroskanie na twarzy Maryi, i kiedy pokłonem witał, a ona się uśmiechnęła przez siłę, to tak mu niedobrze się zrobiło, że chciał jej do nóg upaść i prosić, żeby mu powiedziała, kto jej źle zrobił, a onby mu dał. Wyszły obie Panie, a Starosta zapytał.

— Cóż tam słyszałeś w Smile, Maksymie?

— Źle Panie.

— Cóż takiego?

— Ludzie mówią, że ludzie odgrażają się na Panów, taj na żydów, i że wszystko to idzie od Panów i jeszcze od kogoś.

— Ale u nas w Koszowatej nic nie słychać?

— Po prawdzie mówiąc słychać.

— Ktoż gada?

— Ludzie.

— Jacy?

— Ja nie wiem, bo przy mnie żadenby nie śmiał gadać, ale Pan rządzca i Jurek wiedzą, oni z ludźmi gadają. —

Starosta dalej nie pytał. — Idź Maksymie, konia rozkulbacz, dziś nie pojedziesz. — Maksym wyszedł, a wszedł rządzca, który był w drugim pokoju i zapewnie wszystko co do słowa słyszał.

— Widzi Wielmożny Pan, za to, że ja wierny Panu, to podmówiono Maksyma, żeby niewiedzieć co plótł; z kądżebym ja mógł o tem wiedzieć; czyżbym ja tych gadanin chłopskich słuchał i z chłopstwem gadał?

— Ja temu nie wierzę.

— Widzi Wielmożny Pan, po widocznem okazaniu się gniewu i wiadomości o rzeczy Wielmożnego Pana, ten Niemirycz jak niespyszna się wyniósł, a Maksyma musiał przekupić.

http://rcin.org.pl

— Daj Waćpan pokój, Maksyma przekupić nie można, to nie taki człowiek. —

Ciszej mówił Pan Rządzca. — Może Pani przez Martę podmówiła go na fałszywe doniesienie.

Starosta zachmurzył się. — To może; on do niej bardzo przywiązany. — I sam dla siebie przez zęby przemruczał: — Takie to młode, a zkąd to wszystko się pouczyło; o! niewiasta rodzi się ze zdradą w sercu, z wybiegami w głowie. — Obrócił się do Rządzcy. — Bądź Waćpan spokojny, ja niebardzo łatwowierny. Nie martw się temi donosami, żeby po twojej twarzy czego się nie domyślano. — Po chwili dodał: — On powróci, miej oko, tylko broń Boże, żeby robić jaki hałas.

— Wielmożny Pan może rachować i na moją wierność i na moją roztropność. Wszystko gotowem zrobić dla służby pańskiej. — I spuszczał oczy ku podłodze i głos zniżał na brzmienie pokory.

Jak już wszystkie paraniny w piekarni ustały, Marya powróciła do dworu i wprost poszła do malutkiego synka, bo i on przyjechał na święcone do dziadunia i do babuni. I zastała synka u Maksyma na ręku, bawił się z czarnym wąsikiem, co gęsto zamszył się na rumianej wardze, z czarnym seledzcem polotnie spadającym na śniadą twarz. Dziecina niechciała iść ani do mamki, ani do Marty, która przyszła pobawić się z chłopaczkiem i bałamuciła swój smutek, patrząc na Maksyma. Maksyma siwe oko smutne było i harde czoło sposępniało; całował dziecinę, tulił do łona, oddawna już on tego nierobił. Jego oko widziało markotność dobrej Pani, serce czuło; swoją żałość jawił pieszczotami malutkiego panicza i w kozaczą duszę tęsknota zagrała i do kozaczego oka cisnęła się łza. Dziecina niechciała iść i do mamy, jedną rączkę do niej wyciągnęła, drugą objęła Maksyma za szyję i mamę wabiła do siebie, oczkami zdawało się mówić, chodź tu mamo, tu ciebie żałują. Marya ledwie łzy powstrzymała okiem, synka pocałowała i wyszła popłakać do woli, nie przy ludziach.

Ciasta się udały; na ogromnym stole, przykrytym holenderskiem białym obrusem, na środku na porcelanowym półmisku stał baranek z masła wyrobiony, zgrabnie ukędzierzawiony; rogi woskowe pozłotką złocone i kopytka złocone, oczki czarne z paciorek błyszczące, w grzbiet wetknięte złociste drzewce z chorągwią białej i czerwonej barwy, wiary i miłości, bo kto żywi jedną i drugą w sercu, ten znajdzie i trzecią, nadzieję; ta chorągiew wspominek cnót chrześciańskich i polskie barwy oczom przedstawia; o! i tam przy wierze i miłości niezagasa nadzieja, żyje, żyje na wieki i żyć będzie, aż się stanie; po prawicy baranka chorągwi, był baranek pieczony, na pamięć,

http://rcin.org.pl

że nim kiedyś lud Boży dzielił się w niewoli, rozpierzchnięty, i pożywiwszy się barankiem wrócił do ziemi obiecanej, do Ojczyzny. Po lewicy gołąbki, majem strojne, aby z ich pożywaniem duch święty wstąpił w chrześciańskie serca, duch braterstwa, zgody i pokory. Dalej stały jaja kraszone i niekraszone w kręgach kiełbas i półciki słoniny natykane złoconym barwinkiem, pieczone prosięta z chrzanem w zębach, rumiane szynki. Indyk pysznił się ogromem i cielęca pieczenia; ciemnej zwierzyny dwa półmiski z czubami. Miód plastrami, roboczego owadu praca, na przykład ludziom, jak trzeba pracować, słuchać i Boga chwalić. Po rogach stały cztery sążniste jajeczniki z głowami cukrowanemi w barwy tęczy, na znak, że to łaska Boża ukazała się i na ziemi i z ziemskich rzeczy lepiona odbija barwy nieba. Między jajecznikami cztery placki także cukrowane, i na wszystkich wypisane imie Chrystusa Pana, bo to Jego święto. Po Jego męce, Jego Zmartwychwstanie, na odkupienie, na szczęście, na zbawienie ludowi Bożemu. Liczne baby i kształtem i wielkością różne i stosami krągłe mazurki strojne w cukier, rodzynki i migdały. Były tam w sztofach i butelkach wódki, miody i wina, bo Polacy kiedy pożywają dar Boży, to też i piją na Bożą cześć.

W drugiej komnacie stały pszenne paschy dla czeladzi, i kiełbasy i szynki, prosiaki, miód, jaja, baranek Boży, wódki, miody, a wszystkiego podostatek i wszystko zastawione na świeżej bieliznie, bo w staropolskim domie, kiedy Pan syty, to i czeladź niegłodna; bo w chrześcijańskiej drużynie w dzień uroczysty biesiada dla wszystkich i dla wielkich i dla małych. W oczach Bożych oni wszyscy jednacy, wszyscy jego dzieci.

Wieczorem przyjechał Ksiądz Proboszcz, ubrał się w komeszkę z kapłańskim przyborem. Przy zastawnych stołach czytał modlitwy i potem święconą wodą kropił wszystkie te dary Boże i wszystko to stało się święconem. — Pożywajcie dar Boży, na cześć i na chwałę Zbawiciela; korzcie się przed Panem naszym Ojcem jedynym; módlcie się do Pana nad Pany. — I wszyscy korzyli się i modlili.

Księdzu Proboszczowi w sanie włożono najwyższy jajecznik, najlżejszą babę i najdorodniejszy placek. Kiełbas, szynek, prosiąt, indyków i wszystkiego hukiem, a wszystko co najlepszego, bo to kapłan, sługa kościoła; a kościoł Boży i kapłan Boży.

O północy wszyscy zeszli się na święcone. Cześnik w głos mówił modlitwę do Boga i wszyscy za nim w głos ją powtarzali. Potem jajka obłupywał i rozcinał na cząsteczki i Cześnikowa toż samo robiła. I oboje jędli z każdym gościem, z każdym

http://rcin.org.pl

mężczyzną, z każdą niewiastą i z każdem dzieckiem czeladzi, i każdemu z osobna życzyli doczekania przyszłych świątek Wielkonocnych, w zdrowiu, w szczęściu, w pomyślnościach i w drodze zbawienia. Potem pożywano baranka Bożego i trochę paschy, reszty nie tykano.

Nazajutrz dzień, po Mszy świętej, wszyscy się całowali, mówiąc: — Chrystos Woskres, Woisteno-Woskres. — W pisanki, w kraszanki się tłukli; pisanki, kraszanki w darze sobie dawali. Jedli święcone, pili i weselili się, nie myśląc o jutrze, jakby dziś było całem życiem. Tylko Starościna, mimo mocnej woli udawania wesela przed ojcem, od czasu do czasu śliczne oblicze oblekała w tęskne zadumanie. I Starosta niezupełnie rozchmurzał czoło. Skandyba złośliwego przyśmiechu i ukradkowych spójrzeń niezamienił na szczere wesele. Kozak Maksym nie poszedł na cmentarz probować szczęścia w pisanki z mołodycami i dziewczętami, tylko ze skarogniadym bawił się w stajni i jemu na ucho powierzał: — Ja sierota, bez rodu, gorzka moja dola.

http://rcin.org.pl

VI.

Z po pid lisa, lisa, zełenoho haju, —
Zakryczały Kozuczenki, utikajmy Neczaju. —

Pieśń ludu o Neczaju.

Już minął dzień grzebania kości święconego. Stary to polski obyczaj, w kościelnice na to umyślnie sporządzone składać ze święconego wszystkie kości; broń Boże, żeby która psu się dostała, albo poszła w poniewierkę walać się po dworze. Zaraz po Przewodach, sielski paroch i Pan sioła, starszyzna czeladzi, wszyscy gospodarze szli w pola i tam przy modlitwach do Boga Ojca, do syna Zbawiciela, do Matki Dziewicy i do Świętych Pańskich, na granicach, po rogach łanów i sznurów, sianożęci i sadów grzebali kości święconego, na obronę od gradu i posuchy, od robactwa i szarańczy. Tą uroczystością lud pobożny co rok urodzaje ziemskie oddawał pod opiekę Bożą.

Minęły zielone świątka. Słońce złociło się na niebie, tak jasno, jakby wiosna na nowo mu oblicze odpolerowała. Maj zielenił się na ziemi, a otucha i swoboda nie wstąpiły w serca ludu Ukrainy. Barscy konfederaci walczą z wrogiem, a wzbić się nie mogą w potęgę. Król Polski jakby obumarł, stracił wiarę w swoją władzę, zagrożonej bronić nie śmiał, nie zdobył się na powiedzenie słowem i czynem, wrogom i rokoszanom: — Ja tu Król! Ja tu Pan! — Ojczyzny nie ratował; schyrlał i jak maniak siedział na tronie Batorego. Biała Caryca posłała mnogich ludzi do Ukraińskich sioł i grodów, żeby w ucho szeptali ludowi: — Na pohybel Lachom i żydom, a wam wolność i bezpańskość. — Kopijek nie żałowała, siała niemi jak plewą, a dwóch panków Polskich, jeden niby stronnik ładu i strażnik władzy; drugi żarliwy opowiadacz bezładzia i chwalca liberum veto; nęceni ponętą berła i korony, tumanieni przez Białą Carycę, na jej śpiewkę śpiewali i choć potajkiem, niejawnie, niby nie od siebie, ale przez siebie dmuchali między lud Boży

http://rcin.org.pl

słowa: — Na pohybel Lachom i żydom. — I chłopstwo wszej Ukrainy, rodzone dzieci Polski, okiem niechęci i pogróżki patrzyło na starszych swoich braci, na szlachtę, cichaczem się naradzało, cichaczem gotowało się na czyn, bo go rozpojono obiecanką wolności i bezpańskości. Nie było jednak w nich tej hulaszczej woli, jaką miewali dawni kozacy, kiedy szli rzezać wrogów za wolność i za Matkę Polskę! Dzika ponurość czerni padła im na serce i ten osad mętu sumienia złowieszczem przeczuciem zasępiał wszystkie a wszystkie dumki i tak byli smutni, nieswoi, jak i szlachta, nad której głowami nieszczęście zawisło i tem większym strachem wionęło, że niewiedzieć zkąd? kiedy? i jak przyjdzie? Dzieci jednej matki patrzyli na siebie i nie śmieli sobie powiedzieć: — Myśmy bracia! — Niechęć, nienawiść, bojaźń czuli względem siebie, a nie śmieli powiedzieć sobie: — Myśmy wrogami jedni drugim! — O! istna kara Boża spadła na naród Polski, a ten naród chrześciaństwa nie bił się w piersi, nie pokutował za grzechy, nie wołał: — Boże, pomiłuj nas!

W Koszowatej niewesoło; Pani Starościna niedość że jak dawniej musi sam na sam z sobą większą część dnia trawić, ale jeszcze widzieć gniewną i groźną twarz męża i odgadywać przyczynę. Biedna niewiasta, żadnej pociechy nie miała, a przed oczyma ciągły smutek i łzy. Jej wierna służebna Marta białe rączki łamała, czarne oczki chciała wypłakać, bo zbliżał się święty Makowej, a Pan Starosta ten dzień ostatecznie przeznaczył na swatanie Marty z Jurkiem i już ani nadziei nie zostawało skłonić go do zmienienia słowa; Pani Starościna za nic w świecie o nic by nie prosiła męża. Starosta często z domu odjeżdżał, ale żony do Kruto-Horbów nie posyłał; szwagrom niebardzo był rad, co tak obraziło Panów Towarzyszów, iż mimo miłości ku siostrze, bardzo rzadkiemi gośćmi bywali w Koszowatej. Państwo Cześnikostwo, idąc zwyczajnym torem starych ludzi, powtarzali: — Wszędzie dobrze, a w domu najlepiej, — i dla tego nie często z Kruto-Horbów wyjeżdżali; zwyczajna ich przejażdżka była, kałamaszką objechać łany i sianożęcie, albo do której z pasiek zajrzeć. Pan Rządca, w czasie niebytności Pana, natrętnemi odwiedzinami naprzykrzał się Pani i zawsze znalazł sposobność jakieś półsłówko przeciw Panu Staroście wśliznąć w rozmowę. Chciałby długie rozmowy z nią prowadzić, ale ona zimno, z godnością odprawiała go jak mogła najprędzej i brzydki wywłoka poprzysięgał zemstę; on szatan z uczucia nie śmiał sobie samemu powiedzieć, że pokochał Maryą, anioła dobroci i cnoty, ale śmiał knować zdrady i godziwym popędem namiętności ozłacać zbrodnie. Rzucił w serce Starosty podejrzenie i starannie je rozdmuchiwał i w tajemniczem życiu ze zbrodni snuł pasma nadziei i miłości. Kozak Maksym, już prawdziwy Watażka, bo stary Semen więcej

http://rcin.org.pl

gderał jak robił; jak to mówią, sto razy huknął, a ledwie raz stuknął; już tak on w ryzie posłuszeństwa kozactwa trzymać nie umiał. Maksym go zastąpił, ale to przywództwo nad bracią Kozakami nie rozchmurzało jego czoła. Tęsknił za czemś, a sam nie wiedział za czem; pragnął czegoś, a sam nie wiedział czego. Ledwie nie po kilkanaście razy chodził do dziewczęcego pokoiku i to bez potrzeby, albo za zmyśloną i tam rozmawiał z czarno-brewą Martą, ale o czem? o Pani. Wypytywał o jej smutek, o jej słowa i bolał nad nią; a dziewica co wiedziała to mu gadała, nawet sama zaczynała mówić o Pani, żeby mówić z Maksymem.

Tak przeszły pierwsze dni czerwcowe.

Był to dzień świętego Onufrego, Pan Starosta wyjechał do Humania, na poradę z oficyalistami Pana Wojewody, który odjeżdżając za synem na Czerwoną-Ruś, polecił, aby słuchano Starostę jak jego samego. Starosta po tym rozkazie tak zbutniał, że szlachcie do niego ani przystępu. Pankowi służebniczył, a nad bracią szlachtą chciał gwałtem rej wodzić, nie mogąc przeprzeć rodzimej szlacheckiej krnąbrności, postrach i grozę siał na swój dom własny i tam go słuchano i tam go się bano.

W czasie pańskiej niebytności, przyjechali do Koszowatej dwaj goście bardzo rzadcy, Pan Stanisław, brat Imościn i Pan Namiestnik Niemirycz; po powitaniu, Pan Stanisław prosił siostry, żeby z nimi sama została. Rządca przytomny przyjazdowi, zatoczył okiem złości i odszedł, nie do siebie, ale wysłuchiwać podedrzwiami rozmowę. Tulił się uchem do szpary drzwi, ale nie zachwycił tylko te wyrazy:

— To być nie może.

— Jak ciebie kocham, Maryniu, tak jest.

— O mój Boże! cóż robić? męża niema.

— Jechać zaraz.

— Dokąd?

— Niech Pani jedzie do Państwa Cześnikostwa.

— Mój mąż ma dziś przyjechać.

— To się dowie.

— Nie Stasiu! ja bez jego woli nic nie zrobię.

— Kiedy Pani Starościna nie chcesz wyjechać do Kruto-Horbów, to my tu zostajemy.

— Bardzo Panu dziękuję. Stasiu, ty zostań.

— Zaraz powrócimy, ale teraz musimy na chwilkę wpaść do Kruto-Horbów, może rodzice będą szczęśliwsi jak my. —

Potem mowa była cichsza.

— I ty go tak się boisz?

— Trzeba skończyć te wszystkie niesnaski. Niech Pani pozwoli.

— O Boże! co Pan mówisz? —

Rządca zaśmiał się w myśli. — Groźby, zdrady. Oho! to

http://rcin.org.pl

dobrze. — I ocknął się z marzenia wtenczas dopiero, kiedy go silnie porwał Maksym za ramie.

— Co tu panku robisz? podsłuchujesz podedrzwiami, trzystabyś djabłów zjadł. —

Rządzca zadrżał jak zbrodzień lękliwego serca, schwytany na uczynku i jak dziecko przestępne słowa nie rzekłszy, uciekł.

Otworzyły się drzwi na tę wrzawę.

— Co to jest Maksymie? — zapytała Marya, i w jej oku zwierciedlił się niepokój.

— Nic, Wielmożna Pani, to tak, tu nic nie było. — I zająkał się trochę, rumieniec mu twarz zakrasił, a oczyma nie śmiał się spotkać ze wzrokiem Pani.

— Cóż to za głos tu słychać było?

— To ja sam do siebie tak głośno powiedział. —

Pan Stanisław poklepał go po ramieniu na powitanie. — Czegoż tak się sierdziłeś mój Maksymie? wyraźnie słyszeliśmy, żeś załajał w djabła, a potem jakby ktoś uciekał i krzesłem i drzwiami hałasu narobił.

— Ja to sam załajałem i ze złości narobiłem hałasu. Ot Wielmożnej Pani prawdę mówiąc, mnie żal tej Marty, biedna dziewczyna płacze a płacze, a ona tak lubi Panią. —

Stanisław wąs pokręcił. — Kiedy ci jej żal mój Maksymie, to się z nią ożeń, wszak Pan Starosta powiedział: Jedna rzecz by tylko zmieniła moje słowo, gdyby Maksym chciał poswatać Martę; dalibóg to ładna dziewczyna, warciście siebie.

Maksym milczał, a Starościna nagle takim rumieńcem spłonęła, jakby cała krew chciała się wylać na lice i potem tak pobladła, jak gdyby śmierć z jej ciała poczynała zganiać życie.

— No Maksymie, powiedz, że chcesz. — I wziął siostrę za rękę. — Maryniu, ty wstawisz się do męża za Martą i Maksymem. — Ręka Maryi zimną była jak lód.

Maksym przebąknął. — Niechaj Wielmożna Pani... — I nie śmiał kroku zrobić ku niej, aby do nóg się rzucić, albo w rękę pocałować, na poparcie prośby obyczajem Ukraińskim.

— Widzisz Maryniu, że oni się kochają. — Starościna nie słyszała już tych słów, osunęła się w ramiona brata. On przelękniony, objął ją. — Maryniu! Maryniu! co ci jest? Wołaj Marty. Maksymie, Marty! — Ledwie za powtórzonym rozkazem Maksym poszedł, a Stanisław kładąc siostrę na kanapie, rzekł do Niemirycza: — Biedna, jak się jego boi, mdleje na samą myśl, że trzeba go o co prosić.

Za przyjściem Marty, po staraniach odemknęła oczy Starościna i ręką odpychała wierną służebnicą, a wzrokiem rzucała do koła jakby kogoś szukała. — On jej chce, dajcie mi pokój, zostawcie mnie samą.

— Biedna Marynia, uspokój się, ja wszystko powiem Panu Szymonowi. —

http://rcin.org.pl

Ona płakała, a piękne oczy dłonią kryła.

Maksym i rad i smutny zarazem: rad, że Pani nie dowiedziała się o podsłuchiwaniu Rządzcy; on wiedział o nieszczęsnej doli Pani, widział oznaki podejrzenia Pańskiego i myślał sobie; gdyby ona o tem wiedziała, jeszczeby gorsza była jej dola. Smutno mu, on lubił ale nie kochał czarnobrewej dziewicy, a tak jakby o nią prosił; i skarogniady już go nie pocieszył; poszedł do stajni i nie mówił na ucho bratu koniowi: — I ja, i ty sieroty, bez rodu — ale dumkę sobie nucił: — Czemu ja nie Pan, a ona nie Panna.

W godzinę później w kobiecym pokoiku mamka rozmawiała z Martą. Na Marty obliczu obok nieznanego szczęścia w oku, był przestrach na twarzy.

— O Boże! cożem ja narobiła!

— Co tobie jest?

— Ten pohany Jurek umiera.

— Cóż ty temu winna?

— Słuchaj Tetiano, ja ci prawdę powiem; jak mnie Nastka poczęła podmawiać, udałam się do Bezwerchej w Kruto-Horbach, ona mi wróżyła na dłoni i ciągle mówiła: — biedna ty dziewczyna! — i więcej nic; poczęłam ją prosić, żeby mi dała co takiego, do przywabienia jednego, do odpędzenia drugiego kochanka; po długich zwodach dała mi kosteczkę, jak mówiła z nietoperza, żeby nią podrapać po ręku tego, którego się kocha, a ziela, żeby dać wypić temu, którego chcę precz odpędzić; otoż ja i jedno i drugie zrobiłam; Maksym mnie chce swatać, a Jurek umiera. —

Mamka pilnie słuchała, pokręcała głową, a po chwili otworzyła usta.

— Marto! coś ty mnie powiedziała, to tak jakbyś rzuciła w studnię, o tem nikt nie będzie wiedział, ale nikomu nie gadaj; może Bóg da, że to tak sobie przejdzie. — Dodała — ot nasza Pani...

— Niechce nic, jak mnie zobaczy, zaraz woła, — idź sobie, idź sobie. — Panicz Stanisław z Panem Niemiryczem pojechali do Kruto-Horbów, do starszych Państwa, może ona wie o wszystkiem. — Głowę zwiesiła, wsparła na ręce i dumała.

Wieczorem przyjechał Pan Starosta z drogi, a z sobą przywiozł jakąś wieść niezwyczajną, bo natychmiast, nim o żonę zapytał, nim z Rządzcą pomówił, kazał do siebie przywołać Semena Łysiuka i Maksyma i wszystkich dworskich i folwar-

http://rcin.org.pl

cznych kozaków do dworu zebrać i przygotować jadła, napoju i wygody dla stu kozaków Pana Potockiego, którzy mieli przyjść do Koszowatej za lada godzinę. Któryś ze sług mu powiedział: — Pani chora.

Mruknął przez zęby — zaraz ją zobaczę — i zamknął się w swojej kancelaryi sam na sam z Rządzcą.

Tam chytry a zdradliwy sługa nalał goryczy w serce podejrzliwego męża a niedobrego Pana; dusza jego grała na nutę zemsty, nienawiści ku rodowi ludzkiemu, a nadzieja uwięczenia zbrodniczych zamiarów wtórowała szatańskiej nucie. Słówkiem, wejrzeniem bawił się z uczuciami, jakie wydobywał na oblicze Starosty i o mało uśmiech radości nie zestąpił na tę brzydką twarz.

Starosta jak burak się czerwienił, ręce w kułaki ściskał, zgrzytał zębami i nogą postukiwał, ale jeszcze panował nad gniewem choć cokolwiek, bo zawołał:

— Niechcę go widzieć, bobym się uniósł, a tego niechcę; niech tu przyjdzie Semen. —

A kiedy wszedł stary kozak, obielały włosem w służbie ojca Starosty, Pan Szymon nie pozierał na niego, tylko ze spuszczoną głową w dół, mówił:

— Wsadzić Maksyma do husaka, on wie za co, jutro, pojutrze i odemnie się dowie. —

Semen stał w miejscu jakby zaniemiał, zagłuchł.

— Stary, co ty nie słyszysz? zaraz mi Maksyma zamknąć w husak. —

I podniósł pięść do góry.

— Wielmożny Panie, Maksyma?

Tak, tak Maksyma, zaraz, ruszaj. — Za ramię go porwał, obrócił i popchnął we drzwi. —

Na dziedzińcu już z wojenną postawą, jakby jaki Ataman Zaporozkiego Kurenia, Maksym burką opięty, z baranią czapką na głowie, przeglądał pańskich kozaków. Na twarzach kozaczych iskrzyła się wojna, grobowy pohybel i im dźwięczał w oczach; jak zaprawne charty na szczwacza, tak oni na Watażkę pozierali, gdzie im zwierza wskaże i kiedy krzyknie huż! huż!

Wszedł w koło stary Watażka Semen.

— Maksymie, Pan kazał — i głos mu się zaciął, a łza w oku stanęła.

— Co Pan kazał?

— Synu, bracie! kazał ciebie w huzak wsadzić, coś mu nagadali. —

Dziko twarzami zburmusili się kozacy i oczyma patrzyli to na starego, to na młodego Watażkę.

Maksym poczerwieniał trochę, ale wnet ostygł.

http://rcin.org.pl

— Pańska wola, Boża wola; Panie Watażko wiedźcie mnie do husaka. Panowie bracia! służcie Panu wiernie, do widzenia, przed Bogiem a przed Panem zawsze prawda wyjdzie na wierzch. —

Poszedł ze starym Semenem, a kozacy stali w miejscu i pozierali po sobie jak odurzeni.

W komórce stajennej Maksym siedział na kulu słomy, a nogi miał włożone między dwie kłody, przyciśnięte tak jedną do drugiej, że ani poruszyć nogą nie mógł. Słyszał porżywania koni, grzebania kopytami; słyszał kroki chodzącego kozaka na straży przededrzwiami jego więzienia, do ucha dolatywał śpiew dumki kozaczej i pogwizdywanie wiatru, a jemu nie było smutno, nie skarżył się, tylko snuło mu się po głowie: święty Makowy przejdzie, nie poswatam się i będę wolny.

Stało się zadość woli Pana Starosty, poszedł do żony, ona chora leży w łóżku. Nie powiedział, jak się masz? co ci jest? tylko zamruczał.

— Wiem, wiem, o wszystkiem, niewierna, zdradliwa żono; nienagrodzisz, jakeś przyobiecała. O! nie, nie będzie nic z tego swatania Maksyma z Martą, nie! wprzódy ten zamek w proch się rozsypie i Koszowatej niestanie, nim to się stanie!— Jeszcze nie wyraźnie bełkotał pogróżki, klątwy, wyszedł i zatrzasnął drzwami.

Marya nie płakała, a nawet nie tak jak zawsze przelękła się słów męża, tylko wstała z łoża, padła na kolana, modliła się i myśl nadziei i jakiejś lubej otuchy wstąpiła w serce. Przeczuwa, że niesprawiedliwość męża zniknie przed prawdą. Ubrała się i nie była już chorą.

Przyjechał stary Cześnik i wchodząc, po łacinie powiedział: — Niech będzie pochwalony Jesus Chrystus, pokój temu domowi. — Marya ręce mu całowała, a Starosta gniewnie, ponuro powitał Pana teścia.

Po raz pierwszy Cześnik swoją radą mieszał się między małżeństwo dzieci. Opowiadał wieści już niesłyszane, ale widziane, o buncie chłopstwa. Starosta temu nieprzeczył, sam je potwierdzał. Natenczas Cześnik przekładał potrzebę wyjechania na Czerwoną-Ruś, nim się to uspokoi; dodał: — I Państwa Sędstwo i Państwo Podkomorstwo i Pan Rotmistrz wszyscy z całemi rodzinami powyjeżdżali już, albo lada chwilę wyjadą. I my starzy gotowiśmy się powlec, ale z wami.

— Ja nie pojadę. — Odpowiedział Starosta.

— Panie Szymonie, zastanów się; żonę, dziecko, to wszystko powinno mówić do twojego serca.

http://rcin.org.pl

— Żona zostanie ze mną, musi zostać. Ja jestem jej mężem, jej panem; a dziecko, to moje dziecko.

— Panie Szymonie!

— Mości Cześniku, tak będzie, jak ja mówię. Przepraszam, ale tak zrobię.

— Panie Szymonie, ja rozkazów nie daję, chciałem poradzić się z dziećmi.

— Niech co chce będzie, i ja i moja żona tu zostaniemy. — Po chwili namyślił się, widać stare lice Cześnika gniew w nim przystudziło.

— Jeśli rodzice zechcą, nasz dom gotów na ich przyjęcie, ale na niczyje więcej oprócz ich.

— Dziękuję, my u siebie sami damy sobie rady.

— Jabym jednak myślał, że tu bezpieczniej, zamek obronny, mam ludzi do bronienia.

— Panie Szymonie! czyste sumienie i miłość u ludzi najlepszą obroną każdego, nietylko pana ale i człowieka. — Łzawem okiem spojrzał na córkę. —

Ona wzięła go za rękę. — Ojcze, ja chcę zostać z mężem; ja się nic nie lękam.

— Dziecie moje! — Uściskał, ucałował jej głowę. — Bądźcie zdrowi, moja panna czeka. Niech was Bóg ma w swojej opiece.

— Ojcze, odpocznij trochę.

— Moja Maryniu, ja niezmordowany; bądźcie zdrowi. — Jeszcze raz ją ucałował i wyszedł. Starosta wyprowadził teścia aż do sani. Marya wybiegła za ojcem, wilczurą otulała mu nogi, w ręce całowała, a kiedy odjechał, mąż spojrzał jej w oczy, na jej twarzy nie dośledził najmniejszego wyrzutu, tylko uległość małżeńską obleczoną posępną tęsknotą smutnej dumki. —

Ledwie wyjechał Pan Cześnik, aż tu przybył niespodziewany gość, Ksiądz bazylian Okryński, kapłan Pana Wojewody, a niegdyś były nauczyciel Pana Starosty; w oczach sędziwego starca była boleść, a nawet przestrach; wziął na stronę Starostę i mówił mu z cicha; w drugim kącie komnaty Skandyba podsłuchiwał i chwytał uchem odrębne wyrazy tej mowy:

— W Smile... w Łysiance... w Medwedówce... o Boże! co za okropne rzeczy... rozpasane chłopstwo... płeć, wiek, na nic nie baczy... krew... pożogi... wielka wina nasza... Boże, zlituj się nad nami... póki czas, trzeba było wyjeżdżać, teraz nie czas.

— Nie czas — powtórzył Starosta i chodził wzdłuż komnaty; dawne oburzenie ustąpiło miejsca niepokojowi, w tem przybiegł kozak służby z donosem, że nadciągnęli kozacy Potockiego; Starosta uśmiechnął się tą razą bardzo szczerze; nawet zhardział.

Księże kapelanie, zobaczysz jak, potrafiemy tę czerń precz rozpędzić.

Ksiądz skinął głową — Daj Boże.

http://rcin.org.pl

— Może, Księże kapelanie, chcesz wyjechać do Kruto-Horbów, ja ręczę za bezpieczeństwo drogi, moi kozacy przeprowadzą.

— Dziękuję Panie Starosto — spojrzał na Starościnę; Marya na słowa męża zarumieniła się i w oczach było nieme błaganie, co lepiej jak słowa powiada: o! nie opuszczaj nas. Kapłan umiał odgadywać tę mowę serca — Ja z wami zostanę i dobry i zły los podzielę. Prośmy Boga, wołajmy do niego o miłosierdzie, on nas nie opuści. —

Opowiadał Ksiądz kapelan, jak widział na drodze kupy hajdamaków spieszących ze Zwinogródki drogą do Koszowatej. Na samo to opowiadanie serce drżało i wszyscy gromadzili się do koła, nawet Starosta na żonę pozierał łagodniej i czego nigdy nie bywało, pogładził pod brodę.

— Moja duszo, niebój się, będziemy się bronili.

— Ja się nie boję przy tobie — zatrzymała się, otworzyła usta i słowa niemi nie wyrzuciła, a jednak w myśli miała prośbę o Maksyma. —

Wpadł Watażka Semen; stary kozak tak orzeźwiał, jakby mu trzydzieści lat z wieku ubyło; duch boju w niego dmuchnął, jak ogar, kiedy poczuje farbę, na tropie, szerść zjeży, oczy zaiskrzy, a paszczę rozdziawi, choć zwierza jeszcze nie widzi.

— Ojcze, hajdamaki, a tak ich wiele, że to ha.

— Kto ich widział?

— Ja sam serdeczny ojcze, a sama jazda.

— Bramę zamknąć, moździerze i szmigownice wytoczyć na wały.

— Już to wszystko zrobione, ale oni ojcze stanęli obozem nad Wilczym Ługiem, czy niedobrze by było na nich uderzyć.

— A wiele ich jest?

— Wiele, ale w nocy diabeł chyba przeliczy ludzi. czasem jeden rozpłoszy stu.

— No to wybrać ze trzydziestu kozaków.

— Ojcze wypuść Maksyma, on to najlepiej zrobi. —

Starosta milczał, rozważał — Marya się zbliżyła, odważyła się wziąć go za rękę.

— Mężu przebacz Maksymowi. —

Te słowa jakby ukąszenie gadziny wzburzyły krew Starosty, odrzucił jej rękę — Nie... nie... Ja sam pójdę, zobaczemy. Semenie, za mną i wybiegł — Marya dłoń do dłoni przyłożyła i palcami złamała dłonie.

— O! Boże! ja nieszczęśliwa... ratujcie. —

Ksiądz bazylian wziął jej za rękę — Córko, nie rozpaczaj, Bóg z tobą, my ciebie nie opuścimy.

— O! nie o siebie ja proszę... ratujcie jego... on go zabić gotów. Księże kapelanie, ratuj go. — I prawie gwałtem słabą ręką wypychała Księdza za drzwi za mężem.

http://rcin.org.pl

Rządzca uśmiechnął się i głuche a dzikie chychotnięcie jak by szatana słyszeć się dało.

Świszcze wiatr od wschodu i gwarne szumy swarzą się po ziemi, chmury za chmurami gonią po niebiosach i czasem odsłonią jasne oblicze księżyca, pozwolą mignąć złotem oczkiem gwiazdom i znowu zaszarzą niebiosa. Po nad Wilczym ługiem, w głębokim jarze rozłożyli się obozem hajdamacy, rozniecili mnogie ognie, a po wzgórzu, po wąwozach porozstawiały się hajdamackie straże; na łące pasą się posiodłane konie, wędzidła brzęczą na werblikach; jakby tysiącami koniki polne naraz i bezustannie świrkały, chrupoczą trawę i kiedy niekiedy jeden do drugiego zarży, jakby się poznali, że z jednego tabunu, albo z jednego sioła ludzi przywieźli; a ludzie niespali, opatrywali broń, mało jedli, więcej pili, a jeszcze więcej pomrukiwali: na pohybel Lachom i Żydom. Twarze ich były pijane rzezią, postawy za rzezią dyszące, a stroje niejedne i dzikie; pośród cieni nocy, przy księżycowych połyskach, zdawali się jak czereda upiorów spieszącą na świat: po krew. W Smilanowskich lasach ta czereda chrzest śmierci wzięła i bieżała nieść mordy i spustoszenie po wszej Ukrainie.

Ale jakiż to starzec Watażką tej czeredy? siwy jak gołąb, z brodą po pas długą, z okiem, z licem, co odbłyska prawość sumienia i mimo woli garnie ku sobie serca i dzikość łagodzi; ale smutny, ponury, jak człowiek co stracił wszystko a wszystko; oprócz nadziei zemsty, wszystkiej innej zrzekł się i dobrowolnie bratał się z piekłem.

Z dala siedział od pijącej a bluźniącej czeredy, ale na nią poglądał. Poglądał jak dojeżdżacz na psiarnię skomlącą i zrzącą się między sobą; silna liczbą i siłą, na jedne podniesienie harapa, bieży tam, gdzie jej wskażą. Nie dziwił się on tej swojej władzy, nawykł do tego i dziwniejszem by mu się zdała samopaśna wola tłuszczy, jak jej ślepe posłuszeństwo. Przeszło tysiąca ludu zebrał pod swoje dowództwo i potrafił go prowadzić, nie pozwalając ani mordu, ani rzezi nigdzie po drodze. Powiedział tylko: — W Koszowatej pohulacie, ja tak chcę.

Lud ten jemu podwładny widział palące się sioła, widział współbraci skrwawionych od świeżego mordu, zbogaconych łupami, a szedł posłusznie do Koszowatej, bo u tego ludu starszego wola, to Boża wola. Nie dziwiło ich to, że ten Watażka ni razu nie krzyknął: — Na pohybel Lachom i Żydom. Nie pytali nawet, zkąd on, tylko kiedy ludzie cerkwi przyprowadzili go przed nich i powiedzieli: — To wasz Watażka. — Oni zawołali: — Żyj zdrów nasz Watażko! — Szli za nim i słuchali.

Północ dawno minęła, a Watażka jeszcze nie dał żadnego rozkazu; widno czeka czy doniesień szpiega, czy przybycia

http://rcin.org.pl

nowych hajdamaków. Pewnie nie ominie Koszowatej, jak omijał inne miejsca, bo wyraźnie powiedział: — Pohulacie w Koszowatej.

Nagle i niespodzianie przybiegł Kozak. — Lachy idą.

— Gdzie? zkąd?

— Od Koszowatej; ja daleko z tyłu ich zostawił.

— Na koń! na koń! — krzyknął Watażka. Duchem Hajdamacy skoczyli do koni i Watażka wsiadł na koń. —

Trzy chmurki nie minęły księżyca, a już ze trzysta jeźdźców skupiło się koło starego Watażki, reszcie kazał czekać, a sam wybrawszy część jeźdźców żywo sprawił z nimi w pole; ledwie pod górę wykłusowali, aż tu ukazali się Lachy, ale na widok hajdamaków zwrócili się nazad i poczęli uciekać co tchu w koniach, hajdamacy rwali się do pogoni, ale siwy wódz ręką machnął — Nazad — I oni ani kroku nie poskoczyli. Jeden lacki jeździec po zadzie bieżący, przyzostał się, jak gdyby koń mu ustawał, nareszcie zatrzymał się, zlazł z konia i tak czekał, nim go Watażka kazał zabrać i przyprowadzić.

To nie kozak, tylko szlachcic w taratacce, stanął przed Watażką.

— Ja wasz, ja chce być z wami, mam ważne rzeczy odkryć.

— Kto ty, chłop czy szlachcic?

— Ja wasz i chcę wam ważne rzeczy odkryć. —

Odjechał Watażka o paręset kroków od swoich, schylił się i rozmawiał po cichu ze zbiegiem. Hajdamacy patrzą na nich, oni się boją zdrady. Długo, długo rozmawiali, ale słówka jednego nie było słychać, choć wiatr ucichł i hajdamacy stali jakby wkopani w ziemię, nareszcie zbieg, zdrajca siadł na swojego konia i głośniej przemówił do Watażki:

— Wasz zamek, głowę stawię, ale potem ona moja.

— Twoja. —

Zbieg konia odwrócił i jechał do Koszowatej, hajdamacy spojrzeli na niego, ale spojrzeli i na Watażkę, on skinął ręką, żeby mu pokój dali, za nim rzucił wzrokiem pogardy, mruknął: — Podły, ale ja swoje zrobię — I westchnął, jakby te słowa kamień boleści zwaliły na serce i serce pod nim jęknło.

Księżyc odchylił pełną twarz, chmury gdzieś powędrowały, niebo się rozjaśniło. Hajdamacy wracali do obozu i Watażka wracał, ale czoło jego się nierozpogodziło i smutek nie wywędrował z jego lica.

---

http://rcin.org.pl

VII.

Było tobi znaty
Jak Sawu karaty.

Pieśń Ludu.

Popłoch w zamku. Pan Starosta zadyszonym koniem przybiegł ze zwiad i kozacy jego za nim. Widzieli wielkie hurmy hajdamaków, większe jak były, bo u stracha wielkie oczy, nie obzierali się, choć niestawało jednego jeźdzca, Pana Rządcę; kozacy po swojemu zagadali — Chwała Bogu, bierz do diabeł. — A Pan Starosta się tem kłopotał — Poczciwy Skandyba nie chciał mnie odstąpić. — I rozporządzał obronę zamku; on dobrze poznał, że to nie przylepki. Zażłorzeczył na pana Wojewodę: Nabroił, a na nas i skrupi się i zmiele, jemu pożytek i sława, a nam kaźń i śmierć. — I oddając cześć staropolskiej przypowiastce, przyjdzie koza do woza, wysłał wiernego pacholika do Kruto-Horbów, prosząc o pomoc teścia i sąsiadów, jeźli są jacy; nie spodziewał się, żeby który spokojnie zagrzewał miejsce w domu; jednak nie rozpaczał, miał stu sześćdziesięciu kozaków i chłopi w Koszowatej jeszcze nie zawrzeszczeli: na pohybel Lachom i Żydom.

Jeszcze i dwóch godzin nie upłynęło, kiedy zjawił się przed bramą Pan Rządzca, wpuszczono go; on opowiadał, że podjechał pod sam oboz hajdamaków — Wielu ich jest, ale zamek się utrzyma — ciszej mówił do Pana Starosty — Dla przykładu trzeba jutro z rana ukarać tego Maksyma, chłopstwo się strwoży i kozacy karniejsi będą.

— Jakże go ukarać? —

Skandyba okiem wskazał na szubienicę stojącą w środku dziedzińca.

— Nie, on mi życie zbawił. — Ale uściskał Pana Rządzcę jakby brata, a Pan Rządca wywdzięczając się temu uściskowi, poszedł szeptać na ucho Potockiego kozakom, zapewne namawiać ich do wiernej służby Panu Staroście. —

http://rcin.org.pl

Przez cały ten czas Marya trzymając dziecinę na ręku, to je pieściła, to do Boga się modliła. O! wiele, wiele razy prosiła Księdza kapelana, żeby do męża wstawił się za Maksymem; Ksiądz obiecał, przy niej siedział, na rożańcu pacierze odmawiał, a za każdem zliczeniem rożańcowego ziarnka, na sędziwej twarzy Bożego starca do wyrazu pokornej prośby, przybywał uśmiech nadziei i nadzieję budził w ludziach, co na niego patrzyli.

Czarnobrewa Marta blada, zatroskana, jak widmo jakie wałęsa się po dziedzińcu i nikt jej słowa nie mówił; szemrze ustami, ręce łamie, Maksyma woła; a kozacy smutnem wstrząśnięciem głowy jej odpowiadają.

Już brzask dzienny rozglądał się po niebiosach, kury świt dawno przepiały; kiedy czerwony płomień tuż, tuż pod zamkiem się ukazał. Czy nie słońce to ryczałtowem światłem pod zamek strzeliło? czy nie księżyc to przed zachodem jeszcze raz powrócił całą twarzą i popatrzył na zamek. O! nie słońce to, nie księżyc, tylko dom żydowski, karczma jasnym pożarem zapłonęła. I z sioła przez chwilę cichego jak mogilnik śmierci, gromkim zawrzaskiem zawyły głosy: na pohybel! na pohybel!

Z zamkowych wałów widać, jak pożar gore, słychać krechtanie belek i pryskanie iskier, słychać płaczliwe jęki, przeraźliwe krzyki i dzikie a tłumne wrzaski; widać, jak chłopstwo rozbestwione pięściami tłucze, nożami kole i drże żydowskie plemie; tam bachurem jak piłką podrzucają w górę i na noże łapią, tu nożami porą brzuch żydówce, tam zabitego żyda jeszcze włóczą po ziemi i jak psy żarłoczne pastwią się nad nim, zębami, pazurami drą martwe ciało, i co chwila ku zamkowi poglądają, wznoszą ręce zbrojne w noże, a w tamtą stronę grożą, a powietrze brzmi wrzaskiem, jakby ziemia się rozpadała, a pożar silnie bucha, jakby ziemia się zapaliła.

Rządzca patrzył na to jak na swoje dzieło, bo to on nie pozwolił żydowi do zamku się schronić; zabezpieczył go, upewnił, i w myśli powiedział sobie: jak się nie uda, już ten mnie nie wyda.

Z białym dniem od pól, od lasu ukazali się hajdamacy, ogromne ich tłumy, ale w porządku idą; wiedzie ich wódz na wronym koniu, czapkę zrzucił z głowy, siwy włos wiatr rozwija, ręką skinienia daje, a chłopska czereda jak czarodzieja jakiego słucha, rzecz dziwna, nie sunęli wprost na zamek, ale stanęli dalej, jak strzał donieść może, i czekali.

Starosta przypomniał sobie dawne czasy, kiedy pod wodzą Pana Mołodeckiego wodził na boje Wojewodzkich kozaków, krew lacka po swojemu, po rycersku w nim zagrała. Sprawiał ludzi w szyk do obrony, każdemu miejsce przeznaczył, wzrokiem łagodniejszym chciał pokrzepić żonę, synka pogładził i przed kapłanem Bożym przykląkł, prosząc o błogosławieństwo.

http://rcin.org.pl

Kapłan Boży go błogosławił i rzekł:

— Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy. —

Marya klękła koło męża, za rękę go wzięła, łzawem okiem spojrzała.

— Uwolń Maksyma, on nas ocali. —

W tem z dziedzińca doleciał pogwar dziki, głuchy, jakim po puszczach pogaduje burza przed zawrzaskiem. Starosta nie miał czasu odpowiedzieć na głos kapłana, na prośbę żony, wypadł z komnaty; zdało się jednak, że za progiem zawołał — wypuścić Maksyma.

A tam na dziedzińcu kozacy rokosz podnieśli; bramę otworzyli i sami między sobą się wadzą. Kozacy Potockiego Skandybę bronią a Starościńscy chcą jego życia. Darmo Semen do ładu woła, głosu jego nikt niesłucha. Starosta z dobytą szablą wpadł między nich jakby na zgodę; bo i jedni i drudzy krzyknęli:

— Na pohybel tobie, Panku. —

Nie na szable ale na pocałunki nożów go uchwycili.

Starosta jęknął i w jęku krzyknął — Maksym! — ramie z szablą zacisło i powalił się na ziemię.

W tejże samej chwili hajdamacy sunęli w bramę. I od strony stajni głos gromki donośny zawołał — Tu do mnie chłopcy.

Starościńscy kozacy poznali głos młodego Watażki i ku zamkowi nie skoczyli — Maksym tam z dobytą szablą w ręku sam jeden przed drzwiami stanął, a koło niego dziewica w bieli z rozpuszczonym włosem, bez broni w ręku, jak cień nieodstępna powiewała się w tę stronę, gdzie się on powionął i białowłosy Semen przy nim stanął; to on i Marta wypuścili Maksyma z husaka.

Maksym zjeżył się postawą, zaiskrzył okiem, jak zwierz przy obronie szczenięcia, podniósł szablę i czekał. Ani Starościńscy ani Potockiego kozacy nieśmieli kroku zrobić, choć z pośrodka nich głos zdrajcy Skandyby wołał:

— Naprzód, naprzód, tam skarby! —

Hajdamacy naprzód z wyciem, z wrzaskiem posunęli; Maksym i Semen szablami cięli krzyżową sztuką, w prawo, w lewo. W tem z pomiędzy wrzasku wydobył się głos — Do zamku, do zamku, przez okna.

Z prawej strony Maksyma przeraźliwy jęk imie Maksym wywołało; ciął tam na odlew szablą, spojrzał, to dziewica czarnobrewa nożem w serce dostała, w jego obronie i pod nogi mu się powaliła, z lewej strony krzyknął Semen:

— Maksymie, pani brońmy! do sieni uciekaj —:

Maksym rąbiąc, chwilkę jakąś tłum zatrzymał. Semen drzwi otworzył, Maksym tam wpadł, a stary Watażka powalił się na ziemię i chłopstwo po jego ciele sunęło za Maksymem. Do ka-

http://rcin.org.pl

plicy biegł Maksym, odtrzaskując i zatrzaskując drzwi za sobą a jego krokom wtórowały łomotanie okienic i hajdamacze powyki.

W kaplicy przy ołtarzu ksiądz w komeszce śpiewał Hymn do Boga a niewiasty na klęczkach śpiewały prośby do Ojca i Syna i Matki Dziewicy, głośno, gorąco. O! widać, jak serdecznie chcą, żeby ten głos prędzej przedarł się w Niebiosa. Między niemi Marya klęczy, ciśnie dziecinę do łona i myślą i głosem modli się, błaga, ona matka.

Maksym we drzwiach przeżegnał się i wnet się obrócił szablą ku lejącemu się za sobą tłumowi. Hajdamacza tłuszcza na widok ołtarza pańskiego, na głos Bożego kapłana, na wołanie modlących się niewiast, stanęła i mimowolnie poczęła się żegnać krzyżem świętym: Panie pomiłuj, Panie pomiłuj.

Ale jeden człowiek biegł naprzód i wołał: — Puszczajcie mnie, ona moja, Watażka dla mnie ją przeznaczył! — to był Rządzca, Maksym go powitał cięciem szabli, tak serdecznem, że mu na dwoje łeb rozsadził, powalonego nogą nastąpił, tak iż jednym pociskiem duszę z niego wyparł.

Już, nie — Panie pomiłuj, ale na pohybel, na pohybel — zawrzaskiwali Hajdamacy i sunęli się ku Maksymowi. On się bronił i stał we drzwiach. Niewiasty po ołtarz uciekały.

Marya poznała Maksyma, pierwszym popędem z dzieciną ku pomocy mu biegła, ale przez jego ramie spisa zadrasnęła dziecinę; ona zakrzyczała i matka mocniej je ścisnęła do łona.

Już kilka spis zadarło i kontusz i ciało Maksyma, kiedy głos donośny zawołał: Nazad! Nazad! Hajdamacy stanęli, a stary ich Watażka przeciskał się przez tłum.

Słychać było wołanie — Pan zły, przepadł, to i dobrze, na pohybel jemu; Pani dobra, niechaj żyje, ale niechaj zaraz wyjdzie za mąż za chłopa i to za swojego poddanego.

— Tak będzie, jak wy chcecie, powiedział Watażka. Puszczaj mnie. —

Jakieś niepojęte uczucie nakazało Maksymowi poszanowanie dla Hajdamaczego Watażki; ranny, skrwawiony, szabli nie rzucił ale od drzwi się odstąpił.

Watażka pokłon oddał przed obrazem Matki Dziewicy i do tłumu się obrócił.

— Gromada Koszowacka, kto z was z Panią chce się żenić? —

Marya przybliżyła się do Maksyma — Ratuj, ratuj!

Maksym na odpowiedź szablę podniósł i ku chłopstwu obrócił — Precz, precz — i więcej słowa nie mógł wymówić.

A chłopstwo zawrzeszczało — Na pohybel, na pohybel! pohulamy, pohulamy! — parło się jak fala rozhukanego morza i mimowolną siłą zatrzymywało się przed Maksymem. Stary Watażka oczy w niego zagwoździł, kroku naprzód nie postępywał, ani słowem, ani znakiem rozkazu nie dawał.

http://rcin.org.pl

I Ksiądz Bazylian wystąpił naprzód, otwierał usta, chciał mówić, kiedy dał się słyszeć głos:

— Czorbo, Dymitrze! —

To stary Cześnik z żoną i Topczewskim. Cześnikowa przez tłum się przecisnęła i nikt jej nie zatrzymywał; ściskała córkę, wnuka; po dopełnionych zbrodniach na Jurku, na szlacheckiej dworni Starosty, chłopstwo wpadło w osłupienie, to uczucie co zawsze zwiastuje i poprzedza targnięcie się serca na lepsze, albo na gorsze.

Cześnika twarz była ponura, groźna nawet, spojrzał:

— Moje dziecko. —

Czorba patrzał mu w oczy — Twoje dziecko żyje, widzisz; pomściłem się... zamek mojego rodu... ale ja nie mam dziecka żadnego, żadnego! — i ręką schwycił się za serce.

— Masz, masz! — Ksiądz Bazylian zawołał: — masz syna.

— Gdzie, kto?

— Maksym. —

Czorba porwał go w uściski.

— Mój synie, mój synie!

— Ja sierota, bez rodu.

— O nie! ty Maksym Czorba, mój syn, a ja ciebie niepoznałem; mój syn! o taki, taki jak ja — i przypatrywał mu się i ściskał.

— Mój ojcze, mój ojcze! — w ręce całował Dymitra. — Wszystkim łzy w oczach stały. Marya mówiła:

— Mój obrońca, Maksym Czorba. —

Po dobrej chwili Ksiądz ledwie mógł opowiedzieć zeznanie Berezy, Dymitr słuchał, ale syna z rąk nie puszczał, bał się, aby mu go znowu nieporwano.

— O Boże! Ojczyzno! przebacz, w mojej pomście i ja na ciebie się targnąłem, dawny przyjacielu; o! ja winien, winien — i rzucił się w objęcia Cześnika. Cześnik go nie odepchnął.

— Dymitrze, żebym był wiedział; biedny Szymon, biedna Ojczyzno! —

Marya z płaczem tuliła dziecię do łona — Ty sierota, biedny mąż.

— Jedźmy, jedźmy ztąd — mówił Topczewski. —

A Ksiądz żegnał krzyżem świętym.

— Żałujcie i pokutujcie, poprawcie się i służcie Ojczyźnie. Bóg wam przebaczy, pobłogosławi i późne pokolenia pobłogosławi.

Jeszcze wieczor nie zaszarzał, a już hajdamacy na cmentarzu grzebali ciała pomordowanych chrześcian; w ziemię przy dro-

http://rcin.org.pl

dze zakopywali trupy żydowskie; żal był w ich oczach, pokora na twarzy, a w sercach żądza pokuty. Watażka Czorba rzezi zakazał, a Ksiądz Bazylian słowami Chrystusowej wiary wrócił prawdę do serc Bożego ludu. Hajdamacy do domów wracali pokutować, Boga chwalić i pracować. Staroście wzniesiono wyższą mogiłę; na cmentarzu pochowano Rządzcę i Jurka, lud nie pamiętał ich grzechów a prosił za ich dusze; prosił za dusze Semena i Marty, a swojej winy ciężko, gorzko żałował. Mieszkańce wyjechali z zamku, a Atamański zamek został pustką, i ile razy wiatr z poświstem w odwiedziny do niego zawitał, tyle razy ludziom zdawało się wyraźnie słyszeć słowa: — Służcie Ojczyźnie, Bóg wam pobłogosławi.

Krwią nasiękła ukraińska ziemia, dymy pożarów porozwlekały się po stepach i po lasach Ukrainy. Lud ukraiński sotkami wiedziono na szubienicę, na kaźń.

I chłopi i szlachta gorzko płakali śmierci swoich, a nie było nikomu radości oprócz wroga. Dumni pankowie królami nie zostali, nie odebrali prawemu królowi berła; lud bezpańskości nie dostał. Tylko prawą polskę władzę na marną frymarkę puścili, a Ojczyznę matkę własne dzieci własnemi rękoma do grobu pchali.

Wdowa po Staroście z malutką sierotą w żałobę się odziali i osiedli w klasztorze nad Dniestrem, z niemi stara matka. Młody Maksym pogonił na Zaporoże, krwią mazać winę ojca ku Ojczyźnie, krwią dokupywać się własnego szczęścia.

Cześnik i Dymitr tęskno, smutno pokutowali za dawne rzeczy, a Ksiądz Bazylian pocieszał ich słowami nadziei — Módlcie się i służcie Ojczyźnie, Bóg zmiłuje się nad biedną naszą Matką.

KONIEC.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

UKRAINKI.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

TERMOŁAMA.

I.

«Drum, drum w teorbany, Panowie Guślarze, niech moja pieszczoszka poskacze sobie troszka. Drum, drum w teorbany, Panowie Guślarze, niech moja szczebiotuszka mnie staremu trochę poszczebioce.» Tak mówił stary Zachar Daszko do dwóch siwogłowych Guślarzy. Guślarze siedli na ławie, jak do uścisków wzięli przed siebie teorbany, podstroili, palcami lewej ręki przebierają po ramcu; to cisną w wiązanie strun, to palce od niego odrywają; a prawą ręką wszystkiemi palcami zadrumkali w struny i drumczą, drum—drum—drum.

Stary Daszko usiadł na tureckim kobiercu, dawnej zdobyczy wojennej; to muska biały wąs, to gładzi czerwoną kitajkę żupana, to podrzuca wyloty sinego kontusza; zdaje się, że łysina niby zakraśniała; na zawiędłej i pomarszczonej twarzy siwe oko jeszcze się iskrzy, jak u jastrzębia; czasem nogą podryguje, jakby na wtór drumkaniu. Oj! stary Daszko kiedyś był hulaszczy mołodziec, a teraz nogami ledwie włóczy, na konia się nie wdrapie i szablę przy boku nosi dla zwyczaju tylko.

Przed nim stoi dziewica, krasawica, wzrostem niewieliczka, ale liczkiem gładka, bielutka, rumieńcem kraśna, piwno-oka, czarno-brewa i czarno-włosa; a taka wiotka, taka chybka, taka milutka, jak rybka krasno-skrzela, jak pliszka świegotuszka; na niej spódnica z jaskrawej haładżyi i koszula jak śnieg biała, czerwono namerężona; fartuszek bielutki srebrem nakapany, pasik czerwony lśniący z jedwabiu; u szyi suto rzędami korale, ni bladsze, ni rumieńsze, jak usteczka dziewczynki, a na koralach krzyżyki złote, srebrne i obrazki świętych Pańskich; w około głowy, pomiędzy kruczy warkocz plecie się kraśna żyszka, we włosach tylko kilka kwiatków złoconych, buciki z czerwonego tehinu srebrem kute; na obu rękach pełno złotych

http://rcin.org.pl

pierścieni z klejnotami, ale niemasz srebrnego pierścienia świętej Barbary, daru kochanego młodzieńca. Stoi dziewica przed starcem i nie skacze i nie szczebioce, tylko uśmiechem się przymila, brwiami pomruguje i oczkiem się łasi.

— Oj doniu, moja doniu, wnuko jedynaczko, póki zdrowie, póki lata, poskacz sobie, pośpiewaj sobie, to dla ciebie.

— Dziadu mój, dziadu, niech Panowie Guślarze zaśpiewają, a ja potem zaśpiewam i potańczę.

— Hej Panowie Guślarze, dla mojej Helenki, tażeż to jedynaczka po moim nieboszczyku synie. — Potrząsł głową, skinął ręką na służbę; służba przyniosła dwie szklanice i flaszę z wódką zaprawną miodem i korzeniami: nalała. Guślarze duszkiem wypili, dłoniami otarli wąsy i usta, palcami po teorbanach drum—drum—drum i w głos pieśń zawiedli:

Za nic atłas i kitajka,
Haladżyja, kałamajka;
Za nic, za nic, złota lama,
Kiedy zalśni Termołama.

Za nic biały kwiat kaliny,
Za nic krasa u maliny;
Za nic dzionek jasnolicy,
Przy Helenie krasawicy.

Panie dziadu, my klaniamy,
Kup dziewczynie Termołamy;
Na Krym poszlij, sypnij złotem,
Pomyśl o tem, pomyśl o tem.

Drum—drum—drum i ucięli pieśń, może na odpoczynek i dalej myślą zawodzić; w tem na podwórzu psy w różne głosy zaszczekały, zaskomlały.

Wszedł Harasym, wierny kozak Daszka — Ojcze serdeczny, goście jadą.

Stary Daszko na ramię wylot zarzucił. — Ha, to jutro świętej Heleny. Chłopcy żywo: żwawo, mięsa, ryby, wódki, miodu, taj wina, południenek zastawić.

Guślarze drumkać przestali; a Helenka zwinna, lotna, rączką popieściła dziadka, w twarz pocałowała i w skok znikła z izby; już w alkierzu, już za węgłem dworu: kibicią ciśnie się do ściany, a oczkiem z ukradka na jadących gości patrzy; zwyczajnie dziewczynka.

http://rcin.org.pl

II.

Zachar Daszko Pan na całą gębę, bogacz znany po wszej Ukrainie, złoto kwartami, srebro korcami mierzy, a miedź w zasieki jak zboże sypie. Wiadomo wszystkim, jakim sposobem skarby nazbierał; diabłu duszy nie zapisał, koło roli nie ślęczał, za baj-bardzo miał gospodarkę, z deszczem też mu nie spadły te bogactwa, po prostu watażył mołodzcom Ukrainy, na pohulankach po Bisurmańszczyznie i po Moskiewszczyznie i to nie raz, nie dwa, nie trzy, tylko póki sił stało i ile razy gratka się nadarzyła. Jak sprawiedliwość i uczciwość wojskowa nakazała, oddawał cerkwi co cerkwi, mołodzcom co mołodzców, a sobie brał tylko to, co na niego działem przypadało. Przed Bogiem się korzył i cerkwi był wiernym, bez spowiedzi i rozgrzeszenia nie pożywał Wielkanocnej paschy, nie skromił się w Post wielki i w piątek; jak nie na pohulankach, to co niedziela słuchał służby Bożej; ludziom krzywdy bez szabli nie robił, a hulać z szablą i ze spisą to rzecz kozacza; za to też wszystko mu się wiodło; żonę wprawdzie stracił, ale dwie córki wydał za dwóch Lachów, wojennych ludzi, dobrych szlachty i Starostów. Syn jedynak, jak przystało na Kozaka, zginął pod Konotopami od Moskiewskiej szabli, a Pan Wyhowski kazał mu usypać osobną mogiłę, dotąd i na wieczne czasy zwać ją będą: Daszkowa mogiła. Ojcu odesłał miecz jasny i wronego konia. Synowa pobolała, popłakała i zmarła, poszła na tamten świat cieszyć męża; i koń wrony niedługo pożył; jasny miecz na ścianie wisi i wnuka szczebiotuszka po izbie poskakuje; dziewczynie Helence trzeba męża Pana, a jasnemu mieczowi chce się rycerza Pana. Stary Daszko o tem myśli, nad tem tylko sobie głowę łamie; nie raz westchnął — Bóg mnie nie pomiłował; wąs mi zbielał, wyłysiała głowa, już ręce nie do szabli, nogom nie do konia, a ja jeszcze żyję i zamrę jak djak; w czystym stepie mogiły po sobie nie zostawię. Haj, haj, Boże, tyś mi świadkiem, żem śmierci po szczeremu w oczy zazierał. — Potem inna dumka przywędrowała do myśli, bo się żegnał krzyżem świętym. — Boże, twoja wola niech się święci; daj, żebym wnuczkę, myziuczka mego wydał za mąż, ta za chwackiego mołodzca, bo dalibóg, że harna dziewczynka; daj, żebym jasnemu mieczowi znalazł wojennego Pana, bo dalibóg, że nie baby, ani dzieci nim machały. — I nie żałował groszy na akafesty, na świeczki, na ofiary do cerkiew, na jałmużny ubogim, żeby tę łaskę u Boga wyprosić.

Panowie bracia, Kozacy i Lachy, do Leszczyńskiego dworu, jak na przynętę się zbiegali; bo Leszczyn piękne, wielkie sioło, nad Hujwą rzeką; bo Zachar Daszko zamożny, szczery i go-

http://rcin.org.pl

ścinny; bo Helenka dziewczynka ma w posagu Leszczyn sioło, wszystkie dostatki Daszka, krasę i urodę i szesnaście latek tylko.

III.

Haj, haj, co tam gości w Leszczyńskim dworze, na dziedzińcu pełno kolas, bryczek i wozów, w stajni hukiem wierzchowych koni, a gościnnej służby tak się wszędzie pełno rozsypało, jak mrówek z rozkopanego mrowiska.

W komnatach, przy suto zastawionych stołach, mężczyzni i niewiasty i Lachy i Kozacy; pomiędzy tymi gośćmi byli zięciowie i córki Pana Daszka, z tuzinem wnucząt i trojgiem prawnucząt. Był Pan Kisiel Kijowski Wojewoda z żonką i z synem, już Stolnikiem Żytomirskim, a jeszcze bezżennym. Kisielowie dawni to znajomi i przyjaciele Daszka. Był tam moskiewski bojar, mianem Kniaź Szeremetów, wdowiec; po lackiej i kozaczej krainie wyszukiwał sobie żonki; było tam mnóstwo sąsiadów, pokrewnych, dzieci dawnych towarzyszy wojennych Daszka i był tam takoż jakiś młodziec, co ledwie mu zaczerniał wąsik pod nosem, a już panoszył się między ludźmi, jak siry orzeł, kiedy siędzie na stepowej mogile i dziobem zaklekocze na sokoły. Choć niebogaty, bo tylko jedno sioło Kotelnia spadło na niego po matce; choć po mieczu rodem nieznamienity, bo ojciec był po prostu sotnikiem przy Owruckim Paleju; ale po kądzieli z Atamańskiej krwi idzie; matka ostatnia była z Kniaziowień Różyńskich. Zwał się Grzegorz Brzuchowiecki i był Asawułą na Zaporożu.

Jedzą, piją, hulają: Stary Daszko z Panią Wojewodziną polskiego posunął; jak się rozchodził, rozochocił, to zbierał nogami, jak koń szpatem rażony. Pan Stolnik do Helenki dziewczynki wycinał kozaka w hołubce, w prysiudy, jak żaba okracz łaził, szczupakiem w górę się wyrzucał, obcasami aż po kłębach się walił, w lewo, w prawo głową zawijał, a krzyczał hu ha! hu ha! Helenka gładko chodzi, skocznie pląsa w tańcu. I Kniaź moskiewski wziął się w boki rękoma: jak bąk kręci się na miejscu, po niedźwiedziemu w górę się podrzuca, kręci głową, cmoka i pogwizduje; popisuje się to z barynią, to z byczkiem. Wszyscy hulają, skaczą i pohukują, a muzyka brzmi, skrzypce rypią aż w uszach rypie, cymbały pobrzękują, w bębenki bum, bum, bum, mosiężne żele brask—brask—brask, a teorbany drum—drum—drum.

Aż miło słyszeć, aż miło patrzeć, taka pohulanka; tylko jeden Grzegorz Brzuchowiecki i nie tańczy i nie hula, ale patrzy i duma.

http://rcin.org.pl

IV.

Słoneczko rankiem wzeszło i zuzula rankiem przyleciała na kalinę i kuka; po niebie białe obłoczki się wilają i chmurzą jasne liczko słońca: po Hajwie rzece, pomiędzy oczerety i sitowie, kukanie zuzuli żałośnym rozgłosem pojękuje.

Helenka dziewczynka o świcie się zbudziła, z twarzyczką zafrasowaną, z niewesołem oczkiem; musiała wiele a wiele przez noc naśnić; spojrzała po izbie, tam koło stołu pora się mamka Horpyna i układa wiązania, dary, jakiemi krewni i goście chcieli na dobrydzień powitać Helenkę.

— Oj mamko moja, co ty tam układasz?

— Byndy i chustki, kitajki i atłasy, wszystko to dary dla Helenki.

— Ale tam nie ma Termołamy, czy ty mamka widziała kiedy Termołamę?

— Dziwo, żem widziała. Pan Daszko, kiedyś za młodu, z Krymskiej wyprawy przywiózł sztukę Termołamy, co mu ją dał w podarku Pan Han Dobrodziej i zaraz umyślnym posłańcem odesłał w podarku do Polski, dla samej Królowej Imości.

— A jakaż ona?

— I czerwona i niebieska i zielona i srebrna i złota, zarazem jak tęcza w obłokach, a tak się lśkni, jak samo słońce.

— Oj mamko, duszko, ja chcę Termołamy.

— Trudno to, trudno, moja gołąbko, tego nie przedają ani w Berdyczowie, ani w Kijowie nawet; tylko sam Han, Pan Krymu i Budziaka, stroi w Termołamę swoje żonki, a czasem swoje córki.

— Mamko, duszko, ja chcę Termołamy.

— Patrz moja jaskułeczko, Pan Stolnik przywiózł rantuch ze złotolitej lamy. — I pokazała Helence piękny rantuch. —

Dziewczynka pokraśniała, zmięła rączkami rantuch, nawet dobrze nie popatrzała; westchnęła. — To nie Termołama.

— A Pan Stolnik, grzeczny szlachcic, zawsze pyta, czy Helenka zdrowa, czy wesoła, co robiła, o czem mówiła... Ale spójrzyjno moja jasna gwiazdeczko, ten Kniaź Moskiewski pięć soroków soboli przysłał; jakie włosiaste, jakie gęste. —

Helenka ani spojrzała na sobole — Co mi tam po nich, ja chcę Termołamy.

— Prawda, że ten Kniaź niełady i bardzo z waszecia patrzy i tańczy jak cygański niedzwiedź. Ale Kozaczenkowi czegoś się zachciewa, patrz moja Helenko, Brzuchowiecki przysłał srebrny pierścień świętej Barbary. —

Helenka zbladła i zadrżała.

— Nie bój się moja rybko, choć on straszny, Pan Daszko

http://rcin.org.pl

nie wyda za niego swojej Helenki; oj nie wyda. On wie, co ta biedna Kniaziówna wycierpiała z ojcem, gdyby to temu wszystkiemu wierzyć, co ludzie mówią. — Helenka coraz bardziej bladła. — Co ci jest moja łasiczko? — Pogładziła ją pod brodę, pocałowała w czoło, zwyczajnie mamka.

— Nie mamko, duszko, mnie się chce Termołamy. —

V.

Jasny dzionek, jasny, ptaki wesoło skrzydełkami trzepią; szczebiocą wielkim gwarem; tylko zuzula smutnie kuka w wiszniowym sadzie; tylko buhaj w oczerecie dziko i krótko pohukuje.

W Leszczyńskim dworze jeszcze szumniej, huczniej, weselej, jak wczoraj. Winszują imienin Helence, jedzą, piją, tańczą, a muzyka brzmi. Czegoś Helenka markotna, nieswoja, ani ją chęć bierze do tańca, ani ją uprosić mogą do śpiewu. Nie ochoczo rozmawia z Panem Stolnikiem, jak to zawsze bywało; ni razu nie parsknie pustym śmiechem, patrząc na Moskiewskiego Kniazia, co dokazuje; a kiedy napotka oczkami, ciemnosiwe oko i orle rysy twarzy Pana Brzuchowieckiego, to jeszcze bardziej, jak dawniej spuszcza kraśne czoło ku podłodze i ciężko a skrycie westchnie.

Stary Daszko pieszczotami, słowami wnukę wypytuje, co jej do główki wlazło, co jej na serce nacisnęło. Ona na wszystko mu odpowiada: — Nie dziadu, to tak sobie; ja taka jak zawsze. — I sili się na śmiech, na gadanie, a gadanie jakoś niegładnie idzie i śmiech musu nie do twarzy kraśnemu licu dziewczynki.

Stary powlókł się do drugiej izby i tam zaczął wypytywać mamki Horpyny; ta rada, że mogła, wszystko mu wyśpiewała od deski do deski. Wrócił Daszko, uśmiechał się, głową pokręcał, wąs pomuskiwał, po twarzy gładził Helenkę i niby szepnął do ucha, ale tak, że wszyscy słyszeli. — Kafli z pieca, szybki z okna — i znowu ją pieścił.

Ona rumieńcem płonie, oczki w dłoń dziada chowa i usteczkami go całuje.

Goście proszą Daszka, żeby powiedział, co to jest takiego; on niby nie chce, droży się, targuje się, a nareszcie gada.

Dziewczynka Helenka błyskawicą zniknęła z izby. Stary Daszko domawiając, tak kończył — Dawno, dawno już temu, jak mi Han Islam Giraj, okupił się tysiącem koni, tysiącem kożuchów, korcem złota i sztuką Termołamy; pięknyż to strój, tylko Królowej Imości w nim chodzić: ależ to wtenczas były inne czasy. — Pomyślał, nie powiedział: inni ludzie — tylko

http://rcin.org.pl

ręką machnął. — A teraz nie kupić Termołamy za złoto, u Hana złota nasypem; ani spisą, ani szablą jej nie dostać; u Hana hordy i dzielne i mnogie. Jak się dziewczynie zachciało, tak się i odechce. — Wy Panowie Guślarze, jakeście złego narobili, tak i złe odróbcie. No, drum, drum w teorbany.

Panowie Guślarze, na rozkaz pokwapni, zadrumkali w teorbany—drum, drum i pieśń zawiedli:

Donia kwili, prosi mamy,
Oj chce mi się Termołamy;
Termołama, taka ładna,
I ja krasna, hoża, składna.

Smutno dniowi bez słoneczka,
Smutno łące bez kwiateczka;
Smutno doni, jak u mamy,
Nie wyprosi Termołamy,

Oj, bogdaj to dawny zwyczaj,
Chciało dziewcze — chłopiec Nyczaj
Zaklął w diabła, w ojca, w mamę,
Na koń i po Termołamę.

Drum, drum i ucichli. Wszyscy nic nie mówią, dalszej pieśni się spodziewają. Dziewczynka Helenka za ścianą słuchała drumkania; przechylała główkę, rączki do piersi przyłożyła. — Oj, ja chcę Termołamy.

VI.

Na bystrej wodzie, na halawie, kaczory lśkną pierzem, jak drogiemi kamieniami, prudko płyną i dziobami cyrkają; a pod sitowiem kaczeczka pokwakuje, to w prawo, to w lewo się obraca i melk w sitowie; już jej nie ma: kaczory porwały się, latają po nad sitowiem, kwaczą; daremna rzecz, nie dla wszystkich kaczeczka, tylko dla jednego.

Pan Wojewoda i Kniaź Moskiewski jakieś długie rozhowory mieli ze starym Daszkiem. Pan Stolnik poprawia czuprynę, pokręca wąsy, postukuje obcasami, od ucha tnie koperczaki do Helenki dziewczynki, a Pan Brzuchowiecki milczy, pátrzy i duma.

Pan Wojewoda wyszedł z izby i powrócił z flaszą w ręku,

http://rcin.org.pl

pokłonił się. — Panie Daszku! gęsior gęsięciu najbliższy, najbliższy ojciec synowi; poco szukać kruka, żeby gadał za sokoły; swój za swoim najlepiej pogada. Zrzebiczka Waszeci przywabiła mego zrzebaka; albo weźcie sobie zrzebaka, albo mi oddajcie zrzebiczkę. Ot ja wam przynoszę wódeczki z mojej własnej gorzelni; czy się napijemy?

— Siadajcie Panie Wojewodo. — Doniu moja, doniu, wnuczko, jedynaczko, podaj czaszki, sprobujmy wódeczki Pana Wojewody, wszak to jego własna praca.

Helenka spojrzała na Stolnika, pokraśniała i żywo mówiła. — Dziadu mój, dziadu, nam nie pić cudzej wódeczki, mamy my dosyć swojej. — Obróciła się i pobiegła do alkierza.

Wojewoda, jak to mówią, spuścił nos na kwintę. Stolnik się zaburmusił, Wojewodzina zagryzła usta, a stary Daszko wargami prztyknął, rękę do łona przyłożył. — Bóg mi świadkiem, że jabym rad, ale ona?... może się da zrobić, poczekajmy. — Ręką machnął i czas jakiś wszyscy milczeli.

Po niejakiej chwili, Kniaź Szeremetów wyszedł i wrócił z flaszą, pokłonił się. — Ja pierwszy sobol białego Cara, przyszedł do was, po waszą łasiczkę; ja ją przybiorę w sobole futro, w czarne lisy, dajcie mi ją, a oto w gościńcu przynoszę kwasu naszego moskiewskiego, was poczęstować i waszą łasiczkę — sprobujmy — I wziął się w boki, pocmokiwał i oblizywał się.

Stary Daszko, choć markotny, uśmiechnął się trochę. — Hej Helenko, dziewczynko, wnuko jedynaczko. — I Helenka przybiegła. — Pan Kniaź chce nas kwasem poczęstować, ta moskiewskim, dasz szklanki, czy nie?

Nie zarumieniła się Helenka dziewczynka, tylko pusto się zaśmiała. — Oj dziadu, dziadu, nie pijmy kwasu, taj moskiewskiego, bo nas oskoma napadnie, bo nam się zajady porobią.

Kniaź usiadł i mruknął. — Kiedy kto moim nie rad, to ja ze swoim nazad. — A wszyscy się zaśmieli.

W tem nie ztąd ni z owąd, Panowie Guślarze drum, drum, w teorbany i pieśń zawiedli.

Panki, próżna praca wasza,
Tego będzie lepsza flasza,
I serduszko temu damy,
Kto da Doni Termołamy.

Nic więcej — drum i ucichli. Dziewczynka Helenka oczkiem zaiskrzyła, nadstawiła się, rączką machnęła. — Oj tak, tak dziadu, z tego flaszy się napiję, tego żonką będę, kto mi dostanie Termołamy. — I jak sarneczka z izby wyskoczyła.

http://rcin.org.pl

VII.

Chodzi paw po dziedzińcu, rozwachlarzył ogon, napuszył się, jakby miał pęknąć i wrzeszczy, jeść, jeść, bo ja pan. Lata kruk po nad siołem, pokrukuje i rozgląda, czy gdzie na boku nie leży kawał padła, onby to ukraść potrafił. Siry orzeł w step świsnął, co napadnie, to morduje, krwawi, rozrywa, a dziobem klekocze; póki skrzydeł, póki pazurów stanie, póty będę miał co zechcę.

Rozjechali się goście z Leszczyńskiego dworu.

Pan Stolnik wrócił do Żytomierza; ledwo wysiadł z powozu, natychmiast porozsyłał na Krym, do Stambułu i w różne Azijskie kraje, żydów, złoto, srebra nie żałował, a wołał — Tylko mi dostać Termołamy, kto mi pierwszy ją przywiecie, i jemu i dzieciom jego i praprawnukom chleba nie zabraknie; daję na to moje szlacheckie, pańskie słowo, a ja szlachcic i pan, co przyrzeknę, to dotrzymam.

Kniaź Szeremetów, przybywszy w swoje Suzdalskie dziedziny, tatarskim obyczajem, wziął nahaj do ręki i huknął na służbę. — Hej, po Termołamę, na Krym, na Tureczczyznę; jak dostać to dostać, byle dostać, a który nie dostanie, tego nahajami zaćwiczę. — I Suzdalce z psiem posłuszeństwem, z lisią wolą, ruszyli na Krym, na Tureczczyznę.

Pan Brzuchowiecki siadł na wronego konika i dmuchnął na Zaporoże do Siczy. Tam pokłonił się Panu Koszowemu. — Ojcze Atamanie, pozwól mnie młodemu pohulać sobie trochę, ot tam na Bisurmańszczyźnie.

Pan Koszowy wąs musnął, Grzegorza za seledec pociągnął. — Pohulaj sobie synu, pozwalam, zabierz mołodzców na ochotnika, tylko nie wszystkich, mnie i Siczy samych nie zostawiajcie.

Chodzi Brzuchowiecki od kurenia do kurenia, a wszędzie jedno i toż samo powiada. — Panowie bracia Mołodzce! Hej tam na Krymie, po stepach, pasą się tabuny Hana, wrone jak kruki, lotne jak sokoły; trzystaby djabłów jego zapiekło, to Bisurman!... Hej tam po zamkach Krymskich wala się srebro, złoto, kitajka, adamaszki!... Hej tam po haremach śliczne dziewczęta i mołodyce!... Panowie bracia! komu wola, za mną!... Na Boga, na Matkę Bożą poprzysięgam, w djabła się klnę, wszystko będzie nasze.

Jakiż to rejwach między mołodzcami, każdy rwie się jechać' a tu nie wszystkim wolno; na losy ciągną, spierają się, nawet nie jedna bójka się nadarzyła, ale biesiada pożegnania braterską zgodą wszystko to zapieczętowała.

Przed wieczorem trzy tysiące mołodzców wyrzuciło w górę

http://rcin.org.pl

czapkami, zakrzyczało: — Sława Bogu! cześć tobie Panie Watażko! Wiedź nas na Krym, na Stambuł, gdzie zechcesz. — Pokłonili się Panu Koszowemu, przepławili siny Dniepr; stepem spiesznym pochodem poszli ku Krymowi, a po przodzie Pan Brzuchowiecki na wronym koniku; to Zaporozkie wojsko wiedzie.

Tętni ziemia pod kopytem trzech tysięcy koni, huczy step od pieśni trzech tysięcy mołodzców. Sire orły w dzioby klekoczą i stadami za nimi lecą. Sire wilki, jak płaczki korowodem powykują i w tropy za nimi biegną, bo to te wojsko Zaporozkie Pan Brzuchowiecki na Krym wiedzie; po Termołamę — o Termołamę.

VIII.

Przed deszczem, w wodzie rybka się pluska, to pyszczkiem zachwyci powietrza, to melknie w kołbań. Od krasnego skrzela w kółka się woda rysuje i bąbelki zbiegają. Po nad wodą jaskółka zygzaki kreśli i poświegotuje. Rybce to na smutek, bo głosi deszcz, deszcz.

Nad Hujwą rzeką, na zielonym ługu, siedzi Helenka dziewczynka i duma. I mamka Horpyna patrzy to na Helenkę, to na wodę; nic nie mówi, ale takoż myśli.

Wtem nadeszła cyganka, wróżka. — Oj Panneczko, złota księżniczko, pozwól, niech ja ci powróżę. Prawdę powiem, nic nie wezmę.

Helenka z marzenia się ocknęła, uśmiechnęła się półuśmiechem, nawet brwią mrugnęła. — Powróż cyganeczko, tylko prawdę powiedz. — I dała rączkę w śniade ręce cyganki.

Mamka Horpyna ucho nadstawiła. Cyganka na dłoni rozgląda. — Oj jasna Księżniczko! oj dziewczyno kalino! Sokoł, sokolik dumki twoje zamącił i serduszko twoje do niego skacze. Sokoł, sokolik o tobie myśli i marzy, szuka dla ciebie kwiatka, a nie znajdzie. Oj dziewczyno malino i kruk za kwiatkiem lata, a nie znajdzie. Mniejsza o to, ale siry orlik, siry kwiatuszek znajdzie i przyniesie. Oj dziewczyno zuzulo, nie płacz, nie płacz. — I zamilkła, a ciągle kręci głową i wzdycha.

Helenka patrzy w oczy cygance; to rumieni się, to spuszcza czoło w ziemię, nawet westchnęła. — Cyganeczko, mów proszę do końca, a mów prawdę, dam piękny gościniec.

— Oj krasna Księżniczko, nie mogę. Oj dziewczyno jaskułko, nietrzeba było przyrzekać, nietrzeba przysięgać, bo kto przysięgnie, a przysięgę złamie, zła dola temu, nieszczęście; nie mogę. — Puściła rączkę Helenki, odwróciła się i szła spiesznie nazad.

http://rcin.org.pl

— Cyganko, poczekaj, weźże przynajmniej gościniec. — Goni za nią, daje jej gwałtem złoty pieniądz: ta nie chce.

— Oj Księżniczko złota, ty mi złota dajesz, a ja ci łzy; niech ciebie Bóg uchowa. — Smutno to wyrzekła, kiwnęła głową i poszła het w sioło. —

Wróciła Helenka do dworu, ale jakoś jej niewesoło; na serduszku ciężko, tęskno w myśli, a w piersiach duszno.

Stary Daszko gładzi po twarzy, pieści, hołubi wnukę jedynaczkę. — Doniu moja doniu! Pan Stolnik nie dostał Termołamy i zapewnie żaden nie dostanie: minęły te czasy. Haj! haj! żebym ja miał młode lata, zobaczyłabyś; a teraz — ot doniu idź za mąż za Stolnika. Pobierzcie się za mego życia, niech cię nie zostawiam sierotą na tym tu świecie.

Helenka ucałowała rękę Daszka, westchnęła. — Dziadu mój, co przyrzekłam to dotrzymam — Tego będę żoną, kto mi przywiezie Termołamę.

IX.

Oj dawno, dawno, jeszcze przed zimą, żórawie poleciały w dalekie kraje, gdzieś tam het za góry, za morza. Stajały śniegi, rozmarzły wody, napowrót ciągną żórawie, a lecą wesoło, bo ciągle pośpiewują gru — gru.

Mijały dnie, tygodnie i miesiące, a Termołamy jak nie ma, tak nie ma. Za swoje złoto Pan Stolnik nic nie dostał, żydzi i nieżydzi za złotem gdzieś przepadali, jak w bezdniach wody. Suzdalce Szeremetowa Kniazia, jak poszli tak nie powrócili, a on darmo pohukuje i nahaj w ręku trzyma.

Pan Brzuchowiecki jeszcze nie przyjechał, tylko od Seraskiera Budziaku, Tatar gońcem do Panów Hetmanów przybieżał i wołał — W imie Ałłacha i Resiułłacha was proszę, nieście ratunek, dajcie radę, bo szajtany Zaporoża po Krymie hulają, gospodarują. — Tylko Czaus wprost ze Stambułu pobiegł do Warszawy, do Króla Jegomości z wieścią: że mołodzce Zaporoża po swojemu ogniem i mieczem Krym w perzynę pustoszą.

Był to dzień wiosenny, na niebie jasno, czysto, a na ziemi maj. Nad Hujwą rzeką siedzi Pan Daszko na murawie, z kapuścianego bursztynu, z antypki cybucha, ze stambułki lulki, sułtański tytuń kurzy. Koło niego dziewczynka Helenka, a koło niej Pan Stolnik wąsaty.

Pan Stolnik Termołamy nie dostał, ale po dawnemu tnie koperczaki do dziewczynki. Helenka mile słucha, mile się uśmiecha, a wszystko już mówi — Zobaczemy, jak nikt nie przywiezie Termołamy.

http://rcin.org.pl

Wtem wpadł kozak Harasym, z łysiny mu się kurzyło, z sełedca kroplami pot cieknie, ręką wymachuje. — Ojcze serdeczny! po pod górą, po pod zieloną, wojsko idzie, a Kozacze, a takie jak za naszych czasów.

Stary Daszko na nogi się porwał i w step patrzy okiem, uchem słucha. Tam pochodem sunie kozaczych jezdźców jak ćmy, a po przodzie bieży jeździec na wronym koniu, a za nim ze trzydziestu, a wszyscy nie spisy, nie dobyte szable w ręku wiozą, ale jakieś czy tłumoczki, czy zawiniątka. Całe wojsko tak brzmi kozaczemi pieśniami, że aż po Hujwie rzece burczy, a po stepie szerokim i dalekim rozgłosem zahuczało i huczy.

Czegoż tak dziewczynka Helenka pokraśniała nagle i nagle zbladła i serduszko u niej nierównym a gęstym pędem stuk, stuk, stuk po łonie. Wszak ona Kozaczka, a to kozacze wojsko idzie.

Czegoż tak Stolnik się naburmusił, wąsa targał i nogą w ziemię tupał? Wszak on Lach, a to bracia Kozacy, synowie jednej matki Polski, ciągną.

Wojsko kozacze idzie stępo, a jeździec na wronym koniu i za nim jeźdźców trzydziestu. Widać zajrzeli, czy Stolnika, czy Pana Daszka, czy dziewczynkę Helenkę, bo konie z kopyta w cwał wypuścili, z wichrem w przegony lecieli. Jakby przez Helenkę, wszyscy ławą konie osadzili; zawiniątka rzucili jej pod nogi, wrzeszcząc — Termołama — Termołama!

X.

Haj! haj! w Leszczyńskim dworze tłumnie, szumno, huczno; jedzą, piją, tańczą, a muzyka brzmi.

Pan Daszko wnuczkę, jedynaczkę, dziewczynkę Helenkę, wydał za mąż, za Pana Brzuchowieckiego, z krwi Atamańskiej drogiej Kozactwu, przededniami Asawułą Zaporoża, a teraz Pana i dziedzica Kotelniańskiego sioła.

Helenka z rozpuszczonym włosem, z krasnym wiankiem na głowie, przybrana w spodnicę z Termołamy. O jaka ona piękna; ale i Termołama piękna. Termołama połyskuje złotem, srebem, krasą, majem, błękitem; na raz wszystkiemi barwami tęczy. Helenka niewesoła, ale chmurna, markotna, tęskna; pewno tęskni za dziewiczą swobodą; pewno przed czasem się troska o rozstanie z dziadem, bo kto wie, czy mąż gdzie nie każe pojechać z sobą: a męża wola, święta wola.

Na Pana Brzuchowieckim żupan z bieluteńkiego atłasu, kontusz z sinej sajety, pas srebrno-lity, czerwone buty, sine szarawary; przy boku turecka szabla, za pasem atagan. W ręku

http://rcin.org.pl

barania czapka z krasnym kołpakiem i z krasnym kwiatkiem. Ale on sam czegoś niesamowity, dzikszy wzrokiem, ponurszy twarzą, jak to zawsze u niego obyczaj; pewno to ostatki troski, że za białe liczko, za piwne oczko dziewczyny, opuścił Zaporoże; bo już mu teraz żonatemu nie być Zaporożcem.

Sam Daszko nawet niezupełnie rozjaśnił czoło, choć to smucić się nie jego przywyczką; jemu widno przykro, że Państwo Wojewodztwo i Pan Stolnik nie przyjechali na uroczystość; a to dawni i najlepsi jego przyjaciele.

Mamka Horpyna, w rozczyn korowaju, nie szczędziła wódeczki, żeby korowaj był wesół. Na w krzyż kosy popletła, figlikami popstrzyła. Wszyscy jedzą korowaj i weselą się, a Państwo młodzi i nie weselą się i nie jedzą.

Kiedy Helenka szła do ślubnej łożnicy, zobaczyła rantuch ze złotej lamy, dar Pana Stolnika. — Oj mamko! moja Horpyno! weź ten rantuch, niech go nigdy nie widzę i nigdy nie gadaj mi o nim. — Westchnęła z głębi serca i łezki z oczek otarła.

Kiedy Pan Brzuchowiecki żegnał braci młodzców Zaporoża; potarł czoło. — Panowie bracia! jak będzie jaka gratka, nie zapomnijcie też i o mnie; ja choć żonaty pójdę z wami na ochotnika. — Bądźcie zdrowi. — Głos mu drżał, żywo się obrócił i poszedł do młodej żony.

XI.

Dobrze to mówią ludzie: w małżeństwie pierwsze dnie, tygodnie i miesiące nawet, jak miód słodkie, jakby błyskawica szybko przelatują. Państwo młodzi nie obejrzą się, jak dzień przejdzie i nie wyglądają jutra, choć wiedzą, że to co było wczoraj, będzie dziś, będzie jutro; ta jednostajność ich nie nudzi. Oni chcą, żeby tak zawsze było i dobrze by to było.

Wrony konik Grzegorza wiosnę i lato na łąkach przehasał, jesień i zimę w stajence się pasł na obroku. Rży przed żłobem, twardą ziemię kołupie kopytami; chciałby w pochód ruszyć, a tu nie ma rady, Pan w domu siedzi; krzywa szabla Grzegorza i jasny miecz Daszkowego syna, wiszą obok siebie na ścianie, a nikt ich nie tyka. Oj, Pan Brzuchowiecki zapomniał o wojnie, zapomniał o Zaporożu, bo też Helenka mołodyca taka ładna, taka rozkoszna, że aż ha!

Helenka mołodyca stroi się w Termołamę, zapomniała o rantuchu ze złotej lamy; musiała zapomnieć i o wąsatym Stolniku; bo Pan Brzuchowiecki taki chwacki, taki mutorny i tak kocha, że aż ha.

Stary Daszko radował się szczęściem dzieci; przed końcem

http://rcin.org.pl

roku, Helenka mołodyca powiła mu prawnukę Helenkę dziewczynkę. Stary Daszko wąs muskał, kitajkę żupana pogładził: brał na kolana dziecinę piwno-oką, czarno włosą, pieścił, hołubił. — Oj doniu moja doniu, wnuko jedynaczko! wnuku mój Grzegorzu! daliście mnie prawnuczkę, dajcież jeszcze prawnuka, Bóg wam za nią zapłać. Bog wam za niego zapłaci.

Ależ niezawsze na ziemi maj; nie zawsze szczęściu ludzkiemu raj. Przyszedł koniec na starego Daszka: bez choroby, bez cierpienia, w zgodzie z Bogiem, w zgodzie z ludźmi, zmarł. Helenka mołodyca płacze, rozpacza, bije się w piersi, targa włos z pod namitki. Grzegorz choć sam smutny, żonkę pociesza i dziecina w kołysce kwileniem matkę pocieszała.

Niedość na tem, Król Jegomość, Król Polski, kazał kozakom na koń siadać i gdzieś biedz na Moskiewszczyznę; nie ma rady, trzeba słuchać, bo to Król Jegomość każe.

Siodłają Grzegorzowi konia, a Grzegorz żegna żonę.

Ona mu się uczepiła na szyi, objęła rączkami i całuje. — O powracaj, powracaj! — I dziecinę malutką do pożegnania podaje.

Grzegorz dziecinę popieścił, żonę uściskał, ucałował serdecznie. — Tylko mnie kochajcie; ja powrócę, powrócę. — Siadł na wronego, pokłonił się mamce Horpynie, kozakowi Harasymowi i całej czeladzi. Siebie i żonę i dziecinę i dom krzyżem świętym przeżegnał i pojechał.

XII.

Bieży konik stepem, bieży a szparko a ochoczo, bo do domu, tam znana stajenka, znany wodopój, tam dają złoto obrok, łzę wodę.

Po półtorarocznej wojnie na Moskiewszczyznie wracał Pan Brzuchowiecki do domu. Gdzieś daleko zostawił lupy wojenne zabrane na kniaziu Szeremetowie, a sam szparko biegł na wronym koniku, chciał z rana powinszować imienin swoim Helenkom, klął step, czemu tak długi, klął dzień, czemu tak krótki, a to nic niepomogło, bo dopiero dobrym zmrokiem dojeżdżał do Leszczyna.

Cóż to za światła tak rzęsiście złocą się przez szyby dworu, aż odbłyskują na wodę Hujwy rzeki, cóż to za ludzie tak się uwiją po dziedzińcu z kagańcami; Grzegorz patrzy, przeciera oczy, myśli: śnię, marzę.

Za kołowrotem w siole zdybał kozaka Harasyma, ale wzajem się niepoznali. Grzegorzowi głos dygotał — Panie bracie, co tam u was słychać? jakieś biesiady.

http://rcin.org.pl

— Wszystko po staremu, Pan na Moskiewszczyznie od roku zginął — Pani młoda wdowa biesiaduje sobie, a Pan Stolnik... —

Grzegorz dalej niesłuchał, konia nogami ścisnął, w czwał wypuścił, a Harasym pokręcił głową — to czort, albo zbiszony człowiek — splunął trzy razy i przeżegnał się krzyżem świętym.

Haj, haj, jak tam biesiadują w Leszczyńskim dworze. Helenka mołodyca w Termołamę przybrana, gładko chodzi, skocznie pląsa w tańcu z wąsatym Stolnikiem, umizgają się do siebie, a Wojewoda z Wojewodziną za stołem siedzą, miodek popijają i mówią do sobie — za tydzień będzie naszą synową.

W tem drzwi się otworzyły, z dobytą szablą wpadł Pan Brzuchowiecki, Helenka krzyknęła — to mąż trup, mąż upior — Stolnik do szabli się porwał, muzyka ucichła, tańce ustały.

Brzuchowiecki krzyknął — Ha, ja żyje, ja tu Pan, precz z mego domu — jak błyskawicą machał szablą w prawo, w lewo.

Wszyscy przeze drzwi, przez okna uciekają, a krzyczą — Upior, upior, wszelki duch chwali Pana Boga. Grzegorzowi pociemniało w oczach, zaszumiało w uszach, jak szalony po izbie szustał i machał szablą; niesłyszał przeraźliwego jęku niewiasty, z którym rwały się strony życia, niesłyszał konającego wołania: ona niewinna, ona niewinna.

Zmógł się, stanął, patrzy, w świeczniku jeszcze świece płoną, to taż sama izba, gdzie tak długo szczęściem się napawał i dokąd po szczęście jechał, patrzy; na podłodze leży Stolnik bez życia krwią zlany, o! jeszcze chciał trupa kopnąć nogą; patrzy, aż tam trup niewiasty przybranej w Termołamę, główka odrąbana, to Helenka mołodyca; dziko ryknął, krzesnął szablą o ścianę i wyskoczył z izby.

Na dziedzińcu kopyta końskie zatętniały, psy zaszczekały, zaskowytały i wicher zawył.

Na izbie Wojewoda z Wojewodziną podnoszą trupa syna i płaczą.

Mamka Horpyna załamuje ręce i szlocha — Oj dola moja dola Helenko, Helenko. Oj dziś jeszcze mówiła wróżka cyganka: zachowaj przysięgę, niestrój się w Termołamę.

Rozgłos po izbie powtórzył — Termołamę — dziecina w kolebce zapłakała, wołając mamę.

http://rcin.org.pl

XIII.

Czas bieży, nie stoi i ludzie się starzeją i rzeczy się zmieniają.

Dwa lata upłynęło od krwawej biesiady w Leszczyńskiem dworze, dziewczynka Helenka podrastała, już bełkotała języczkiem, nóżkami po ziemi drobiła.

Pan Brzuchowiecki został Panem Koszowym na Zaporożu, panowie mołodźce mówili — Oj krwią on kupił Atamaństwo, ale też krwi nieżałuje, szafuje nią hojnie; żyć i umierać z takim Atamanem.

Było to właśnie w chwili, kiedy Pan Brzuchowiecki, pobiwszy pod Czehrynem Jerzego Chmielnickiego, uganiał za niedobitkami po Bracławszczyźnie, po Kijowszczyźnie, po swojemu wszystko pustosząc w perzynę ogniem i mieczem.

Był to dzień świętej Heleny, po służbie Bożej, po akafeście za dusze zmarłych, mamka Horpyna i kozak Harasym z malutką Helenką wyszli na mogiłę Heleny Brzuchowieckiej, pomodlić się.

Tam koło mogiły nad Hujwą stoi kozak i trzyma dwa konie wrone, a u spodu mogiły drugi kozak klęczy i modli się, Horpyna skinęła głową — dobry człowiek niezapomina o zmarłych.

Z drugiej strony mogiły dwaj guślarze drumkali w teorbany i piosnkę nucili.

Śpi w mogile krasawica,
Nie dla ludzi krasne lica,
Nie dla ludzi piwne oczy,
Już niebłyszczą! śmierć je mroczy.

Tam w mogile chatka sobie,
Tam po smutku spocznij sobie.
Żal nam ciebie gorzka dola,
Ale taka Boża wola;

Było przestać na kitajce
Na atłasie, kałamajce.
Było siedzieć u swej mamy,
Niezachciwać Termołamy.

Struny teorbanu drumkały, drum, drum, drum, kozak porwał się z klęczek, ręką za szablę schwycił, spojrzał i zobaczył dziecinę; to ona, to ona, gwałtem porwał na ręce.

Horpyna i Harasym krzyknęli, Pan Brzuchowiecki — żegnali się krzyżem świętym.

Grzegorz dziecinę cisnął, całował i płakał, dziecina się niebroni, obejmuje rączkami szyję ojca — Ja Brzuchowiecki. Ja

http://rcin.org.pl

zabójca... moje dziecko, niech ciebie Bóg błogosławi, niezachciewaj Termołamy, niestrój się w Termołamę. Zapłakał gorzko, oderwał rączki dzieciny od szyi, pocałował, oddał ją Horpynie, żywo siadł na wronego i po swojemu kopnął w step, a wierny kozak za nim.

Horpyna szuka za mogiłą guślarzy a ich niema, a jednak zdaje się, że drumkanie teorbanów w powietrzu drumczy, drum, drum, drum. Horpyna żegna się krzyżem świętym i modlitwę w obronie od złego ducha odmawia, a malutka Helenka za ojcem płacze, za nim w step wyciąga rączęta i z płaczem bełkoce — niezachciewaj Termołamy, niestrój się w Termołamę.

---

http://rcin.org.pl

CZERWONA SUKIENKA.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Ósma godzina wybiła nie na moim, ale na sąsiada zegarze, kiedy usłyszałem stukanie do drzwi mojego mieszkania; wstaję z łóżka, otwieram drzwi; wchodzi odźwierny, ma się rozumieć nie mojego zamku, ale wysokiej kamienicy, której jestem mieszkańcem za pewną kwotę pieniędzy, wypłacaną co trzy miesiące. Odźwierny uśmiechał się, wręczając mi list: — Z zagranicy, z Polski. — Ja podrapałem się w głowę, spojrzawszy na kilkanaście sztuk miedzianej monety leżącej na stoliku. — A wiele się należy? — Nic, opłacony. — Dobry dzień — dziękuję. — I wyszedł. Spójrzałem na pieczęcie pocztowe, z Polski; odpieczętowałem, czytam. Rodak i to szanowny, bo poświęcony posługom języka polskiego, żąda powieści: to jest, abym wymyślił jakieś wydarzenie, napisał i jemu odesłał; postanowiłem zaraz pisać, trzymając się staropolskiego przysłowia, że tylko ser odkładany dobry do pirogów, a nie inne rzeczy. Myślę, chodzę, chciałem zasięgnąć natchnienia, otwieram okno; a choć bliżej nieba mieszkam, bo na piątem piętrze, rzecz przeklęta, nie widzę ani nieba, ani ziemi. Ubrałem się prędko, bo bez kamerdynera i zwierciadła i wybiegłem na ulicę; może tam znajdę natchnienie?

Tłok ludzi. Ten wrzeszczy: — Ciasteczka z Nantes! Tamten: — Stare trzewiki! — Jeden mi zastępuje drogę z taczkami: — Kup dobre melony! — Drugi tka pod nos pudło z łańcuszkami, pierścionkami i innemi fraszkami: — Panie, złoto pierwszego gatunku, za bezcen! — a żaden nie zawołał: — Mam przedmiot na powieść. Na ulicach ruch, gdzieniegdzie jeszcze otwierają sklepy, zamiatają przed domami, polewają trotuary: pomyślałem: tu nie natchnienia, ale wody na buty, albo pyłu na suknie złapać mogę: ruszyłem na bulwary, rozkoszniej odetchnąłem i oko moje zaczęło się umizgać do tysiąca rzeczy. Piękne też to te bulwary paryzkie! po bokach sklepy jak cacka wymuskane, a w układzie towarów takie kunsztmistrzostwo, iż większego widzieć nie można w przyborach zalotnicy: przechadzki dla pieszych powysadzane drzewami, a pod nogami asfaltowe płyty wygładzone jak posadzka. Tysiące

http://rcin.org.pl

ludzi spotykałem: tu przesunął się koło mnie, jak cień z tamtego świata, suchy człowiek na twarzy wybladły, jak zmoczona chusta, zsiniałe usta zagryzał i krwi wydobyć nie mógł, a oczy zapuścił ku ziemi; to kostera! ostatni grosz przegrał tej nocy, a teraz spieszy się topić w nurtach Sekwany, albo powiesić się w Bulońskim lasku; a może też, jaki rachunkowy rozum, zawiedziony w pomysłach już ukartowanych, przeżuwa w sobie skupioną rozpacz. Dalej o mało mnie nie rozstrącił młodzieniec z obłąkanem okiem, z czuprynę podartą wiatrem wzniesionym przez jego bieg, rękoma wymachiwał i sam do siebie coś rozprawiał: to pewnie być musi kochanek zdradzony lub nie spyszna za próg wypchnięty, albo pisarz bundiuczący się natchnieniami i usiłujący one zlać, skupić w jednę całość.— Spotykałem też śliczne dziewczątka w skromnych perkalowych sukienkach, w kształtnych czepeczkach na głowie, z fartuszkami przed sobą: jedne jaśniejącemi oczkami rzucały na stronę i drobniutko ale spiesznie biegły, drugie szły z wolna ze spuszczonym w dół wzrokiem; pod mszystą rzęsą widać świeże ślady łez, te zwyczajne oznaki szczęścia lub nieszczęścia, te zwierciadła, w których się odbijały serce i los dziewczątek. Spotykałem w pysznych kolasach piękne panie, w białych chustkach, jak krakowskich wieśniaczek płachty, w ozdobnych mantylach: tą razą z potrzeby nie z ciekawości zazierałem jak mogłem pod krepowe i słomiane kapelusze, strojne w pióra i kwiaty i w tych urodziwych twarzach dostrzegałem smutek, pogodę i wesołość; widać, że do ich serc, jak do serc biednych dziewczątek mają przystęp troska i radość. Widziałem starego wojaka z krzyżem na piersiach, z drewnianą kulą w miejscu nogi, jak dumnie poglądał na pomniki Napoleońskiej sławy i czołem mówił: ja się do nich przyczyniłem; obok niego stał młody huzar; junacko przewiesił dołman i patrzył to na martwe pomniki, to na pomnik żyjący; myślą podziwiał jedne, a cześć serdeczną i uwielbienie oddawał drugiemu; dalej kłusował modniś na koniu, chustając się po angielsku, jakby do reszty chciał wywietrzyć i tak już próżną głowę — o mało nie roztrącił żebraka ślepego, prowadzonego przez psa, jedynego towarzysza i przyjaciela niedoli; zdybałem kapłana Bożego, niosącego słowa pociechy chorym na duszy, i zakonnice, roznoszące jałmużny cierpiącej ludzkości; zgoła w kilku godzinach jak w kaleodoskopie widziałem dyplomatów, wojaków, ludzi słowa, ludzi czynu, rozumnych, głupców poczciwych, łotrów, szczęśliwych i nieszczęśliwych; myślą jak błyskawicą przebiegłem po ludzkiem społeczeństwie; co tu szkiców do obrazu, ale myśl moja nieposłuszna woli, z tego przeglądu nic nie wysnuła. Przebiegłszy bulwary, Elizejskie pola i wielką część miasta, wróciłem do mieszkania zmęczony i tak jakem wyszedł, z niczem, oprócz gorącej chęci napisania powieści. Zastałem list zapraszający mnie na wieczor

http://rcin.org.pl

do jednego z najznakomitszych z pomiędzy współrodaków, rad byłem z zaprosin, pomyślałem: tam znajdę natchnienie.

Był to dzień imienin autorki pięknego naszego romansu Malwina czyli domyślność serca, — tej polskiej matrony cnoty, poświęcenia się i talentu. Zgromadzenie składało się z samych Polek i Polaków; trzech Tyrolskich gorali w tyrolskich strojach śpiewało i przegrywało rodzinne pieśni. Dzika harmonia ich śpiewu obudziła we mnie dzikie uczucia: choć nie podobieństwem, ale nie wiem czem, przypomniała nasze ukraińskie dumki; pomyślałem, napiszę dziką kozaczą powieść; w tem zaczęły się tańce, pierwszy zjawił się niemiecki walec, przyznam się, że go niebardzo lubię i markotno mi było, czemu nie zaczęto od polskiego, po naszemu, po polsku; patrzyłem jednak na pary tancerzy kołujących po komnacie drobnemi kołami i jedna z tancerek, przybrana w czerwoną sukienkę, zdawała mi się, że tylko pławi się po nad ziemią, drobną nóżką ledwie dotykała posadzki, a polotną sukienką rozkosznie muskała powietrze. — Jej widok obudził stronę przypomnienia w mojej myśli; czerwona sukienka, walec, wirem mi się kręciły po głowie, gorzej byłem zamroczony jak ci, co walcowali i nic wywikłać nie mogłem z tego dziwnego przypomnienia. Po walcu stanąłem obok tancerki w czerwonej sukience, rozmawiam z nią, tańcuję nawet, choć jak to mówią, zakrawam na łacinnika w tańcu, przypatruję się jej po milion razy... Nie, nigdy jej nie znałem w kraju i nic nie słyszałem o niej, coby mogło wzbudzić to przypomnienie. — Wracając z wieczora, daleką miałem przechadzkę, usiłowałem śmiać się sam z siebie, myśl moja oszalała, szukając przedmiotu na powieść, ale jednak jakiś głos niepojęty ciągle mi szeptał: znalazłeś, czegoś chciał.

Przychodzę przed kamienicę, gdzie mieszkam, okna mojego mieszkania złocą się światłem cisnącem się z wewnątrz, nikogo tam nie zostawiłem, gości się nie spodziewałem; — stukając do drzwi z ulicy, myślę: otoż zaczyna się prawdziwa powieść. — Wziąłem klucz przededrzwiami odźwiernego, drapię się na piąte piętro, nie bez strachu jednak; nimem otworzył drzwi mojego mieszkania, po trzykroć przeżegnałem się krzyżem świętym w obronie od złego ducha, ścisnąłem rękę w kułak na przypadek łotra, wchodzę; ani kulawy diabeł, ani łotr, ale mój młodociany przyjaciel, towarzysz broni; uściskaliśmy się od serca, on mi prawi o swoich przygodach, ja pół uchem tylko go słucham.

— Co ci jest Michale, tyś słaby?

— Nie, mój Jasiu, zdrów jestem, ale patrz, i dałem mu list odebrany z Poznania, przeczytał.

— A więc pisz!

— Cóż będę pisał?

— Co chcesz, byle dużo było nadzwyczajnych rzeczy.

http://rcin.org.pl

— Gdzie ich u licha nabiorę?

— W swojej głowie poszukaj, a znajdziesz.

— Nie mogę! — I tu mu opowiedziałem o czerwonej sukience i do dzisiejszym wieczorze; porwał się z krzesła.

— Wybornie! napisz prawdę!

— Co ci jest Jasiu? ty teraz oszalałeś.

— Pamiętasz Jazłowieckiego w Bykowcu?

— No, i cóż z tego?

— Pamiętasz, jak nam opowiadał o czerwonej sukience, o walcu. — Ucałowałem mego przyjaciela: — Dziękuję ci, mój drogi Jasiu, przypominam sobie wszystko, taki rad teraz jestem, jakbyś mnie na sto koni wsadził. — I w rzeczy samej nie posiadałem się z radości. —

W nocy rozpamiętywałem, jak jeszcze roku tysiąc ośmset dwudziestego ósmego, polując w zimie w Cudnowskich lasach, zabłąkaliśmy się z tymże samym moim przyjacielem Janem Omiecińskim i zaszliśmy do małej wioseczki Bykówki, leżącej wśród ogromnych bagien i niedostępnych lasów. Wiedzieliśmy o tem, że w tej wiosce mieszka szlachcic imieniem Tomasz, a nazwiskiem Jazłowiecki; miano go w całej okolicy za Czarnoksiężnika i Znachora, a nawet niektórzy mówili, że to sam zły duch przybrany w ludzkie ciało; żył samotny i odludny, niczem się nie trudnił, a jednak niedostatku nie cierpiał, u nikogo nie bywał i nikt też do niego nie zaziérał w gości.

Dobrze sobie przypomniałem; szliśmy wydeptaną ścieżką między szuwary i gęstwiny, śnieg gęstemi płatami prószył i szeleściał po gałęziach sosnowych, wiatr głucho szemrał między konarami stuletnich dębów, ani księżyca ani gwiazd nie było widać na niebiosach. W dali powywali wilcy, a z bliska lis zaskomlał, albo spłoszony dzik zachrupotał śniegiem i zatrzeszczał łomem. Ujrzeliśmy światełko przed nami; po położeniu miejsca domniemywaliśmy się, że to Bykówka i mój przyjaciel rzekł do mnie: — gdybyśmy też zaszli do Jazłowieckiego? — ja cały zziębnięty odpowiedziałem: — zaszedłbym i do samego diabła. Przed chatą nie było psa stróża, zakołataliśmy we drzwi i natychmiast otworzył nam je człowiek, średniego już wieku, dość wysokiej postaci i zawiędłej twarzy, rzekliśmy — niech będzie pochwalony Jesus Chrystus! — a on nam odrzekł — na wieki wieków. Amen.

Poznaliśmy, że to był Jazłowiecki, ale wstyd było cofać kroku, a może też i zimno dodało odwagi.

W izbie było chędogo i ciepło, na ścianie wisiało kilka obrazów świętych pańskich, krzywa szabla i burka czerkieska: to nam powiedziało, że żyje w bojaźni Boga, a ma się w obronie od złych ludzi; w miejscu łoża stał tapczan zasłany końską skórą i barani kożuch do pokrycia, pod oknem stół i ławka. Nasz gospodarz miał czarne oczy, krucze włosy, nos orli, wąs

http://rcin.org.pl

zawiesisty i długą brodę; przybrany był w czarną świtę i szerokie szarawary, jak chłop ukraiński; uczęstował nas pieczoną zwierzyną, starym miodem, a nadewszystko sutym ogniem w piecu. Dziwiliśmy się, że przy chłopskim stroju ruchy jego i rozmowa odznaczały się lepszem wychowaniem, wielą znajomościami, a często nawet przebijała się wytworność wielkiego świata, obok dzikiego wejrzenia. Spostrzegł on to nasze zadziwienie, a dowiedziawszy się od nas, kto my jesteśmy, uzyskał przyobiecanie, że za życia jego ani słowa niepowiemy o tem, co usłyszemy i tak nam opowiadał wypadki swego życia:

— Daleko stąd, bo aż nad granicą turecką, urodziłem się roku pańskiego tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego; nie będę wam opowiadał, co mi opowiadano, jaka była radość rodziców w dniu moich urodzin: możecie sobie ją wystawić, kiedy wam powiem, że byłem trzeciem dziecięciem, a pierwszym synem możnego szlachcica, szambelana króla Stanisława Augusta, dziedzica siedmiu wsi nad Dniestrowemi brzegami, nieznającego nic droższego na tym świecie, nad rodowite nazwisko i herb swojej rodziny. Ojciec mój był szlachcic polski owego czasu, znarowiony cudzoziemszczyzną, wychowany bogobojnie i surowo, ze krwi burzliwy i porywczy; stałby się był może dzielnym mężem do korda, ale na nieszczęście dostał się do dworu Sasów, a później do Stanisława Poniatowskiego, i tam, Boże mu odpuść i świeć nad jego duszą — westchnął Jazłowiecki — obeznawszy się z cudzoziemskiemi językami, nabrawszy nałogów od obcych, naczytawszy się ksiąg ówczesnych filozofów, przestał czcić świętą wiarę, niewierzył ani w Boga ani w diabła, za bożyszcze obrał sobie honor; jemu jak złotemu cielcowi służył; nadtrwoniwszy majątku i zdrowia, wrócił w rodzinne miejsca i ożenił się z posażną panną: dla honoru nie z przekonania w chwilach upadku naszego kraju, statecznie trzymał się królewskiego stronnictwa i na list Króla pisany z Petersburga, przyjął od Cesarzowej Katarzyny ordery i urzędy: dla honoru na pozór zdawał się być dobrym mężem; ale wewnątrz pożycia domowego był surowym i despotycznym panem, nie zaś tkliwym przyjacielem; dla honoru nareszcie stokroć więcej mnie nad moje siostry miłował, jako mającego przenieść do potomności imie i herb Jazłowieckich; poddani i słudzy truchleli na jego głos i bali się jego gniewu, jak gniewu bożego; ani jeden z sąsiadów nie był mu szczerym przyjacielem, wszyscy jednak zjeżdżali się do niego w goście, bo suto przyjmował i hucznie uraczał w swoim domu; z uniżonością nadskakiwali Jaśnie Wielmożnemu Szambelanowi i Marszałkowi, bo jego wziętość u rossyjskiej Monarchini była wielką, a zatem i opieka potężną.

Matka moja wychowana w klasztorze, córka rodziców poczciwych i szanowanych w okolicy, w szesnastym roku życia wyszła z klasztoru, a w siedmnastym poszła za mego ojca; aniel-

http://rcin.org.pl

skiej dobroci, potulna, tkliwa, pobożna, prawie odosobniona od wszelkiego towarzystwa, zamknięta w domu w gronie sług i maluczkich dziatek. Bogobojnej niewieście zdało się, że taki powinien był być jej los, nie sarkała przeciw niemu, błogosławiła woli bożej i szanowała swojego męża jako danego sobie przez rodziców na ich zastępcę; czasem tylko zapłakała z cicha na osobności, kiedy się mój ojciec na nią ofuknął, dla czego tak długo siedzi w kościele, albo czemu wieczorami w późną noc się modli.

Zrobiłem wam krótki obraz życia moich rodziców, żebyście wiedzieli, jakie wrażenia odbierały moje uczucia dziecinne i jak się kształciły i rozwijały pod temi wrażeniami.

Kochałem matkę szczerze i serdecznie; ona mnie pieściła, ciągle mi mówiła o tylu pięknych rzeczach, o dobroci i wielkości Boga, o tamtym świecie, o niebie: ona mnie uczyła, że trzeba kochać ludzi i nieść im pomoc i posługę; a w dziecinnym wieku, kiedy uczucia nasze dziewicze, serca niepopsute, o! jak gorąco kochamy tego, co nas naucza kochać. Bałem się ojca wprawdzie; on mnie często głaskał, cacek i łakoci nasypem dawał, a ile razy zastał mnie na klęczkach, modlącego się do Boga, rzekł groźno: — Tomaszu, wstań! to wcale niepotrzebne dla Jazłowieckiego — Ile razy zobaczył, jak biegłem do ubogiego niejako z prośbą, aby przyjął mój datek, zawołał: — Tomaszu! rzuć co chcesz charłakowi, a niedotykaj go; tak powinien Jazłowiecki — albo kiedy w kąciku płakałem, nie mogąc od chłosty wyprosić winnego sługę, a ojciec to spostrzegł, przyszedł, wziął za rękę: — Pfe! wstydź się płakać; Jazłowiecki niepowinien mieć babiego serca.

— To sprzeczne postępowanie moich rodziców ze mną, wówczas jak i teraz całą szalę serca przechyliło na stronę matki; szanowałem i bałem się ojca, a kochałem i czciłem matkę; ojciec mój córek nielubił, ale matka moja je kochała równie jak mnie, i myśmy między sobą się kochali z całego serca, z całej duszy. Jak pacierz powszedni przychodziłem opowiadać matce wszystkie moje czyny i myśli, przed ojcem nauczyłem się wszystko taić, milczeniem odpowiadać na jego słowa, a za oczami na przekorę onym robić. —

Ledwie dziewiąty rok poczynałem, kiedy matka moja, ten mój anioł opiekuńczy, po krótkiej chorobie, porzuciła ten świat, a przeszła do lepszego — Głos stłumił się w piersiach naszemu gospodarzowi, łzy zabłyszczały w jego oczach; a twarz na pół dzika przyoblekła się wyrazem bolejącego rozczulenia, tak iż nam na płacz się zbierało; zatrzymał się trochę, westchnął, otarł łzę chrapawą dłonią i tak dalej mówił:

— Pamiętam jak dziś bladą twarz matki, gasnące oko, tylko co przyjęła od kapłana sakrament ostatniego namaszczenia — nie ludzki ale niebiański półuśmiech igrał po jej twarzy, spój-

http://rcin.org.pl

rzała w około siebie. My troje jej dzieci staliśmy koło łoża i płakaliśmy rzewnemi łzami; służebnice rzęsami dławiły łzy cisnące się do oczów — i kapłan był smutny. Ojciec mój w czasie ostatniego namazania wyszedł z komnaty chorej. Matka wzniosła mdlejącą rękę i znakiem kryża świętego przeżegnała nas wszystkich. — Błogosławię was moje dzieci — i was moi bliźni. Dziatki moje, miłujcie Boga, szanujcie ojca, kochajcie się i kochajcie, wy będziecie dobremi, bądźcie zdrowi. — Głos jej drżał i zdawał się niknąć; ująłem ją za rękę, i łkałem ze łzami — Nieopuszczaj nas mamo, jeszcze nie czas iść do Boga.

— Tomaszu kochaj, i nic więcej nie odpowiedziała; za łzami nic niewiedziałem, tylko słyszałem głośne łkania i głos ojca. — Wyprowadźcie ich. —

Trzy dni bez pamięci w gorączce leżałem; kiedym przyszedł do siebie, zobaczyłem koło łoża doktora i ojca; ojciec mój mówił.

— Wdzięczność moja będzie dozgonną, panie Konsyliarzu, ocal mu życie, to jedyna moja nadzieja, nadzieja Jazłowieckich rodu. —

Ja krzyknąłem.

— Gdzie mama, zanieście mnie do niej. —

Ojciec pogładził mnie po twarzy.

— Twoja matka pojechała, ale powróci. —

I wyszedł.

Niedługo jednak byłem w tej niepewności, siostry moje zapłakane wpadły ukradkiem: — nie mamy już mamy, mama umarła! — nie płakaliśmy, ale ryczeliśmy; to wylanie się żalu, ta głośna rozpacz skuteczniej działały na moje uzdrowienie niż leki doktora; długi czas ciągle rozmawialiśmy o matce, o jej chorobie, o jej śmierci; wypytywaliśmy się o najmniejszy szczegół pogrzebowego obrzędu, płakaliśmy i smuciliśmy się na przemiany; ale w dziecinnym wieku pociecha idzie w ślad za rozpaczą, zostają tylko wspomnienia, które potem jak dawne znajome od czasu do czasu przychodzą nawiedzać człowieka i lać w jego serce napój smutku, po już przecierpianych cierpieniach.

Wywieziono nas do drugiej wioski; dla mnie przyjęto za nauczyciela jakiegoś francuza z kondeuszowej armii, jak powiadano pisarczyka któregoś tam francuzkiego pana, a jak on mówił: przyjaciela i adjutanta Księcia Monako, kapitana regimentu królewsko normandzkiej jazdy. Mój ojciec wcale w to nie wchodził, dość, że był cudzoziemiec, nie Polak, słowa po polsku nie umiał. z wiary świętej się naśmiewał, przytaczając często imie Woltera, nie zaś jego pisma. Dla moich siostr sprowadzono nauczycielkę czyli ochmistrzynią, także francuzkę, która jak potem dowiedzieliśmy się, za młodu włócząc się za jakims oficerem, przebiegłszy różne koleje losu, dostała się na

http://rcin.org.pl

garderobianę do pewnej sławnej aktorki, koczującej po Europie; a kiedy jej pani została urzędową kochanką starego Polaka, senatora w Petersburgu, ów senator dawny znajomy i jak się mienił przyjaciel mojego ojca, przysłał garderobianę swojej kochanki na nauczycielkę moim siostrom, pisząc, że to nieoszacowany skarb, niespodziewane szczęście, i mój ojciec cieszył się tem szczęściem, tym skarbem; przytem przyjęto nauczycieli tańców, muzyki, rysunków, a dla mnie fechtunków i jeżdżenia na koniu. O nauce Chrystusowej i moralnej, o dziejach i języku polskim niezapomniano; ale mój ojciec ciągle powtarzał — To niepotrzebne dla Jazłowieckich, panny jak się nauczą po francuzku, grać i tańczyć, to znajdą mężów, bo będzie też jaki taki posag. Tomasz będzie miał siedem wsi i imie Jazłowieckiego; przy wychowaniu światowem zrobię go kamerjunkrem: jak będzie potrzebował, zą pieniądze znajdzie polskiego pisarza, z resztą ładniej po francuzku i mówić i pisać; co do dziejów polskich i Chrystusowej nauki, to teraz tak potrzebne dobrze wychowanemu człowiekowi, jak umarłemu kadzidło.

Słowa ojca, które wam powiadam, były prawidłem naszego wychowania: nie będę wam opisywał, jakim tokiem szło to wychowanie i jakie postępy robiliśmy w owych światowych naukach, widzicie tego codzienne przykłady w domach możnych panów i zamożniejszej szlachty naszego kraju. Starsza moja siostra Maryanna, dobra, pobożna, łagodna jak nieboszczka matka, we trzy lata po śmierci matki umarła z suchot; żałowałem szczerze, bo ją szczerze kochałem. Młodsza siostra Katarzyna i ja postępowaliśmy szybkim krokiem na drodze owego wychowania modnego; ona nabrała wszystkich narowów nieznośnej pani i zalotnej panny; a ja stałem się modnisiem, zniewieściałym, nudnym dla siebie, nudniejszym dla drugich, pragnącym każdej rzeczy nie mojej, a odtrącającym, skoro do mnie się dostała; jednej i tejże samej chwili uparty i gadziną ciskający się w oczy temu, ktoby chciał zaporę położyć mojej woli i znowu lękliwy, bez woli, jak wosk miękkiej duszy, dawałem się giąć i kształcić każdemu, kto tylko chciał się podjąć tej pracy; jednak to przyznać muszę, iż miałem serce i wiarę; z temi dwoma rzeczami, człowiek nie jest jeszcze pasożytnem zielem dla ludzi, zaskorupionym płazem dla siebie. Ale te moje zalety tak zagłuszyło wychowanie, iż trzeba było długiej i niezmordowanej pracy, albo szczęśliwego trafu, żeby je wydobyć. Mój ojciec, który do słabości, jaką miał dla mnie, mieszał cierpkie, rozkazujące i samowładne postępowanie, nie chcąc byłby może wydobył dobre z mojego serca, albo przynajmniej nadał hart mojej duszy.

Pamiętam raz, Grzegorz, stary kamerdyner mojej matki, będący przy mnie, przywilejem zasłużonych sług, wyrzucał mi moje dumne obchodzenie się z ubogim krewnym, szukającym

http://rcin.org.pl

pomocy mojego ojca, i dodał — coby na to nieboszczka Imość powiedziała — to wspomnienie matki dało mi uczuć mój błąd, byłem rozczulony; w tem drzwi się otworzyły i wszedł ojciec z okiem zaiskrzonem gniewem, wzniósł laskę i chciał ją uderzyć Grzegorza, ja migiem skoczyłem i stanąłem między ojcem a Grzegorzem:

— Ojcze, on nic nie winien! kiedy chcesz, to mnie uderz! — i widać było na mojej twarzy silną wolę; ojciec spuścił laskę i wyszedł z pokoju, słowa nie rzekłszy, a Grzegorz spojrzał na mnie:

— Paniczu, Jegomość się rozgniewał — i mnie się przypomniały słowa umierającej matki: szanujcie ojca! —

Zerwałem się i pobiegłem do ojca, ze łzami w oczach. On mnie przyjął zimną, zwyczajną twarzą; ja go błagam o przebaczenie, wywnętrzam przed nim uczucia mego serca; on mi obojętnie odpowiedział:

— Tomaszu, bądź stosowniejszym w twojem postępowaniu, z niższymi od siebie nie rozmawiaj tylko im rozkazuj — opadły mi ręce, zaschły łzy w oczach i w tej chwili uczułem, że mam wolę postępować podług własnego uczucia, nie podług suchych rad ojca; prawda, że to uczucie samodzielności krótko, przelotnie trwało; ale podobne wydarzenia z ojcem, które nieledwie się codzień powtarzały, byłyby mnie prędzej zrobiły człowiekiem woli i serca; lecz zbieg okoliczności inaczej zrządził. —

Szesnaście lat skończyłem, kiedy się zjawił w domu mego ojca kurlandzki baron Ajdenbaum; wywodzący swój ród od mistrzów mieczowego zakonu, a mieniący się być właścicielem obszernych włości, starych zamków i urzędnikiem dyplomatycznym rossyjskiego dworu. Urokiem światowego wychowania i błyszczącym szychem swoich wiadomości baron opanował zupełnie umysł mojego ojca. Moja siostra zachwycała się przymiotami barona, tak jak każda młoda kobieta, lubiąca pochlebstwa z ust pochlebcy cenionego przez siebie, cenionego przez modny świat. Dla mnie baron stał się Mefistofelesem i pożądanym przyjacielem zarazem, oburzałem się na jego postępowanie, wstręt czułem ku niemu i po chwili szukałem jego społeczeństwa i z chciwością połykałem niejako uchem jego rady; pochodziło to z wielkiej zręczności barona i z tego, że mnie ojciec odosobnił od sąsiedzkiej młodzieży, moich rówieników. Baron był moim przewodnikiem w przejażdżkach za granicą i nieodstępnym towarzyszem tych drogich chwil złotej młodości, w których dusza wymyka się z krainy młodocianych marzeń i już zaczyna przeglądać po obszarze męzkiego rozpamiętywania; wtenczas to często zdarzają się godziny, w których jakby z Boskiego natchnienia szukamy przyjaciela z sercem i z wiarą, wołamy, przybywaj nam z radami ku pomocy. Szczęśliwy, kto go się dowoła i ja wołałem: baron przybywał, ja go brałem za

http://rcin.org.pl

tego pożądanego przyjaciela, odkrywałem przed nim moją duszę, mówiąc: rób z niej złoto, a on ją brudził i kalał błotem.

Raz w Karlsbadzie dowiedziałem się, że w tym samym domu, gdzieśmy stanęli, mieszka uboga kobieta; jedyną podporą jej była siostrzenica, siedemnastoletnia dziewczyna, ładna i cnotliwa: ubóstwo tam było wielkie, ale obok ubóstwa zamieszkało szczęście; siostrzenica była wesołą z pełnienia powinności, ciotka szczęśliwa miłością i poświęceniem się siostrzenicy. Widywałem często panienkę, ale nieśmiałem do niej nic więcej mówić, jak dobry dzień, dobry wieczor, piękna pogoda i t. d. Kupowałem od niej różne robotki, ale nigdy więcej niechciała przyjąć nad wartość; mówiłem baronowi z zapałem o cnocie i poświęceniu się niewiast, on chciał przeczyć ich istnienie; oburzyłem się a on zamilkł i mnie potakiwał. W piętnaście dni później baron był szczęśliwym kochankiem biednej dziewczynki i ta nieszczęśliwa dla niego była gotową opuścić swoję ciotkę. Wtenczas on mi rzekł z kolei: — Tomaszu, w twojej głowie istnieje tylko poezya dobra, ale na świecie jej niemasz; za garść złota kupiłem cnotę i każdy ją kupi, kto chce — W chwili uczułem dreszcz po całem ciele, ale milczałem i nieśmiałem nieprzyznać wyższości zdania barona nad mojem, bo jego zostało poparte czynem, moje spełzło na marzeniu samem.

Drugi raz poznałem w Wiedniu Włocha, świetnego rodu, ale bez pieniędzy; był to miłośnik sztuk pięknych; moja młoda wyobraźnia polubiła jego rozmowy, a wkrótce jego samego. Mój worek stał się jego workiem, nawet dwa razy pojedynkowałem się za jego sławę; uważałem, że baron milczeniem naśmiewał się z mojego zapału do przyjaźni, chociaż zdawał się sam być przyjacielem Włocha; w kilka dni później Włoch pożyczył u mnie pieniędzy, zaprosił na wieczor mnie z baronem, upoił i wygrał u mnie trzy tysiące dukatów; tyle zaś nieufności pokazał, iż musiałem posyłać po pieniądze do mojego mieszkania: to postępowanie jego obraziło mnie, zapłaciłem i wyzwałem na pojedynek, ale nazajutrz z rana Włoch ukradkiem wyjechał, a baron powiedział: wieluby na jego miejscu to samo zrobiło — W tym razie barona nie winiłem, ale straciłem wiarę w przyjaźn.

Nareszcie odezwała się w mnie miłość Ojczyzny i rodzaj uwielbienia dla Napoleona; baron pochwalał i jedno i drugie, ale zaprowadzał mnie do towarzystw, gdzie nago okazano mi dumę Napoleona i nieszczęście Polski, wiążącej się do jego sprawy. Opowiadam wam te szczegóły, aby pokazać, jak koleją zamierały we mnie najpiękniejsze uczucia i jak ciągłem zawodzeniem się moich marzeń, traciłem wiarę, a tem samem samodzielność; niemiałem ufności w moich zdaniach, nieśmiałem ani objawiać, ani polot dawać moim uczuciom. W ośmnastym roku byłem czczym modnisiem, niejako wertepową lalką; w chwilach

http://rcin.org.pl

samotnego rozmyślania, kiedy poezya duszy poczynała snuć swoje marzenia, pogardzałem baronem, nienawidziłem go; ale jak tylko wracałem do społeczeńskiego życia, znowu szukałem barona i jego rady wiodły mnie, jak smycz myśliwca posłusznego charta.

Wieść o moim powrocie z zagranicy jak szalona gruchnęła po sąsiedztwie; wszystkie panny palały ciekawością widzenia mnie, a ich matki i ojcowie gorąco życzyli mieć mnie gościem w swoich domach. Czyż niemiałem zalet? wrócił z zagranicy, będzie dziedzicem siedmiu wiosek i potężnej ilości pieniędzy w gotowiznie. Hrabina Dzieduszycka, bliska krewna mojej matki i jej jedyna przyjaciółka, żyjąca w nieporozumieniu z moim ojcem, teraz się pogodziła i miała obchodzić uroczystością dzień imieniu mego ojca, a razem mnie okazać ciekawemu sąsiedztwu. Przyznam się, że to zdarzenie zaczęło mi przypominać dziecinne lata, moją matkę i w mowie okazywałem wyraźnie to uczucie przypomnienia: baron to spostrzedł i jakby z niechcenia rzekł: — Pani hrabina ma dwie córki na wydaniu, Pan Tomasz Jazłowiecki pożądany na zięcia, pokrewieństwo nie przeszkadza zamęściu, za pieniądze pozwolenie łatwo uzyskać się może. O i któraż matka dla tak pięknej nadziei niezapomniałaby urazy, nie pogodziłaby się z najzaciętszym nieprzyjacielem. — Nawykłem uważać podobne słowa barona jak proroctwa, ułuda przypomnienia ustąpiła miejsca smutnej prawdzie: że na tym świecie wszystko dla samolubstwa, nie zaś dla innej szlachetnej pobudki się robi; jechałem tedy na uroczystość, nie jak syn Jazłowieckiej, do jej jedynej przyjaciółki, ale jak modny człowiek wielkiego świata, do hrabiny mającej córki na wydaniu.

Ojciec z siostrą pojechali na obiad do hrabiny, my zaś z baronem dopiero samym wieczorem. Przybrany byłem w czerwony maltański mundur; zapomniałem wam powiedzieć, iż w szóstym roku mego życia już byłem maltańskim kawalerem; miałem już wiele wprawy, jak trzeba znachodzić się w wielkim świecie; przytem baron całą drogę mi klekтał na ucho, że na parafii trzeba mało mówić, nietańczyć wcale, albo przy końcu; pokazywać ciągle, że się jest znudzonym, roztargnionym i że się ma za mniej jak nic to parafiańskie zgromadzenie. Już się zaczęły tany, kiedyśmy przyjechali. Po powitaniach, przedstawieniach, przypomnieniach i długim łańcuchu tym podobnych ceremonii stanąłem gdyby filar pod ścianą, uśmiechałem się z niechcenia, po francuzku odpowiadałem tym, co do mnie przychodzili i z baronem szeptaliśmy po cichu o różnych spostrzeżeniach; we wzroku mego ojca widziałem, że rad ze mnie, a w około siebie słyszałem mnogie głosy: — jakże dobrze jest ten młody Jazłowiecki. — W tem przyszła Pani Dzieduszycka i ze zwyczajną sobie dobrocią rzekła: — jakżem ja szczęśliwa

http://rcin.org.pl

widzieć Pana Tomasza, tak mi przypomina swoję matkę; — usposobiony byłem do tego przypomnienia, serce moje skoczyło ku niej, matka stanęła mi przed oczyma; byłbym się rzucił jak dziecko do rąk hrabiny i mówił z nią o tych błogich upłynionych czasach, ale hrabina z obowiązku gospodyni musiała odejść, prosząc mnie, abym tańcował; ja, dziwna istota z chceniem, a bez woli, czułem, jak sztywność mody odleciała precz odemnie, chciałem prosić w taniec jednę z Panien Dzieduszyckich, kiedy posłyszałem za sobą rozmawiających kilku z młodzieży:

— Czerwono się przybrała jak rak, a nikt jej do tańca niebierze.

— Ba, jeszcze czego, ani złamanego szeląga niema posagu.

— Tyle świec i wosku, co na niej.

— Bóg wie, zkąd się tu wzięła?

— Ojciec jej, jak powiadają, był Kościuszkowskim chorążym.

— Widzisz go, wielkie rzeczy.

— Po co to Pani hrabina takim figurom daje wstęp do swojego domu.

— Można jej powiedzieć: siedź grzybie, aż cię kto zdybie.

— Na klucznicę nie mówię, ale na żonę żaden dobrze urodzony Pan jej nieweźmie. —

Te rozmowy oburzyły mnie, a nauka matki — kochaj bliźnich — owładła mnie całkiem; mój zły duch baron był daleko odemnie, spojrzałem po komnacie i spostrzegłem w kąciku siedzącą Panienkę w czerwonej sukience obok niewiasty już podeszłego wieku; twarzy jej nie niemogłem dostrzedz: czy one umyślnie szukały tego kąta, czy też światło, trzymając z ludźmi, od nich stroniło.

Właśnie zawołano na muzykę: walca! — Roztrącam ludzi, wywróciłem parę krzeseł, zaczepiałem o garnirowania sukien, panien które na pół powstawały, sądząc, że je myślę prosić do tańca. Przychodzę przed czerwoną sukienkę, proszę do walca, ona wstaje, biorę ją za rękę i wprowadzam w koło tanów; ani widziałem, ani słyszałem, co się w koło mnie działo, utopiłem wzrok w moję tanecznicę: jakie piękne szafirowe oko, błyskało nie ziemską ale niebiańską słodyczą, ciemna brew mszyła się jak aksamit, a rzęsa, jak obsłona dziewiczej wstydliwości, spadała na nagą piękność oka, blady rumieniec pociągał się po białem licu; uśmiechała się urokiem wdzięku: kibić, plecy, szyja, ręka, noga, cudne były; włos jak len złotowy, lśniący się, kędziorami spadał i pieścił gładką twarzyczkę; to był anioł! Pamiętam, jak gdybym dziś ją widział, tę czerwoną sukienkę i każdą białą wstążkę jej garnirowania i białą kryzę u piersi i grzebyki w włosach. Pamiętam każdy włos jej kędziorów i pomnę o tem wszystkiem, jak o jedynej rozkoszy mojego serca.

http://rcin.org.pl

W walcu oko w oko jej patrzałem, mojemi ustami chwytałem jej oddech, moją ręką czułem bicie jej serca; w pół ujmowałem jej kibić, jej suknia muskała moje kolana, a malutka stopka jakby polatywała nad moją nogą; patrzyłem na rozkraśniający rumieniec, na wznoszącą się i opadającą pierś; wiotka jak gałązka wierzby, lekka jak puch, obracając się, ani czułem jej na mojem ramieniu; zdało mi się, że kołuję po niebieskiem sklepieniu, z aniołem, albo z czarodziejką wietrznicą; a brzmienia muzyki zdawały się memu uchu śpiewem harmonijnym niebieskich istot. O! tak walcować chciałbym całe życie... wieki.

Muzyka ucichła, taniec się skończył, a ja jeszcze moją tanecznicę miałem przed wzrokiem myśli i myślą z nią walcowałem. Z tego miłego snu obudził mnie baron. — Mój drogi, twój ojciec mało ze wstydu nie umarł; powiedziałem staremu, że tak modnie..., uwierzył, i teraz wszystkim opowiada dziwne zwyczaje teraźniejszej mody. — Podziękowałem Baronowi, uścisnąłem mu rękę tą razą szczerze, serdecznie i pobiegłem zamówić do mazurka czerwoną sukienkę, bo nie wiedziałem, jak się nazywa; ledwiem zdołał uprzedzić kilkunastu młodzieży biegnącej z tą samą prośbą. Czerwona sukienka nagle weszła w modę, młodzież mówiła między sobą:

— Młody Jazłowiecki, kawaler maltański, niedawno przybyły z zagranicy, tańcował z nią pierwszą.

— Stary Jazłowiecki i Baron powtarzają, że to modnie.

— Tańcujmy z nią, bo to modnie, z resztą przystojna dziewczyna.

— Co ty powiadasz, przystojna, wykończenie piękna.

— A jaka zgrabna.

— A jak zna świat.

— Ojciec jej to był człowiek zasłużony ojczyznie.

— Powiadają, że ma bogatego stryja bezżennego w Warszawie. Oho! Pani Hrabina wie, z jakich osób składać swoje towarzystwo. —

Kobiety i Panny może w duszy mnie klęły, ale żadna nie śmiała ani twarzą, ani słowem tego okazać, bo to było modnie; z cicha do siebie szeptały, to dziwna taka moda, a każda pragnęła doczekać się kolei takiej mody i dla siebie.

W mazurku rozmawiałem z nią, w rozmowie co skromności, co dobroci, co niewinnego dowcipu i szczerego uczucia! Powtarzam jeszcze raz, to był anioł, nie ziemska istota. Siła pociągu w słowach i uśmiechu, nic przesady, tak iż byłem z nią jak z dawną znajomą, pragnąłem jednak, a nie śmiałem zapytać o jej nazwisko i gdzie mieszka, obawiałem się, aby jej tem przykrości nie zrobić, bo rozmowa młodzieży, słyszana przed walcem, tkwiła mi w uszach.

Po mazurku, od jednego z dobrze mi znajomych sąsiadów dowiedziałem się, że się nazywa Paulina Zagórska, córka chorą-

http://rcin.org.pl

żyny Zagórskiej, owdowiałej po mężu zmarłym przed kilku laty z ran odniesionych pod Szczekocinami, mieszka w Jampolu, gdzie jej matka posiada dworek, trzech chłopów poddanych i kilka włók ziemi całego majątku. Rodzeństwo składało się z niej, ze starszej siostry ciągle chorej i z brata służącego w Polskich Legionach. Ojciec jej, Pan Chorąży Zagórski, służył w Konfederacyi Barskiej i w wojsku Tadeusza Kościuszki, razem z nieboszczykiem Dzieduszyckim; dla tego Pani Dzieduszycka była niejako opiekunką tej niezamożnej rodziny. Po tem dowiedzeniu się przedstawiłem się Pani Chorążynie Zagórskiej i prosiłem o pozwolenie złożenia mego uszanowania w jej domu. Chorążyna odpowiedziała bardzo grzecznie na moje żądanie, dostrzegłem jednak na jej twarzy, że obok wdzięczności za pochlebienie macierzyńskiej dumie, przez moje postępowanie z jej córką, usiadła obawa, czy te wszystkie grzeczności młodego Panicza, według mniemania uboższej szlachty, zepsutych obyczajów, bo wracającego z zagranicy, nie są sidłami na zgubienie ubogiej a cnotliwej dziewczyny.

Przez resztę tańcującej nocy nie dobrze mi było, kiedy Paulina z kim innym tańcowała; smutek mi ogarniał serce, gdym widział, że ręka pięknej tanecznicy nie w mojej ręce, a po raz pierwszy złość mnie porywała na zuchwałego tanecznika, co się poważył z nią tańczyć, ale znowu smutek i złość przemijały, kiedy przyszła na mie kolej tańcowania z Pauliną; byłem szczęśliwy i wesół. W chwili rozjeżdżania się ja wyprowadziłem do powozu Paulinę i jej matkę, otulałem nogi Pauliny, błagałem, aby się osłaniała od rannego wiatru; taki byłem troskliwy, jakby ona już do mnie należała; po stokroć razy ją żegnałem i długo a długo wzrokiem goniłem za skromną bryczką o dwóch resorach, ciągniętą trzema końmi mierzynami, bo w tej bryczce znachodziła się czarodziejka, która się objawiła wzrokowi moich oczów, wzrokowi mojej duszy.

Powiedzieć wam, jakie uczucie na mnie sprawił widok Pauliny, natoby mi słów zabrakło: miałem wówczas ośmnasty rok, wyobraźnię rozognioną zapałem młodocianej duszy i serce potrzebujące kochać i być kochanem; od tego wieczora pokochałem Paulinę, jak nigdy człowiek więcej kochać nie może; o niej śniłem w nocy, o niej marzyłem we dnie. Żarty Barona, uszczypliwe słowa siostry i milczenie często nawet ponure ojca, tą razą nie studziły mojego zapału, ale rozżarzały uczucia serca.

Po kilku dniach pojechałem do Jampola, ma się rozumieć wprost do Pani Chorążyny. Serce mi mocno biło, kiedym wjeżdżał do miasta, a kiedym się zbliżał do skromnego dworku, zarazem mi się zrobiło i słodko i trwożliwie, i tęskno i lubo. Nie pamiętam, com mówił wszedłszy, wiem tylko, że nie to, com sobie układał mówić przez ciąg mojej drogi. Chorążyna mnie przyjęła grzecznie, ale z powagą, nie z tą skwapliwością matek,

http://rcin.org.pl

mających córki na wydaniu. W domu było skromnie, nie bogato, ale wszystko przybrane z smakiem i nadzwyczajnie chędogo. Wkrótce nadeszła Paulina w płócienkowej sukience, ozdobna żywym rumieńcem i błyszczącem okiem; taka była piękna wtenczas, jak na uroczystości u Hrabiny, a może i piękniejszą, bo moje oczy co chwila nowe wdzięki w niej odkrywały; w pierwszym momencie jakaś nieśmiałość plątała się po naszej rozmowie, ale wkrótce znikła, jak te białawe mgły wiosny przed złotem obliczem słońca, które się coraz wyżej a wyżej posuwa. Rozmawialiśmy nie tak, jak z owemi modnemi paniami, co się to mówi o wszystkiem a o niczem: rozmowa z Pauliną od niczego przyszła do wielu rzeczy; jaki nieprzebrany skarb poezyi uczuć w jej duszy! O! jakże mi błogo przeszedł ten dzień: od dziecinnych lat, od śmierci matki nie zapamiętałem takiego dnia szczęścia. Wszystko tam było dobre, czarowne, piękne, bo Paulina tam była; przyjechałem zakochany, a rozkochany odjechałem.

Nowe życie się dla mnie zaczęło, raj miłości przedemną się otworzył; ja kochałem, a Paulina tylko grzeczną była dla mnie, i ta niepewność, czy jestem kochanym, zdwajała moje zabiegi, hartowała wolę i niejako wyswabadzała mnie z pod szatańskiej władzy Barona. Jeździłem ciągle do Jampola, ojciec mnie ani pytał, co robię, tylko zajmował się przyszłem zamęściem mojej siostry z Baronem i wyprawieniem mnie do Petersburga po urzędy, a jak on myślał, po żonę. Nie będę wam opowiadał tych wszystkich drobnostek miłości, potężnej wagi w oczach kochających się, ale śmiesznych dla tych, co na nie patrzą, i dla tych, co o nich słuchają. Paulina do piękności ciała łączyła piękność duszy; była jedyną podporą starej matki, pociechą i opiekuńczym aniołem słabej swojej siostry Heleny; słudzy ją miłowali, a ubodzy jej błogosławili. Słodka, pobożna, dobroczynna; ciągle powtarzałem w myśli: taka była moja matka; milion milionów razy ucałowałem jej ręce, milion milionów razy powiedziałem, że ją kocham, uwielbiam, ubóstwiam, nimem niejako gwałtem wydobył z jej ust: — I ja ciebie kocham! — O! wtenczas szczęście moje było nie do pojęcia, nie do zrozumienia; nie wiem, czy może takiego szczęścia doznawać błogosławiona dusza w niebie. Dłonią swoją z lekka ścisnęła moję rękę; lubo, rozkosznie mi było, w ówczas przysięgliśmy sobie przed Bogiem, przed cieniami jej ojca i mojej matki, wieczną miłość, wieczną wierność. Od tego dnia świat był dla mnie takim pięknym, ludzie tacy dobrzy, bo wszystko na com patrzył, złociła miłość Pauliny; chciałbym był oburącz siać szczęście między ludzi i wszystkie twory, a jednak i moje szczęście nie długo trwało.

Nie zapomniałem jeszcze, był to dzień Październikowy, za dwa dni miało być wesele mojej siostry z Baronem; z rana

http://rcin.org.pl

chłodny wiatr dął od północy, wziąłem burkę na siebie, siadłem na koń, a nie mając innego towarzysza tylko płowego charta Dolota, puściłem się do Jampola; przez całą drogę czarne kruki ponademną się pławiły, koń, choć rączy i pewny w nogach, kilka razy utknął i nie rwał się do biegu, jak to było jego zwyczajem. Zastałam tylko samą Chorążynę, pytam, gdzie jest Paulina? Ona mi odpowiada, że wyjechała na kilka dni z domu, a po krótkiej chwili rzekła: — Panie Jazłowiecki! Pan wiesz, że mu sprzyjam i po moich dzieciach pewnie nad Pana lepiej nikomu nie życzę; nie urodzenie, bo mój mąż był równie szlachcicem, ale majątek i dzisiejsze znaczenie Pańskiego rodu położyły nieprzełamaną tamę między nim a moją córką. Ojciec pański nie pozwoli nigdy na ten związek; wiem o tem, że się kochacie, ale trzeba przerwać tę miłość. Pan znajdziesz pociechę w wielkim świecie, a moja córka ulgę żalowi w pełnieniu powinności względem Boga, względem mnie. — Zerwałem się z miejsca. — Ojciec mój pozwoli, musi pozwolić! ja będę mężem Pauliny, zięciem Pani. — Ona mi nic nie odpowiedziała, ale smutnie się uśmiechnęła, jak lekarz robiący nadzieję umierającemu suchotnikowi. Wracając do domu, po raz pierwszy zastanowiłem się nad trudnością przełamania woli ojca, ale nadziei nie traciłem, i jak każdy młody człowiek zakochany, mówiłem: jakoś to będzie.

Szukałem sposobności pomówienia z ojcem, ale nie mogłem jej znaleść, czyli raczej nie śmiałem, chociaż miłość Pauliny z dnia na dzień się zwiększała, jednak jeszcze z pewnym rodzajem strachu przychodziło mnie odważyć się na rozmowę z ojcem. Dzień weselny przeszedł dla mnie nudnie. Kilka razy pomyślałem, kiedyż mnie tak ksiądz połączy z Pauliną, a chodząc szybko z jednego w drugi koniec mojej komnaty, wymówiłem kilka razy jej imie głośno. Stary Grzegorz w przedpokoju posłyszał to imie, wszedł, podrapał się w głowę, wziął się lewą ręką w boki, posunął prawą nogę naprzód: — Oj prawda, że biedna ta Panna Paulina, a taka dobra Pani! — Przestraszyłem się.

— Grzegorzu, cóż ci jest? co się stało z Pauliną?

— Panicz temu wszystkiemu winien.

— Jak to, mów wyraźniej?

— Oto ludzie powiadają, że Panicz ją chcesz za kochankę nie za żonę.

— Jak to, co to ma znaczyć?

— Że Panicz nie myśli nigdy z nią się żenić, tylko płacisz pieniądze, aby go kochała. —

Poczerwieniłem się ze złości. — Jacy to są ludzie, pokaż mi ich! niech pomorduję tych potwarców!

— Wieluby trzeba pomordować, tak wszyscy mówią.

— I ty Grzegorzu pozwalałeś to mówić?

http://rcin.org.pl

— Ja mówiłem, że Panicz uczciwy, a Panna Paulina taka pobożna i cnotliwa, jak nieboszczka Imość; ale ludzie w to ani chcą wierzyć, aby bogaty Panicz mógł być cnotliwym, a uboga Panienka nie poświęciła wszystkiego za pieniądze.

— Ja się z nią ożenię!

— Dałby to Pan Bóg, ale nie wiem, czy Jegomość pozwoli. — I stary sługa głową kręcił, ruszał ramionami. —

Całą noc się nie rozbierałem, dręczyłem się sam z sobą, układałem w mojej głowie, jak mam przemówić do ojca i ułożyłem nadzwyczajnie czułą i przekonywającą przemowę. Dowiedziawszy się, że mój ojciec wstał z łóżka, poszedłem do jego komnaty. Skoro mnie ujrzał bladego ze łzami w oczach, jeszcze w galowym stroju, zatrwożył się.

— Tomaszu, co ci jest? —

Ja go pocałowałem w rękę i zapomniałem ułożonej przemowy. — Mój drogi ojcze, ja chcę się ożenić.

— Z kim?

— Z Pauliną Zagórską. —

Porwał się mój ojciec z krzesła. — Jazłowiecki z Zagórską?!! — Gniewem błyskało jego oko i ten gniew mi wrócił całą odwagę, oparłem się o ścianę.

— Jazłowieccy nic lepszego od Zagórskich, ojciec Panny Zagórskiej był szanowanym wszędzie! —

Mój ojciec to bladł, to czerwieniał. — Wprzód mnie na katafalku złożysz, nim pozwolę na to małżeństwo!

Postąpiłem krok naprzód! — Ojcze! błagam ciebie, pozwól, bo ja przysiągłem i przysięgam teraz, że Tomasz Jazłowiecki ożeni się z Pauliną Zagórską! — chciałem go wziąć za rękę i do nóg mu upaść, on mnie odtrącił.

— Wyrodny synu, idź precz z moich oczu! — rzucił się na krzesło; oddaliłem się, powtarzając: ożenię się. —

W kilka godzin przyszedł do mnie baron, mój szwagier już natenczas, całując mnie i ściskając, zaczął mi gadać nie o swojem szczęściu, ale o tem, jak to dobrze mieć za pieniądze kochankę: — Mój Tomaszu, to najwygodniejszy sposób żenienia się; zła żona? bez rozwodu ją rzucasz, a bierzesz drugą; słuchaj, po co tu gniewać ojca, kilka tysięcy dukatów, rzecz skończona. Panna Zagórska twoją, ja na siebie rzecz biorę: ojciec nie będzie się gniewał. — Jak wściekły się porwałem:

— Przebrzydły łotrze! —'za drzwi go wypchnąłem; byłbym mu głowę roztrzaskał, sam przypadek zrządził inaczej, on za drzwiami jeszcze dodał:

— Panie Tomaszu, uspokój się, ja zawsze gotowym na twoje usługi. — Nie goniłem go, pogardziłem nim, i tą razą nie żałowałem mojego postępku, bo już stałem się samodzielnym. —

Ojciec stronił od rozmowy ze mną, Paulina była dla mnie niewidzialną, siostra moja odpychała mnie od siebie swoim

http://rcin.org.pl

złośliwym dowcipem, a baron ruszał ramionami, widać litując się nademną, i z grzecznym uśmiechem oświadczył mi swoją przyjaźń; zapłaciwszy mu ją raz obelgą, dalej płaciłem pogardą. Postanowiwszy czasem i moją stałością przezwyciężyć upór ojca, napisałem list do Pauliny i jej matki; w którym powtórzyłem przyrzeczenie poślubienia drogiej mi istoty i wyjechałem do Odessy.

Nudząc się na zabój w tem pięknem mieście, poznałem się z księciem Abas-Iszmilem, rodem z Kabardy, oficerem w rossyjskiej służbie; nawzajem podobaliśmy się sobie z napół oświeconym Czerkiesem; ja mu opowiadałem moję miłość, opisywałem Paulinę, jej wdzięki, jej cnoty, i on słuchał; on mi prawił o swojej ojczyznie, o kaukazkich górach, a ja słuchałem. Na tym świecie słuchać czyjego opowiadania, jest to zaskarbiać jego dobre względy, ale słuchać go, a twarzą i ruchami ciała okazywać, że nam przypada do serca, że go czujemy, jest to nieomylny sposób zawiązania przyjaźni: byliśmy przyjaciołmi z Czerkiesem Kabardyńcem.

We cztery tygodnie mojego pobytu w Odesie, odebrałem list od siostry, oznajmujący mi chorobę mojego ojca; pisała: — Twój upór, twój nierozsądek wtrąci naszego dobrego ojca do grobu. — Pożegnałem mojego nowego przyjaciela, przysięgliśmy sobie wierną przyjaźń i pojechałem do ojczystego domu. Wróciłem, ale już za późno: ojciec mój nie żył; pięcią dniami przed moim powrotem umarł i ostatnia jego wola względem mnie, ostatnie słowa pożegnania nieobecnego syna były: — Przekleństwo rzucam na Tomaszu, jeśli swojem małżeństwem zrobi zakałę rodowi Jazłowieckich. — Płakałem śmierci ojca, zapomniałem o tem, że on mnie nie kochał jak syna, tylko kochał jak Jazłowieckiego. Siostra i szwagier nadzwyczaj serdecznie byli ze mną. Ojciec umierając, przeznaczył dla mojej siostry posag w gotowiźnie, z warunkiem stosownym do naszych praw, aby ten nie był wypłaconym, aż za okazaniem pewności na majątku Barona, odpowiedzialnym posagowi, a że Baron z owych kurlandzkich włości i zamków nie miał nic, a zatem mieszkaliśmy razem. Zobaczyłem Paulinę piękną, dobrą i tak mnie kochającą, jak dawniej, nie było przeszkody do naszego połączenia się, tylkośmy czekali końca żałoby. Siostra moja okazywała dla niej wiele przyjaźni, a Baron ciągle wychwalał jej zalety i cieszył się mojem przyszłem szczęściem, a ja już nie nadzieją, ale pewnością sądziłem dobiegać kresu szczęścia.

Byliśmy w ówczas w pierwszych dniach Września tysiąc ośmset jedynastego roku. Już nie głucha, ale głośna wieść krążyła o nieodbitej wojnie między Francyą a Rossyą; młodzież nasza ukradkiem opuszczała kraj i biegła zaciągać się do szeregów wojska Księztwa Warszawskiego; ja przyznam się, choć to nie na moję zaletę, iż pomimo miłości, jaką czułem dla ojczyzny,

http://rcin.org.pl

nawykłem od dawna słyszeć, że Polska od Francyi nic się spodziewać nie może, tylko nieszczęść, ubolewałem tedy nad tą nieszczęśliwą wojną, nad porywaniem się Polaków do oręża, a myślałem jedynie o mojem ożenieniu. Szczery i już teraz samodzielny, przed nikim nie taiłem mojego widzenia tych rzeczy; siostra i szwagier rozwozili skwapliwie to zdanie po sąsiedztwie i jak się potem dowiedziałem, głosili i powiększali mój wstręt do wojskowości i moją obojętność dla ojczyzny. Paulina ciągle usiłowała zmienić tok mojego sądu, i to było powodem częstych kłótni i miłych pogodzeń się; ona mnie uniewinniała, bo widziała, że choć sąd był krzywym, jednak serce miałem miłujące ojczyznę. Sąsiedzka młodzież obojętnie, zimno nawet obchodziła się ze mną i ciągle ukrywała się z jakiemiś tajemnicami; chociaż z powodu mego ojca nigdy nie żyłem z tą młodzieżą, jednak obojętność, z jaką mnie przyjmowano, była przykrą, boleśną nawet dla mnie; tajemnic zaś nie usiłowałem przeniknąć, nie dbałem o nie. Właśnie w tymże samym czasie zjawił się u Hrabiny Dzieduszyckiej młody człowiek, okazałej postawy i dość przystojnej urody: nazywano go Władysławem Boskim. Wszystkie jego czyny otaczano mgłą tajemniczości, szczególniej przedemną. Paulina często przesiadywała u Pani Dzieduszyckiej i dla tego też i ja tam bywałem; ten Pan Władysław nadzwyczajnie dumno ze mną się obchodził, a nawet do tej dumy mieszał jakiś rodzaj pogardy, przeciwnie zaś z moim szwagrem był grzeczny i uprzejmy. Kilka razy z tym tajemniczym a nieznośnym dla mnie człowiekiem przemówiłem się i chciałem rozprawiać się żelazem albo ołowiem; ale Paulina, która bez powiedzenia zgadywała to moje postanowienie, na klęczkach mnie odwodziła od niego. Łatwo sobie tłómaczyłem to postępowanie Pauliny, znając jej zapał przywiązania dla Ojczyzny, a wiedząc o tem, że ten Władysław jest wysłannikiem z Księstwa Warszawskiego.

Dnia jednego, siostra, która mi okazywała czułe przywiązanie od śmierci ojca, przyszła do mnie, wzięła mnie za rękę, spostrzegłem łzy w jej oku:

— Tomaszu, biedny ty jesteś!

— Moja luba, dla czegoż mam być biednym?

— Ja ci nie śmiem powiedzieć twojego nieszczęścia.

— Mów, cóż, mają mnie za złego Polaka?

— O! nie to.

— Czyż ten Pan Władysław na mnie co nagadał?

— O nie... Ten Pan Władysław... — zatrzymała się.

— Mów, na miłość Boga.

— Ty chcesz... Ten Pan Władysław kocha Paulinę.

— I cóż dziwnego? Paulina taka ładna, taka dobra.

— Ale Paulina kocha Pana Władysława.

— To być nie może! — Skoczyłem jak piorunem rażony,

http://rcin.org.pl

jak szalony biegałem po pokoju. — To potwarz! to kłamstwo! to być nie może! — Zmogłem się i rzuciłem się na sofę; siostra siadła koło mnie, całowała mnie i okrywała pieszczotami.

— Uspokój się Tomaszu, tyś sam tego chciał; gdyby nie twoja przyszłość, nigdybym ci tego nie powiedziała.

— Jakto — zawołałem — ty jeszcze to utrzymujesz i możesz-że o tem mnie przekonać?

— Mogę, tylko mi przyrzecz, że nie narobisz hałasu w domu Pani Dzieduszyckiej.

— Przyrzekam.

— Przysięgniesz-że mi na miłość matki?

— Przysięgam ci na miłość matki, zrobię co zechcesz, tylko mnie przekonaj. —

Smutnie wstrząsnęła głową. — Przekonam, bo od tego zależy twoje szczęście, twój przyszły los; zaczekaj tu na mnie — i wyszła.

O! wystawić sobie nie możecie, co się ze mna działo: zazdrość mnie paliła ogniem piekła, wstyd mnie rumienił posądzać ją, anioła mojego serca; miłość własna dręczyła się srogą obrazą, a szlachetność duszy brzydziła się nieufnością; jednak jakiś promyk nadziei przychodził mi na pomoc i szeptał: to wszystko nieprawda. Wahałem się, czy się mam przekonać, czy odrzucać podejrzenie jako niegodne mnie, gdy weszła siostra. — Wstań, chodź! tylko na pamięć naszej matki ciebie zaklinam, nie rób żadnego hałasu.

Wstałem i szedłem za nią; o! ledwie z takim strachem, z taką boleścią idzie na rusztowanie przestępca skazany na śmierć, z jaką ja niosłem moje serce na rusztowanie; trzymałem się sukni mojej siostry, jak się trzyma potępieniec ludzki szaty swojego spowiednika, jakby się trzymał szaty swojego kata nawet. Dała mi znak, abyśmy szli na palcach i cicho; i jakeśmy podeszli pododrzwi pokoju, gdzie mieszkał Pan Władysław, zbliżam oko do szpary. Pan Władysław na krześle, Paulina koło niego, on ją całuje, pieści jej jasny włos. Pociemniało mi w oczach, odszedłem od siebie, chciałem drzwi rozsadzić, krzyknąłem i padłem na posadzkę! Jak przez sen usłyszałem odmykające się drzwi i głos tego Władysława: — To niegodnie: kto złym Polakiem, może być i szpiegiem! — Porwałem się, Władysław wyszedł, mówiąc: — Paulino, bądź zdrowa, milczenie. — Chciałem biedz za nim, zabić go, ale wiarołomna stanęła przedemną: — Tomaszu! — ja ją odepchnąłem: — precz odemnie, zdradliwa niewiasto! — W tem wbiegli moja siostra i mój szwagier; moja siostra wyprowadziła prawie gwałtem do drugiego pokoju płaczącą Paulinę i powtarzającą we łkaniach: — Tomaszu! Tomaszu! — Ja, jak w konwulsyach, rzuciłem się w objęcie barona, a kiedym przyszedł oo siebie, z rozpaczy zaśmiałem się po szatańsku i zawołałem: — jedźmy szukać tego

http://rcin.org.pl

Władysława! — i mój szwagier powtórzył: — jedźmy! mój powóz gotowy, Katarzyna przyjedzie w twoim. — Bez pożegnania pojechaliśmy; miałem przekonanie o zdradzie kochanki, czyż trzeba było więcej? wiarołomna! a bałem się jednak ją kląć i czułem, że ją kocham namiętniej jak kiedykolwiekbądź. W drodze naprzód baron mi powiedział, że napróżno szukalibyśmy Pana Boskiego, bo już zapewne się nie pokaże więcej, a potem dodał: — mój Tomaszu, wiesz, jak te-Polki szaleją z miłości dla Ojczyzny, ty niechcesz żadnego udziału mieć w tej wojnie i dobrze robisz; ten Pan Władysław, jak powiadają, oficer polskiego wojska: cóż dziwnego, że Paulina młoda, namiętnej wyobraźni, nieustalonego serca, pokochała Pana Władysława bohatera; kobiety kochają i uwielbiają bohaterów. Ja Kurlandczyk, a nie Polak, a kto wie, czy nie pójdę do polskiego wojska, jak Napoleon wkroczy w nasze strony: i Katarzyna Polka, a te wasze Polki to dziwne czarodziejki. — Te słowa barona otworzyły mi oczy, błogosławiłbym im, gdybym mógł w ówczas błogosławić czemukolwiekbądź; postanowiłem w myśli: pojadę do wojska, stanę się bohaterem, niech mnie przynajmniej żałuje wiarołomna; i czegoż miałbym w ziemi rodzinnej zostawać? przed oczyma, przed myślą mieć ciągle obraz zdradliwej kochanki, oddychać tem powietrzem, którem ona oddycha; o nie! lepiej zginę, wszystko skończę i powiedzą ludzie: — szkoda, dobry był Polak, — a ona może zapłacze i wymówi: — on był godzien miłości, zginął za Ojczyznę!

Wieczorem za przyjazdem mojej siostry oświadczyłem, że już nie Pana Boskiego szukać, ale chcę jechać do Warszawy i zaciągnąć się do wojska. Siostra płakała, baron usiłował mnie odwrócić od powziętego zamiaru; ja to brałem za szczere przywiązanie ku mnie i szczerze im byłem wdzięcznym, bo miło widzieć w nieszczęściu, że są ludzie, co nas kochają. Oświadczyłem ostatecznie, iż nic niezmieni mojego przedsięwzięcia; natenczas siostra ze szwagrem zaczęli radzić o ocaleniu majątku. Miałem wprawdzie chęć widzenia, choć raz, Paulinę, ale wstydziłem się nietylko to uczynić, ale nawet mówić o tem; a tak z rozpaczą w sercu co spieszniej wyjechaliśmy do Kamieńca. Tam za pomocą złota metrykę moję podskrobano i dano mi pełnoletność dwudziestu czterech lat, sporządzono akt sprzedaży wszystkich moich dóbr przezemnie na rzecz barona Ajdenbauma; znaleziono świadków, którzy podpisali, iż byli przytomnymi wypłacie pieniędzy, i ja wprost pojechałem przez Galicyą do księstwa Warszawskiego.

W parę miesięcy już byłem w mundurze ułańskim piętnastego pułku ułanów, a w roku tysiąc ośmset dwunastym, pod Mirem ranny kilka razy, straciwszy konia, dostałem się w rossyjską niewolę; zaprowadzono mnie z wielu innymi jeńcami do

http://rcin.org.pl

Nowo-Czerkaska, a ztamtąd odesłanymi zostaliśmy do Gruzyi, do miasta stołecznego Tyflis. Przez cały ten przeciąg czasu ani razu nieopuściła mnie myśl o wiarołomnej Paulinie; jak cień za osobą, tak jej obraz gonił za wzrokiem mojej duszy. W wojsku szukałem tego przeklętego Władysława Boskiego i nigdzie go znaleść niemogłem, pytać zaś o niego nie miałem serca, a co więcej od wszystkich dawnych znajomych stroniłem, bo mi się zdawało, że każdy zna moje nieszczęście i będzie gadał o niem. Wolałem cierpieć w milczeniu, samemu sobie co minuta, co sekunda przypominać wiarołomną i moję miłość dla niej, byleby ludzie nic mi nieprzypominali.

Schorzały, zbiedzony, bosy, pół-nagi, siedziałem z innymi jeńcami w Tyfliskiej twierdzy, smutno dumając o przeszłości, o przyszłości ani myśląc wcale, kiedy wszedł jakiś rossyjski oficer od jazdy, bo z ostrogami i pałaszem; zdawało mi się, że gdzieś go znam, przypatruję się, to on, Abas-Iszmil, mój przyjaciel z Odessy; niechciałem jednak, a raczej wstydziłem się go powitać. On przechodził między jeńcami i przeglądał okiem, jakby kogoś szukał, zbliżył się ku mnie, widziałem to w jego oczach, że mnie poznał; ale dał znak, żebym ja tego nieokazywał. Zawołał oficera, który nad nami miał straż i przy nim mnie zapytał: — czy ty oficer czy żołnierz? — ja odpowiedziałem — żołnierz.

— Chcesz do mnie przystać na służbę?

— Chcę; obrócił się do oficera garnizonu: — Jenerał pozwolił, abym wybrał jednego polaka na służbę do siebie, ja tego biorę — dodał do mnie: — pójdź za mną. Oficer jakąś grzeczność powiedział Kabardyńskiemu księciu, a ja wyszedłem za moim panem. Skorośmy weszli do mieszkania Abas-Iszmila, on rzucił się w moje ramiona i ściskał mnie: — Jazłowiecki, szczęśliwy jestem, że cię wybawiłem z nieszczęścia, dzisiejszej nocy musisz ztąd wyjeżdżać!

— A to dla czego?

— Rozkaz jest u jenerała, aby kilkunastu z was wysłać na Sybir; między nimi ty jesteś pierwszy na spisie, czytałem rozkaz i dowiedziałem się, że tu jesteś. Jenerał, ożeniony z moją ciotką, pozwolił mi jednego Polaka wybrać na służbę, chodź, tu u mnie jest twój ziomek, reszty od niego się dowiesz, — i wprowadził mnie do drugiego pokoju. —

I kogoż tam zobaczyłem? przecieram oczy, niechcę im wierzyć; to ten przeklęty Władysław Boski; chciałem na niego się rzucić i zabić go pięściami. Abas-Iszmil osłupiały patrzył na wyraz mej twarzy; Władysław zbliżył się ku mnie: — Panie Jazłowiecki, mnie nie dziwi twoje oburzenie, ale wiedz o tem, że ja jestem Władysław Zagórski, brat rodzony Pauliny Zagórskiej, twojej narzeczonej. Oburzenie się moje zamieniło się na

http://rcin.org.pl

dziecinną radość, rzuciłem mu się na szyję i płakałem z radości; — O! ja wszystko ci przebaczam; wiele złego zrobiliście i mojemu i jej sercu; ona mnie kochała, ona mi wierną była.

I kochała i kocha i wierną była i wierną będzie! żeś nic niewiedział, kto ja jestem, nie moja w tem ani Pauliny wina, ale wina twojej siostry i twojego szwagra: oni to nam ciebie wystawiali, jako człowieka słabego, a nawet niebezpiecznego, któryby wszystko mógł wykryć rządowi. Paulina chciała ci wszystko powiedzieć, ale moje zaklęcia ją od tego wstrzymały, w ostatniej chwili twoja siostra siłą jej tego wzbroniła. Kiedyś ty wyjechał, twój szwagier przestał udawać przyjaciela Polski, na jego to doniesienie ja i wielu innych zostaliśmy zatrzymani i odesłani, a ciebie dziś szukają. Boleśnie mi było słuchać to wszystko o mojej siostrze i o niegodziwym człowieku, który się stał jej mężem, ale słodko przytem było dowiadywać się o wierze, o miłości ubóstwianej przezemnie kochanki. O Paulinie rozmawialiśmy z Władysławem i cieszyliśmy się nadzieją, że kiedyś zobaczemy dniestrowe brzegi. Wieczorem przyszedł Abas-Iszmil: — trzeba jechać i to zaraz, mogą wyśledzić; a tak powiem, że mój sługa zbiegł, masz konia i przewodnika przed wrotami, a oto suknie — dostał mi cały przybór czerkieski. Przebrałem się, ucałowałem moich najlepszych przyjaciół i pojechałem w moję podróż, dumając nie o tem, co się ze mną stanie za kilka godzin, za kilka dni, ale o dalekiej i niepewnej przyszłości, o chwili, kiedy zobaczę Paulinę.

Nie będę wam opowiadał, ile niebezpieczeństw przebyłem, żeby przebyć Terek i dostać się do Czerkiesów Czeczeńców. Ci dzicy ludzie wojny nie pytali mnie o ród, o imie, tylko zapytali, czy mam serce odważne do boju, silne ramie do cięcia, bystre oko do wyśledzenia wroga, czutkie ucho do zasłyszenia zbliżającego się niebezpieczeństwa i krzepkie ciało do trudów, a po pierwszej probie, że wszystko to mam, przyjęli mnie za swojego brata. Wypadałem z nimi na wyprawy między błogie gruzyjskie sioła i na bogate Dagestanu równiny, drapaliśmy się po Karabagskich górach a wybiegłszy na płaszczyznę Erywanu, nieraz szłyszeliśmy dzwony Eczmelzyńskiego Monasteru; Armianin płacił nam haracz, a przepławiwszy wody Araxu, uganialiśmy jak dla zabawki pierzchających Kurdów; nieraz z Lesgami poiliśmy konie w nurtach Kaspijskiego morza, albo z Awaryńcami nieśliśmy popłoch i śmierć Derbentskiej załodze; nieoraliśmy, nie sieliśmy, aleśmy pełno zbierali złota i dostatków. Nie wiedzieliśmy, gdzie będziemy nocować, gdzie i jak jutro przepędzimy, ale tośmy wiedzieli, że nie gnuśnie strawimy nasz dzień, nie smutnie naszą noc; było coś powabnego, coś rozkosznego w tem na pół rycerskiem, na pół rozbójniczem życiu, zwłaszcza dla człowieka, którego uczucia grały namiętnie. Moje uczucia grały namiętnie, bo kochałem; nie mogłem

http://rcin.org.pl

ich zużyć w miłości, zużywałem je w wojennej sławie; w mojej dumie; w zachwycie mojego zapału zdało mi się, że kochanka na to wszystko patrzy, i czeka z nagrodą dla mnie, za moje czyny wojenne. Bracia Czeczeńcy mnie nagrodzili, bo nadali mi nazwisko Arstan-Hana, co znaczy w ich języku lwa władzcy; u nich nauczyłem się walczyć jak lew, a serce moje oddawna umiało po lwiemu przebaczać.

Dnia jednego, kiedym jak najmniej się tego spodziewał, Kabardyniec jakiś przyniósł kartkę do mnie Arstan-Hana, otwieram, czytam: — Ja wyjeżdżam z Władysławem, będę widział twój kraj. Cesarz łaskawy przebaczył wszystkim, ułaskawienie bez żadnego wyjątku. Udaj się do jenerała, mojego wuja, on ci da paszport, przyobiecał mi to, a razem zachowaj wieczne milczenie o tem, coś porabiał między Czeczeńcami; może się zobaczymy, a jeśli nie, bądź takim moim przyjacielem, jak ja jestem i będę zawsze twoim. — Abas-Iszmil. — Władysław się przypisał: — Zobaczemy się, Tomaszu, zobaczy ciebie Paulina, będziecie szczęśliwi, tego gorąco pragnie winowajca względem ciebie. Władysław. — Już miesiąc przeszedł, jak ten list był pisanym. Oświadczyłem moje szczęście wojennym braciom Czeczeńcom, oni się zasmucili; żegnałem ich i oni kolejno mnie żegnali i wszyscy razem mówili: — Jak ci będzie źle, wracaj między nas: wprzódy stopnieje śnieg na Elbrouzu szczycie, nim w naszych sercach braterstwo dla ciebie wygaśnie; niech Terek dla ciebie nie będzie morzem, bo nasza przyjaźń zawsze ci psem wiernym zostanie. Arstan-Hanie, niechaj Allah osypie ciebie górą szczęścia, rozkoszy i dostatków. — Na tym samym złotogniadym koniu, jak ptak rączym, kipiącym jak ukrop, na którym wszystkie wyprawy robiłem, przepłynąłem Terek i jechałem do Tyflisu; często się oziérałem na śniegowe grzywy Elbrouzu i na ciemne gaje jedliny i sośniny czepiające się po stromych górach, żal mi było Czeczeńców, ale miłość dla Pauliny ciągnęła mnie do rodzinnej ziemi.

W Tyflisie jenerał, wuj Abas-Iszmila, przyjął mnie z całą dobrocią i smutnie oświadczył, że już wiedzą w Petersburgu o mojem znadjdywaniu się między Czeczeńcami, kazano mnie nawet imać, jako zbiega, przestępcę: ale on dał mi paszport, jako Kabardyńcowi jadącemu do Berdyczowa na jarmark, dodał: — W domu łatwiej będzie ci się starać o przebaczenie, Cesarz dobry, łaskawy, umie zapominać. — Konno tedy pojechałem: długo, długo jak wiek trwała dla mnie ta podróż; dla mnie, co chciałbym lotem ptaka przeskrzydłować ten szeroki obszar. Nareście przepławiłem się przez Dniepr i zbliżałem się ku Dniestrowym brzegom.

Chciałem wprost jechać do Jampola, ale jakaś niepojęta siła ciągnęła mnie do rodzinnego domu, nie mogłem się jej oprzeć. Wjeżdżam do wioski, chaty w rząd pobudowane, poprzystrajane

http://rcin.org.pl

jednakowo, jak żołnierze, a koło nich widać nędzę i ubóstwo; co tu za zmiany! dom moich rodziców zupełnie przeistoczony, w ogrodzie powycinane szpalery; dziedzińca ani poznać: jacyś obcy ludzie po nim się snują, ani jednej znajomej twarzy. Zsiadłem z konia, jakiś człowiek w łachmanach patrzy na mnie i chart z napół oblazłą sierścią przybiegł do mnie się łasić; chart, to mój Dolot; w łachmanach, to Grzegorz. Łzawo mi w oku. — Dolocie, mój Dolocie, — i głaskałem psa. — Mój Grzegorzu, jak się masz? — On ciągle patrzył na mnie. — Paniczu! to Pan Tomasz! — I rzucił mi się do nóg; podnoszę go i całuję w czoło: — Grzegorzu, Bóg z-tobą, co ci jest? czegoś tak nędznie przybrany? — Ja kuchennym stróżem na starość! — I jak bóbr zaczął płakać. — Grzegorzu, przestań, gdzie jest moja siostra? — On wskazał ręką na dwór, potrząsł głową i nic nie odpowiedział.

Biegnę raczej niż idę do dworu, rozpycham zgrają służalców, co mi zachodzi drogę, nie słucham, co oni mówią; przechodzę kilka pokojów i wchodzę do bawialnej komnaty, tam znajduję moję siostrę i szwagra, oboje siedzieli na kanapie; nie dzieci, ale pieski koło nich igrały. Bóg ich nie pobłogosławił dziećmi.

Na mój widok porwali się z miejsca, poczerwienieli, pobladli, widać, że mnie poznali. Ja stanąłem: — Moja siostro! — I ona chciała ku mnie postąpić; krew mówiła do krwi, choć może uczucie milczało, ale on ją cofnął ręką i zawołał: — Kto ty jesteś? Pani Baronowa nie ma brata!

— Pani Baronowa nie, ale Katarzyna Jazłowiecka ma brata: ja jestem Tomasz Jazłowiecki! — i gwałtownym ruchem odchyliłem burkę i widać, że mignął mój attagan; nikczemnik zadrżał jak w febrze i dzwoniąc zębami o zęby wymówił:

— Nieszczęśliwy! uciekaj! Jazłowieckiego Tomaszu szukają.

— Nie ucieknę, niech przyjdą i tu mnie wezmą! —

Moja siostra wyszła, ja patrzyłem na podłego szwagra; miałem żelazo, mogłem go zabić, ale nie, wolałam go mordować pogardą wzroku; siostra wróciła niosąc pełny wór złota: — Ktokolwiek jesteś, mój brat czy nie? weź to i uciekaj.

Ten czyn w tej chwili oburzył mnie do reszty: siostra w miejscu serca daje złoto; — podli! nikczemni! — Porwałem wór ze złotem, cisnąłem im w oczy: — żyjcie w złocie, w podłości, w przeklęstwie! ja nic od was nie chcę! — i wyszedłem, zatrzaskując za sobą drzwiami, aż wszystkie szyby zabrzęczały u okien, jak gdyby odlatywał zły duch, spełniwszy dzieło spustoszenia. Koło mego konia stał Grzegorz i Dolot; dostałem kilkanaście sztuk złota z mojego czerkieskiego nabytku: — Grzegorzu, weź to — siadłem na konia i pojechałem; słyszałem, jak stary sługa mówił za mną — paniczu, niech ciebie Bóg

http://rcin.org.pl

błogosławi — Tak mi ciężko było na sercu, że nawet zapłakać nie mogłem, żegnając rodzinny dom, ojczystą wioskę.

Polami, dołami, mknąłem do Jampola, obejrzałem się, mój Dolot za mną biegnie, wesoło podskakuje i ogonem pokręca jak za dawnych czasów; on mnie nie zapomniał, dla mnie wszystko porzucił. O rodzie ludzki, czemu ty nie masz psiego serca dla przyjaźni? — Już widziałem Jampola białe domy, jakby wiankiem przedemną się rozwijały.

Wjeżdżam do miasta, cicho, głucho. Zajeżdżam przed znany dworek; i tam cicho, głucho; nareszcie pies zaszczekał i wyszedł jakiś człowiek, znałem gdzieś tę twarz, ale przypomnieć sobie nie mogę gdzie; on na mnie popatrzył, czy mie poznał, czy też nałogiem spuścił oczy ku ziemi. Zapytałem, złażąc z konia: — Czy jest u siebie Pani Chorążyna.

— Pani Chorążyna od miesiąca tu nie mieszka, ja kupiłem ten dworek.

— Gdzie ona jest?

— Pojechała na Kaukaz z zięciem.

— Z jakim zięciem?

— Z Księciem Abas-Iszmiłem.

— Czy Panna Helena wyzdrowiała?

— Nie, zawsze była chorą.

— Jakże się z nią ożenił Książe?

— On się ożenił z Panną Pauliną, młodszą córką Pani Chorążyny. —

Więcej mi potrzeba nie było, oparłem się na mojem siodle, jak w gorączce byłem, zdało mi się, że szyderczym głosem opowiada mi zamęście Pauliny. On mnie trąca, ofiaruje spoczynek gościnny, ja przyszedłem do siebie. — Na Kaukaz — zawołałem.

On na mnie popatrzył; w tej chwili nie uważałem na jego szyderczy uśmiech — Na Kaukaz, odszukać zwłok Pana Tomasza Jazłowieckiego, o którym mówili, że zginął gdzieś w tamtych krajach.

Skoczyłem w siodło — I jeszcze się jakby naśmiewali ze mnie, znajdą nie zwłoki, ale zemstę! — Obróciłem konia, wyjechałem z miasta i kopnąłem się w step.

Długo czwałowałem bez drogi i bez celu, nareszcie koń mój zmęczony stanął koło mogiły: ja zlazłem z niego i rzuciłem się na gołą ziemię; nie spałem, ale bez zmysłów leżałem i kiedym się ocknął, już słońce świeciło i ptacy stepowi na dobry dzień Bogu śpiewali. Uczułem jakiś ciężar na nogach, to mój Dolot, śpi, trącam go, nie rusza się, wstaję, przykładam rękę, ucho, usta do jego nozdrzy; zimne, on umarł i umarł z uśmiechem w oczach, bo u nóg swego pana, swego przyjaciela, u nóg tego, którego kochał. Westchnąłem nad jego śmiercią, attaganem wykopałem mu grób i pogrzebałem jego zwłoki; uczułem jakąś

http://rcin.org.pl

ulgę w sercu, bo choć jednemu przyjacielowi i to prawdziwemu oddałem ostatnią posługę; aż tu przyszedł i drugi mój przyjaciel, mój koń złotogniady, swoją chrapą dotykał mojej twarzy i kopytem grzebał ziemię, jakby dawał znać: już czas jechać. Usłuchałem tego przyjaciela, ruszyłem ku Dnieprowi, z tamtąd ku Donowi; chciałem jechać do Abas-Iszmila, popatrzyć na Paulinę: ale pomyślałem, nie sam pojadę, znajdę przyjaciół, co mi będą towarzyszyć w złożeniu ci weselnego podarku. Przepłynąłem Terek rzekę, Czeczeńce mnie przyjęli jak rodzonego brata i ukochanego sercem, a to przyjęcie, ta ich serdeczność dla mnie, tak rozczuliły moje serce, że zaniechałem zemsty; i między nimi chciałem zapomnieć o rodzinnej ziemi, o ludziach, co mi tyle złego narobili, i nie mogłem.

Czas biegł i codzień jakąś nową zmianę świata przynosił, a moje uczucia nic się nie zmieniały; wszystko pozostało, oprócz chęci zemsty; kochałem zawsze Paulinę, nieraz żałowałem, czemum jej nie szukał w Gruzyi i chciałem już biedz po to; ale cóż z jej ust się dowiem, że ona mnie nie kocha, że innemu serce i rękę oddała, w końcu mówiłem: ona się poświęciła dla szczęścia swojej rodziny, Abas-Iszmil bogaty, zamożny, a ja tułacz, wygnaniec, a może potępieniec; ona się poświęciła, ona mnie kocha i ja ją uniewinniałem i postanowiłem szanować pokój jej serca. Czasami obwiniałem Abas-Iszmila, że zdradził przyjaźń, ale rozważałem w myśli: on ma oczy i serce, ona taka piękna, taka dobra; dla czegoby on nie miał jej kochać? jak ja kochałem, jak ja ją kocham jeszcze teraz. Serce mi mówiło: Władysław po dwakroć sprawcą twego nieszczęścia, a dusza odpowiadała temu zarzutowi: on jej bratem, chciał jej szczęścia i szczęścia swojej rodziny, za złe mu tego mieć nie można. W takich szamotaniach się duszy i serca przeżyłem więcej pół roku, wojna dla mnie była jedynym żywiołem i wojnę mieliśmy. Był to czas, w którym Jermołów usiłował podbić wszystkie wolne pokolenia Czerkiesów pod władzę rossyjskiego Cesarza; nie mieliśmy żadnego porozumienia z mieszkańcami Kabardy; ponad brzegami Tereku i wzdłuż wojennej linii ku Derbentowi, jak ćmy naściągało się rossyjskich żołnierzy; jeśliśmy czasem przebijali ten łańcuch zbrojnych ludzi, to jedynie dla tego, aby wyciąć mieczem, porabować i po swojemu z podkarmioną tylko zemstą, ze złupioną zdobyczą uciec w góry. Ani wiedziałem, ani mogłem się dowiedzieć, co się dzieje z Abas-Iszmilem, a szczerze jednak tego pragnąłem.

Wrześniowego dnia książęta i Uzdeni Czeczeńców, Hanowie Awaryńscy, uradzili napad na Derbent i okolice, ja dostałem przewództwo nad stoma Czeczeńcami, których sercu i ramieniu można było zaufać, jak się ufa skokom czerkieskiego konia. Jeszcze z wieczora spuściliśmy się z gór i na przemiany szliśmy

http://rcin.org.pl

to sosnowym, to dębowym lasem; ani jeździec żaden zagadał, ani koń zarżał, nawet tabun lożnych koni z sakwami na zdobycz postępował za nami w porządku, w milczeniu, jakby wolę i potrzebę panów rozumiał. Noc zciemniała, jeszcze księżyc nie zeszedł, a gwiazd nie widać było, kiedy przez szpary lasu ujrzeliśmy ogniki rossyjskich straży; w prawo i w lewo po kilkunastu jeźdźców cicho poszłapało, to zwyczaj Czeczeńców podchwytywania czat kozakich. Po lewej stronie usłyszeliśmy głuche podziemne jęknięcie i świst podobny świstowi stepowego susła, tabunem z kopyta pomknęliśmy w tę stronę przebiegając łańcuch straży, już niepilnowanej, uczułem, jak mój koń nogami zawadził o kozackiego trupa. W tem po prawej stronie strzelono, oglądnęliśmy się, wiecha się zapaliła, zły to znak, nie my obudzimy Rossyan. Już raz rozpuszczonych koni niepodobna cofnąć, osadzać wstyd, krzyknęliśmy: — na Derbent! na Derbent! Czeczeńce dziko jak szakale zawyli i w przegony poczwałowaliśmy do miasta. Nasze miecze nie przetarły oczów śpiącym mieszkańcom, ale nas w ulicach miasta powitał karabinowy ogień i gęste kule. Księżyc zeszedł, jakby na przyświecanie naszej klęsce, ujrzeliśmy się zewsząd otoczonymi mnogiem żołnierstwem, końskiemi piersiami rozpieraliśmy tłumy i siekliśmy mieczami w prawo i w lewo. W tym zgiełku i zamieszaniu zrąbawszy kilku żołnierzy, wskoczyłem koniem przez wrota na obszerny dziedziniec, z okien huknęły strzały, gwizdnęły kule i mój złotogniady zwalił się o ziemię tłocząc mnie pod siebie; z dworu wyskoczyli ludzie: — Czerkies! Czerkies! poddaj się! — ale już ja wychwyciłem się z pod konia i z dobytą szablą przed nich biegnę: czy mi się zdało, czy zasłyszałem głos Abas-Iszmila. Ruch bitwy, krzyk bitwy, zapach krwi, śmierć mojego konia, rozburzyły i moję krew: chciałem zemsty, pragnąłem zemsty. Już czterech ludzi zmiotłem moją szablą, kiedy w samym progu spotkałem się z Abas-Iszmilem, z całej siły wytężyłem cięcie szabli na pocałunek zemsty; Abas-Iszmił mnie poznał, krzyknął: — Jazłowiecki stój! — i tylko zasłonił się swoim mieczem; ciąłem i jego miecz bryznął i mój bryznął, ale odłamkiem przeprułem po jego piersiach, obrócił się i zawołał: — Tomasz Jazłowiecki! — i wpadł do pokoju; migiem wychwyciłem pistolet z zapasa i w skok za nim; wypaliłem, w chwili, kiedy Paulina odmykała drzwi z drugiego pokoju, krzykręła: — Tomaszu! — i osunęła się na ziemię, poznałem ją; pistolet wypadł mi z rąk, ludzie Abas-Iszmila porwali mnie z tyłu, ja się niebroniłem. Abas-Iszmil ranny krzyknął: — pójdźcie precz, zostawcie go! — oni wyszli, a ja, jak przyrosły do podłogi, stoję w miejscu, kroku nieruszyłem, z Pauliny oka niezwróciłem. Przybiegła chorążyna, Helena, kładą Paulinę na sofie, a ona mówi: — To nic, Tomaszu, mój drogi! — Serce

http://rcin.org.pl

mi pęka, niewiem, co ze mną się dzieje; w tem Helena spojrzała na Abas-Iszmila: — Mężu tyś ranny! — te słowa zarazem zabiły i życie mi wróciły: — jam ją zamordował, a ona mnie kochała, ona mi wierną była. Na klęczkach przyczołgałem się do sofy: — Paulino, tyś nie jego żoną?

— Ja twoją Tomaszu! matko, pobłogosław nas. —

Całuję jej nogi, ręce, ssę krew z jej rany: — Ja twój zabójca, ja potępieniec Boży! a nikt mi tam nie złorzeczył, wszyscy mówili: biedny Tomaszu!

Paulina usta swoje przytuliła do mojej twarzy i pocałunkiem dziękowała za śmierć swojemu zabójcy. A matka jej przebaczała i błogosławiła nas. Przyszedł lekarz, opatrzył ranę, pod piersiami ołów w niej został, smutnie potrząsł głową; a ona spojrzała na niego i na nas: — Prawda, że ja wyzdrowieję, żyć będę Tomaszu dla siebie! — Lekarz powiedział: — Trzeba kulę wydobyć, to jedyna nadzieja.

— To moja kula! to moje powitanie kochanki! jakżem ja wielki zbrodniarz! łez nieroniłem i serce mi nie pękło. W Pauliny oczach cierpienie, na twarzy bladość śmierci, często zęby zaciska, a jednak ustami udaje uśmiech: — Niech Pan dobywa kulę, ja się nie lękam. — Lekarz dobył narzędzi, dotykał tej białej piersi, której przed nim żaden mężczyzna niedotknął nie tylko ręką, ale nawet okiem, zdało mi się, że Paulina zarumieniła się ze wstydu, a małom nieporwał świętokradzcę lekarza za kołnierz, bo on dotykał świętych rzeczy dla ludzi; nożem krajał po jej ciele, krew ciekła; mnie się zdawało, że on pruje moję pierś, nawet czułem, że krew mi bluzga z rany; zapuścił żelazo w głąb rany, mnie serce zabolało, bo żelazem dotknął mojego serca, rzuciłem się i krzyknąłem. Paulina półgłosem przemówiła: — Tomaszu, pocałuj mnie — i ja ją całowałem. — W czerwoną sukienkę mnie przybierzcie — i z słabym pocałunkiem lekki oddech skonu wionął w moje usta. Ja zawołałem — Paulino moja! Paulino! i objąłem ją w pół, aż mi ramiona zaklęsły w około jej ciała. Lekarz smutnie powiedział: — Już nieżyje! — Matka płacze, siostra płacze, a ja trupa obejmowałem: — Ona moja! ona moja! — Nie płakałem, tylko zębami zgrzytałem i błagałem o śmierć u Boga: Jam zabójca, zbrodniarz, Boże zabij mnie! potęp! Wyrwano mnie z rąk trupa, ale niewyszedłem z pokoju i dzień i noc tam siedziałem, jak ją przybrano w czerwoną sukienkę, jak szalony ją całowałem: — Będziemy się jeszcze weselić! tam w niebie; tyś moja, ty mnie weźmiesz z sobą.

Byłem na jej pogrzebie, ale już nic nie pamiętam; powiadano mi tylko, że z warkoczem jej włosów wszędzie chodziłem, nikogo niepoznawałem, tylko powtarzałem ciągle: ona mnie kocha! ona moja! — oszalałem, ale nieumarłem. Przeklęte życie człowieka, jakby kamienne! — Zacisnął zęby i jakiś czas

http://rcin.org.pl

milczenie zachował, potem potarł ręką czoło i dalej mówił: — Abas-Iszmil przez Jermołowa uzyskał u cesarza moje ułaskawienie, a w kilka miesięcy później Władysław przywiózł mnie w rodzinne strony. Widok ojczystej wioski, dworku w Jampolu obudził we mnie pamięć, spłakałem się i przypominaliśmy dawne rzeczy; od niego dowiedziałem się, że po ślubie Abas-Iszmila z Heleną, on Władysław przedał dworek dawnemu poufałemu słudze barona Ajdenbauma, a ja go nie poznałem. Baron spodziewał się, że ja przyjadę w rodzinne strony, a niechciał, abym w nich pozostał, wiedząc dobrze, że cesarz Aleksander ułaskawi, bał się zaś o utratę majątku nabytego przestępnie. On to osadził sługę swojego z rozkazem powiedzenia o zamęściu Pauliny; znał mnie dobrze i wiedział, że wrócę na Kaukaz. Abas-Iszmil z rodzeństwem Zagórskich czekali na mnie w Odessie, biorąc wszędzie poszlaki o mnie. Na miesiąc przed nieszczęśliwym wypadkiem Władysław wrócił do kraju, a Abas-Iszmil wyjechał do Derbentu. Moja siostra i mój szwagier wyprzedali się i wyjechali za granicę do Niemiec, i sługa powiernik mego złego ducha opuścił Jampolski dworek i podążył za panem, a ja ich ofiara, stałem się zabójcą...

Chodził po izbie i widzieliśmy na jego twarzy co cierpiał, siadł: — Władysław zamieszkał w Bukach, z tąd nie daleko, a ja tu w jego sąsiedztwie; często razem się smucimy, razem płaczemy; ale mnie tylko samemu została w podziale niepocieszona rozpacz, bom ja zabójca. — Wstał, przeszedł się kilka razy po izbie i wyjął z zanadrza warkocz jasnych włosów, które ciągle nosił koło serca. — To pamiątka miłości, włosy Pauliny, — otarł łzę kręcącą się w oku, i wskazał ręką na końską skórę złotogniadej barwy: — a to pamiątka wojennej sławy, sławy, co mnie zaprowadziła do zabójstwa! — i zamilkł.. Szanowaliśmy to dumanie rozpaczy, całą noc nie spaliśmy, ale rozpamiętywaliśmy nad tem życiem przygód.

Nazajutrz Jazłowieckiego twarz była spokojniejsza. — Ona mi się objawiła w czerwonej sukience taka piękna, jaką była zawsze, woła mnie do siebie. Znacie moje przygody i moje cierpienia, zachowajcie milczenie, póki ja żyję, a potęm zróbcie, co zechcecie: ja jadę do Tyflisu, czuję, że mój koniec się zbliża, niech przynajmniej moje zwłoki spoczną obok zwłok Pauliny; ona mnie przebaczyła, ona mnie kocha i Bóg może mi przebaczy. — Żegnając Jazłowieckiego, nieśmieliśmy mu powiedzieć jednego słowa pociechy, on jednak poznał, że nasze serca nie z głazu, bo nas uściskał serdecznie — Dziękuję wam, już zapewnie się nie zobaczymy, zmówcie czasem pacierz za nieszczęśliwego zabójcę.

We trzy dni dowiedzieliśmy się, że Jazłowiecki opuścił Bykówkę. Na początku tysiąc ośmset trzydziestego roku Władysław Zagórski pokazywał nam w liście Abas-Iszmila te

http://rcin.org.pl

słowa: — Tomasz umarł, pochowaliśmy go obok Pauliny; o! ile on cierpiał, jak ciężko i długo pokutował! jak on ją kochał i jak był szczęśliwym przy skonaniu! trudnoby mi było opisać; pewnie mu Bóg przebaczył. Z matką i żoną a nawet z mojemi dziatkami nie jednęśmy łzę wyleli, ale cieszyliśmy się tą myślą: oni szczęśliwi tam w niebie.

Władysław Zagórski w roku tysiąc ośmset trzydziestym pierwszym zginął w bitwie pod Daszowem, a ja z Janem Omiecińskim w Paryżu przypominaliśmy sobie to nieszczęsne życie Tomasza Jazłowieckiego! Co za dziwne koleje losu!

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

KTO Z BOGIEM, TO BÓG Z NIM.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I.

«W Imie Ojca i Syna i Ducha Swiętego. Amen. — W głos oddał się w opiekę Swiętej Trójcy, przeżegnał się znakiem Krzyża Swiętego, siadł na koń i pojechał precz za wrota młody Iwan Sawyna, Pan i dziedzic Kukułańskiego sioła.

Przed gankiem dworu stało kilku czeladnych Kozaków, w samym zaś ganku Ksiądz Bazylian, stara niewiasta i jakiś człowiek przybrany w niemieckiego kroju suknie. Horpyna, Iwanowa mamka, pomarszczoną twarz ubarwiła uśmiechem pogody, skinęła głową. — Kto z Bogiem, to i Bóg z nim. — Pan Ignacy Rabski, tak się nazywał człowiek przyodziany po niemiecku, otworzył usta. — Cha! cha! cha! dobroduszny ludzie, tobie się zdaje, że kto się krzyżykiem przekryśli, to wszystko posiada, cnotę, rozum i szczęście. Wszak prawda Księże Niceforze?

Ksiądz popatrzył mu w oczy wzrokiem dobroci. — Kto nie zapomina Bożego znaku, na tego Pan nasz łaskaw, a łaska Boża wszystko da, za wszystko stanie.

— Zapleśniałe baje, gdzieżeś to wyczytał mój Księże, pewnie nie w filozofach, ale w starych ramotach waszych Ojców kościoła.

— Ojcowie kościoła opowiadali Słowo Boże i pisali o Bożem Słowie, a to, co poszło z góry, od Pana z Nieba, tego nie przekształcą zlepki waszych filozofów.

— Na dziś zawieszenie broni, jutro jeśli wola Księże Niceforze, wyzywam na dysputę; teraz pójdę zgłębiać rozumniejszych ludzi jak święty Augustyn, a nawet i Ignacy Lojola. Spinozo, Helwecyuszu, Holbachu! wyście prawdziwe rozumy, wy dawce światła. — Wykręcił się na obcasach i wszedł do dworu. —

Kiedy Rabski liczył imiona filozofów, Iwanowa mamka w bok się zemknęła, twarz jej ociągnęła się przestrachem i żegnała się trzykroć razy krzyżem świętym, szepcąc jakieś słowa i spłunęła parę razy; a kiedy już drzwi zatrzasnął, zbliżyła się do Księdza. — Księże Niceforce, on opętany, gada o Belzebubie

http://rcin.org.pl

i o tym, jak Państwo nazywają, Asmadeuszu. Księże ratuj jego duszę od wiecznego potępienia, wszak to siostrzeniec nieboszczki naszej Pani, Boże świeć nad jej duszą, przy mnie ochrzczony; nie raz ja uczyłam pacierza małego Ignalka; a teraz — Parę łez żalu czy przestrachu wycisnęło się ze starego oka i powoli spływało po zmarszczonem licu.

Ksiądz uśmiechnął się łagodnie. — Uspokój się bogobojna niewiasto, on nie wymieniał szatanów, ale ludzi, co swoim rozumem chcieli wytłumaczyć to, co Bóg tajemnicą zakrył przed nami. Sami obłąkani, objawieniem skrzywionego umu, w obłąkanie ciągną drugich; ale Bóg zmiłuje się nad grzesznikiem, a sługa kościoła nie opuści owieczki odbiegłej od Bożego stada.

— Módlmy się Księże Niceforze o zmiłowanie Boże.

— Módlmy się. — Ksiądz odpowiedział. — A Bóg wysłucha. —

Czeladni kozacy zachwycili uchem kilka słów z gankowej rozmowy i rozmawiali między sobą.

— Ta już to kara Boża, kiedy Lach przebierze się na Niemca.

— Patrz, toż Panicz Rabski, nie do Niemiec jeździł, a do Warszawy.

— Cóż to myślisz, Warszawa to Polska?... tam teraz same Niemcy. Nie tak to było niegdyś, jak ja jeździł na sejm do Warszawy, albo na trybunał do Lublina. Wszyscy Panowie chodzili w kontuszach, przy szablach, a Niemców i żydów to na szubienicach koło miasta wieszali.

— O, to dobre było.

— Dziwo, że dobrze było; był Król w Polsce. Jaśnie Wielmożni Panowie i Jaśnie Oświecone Panie do kościołów chodzili i modlili się jak chłopi; a teraz Pańskie dziecię w książkach czyta a przeżegnać się krzyżem świętym nie umie. Piórem jak pisarz bazgrze, a do konia i do szabli ani utnie, dla tego to diabeł i Polskę wziął.

— Ależ nie wszyscy Panowie tacy! Nasz Pan nosi się po kozacku, do kościoła jeździ, książek nie czyta, chyba w kościele.

— A wiele takich znajdziesz? I to patrz, Panny się śmieją z niego, mówią, że durny, mężczyzni gadają, że durny i diabli wiedzą jak przezywają, fanatyk.

— Czegóż u licha najeżdżają na nasz dwór? u nas jak na Zarwańskiej ulicy, jak na jarmarku, ani dnia nie ma bez gości.

— Ba! Pan ma grosze, dobrego kucharza, dobre wino, ta po staropolsku nic nie żałuje, a goście opiją, ojedzą i jeszcze ogadają, zwyczajnie po Niemiecku.

— Dałbym ja im po kozacku, z ruski miesiąc by popamiętali, nie odważnieby siadali na krzesłach. No to diable syny!

http://rcin.org.pl

oklewotać takiego dobrego Pana, niechaj-no który z nich tak na koniu poharcuje jak on, albo szabelką pomacha. W mordę dam sobie wyrżnąć, jeźli w całej okolicy od Murowanej Machnówki do Żytomierza pokażą mi kogo, coby jak nasz Pan, po pierwszej ponowie zająca wytropił, w wiatr na lisa się zaczaił, na wiosnę w lot barańca zabił. Już to co Pan, to Pan.

— Co prawda to prawda, ale powiedz im?... zaraz ci odpowie, tak berejter potrafi, mój strzelec tak zrobi; wszyscy się śmieją i mówią, że żadna Panna za mąż za naszego Pana nie pójdzie.

— Nie turbuj się, jak się zechce ożenić, to znajdzie Pannę; jest tego kwiatu po całym świecie.

— Taże jest jego pełno, ale nie każdy kwiat się podoba. Nasz Pan naślinił na Podkomorzankę, coś długo tam jeździ, diabełże to wie, czy co z tego będzie; choć to Lachy mówią: co nagle, to po diable; ale także i to prawda, kto długo rachuje, to w końcu się nie dorachuje.

— Bądź spokojnym, Podkomorzy wyda córkę za naszego Pana. Czyż to dla niej nie szczęście być Półkownikowiczową.

— Podkomorzy wyda, ale czy Panna zechce? Ja widział kawał świata, jeżdżąc z nieboszczykiem Panem po całej Polszcze i na Wołoszczyznę, a po prawdzie wam powiedzieć, zdałoby się naszemu Panu trochę rozumu Panicza Rabskiego, toby prędzej do ładu trafił z Pannami.

— Trafi on i tak, stara Horpyna dobrze mówi: — Kto z Bogiem, to i Bóg z nim.

II.

Bitym szlakiem bieży Iwan Sawyna, a za nim wierny kozak; pod Iwanem stepowy konik, jak kruk czarny, tylko tylne nóżko niby w pończoszkach za pęciny białe; konik jak strona wyciągnął się w kłusie, nogami tak gładko, tak polotnie przeplata, że zdaje się niby pławi po drodze, a tak szparko, że kurzowi naprzód zalecieć, siebie obwionąć nie da; wyciągnął łabędzią szyję, żabiem okiem w pole strzela, rozdartą chrapą wiatr pochwytuje, a wiatr mu pieści jedwabną grzywę i muska kiciasty ogon. U Iwana na plecach burka tylko podryguje kuczmiastemi strzępami i na baraniej czapce krasny kołpak podryguje. Iwan duma, wzrokiem ciągnie wzdłuż drogi przed siebie, a czutkiem okiem nie poziera w strony, jak to obyczaj myśliwca czy z chartami, czy też bez chartów jedzie, czy ma strzelbę na plecach, czy w ręku nahajkę tylko. A to znane pola, po nad tym jarem często lis myszkuje, tym rozłogiem nieraz wilk bieży

http://rcin.org.pl

do kniei, na tej radlance, co się czerni między posiewem, można na heco zająca upatrzyć, tam na te rzadkie brzozy zlatują się cietrzewie na bronki, tam na dolinie na wronach jak owce żyrują dropie; na tych smugach można zajrzeć kuropatwy, jak spłoszone szulakiem, purchną, polecą i kamieniem przypadną w łozy i szuwary. A to miesiąc październik, miesiąc miły dla myśliwców. U Iwana myśliwskie oko, myśliwska dusza, a dzisiaj czegoś oko się zatroskało, dusza zasumowała; na pola ani spojrzy, o myślistwie ani pomyśli.

Wierny kozak Dmytro za Panem na kasztanowatej szkapie kłusuje; nieobjeżdżona jeszcze szkapa tak trzęsie i podrzuca, że aż mu iskry w oczy się sypią, że aż mu duch w piersiach zapiera, a czupryna poci się pod czapką a jednak rozpatruje het na dalekie pola, i woła — Panie patrz, wilk stryba do lasu, obżarł się, ledwo dyszy, tożby to jemu można zrobić huż! huż i rękę z nahajką wyciągnął i krzyczał; hutju! ahu! huż! huż! aż zęby o zęby klamkały, a Iwan na to nic; czy niesłyszał, czy niechciał słyszeć. Dalej Dmytro w czwał koniem się zrównał do Sawyny. Panie, Panie patrz, zając siedzi, jak kopica siana, oczy wygałuszył; wróćmy się po charty — Sawyna na odpowiedź machnął ręką, niespojrzał i dalej drogą kłusował. Dmytro targnął szkapę, z czwała w kłus wprowadził i mruknął przez zęby — białe liczko; czarne oczki, to z człowieka zrobią czort wie co.

Kłusowali przez sioło Słobodyszczy, w siole psy korowodem zaszczekały i naszczekując goniły za jeźdzcami, za nogi, za ogony koniom się czepiały, koń wierzgnie nogą, pies się przewróci, zaskmoli, wstanie i znowu goni. Dmytro zawołał — Panie, czy niezajedziemy od dworu, Pan Porucznik jest w domu — Iwan znowu machnął ręką, nic nieodpowiedział i kłusował. Wiernemu kozakowi w gardle sucho, w żołądku ckliwo, chciałby siwuchy łyknąć, słoniny przekąsić; zły, nahajką koniu sprażył, zgrzytnął zębem; czort by pobrał wszystkie mołodyce i dziewki, kiedy człowiek dla nich niema jeść ani pić — posierdził się, ale kłusował za Panem.

Już konie zbielały pianą jakby mydlinami, nie dziesięć, nie dwadzieścia Ukraińskich gon przekłusowały, jednak czepko i ochoczo biegną, bo to stepowe, kozacze konie; co na śmiało idą w przegony z siremi wilkami, z siremi orłami; co o popas, o spoczynek nie stoją, byle zanieść brata kozaka tam, gdzie on chce, tam, gdzie on zamyśli, a potem choćby i łopnąć, byle nad zwłokami, brat kozak myślą zatęsknił, łzą zapłakał i powiedział — bracie koniu, bywaj mi zdrów, zobaczemy się kiedyś.

Za kołowrotem zwrócili w prawo i biegli brzegiem Hnyłopiata; w oczerecie żyrne kaczki kwaczą, na haławach lśniącem pierzem, niby brylanty różno-barwne połyskują pod promienie słońca; tętnieniem zlęknione, aż strach w uszach, tak załopoczą

http://rcin.org.pl

skrzydłami po oczeregie, tabunem się porwą, wylecą w górę w powietrzu kołują w około jeźdźców, cyrkają głosem, skrzydłem świszczą, jakby naigrawali się z myśliwców bez strzelby. Dmytro patrzył na nie i klął myślą; nawiedzone licho! co po zwierzynie, kiedy strzelby niema; co po dziewczynie, kiedy starość zadmucha żar w człowieczem sercu. Iwan ani słuchał, uchem tylko przed siebie patrzy i duma a kruczy koń kłusuje dalej a dalej.

W lewo drożyną skręcili; tam figura ukrzyżowanego Chrystusa, krzyż pomalowany zielono, barwą nadziei Chrystusowej wiary; na wierzchołku błyszczy blaszany kogut, z dziobem rozwartym obrócony do wschodu, zda się, że pieniem wiernych pańskich budzi do modlitwy i woła: ku ziemi, ku ziemi korne czoła; ku niebu, ku niebu myśli prośby; korzcie się przed Panem; modlcie się do Pana. Sawyna wstrzymał konia, zdjął czapkę i krzyżem świętym żegnał się trzy razy. Boże ojcze żeś nas stworzył. Chwała tobie; Chwała tobie Synu Boży, żeś nas krwią swoją odkupił, Chwała tobie Duchu święty, żeś nas oświecił. I wierny kozak odkrył głowę i trzykrotnie żegnał się krzyżem świętym.

Spójrzał Iwan przed siebie po drodze, tam między drzewami dwór bieleje i dachem pobitym gontą panuje nad siołem; i Iwan konia w kłus niepuszcza, stępo jedzie, a koń się rwie, chciałby z kopyta pomknąć. Dmytro chciałby ptakiem lecieć, bo tam w białym dworze po staropolsku częstują; patrzy na Pana, rusza ramionami, podkręca wąs i pomrukuje: czy bis go opętał, czy wraże oko jakie nawroczyło? jak był daleko, to na przepadłe rozpierał szkapę, jakby go didko pchał w kark, a teraz blisko i jedzie, jakby z mlekiem na targ.. Sawyna gwoździ okiem w biały dwór, jak gdyby chciał i dach i ściany wzrokiem poprzewiercać i przejrzeć, co się tam wewnątrz dzieje; ustami rusza, może pacierze szepcze, a może dumania z cicha odmawia; bo twarz to się krasi, to blednie, a czoło czasami sposępia, szasami rozpagadza, bo w duszę zarazem zajrzał tęskny niepokój i lube chcenie, troska niepewności i promyk nadziei; przed kołowrotem jeszcze raz przeżegnał się krzyżem świętym. Wierny kozak otwierając wrota, widział to i czy potakiwał panu, czy go pożałował, jedno z dwójga, bo pomyślał sobie — Kto z Bogiem, to i Bóg z nim.

III.

W białym dworze mieszkał Pan Podkomorzy, Damazy z imienia, Prawdzic z nazwiska, szlachcic polski z dawnego rodu, czarno na białym w Niesieckiego herbarzu wydrukowany i

http://rcin.org.pl

dobry Polak. W ośmset dziesiątym roku jeszcze na codzień w czamarze się nosił; a w niedzielę, do kościoła, na święto, do sąsiada, na imieniny, na chrzciny, albo na inną tym podobną gratkę, stroił się w atłasowy żupan, w kontusz na wyloty i opasywał się pasem Słuckim suto litym. Pan Podkomorzy od dawna wdowiec, ale ojciec trzech córek, choć jeszcze czerstwy siłą i wiekiem, nie chciał wchodzić powtórnie w śluby małżeńskie, ale trzymając się staropolskiej gadki: że ani składu ani ładu nie masz w szlacheckim domu, gdzie braknie na gospodyni; dobry ojciec wzdrygał się na myśl dania macochy swoim dzieciom, ale nie chciał zostawić dziewcząt bez opieki niewieściej i dla tego uprosił swoją rodzoną siostrę Pannę Salomeę Prawdzicównę, aby była gospodynią jego domu i synowicom zastąpiła miejsce zmarłej matki.

Panna Salomea już zbabiała w panieńskim stanie, już od dawien dawna nie liczyła swoich latek, nie lubiła obchodzić dnia urodzin; a chociaż Pan Podkomorzy zwał ją Salusiu; a ona jak młoda dziewczynka przez uszanowanie w ramie całowała brata, jednak starzy słudzy, przyjaciele domowi, Ksiądz Proboszcz murowanej Machnówki, plebanii, gdzie się rodziła Prawdziców rodzina, ci wszyscy co ich metryki czytali, jakby się na jedno zgodzili, powiadali, że Panna Salomea starsza od Pana Damazego o cztery lata, a Pan Damazy jedenastego Grudnia kończył krągłych pięćdziesiąt i dwa lat. Panna Salomea kiedyś była sławna na całe okolice: jak łania dziewica, liczko gładkie, podostatek urody i posag szlachecki, byłaby znalazła męża, ale na nieszczęście tańczyła jakieś tam menuety, almandy; paplała ciągle pstrokatą mową, między polskie mieszając francuzkie wyrazy; czytała i duszą się rozpływała nad książkami Panny Skudery, Pani de Żanlis, Pani Kotten, ukradkiem poznała się z Wolterem; a zapomniała o Złotym Ołtarzyku, o Kantyczkach, o Psalmach; zawsze z zachwytem wymawiała Delil, Kornel, Rasyn, Krebilon i inne nazwiska jakicheś tam cudzoziemskich pisarzy, a nigdy nie powiedziała, Kochanowski, Naruszewicz, Rej z Nagłowic, albo miano innego polskiego pisarza; do kościoła stroiła się jak na teatr i w kościele jak w teatrze się krygowała; często gęsto ją napadały spazmy, migreny, supiry i diabli wiedzą jakie słabości, o których nigdy ucho polskie nie zasłyszało; ani pytać ją było o to, co się dzieje w gospodarstwie domowem, bo zarazby jakiegoś supira albo spazma ucięła, a chcieć, żeby w pogodny dzień w bryczce na resorach, a nie w karecie jechała, zarazby wystąpiła z migreną; przepadała za książętami, za hrabiami, za trefnisiami moskalami, albo włóczęgami z cudzych krajów, a na szlachtę z góry patrzała i nie dawała do siebie przystępu; to też nie dostała książąt i hrabiów; rodzice cudzoziemcom i Moskalom nie dali, a szlachta nie chciała, powtarzając starą piosnkę:

http://rcin.org.pl

Oj nie droż się z swoją buzią,
My nie zwykli prosić długo;
Nie pogardzaj nami Rózio,
Bo my sobie znajdziem drugą.

Przeminęły piękne lata młodości, przeminęły drogie chwile chełpliwości dziewczęcej; przyszło żmudne, cierpkie stare panieństwo, przychodziły nawiedzać wspomnienia, co w miejscu lać słodycz w duszę, goryczą zaprawiały życie, bo ciągle powtarzały: zmarnowałaś młodość, zmarnowałaś krasę, a nie zakosztowałaś ani szczęścia, ani rozkoszy; pozostały dawne narowy i te z wiekiem coraz się zwiększały; choć w sercu wiele a wiele dobrego zostało, fochy niewieście i małpiarstwo cudzoziemszczyzny tak je nadpsuły, że nikt jej ani dogodzić, ani odgadnąć nie umiał. Pan Damazy często ruszał ramionami, ale daleko od wzroku Panny Salomei; mruczał nawet, ale pod nosem, po cichu — Pięknąż sobie lalę napytałem, wyuczy mi córki; cóż robić, klamka zapadła, z resztą to siostra, co było, widzieliśmy, a co będzie, zobaczemy — i nie mógł wyrwać karku z jarzma babiej niewoli. Znana to prawda po wszej Polsce, że złe babszcze jak się uweźmie na poczciwego polskiego szlachcica, to tak go uchodzi fochami i wydziwami, jak Tatar nahajką tabuńskiego konia.

Z córek Podkomorzego najstarsza dwudziesty rok poczynała, a najmłodsza kończyła szesnasty; państwo Podkomorstwo polskim, chrześciańskim obyczajem nie zwali swoich córek imionami pogańskich bałwanic, albo dziwolążnemi bohaterek francuzkich andronów; po prostu przy każdych urodzinach zajrzeli w kalendarz drukowany w Berdyczowie u Księży Karmelitów i nowonarodzonej nadali miano świętej patronki, albo świętego patrona, który tym dniem się opiekował. I dla tego Podkomorzanki zwały się, jedna Józefa, druga Tekla, trzecia Róża. Wszystkie trzy harne, krasiwe i hoże dziewice, a każda inaksza.

U Józefy jasne włosy, ciemne oczko; oczko, co czasami żarem płonie, słońcem błyszczy, a czasami w łzawej mgle się kąpie i słodko a lubo omdlewa; czoło gładkie, łagodne jak obłoki bez chmurek, przejrzyste, tak iż każda żyłka na niem się rysuje; brwie cienią się łuczkiem, rzęsa mgli niby pajęczyna jedwabiu; nosek kształtny, usteczka malutkie, rumiane, słodziutkie jakby pocukrowane, zdają się wołać: pocałuj mnie; twarzyczka biała, wymuskana, z lekka pociąga się krasą niby cieniem rumieńca, szyjka, pierś, śnieżne jak kwiat łotaczu; a takie ładne, takie czarowne, że aż serce rozkosz łechce, a oczy rozkosz nęci; wzrostem ni rosła ni mała, ale szykowna, ale zgrabna, a taka wiotka, że zda się w powietrze wyleci i prosi chłopców, zatrzymajcie mnie na ziemi.

http://rcin.org.pl

U Tekli twarzyczka milutka, figlarna, zawsze zarumieniona krasą polnej róży, niebieskie oko ciągle wabi i mizga się, ciemna brew mszy się jak aksamit, rzęsa mruga jakby na sprężynach; ciągle główką rusza i sploty ciemnych włosów igrają i draźnią się z uśmiechającem się czołem i z gładką skronią; bezustanny uśmiech siada na ustach i lata po twarzy. Kibić rosła, wysmukła, gibka i wertka; ona i twarzą i kibicią mówi: chłopcy nie złapiecie mnie, a ja was wodzić będę jak zechcę.

U Róży oko czarne, to ogniem czucia się zapali, to dobrocią się umili, to hardo spojrzy; włosy czarne i lśniące, jak krucze pióra, a miękkie i polotne jak jedwab; twarz biała jak mleko i ząbki jak cukier białe: a rumieniec krasny jak krew i usta krasne, a rączki takie świeże, że choć wody się z nich napić; składy ciała jeszcze w pączku, ale już zapowiadają czem będą, już i chód i postawa dumą piękności się znaczą i piszą przed oczami wszystkich: wielbcie mnie, kochajcie, padajcie mi pod nogi, nie łatwo ja wybiorę, ale kogo pokocham, to będę kochać.

Wszystkie trzy z ojcem pieszczące się, pochlebne jak młode koteczki, ze starszemi potulne, łagodne jak gołąbki; ze sługami słodkie zawsze z prośbą, nigdy z rozkazem; ze znajomemi serdeczne i szczere, z nieznajomemi grzeczne; stroskanym biegły z pomocą, biednym z hojną jałmużną; a Bogu i Swiętym Pańskim niosły w hołdzie pokorne, pobożne modły i duszewne dziękczynienie.

Takiemi trzemi córkami chlubił się Podkomorzy i dziękczył Bogu za ten dar, a wszyscy w sąsiedztwie go kochali po bratersku, po chrześciańsku, szczerze po staropolsku i mówili — Bóg mu nagradza, bo kto z Bogiem, to i Bóg z nim.

IV.

Na dziedzińcu psy zaszczekały, skoczyły ku bramie i już umilkły, tylko się łaszczą koło konia Sawyny, koło konia wiernego kozaka. Podkomorzy spojrzał w okno, uśmiechnął się zadowolnieniem — To Iwan jedzie — i szedł na ganek, bo to syn jego dawnego i dobrego przyjaciela; zmarł ojciec, ale synowi starą przyjaźń w spadku zostawił. Podkomorzanki w oknie stanęły i patrzą. Iwan od bramy z kopyta konia w cwał wypuścił, dziedzińcem jak wicher przeleciał, przed gankiem osadził w miejscu, aż koń zadniemi nogami zaorał ziemię, a przodem wzniósł się w górę. Iwan w mig zeskoczył z siodła. Panna Józefa pobladła — Mój Boże on się zabije. — Panna Tekla mrugnęła i uśmiechnęła się — Jaki zgrabny Pan Sawyna, jak mu ładnie w tej burce. — Panna Róża skraśniała na twarzy, zabłyszczała okiem — To się nazywa dzielnie, jak wicher leciał,

http://rcin.org.pl

jak wryty stanął. — A Panna Salomea przymrużyła oczki, skrzywiła usta — Quelle idee, na koniu z wizytą, zrobi d'un salon stajnię. Rosine, zmiłuj się, l'huile d'orange, już czuję stajnię. Rosine qu'en dirais tu? un gentilhomme a czysty kozak.

W tem drzwi się otworzyły i wszedł Podkomorzy z Sawyną: Sawyna był wzrostem pohoży, ruchy ciała składne i zwinne, zwyczajnie kozacze, twarz śniada, oko siwe bystre jak u sokoła, nos orli, czoło wysokie, ciemna czupryna rzadka na przodzie jakby umyślnie podgolona, na przedniej wardze czarniawy wąsik się wysypał i mszy aksamitem, dziki zapał i praworność na twarzy, kozacza duma i mutorność w postawie, jednem słowem, na całą gębę kozak.

Ubiór jego nie wykwintny, nie trefiony, ale strojny i bogaty, powitanie nieukładne, nie mierzone, ale szczere i przystojne; przyjacielskie niby ojcowskie ściskanie Podkomorzego, radość i szczerota na twarzach dziewcząt tak rozdobruchały Sawynę, że rozmawiał wesoło, zadosyć: choć nie silił się na rozum, nie sadził się na wyszukane rzeczy i słowa, rozmowa szła poskocznie i ani na chwilkę nikt się nie zaciął w mowie, ani zafrasował się, co ma powiedzieć; nawet tą razą Panna Salomea zapomniała o spazmach i supirach, piętnaście razy zawołała tylko: quelle idee! a ledwie dziesięć razy wmieszała Rasyna, Krebilona i Pannę Skudery. Toczyły się rozmowy o wiejskich rzeczach, o polowaniu, o strachach, upiorach i o podaniach ludu; w tych wiadomościach Sawyna celował na całe okolice, wiedział, w jakiej mogile pieniądze się palą, kędy wilkołak mandruje, z których cmentarzów wychodzą martwice i upiory, gdzie mieszka czarownica, co mleko krowom odbiera, deszcz sprowadza i nawrokami na ludzi rzuca; znał wszystkie dumy i pieśni Ukrainy i wszej ruskiej ziemi, od deski do deski znał wszystkie podania o dawnych bojach i morach i kiedy o nich albo o polowaniu mówił, to piękniało lice, panoszała postawa, wiara patrzała z oczów, a słowa tak bujnie i tak szparko płynęły, jak woda na łotoki. Zdawałoby się, że Bojan jakiś przyszedł z nad Dniepru, pieścić ucho, krew zapalać i matać duszą kozaczego ludu.

Kiedy Panna Solomea wściubiła w rozmowę jakiegoś tam swojego Rasyna, Sawyna o mało się nie przeżegnał, myślał, że to diable miano, a potem zapytał, czy nie nowy jaki sąsiad przybył w okolice. Młode panny pusto się zaśmiały, ale nie szyderczo, nie złośliwie. Ciotunia westchnęła — quelle idee — a Podkomorzy wąs musnął, pas poprawił: — et to Francuz jakiś, Bóg to święty wie z kąd on — nie powiedział Niemiec, bo on w to wierzył jak kozak, że jak diabeł chce jaką psotę zrobić, to się zaraz wyczupurzy na Niemca.

I wszystko szło dobrze, składnie; kilku sąsiadów przyjechało. Przy obiedzie Podkomorzy kazał przynieść starego węgrzyna

http://rcin.org.pl

w omszonych butelkach i wiwatowych kielichów; choć to nie święto, ani uroczystość żadna, zdrowia po zdrowiach wychylano; w końcu Podkomorzy nalał w kielich — Iwanowej Bohdanki — i z półuśmiechem spojrzał na swoje dziewki. Sąsiedzi jak ojciec piii, uśmiechali się i zazierali w twarzyczki dziewczętom, a dziewczęta kraśniały i spuszczały w dół oczki. Sawyna na podziękowanie kłaniał się, poczerwieniał i języka w gębie zapomniał, a sąsiedzi bywalce kmetują: dobry znak, kocha się chłopiec, ale w której to sęk, wszystkie trzy pokraśniały jak maliny, a kozak na żadną w tej chwili nie patrzał. Ojciec może wie, może nie wie, która z córek przypadła do serca młodemu Sawynie. Dziewcze zazwyczaj sprytne w takich rzeczach, może odgadło jego miłość, ale co ludzie to nie wiedzą, bo Sawyna przed światem strzelistemi słowami, bezczelnemi mizgami oka uczucia swego nieczwanił; on kochał się dla siebie, a nie dla ludzi.

Po obiedzie jakiś powóz przed ganek zajechał, ale nie było słychać staro-polskiej palby z bata, tylko pocmoki i pogwizdy moskiewskich kuczerów. Jeszcze Podkomorzy nie podążył wyjść przeciw gościom, a już się drzwi otworzyły i przodem wpadł jakiś fircyk świszczypałka, we fraczek przybrany kuso i opięto, w butach ze sztylpami, uczupierzony gdyby pudel; choć to jeszcze ani myśli kur piać na północ; Sawyna myślał, że bezpięty się wyrwał i wskoczył między ludzi i mało nie zawołał: — Wszelki duch chwali Pana Boga. — Za fircykiem wszedł urodziwy młodzieniec w dońskim kozaczym stroju, z szablą przy boku i oficerskiemi błyskotkami. Ów fircyk zwał się Graf Tytus Emanuel Gotard Askaniusz Bukarewicz, Kamerjunkier Jego Cesarskiej Mości, odkomenderowany do osobnych i ważnych poruczeń, przy Ober-Jegier-Mejstrze Grafie Naryszkinie; przez tego ostatniego posłany na rekrutowanie psów do cesarskiej psiarni. Z ojca Polaka, z matki Polki, tak skapcaniał sercem, obyczajami zdworzał, taki się zrobił perekińczyk, że aniby komu przez myśl przeszło, iż w jego żyłach krew polska, krew szlachecka. Ale za to po mistrzowsku znał obrzędy wielkiego świata, plótł trzy po trzy, bez składu i ładu, ale po francuzku. Mizdrzył się do płci pięknej, jak to mówi gminne przysłowie: gdyby suczka na przewozie. Czasami jak furkadło wiercił się po komnatach, czasami ziewał, nudził się, obojętnem a pogardliwem okiem na wszystko pozierał, a jedno i drugie udawał; nosił okulary i lornetkę; pisał wiersze, wikłał zagadki, bohomazy malował, brzdąkał na klawicymbale, tańczył gdyby skoczek, w rozmowie na harc ciągle wyprowadzał albo swoje znaczenie u cesarskiego dworu, albo widowiska stolicy, albo pokątne miłostki i potykania się różnych a różnych Pań i Panów.

Podkomorzy trochę się naburmusił, ale w swoim domu

http://rcin.org.pl

musiał grzecznie przyjąć gościa. Graf szumnie przedstawił rotmistrza Jełowajskiego, swojego postojańca, a potem fertycznie przysuwał się do panien. Jak zapaplali po francuzku z Panną Salomeą, to Panna Salomea aż odmłodniała, uśmiecha się, kryguje, spieszcza głos, jak piętnastoletnie dziewczę.

Przyjazd nowych gości tak zbił z pantałyku Sawynę, że usiadł i jak mruk siedział, w ręku to chustkę od nosa miął, to wystrzępywał frędzle z pasa, a Panna Róża popatrzyła na niego i zaśmiała się, jakby chciała powiedzieć, ja wiem, co to znaczy. Jełowajski czy z przypadku, czy z umyślnie siadł kolo Panny Tekli i rozmawiał o sąsiedztwie, o zabawach. Widać, że Laszka wpadła w oko Dończowi, bo ani myślał rzucać swego miejsca. Graf zgrabnie odsunął się od Panny Salomei i przysiadł się do Panny Józefy: z początku jakoś szła rozmowa nieglaźnie, nieśmiało ze strony panny, ale niebawem poczęła śmiać się i szczebiotać i przymilać; bo te lalki wertepowe wielkiego świata z razu i na chwilę, mają dar obałamucenia młodej dziewczyny choćby jakiej. Sawyna poczerwieniał, zaiskrzył okiem, nawet zębem zgrzytnął; wstał, zmierzył wzrokiem od stóp do głowy Grafa, może chciał go zadławić, bo w pierwszej chwili siwe oko aż poczerniało od gniewu; ale kiedy zobaczył, że Panna Józefa tak zajęta tym świszczypałką, iż na niego ani spojrzy, czy łza mu się w oku zakręciła, czy smutek uderzył do głowy, obrócił się i wyszedł.

Wrócił, ale już do pierwszej komnaty, gdzie Podkomorzy z sąsiadami popijali węgrzyna pomalutku i gawędzili gadu gadu, to o gospodarstwie, to o ojczystych sprawach; bo to już czas rozpoczynać gorzelnię, woły stawiać na brahę, a wieść doszła przez Berdyczowskich kupców, że w Księstwie Warszawskiem jakiś ruch i Napoleon, ten wielki wojownik, coś zamyśla o Polsce.

Za chwilę zatętniały konie przed gankiem i Sawyna zabierał się do pożegnania; Podkomorzy bierze go za rękę: — Zostań Panie Iwanie, przenocuj u nas, wreście noc jasna, zajedziesz do domu; żona, dzieci na ciebie nieczekają. — On na wszystko roztargniony, nie swój; odpowiadał — nie mogę, nie mogę. — Panny proszą, a on się kłania, całuje w ręce, — nie mogę — — Panna Józefa błyszczącem oczkiem w twarz mu spoziera, słodkim głosem mówi z cicha: — proszę zostać, proszę. — On jej nie słowem, ale wzrokiem odpowiedział; co jawnie mówi: duszno mi, ciężko, boli serce; biorąc jej rękę do pocałowania nie czuł lekkiego uściśnięcia, a całując ją mimowolnie, puścił na pulchną rączkę dwie krople łez i wyszedł. Kiedy się żegnał z Podkomorzym w ganku, o mało się nie rozpłakał; żywo, po szalonemu wskoczył na konia; żywo, po szalonemu przeczwałował dziedziniec i wybiegł za bramę.

http://rcin.org.pl

Podkomorzy wrócił, może zgadł, co było, bo spojrzał na zatroskaną Józefę: — Dobre dziecko, taki serdeczny jak ojciec, niech go Bóg błogosławi: — i przez okno przeżegnał krzyżem świętym w tę stronę, gdzie Sawyna pojechał.

Panna Salomea szepnęła z cicha na ucho Grafowi — quelle idee?... jak ksiądz. — Graf odmruknął, dał rozgrzeszenie à une âme repentante ou souffrante. — Panna Róża usłyszała tę rozmowę i rzekła niby sama do siebie: — Kto z Bogiem, to i Bóg z nim.

V.

Minął październik, miesiąc miły myśliwcom, przeszły tumanne ranki, srebrzyste przymrozki, przeminęło babie lato. Listopad myśliwców zasmucił grudą, zaweselił ponową i takoż przeminął; nadszedł grudzień, z ostrym mrozem, z białym śniegiem, ze szronami, z szarugami. W Kukulańskiem siole dworscy kozacy między sobą bandurzą: czy jakiego ziela objadł się nasz Pan, czy licho do niego przystąpiło; gończe i charty pole zależały, szczwackie konie wypasły się jak kabany, w sadzie zające gryzą szczepy, po futorach lis kury dusi, a wilcy z obory owce chwytają. Pan jak grzyb siedzi w domu, już tydzień jak był u Podkomorzego; na lichą godzinę przyszło, a szkoda Pana, dobry Pan. I z Paniczem Rabskim coś się zrobiło, do kościoła chodzi i modli się, z księdzem Niceforem już się nie kłóci, ale coś radzi, przebrał się w czamarę i na koniu ustawicznie do białego dworu jeździ, będzie i z niego człowiek, bo to lacka krew, a lach czy prędzej, czy później zawsze po swojemu zagra.

Ile razy Sawyna przyjechał do białego dworu, tyle tam razy zastał Grafa Kamerjunkra; choć Podkomorzy zawsze jak syna przyjmował Iwana, choć i Panny były zawsze dla niego jednakie, jednak Iwan markotny, sam nie wie od czego zacząć rozmowę, nie wie jak obrócić się nawet; chciałby to grafiątko po kozacku poturbować, ale niema rady znaleść przyczepy, bo Graf jak mops się płaszczy i łasi, a do Panny tnie koperczaki; a niech tylko Panna Józefa po francuzku zapapla, albo miławem oczkiem spojrzy na Grafa, to Sawynę mało diabli niebiorą. Zasierdzi się, nic nie powie i wyjedzie; w Kukulańskiem siole, czas jakiś potęskni za dziewczyną, a potem znowu do niej powraca. Temczasem Rabski takoż trafił na swoją, polubił Pannę Różę, prawił jej jakieś tam dziwolągi rozumu, a ona mu wiarą serca i uczuciem serca prostowała rozum i przy niej zostało zwycięztwo, bo Pan Rabski od tego czasu wierzył, czuł i kochał; a Panna Róża nie rozumem nad sercem, ale sercem nad rozumem władała.

http://rcin.org.pl

Tak przeszedł czas do jedynastego grudnia, to dzień imienin i urodzin Pana Podkomorzego; w białym dworze suta uczta, pełno gości: Sawyna, Rabski, Graf i Jełowajski, wszyscy tam byli. Przy stole na cześć Solenizanta wesoło i duszkiem spełniano mnogie kielichy, a tak szczerze, że wytrząsnąwszy kielich do paznokcia i kropeleczka winaby tam nie spadła. W głowach zagorzało, krew zakipiała, kiedy urżnęła muzyka polskiego, wszyscy raźno i ochoczo posunęli, postukali narodowym tańcem; po polskim, mazurka wyskoczyli, dziewice w zalotne krygi, w skoczne pląsy, chłopcy w gęste hołubce, w gromkie postuki; wszystko się weseliło, wszystko hulało.

Czegoż tak nagle Iwan pochmurzał, dopiero co przetańczył z Panną Józefą i w tańcu z oczów, z twarzy widno było, że hulał nietylko ciałem, ale sercem i duszą. Po mazurku coś gadał z Panną Józefą i nagle się odwrócił, stanął pod ścianą i oparł się, jakby plecami chciał ścianę wywalić; tańczą nowego mazurka, on nie tańczy, patrzy, ale chmurno, ale dziko. W kole wywija się Panna Józefa z Grafem, a Sawynie serce zabolało, w oczach pociemniało. Jakby z szatańską pociechą Panna Salomea przyszła do niego z uśmiechem: — Monsieur, Pan nie tańczysz, quelle idee. — On nic nie odpowiedział; ona popatrzyła na tańcujących: — Josephine jak tańcuje, co za śliczna para, il est charmant Monsieur le Comte. — Temi słowami zapruła po sercu Sawyny: pomyślał sobie, w kąt byś poszła sekutnico, i odwrócił się od niej.

Po skończonym mazurku znowu się zbliżył do Panny Józefy, Grafa trącił sobą, jakby zaczepki szukał. Graf nizko się pokłonił: — Pardon, pardon — i w bok się zemknął. Krótka była rozmowa Iwana z ulubioną dziewicą, smutny do niej przyszedł a zły od niej odszedł, napotkał Rabskiego.

— Ona mnie nie kocha.

— Kto ci powiedział.

— Ona, idź wyzwij, niech tu zaraz stanie ten pies.

— Kto taki?

— Ten graf; jeden z nas musi zginąć.

— Iwanie, upamiętaj się, cóż ci z tego, kiedy ona ciebie niekocha. —

Zamilkł Iwan a po chwili dodał smutnym, cierpkim głosem — prawda, niech żyje; jedźmy Ignacy — Rabskiemu żal ciotecznego brata, zrozumiał cierpienia jego serca, powtórzył — jedźmy — i wyszli.

W białym dworze muzyka huczy, tańczą, weselą się i hulają. Podkomorzy parę razy Iwana i Rabskiego szukał i mruknął — coś mu tam znowu zrobili, kara Boża, kiedy się kto kocha; ale i z nami tak bywało, trzebaby już ich pożenić — Panna Róża wymawiała coś starszej siostrze, bo uśmiech niebarwił lica, a w

http://rcin.org.pl

oku wyrzuty żalu; panna Józefa spojrzała do koła, westchnęła, ale muzyka zagrała i tańczono do białego dnia.

W parę dni przyjechał do białego dworu Pan Rabski sam tylko i przywiózł od Iwana list do Podkomorzego, list to był pożegnania; po synowsku uszanował przyjaciela swojego Ojca, mówił, że jedzie do Warszawy zaciągnąć się do szeregów polskiego wojska i walczyć za Ojczyznę, za matkę Polską; o miłości ani słowa niewspomniał, prosił o błogosławieństwo i w przypisku uszanowanie załączał pannom. Podkomorzy przeczytał, zasumował. — Jabłko od jabłoni niedaleko się odkoci, jaki ojciec, taki syn; poczciwy i człowiek i polak; ale trzeba było tu ze swoimi zostać, wszak i tu może na coś się zdamy. Panna Józefa zapłakała, mówiąc — jam mu tylko powiedziała, że będę tańczyć, z kim mi się podoba — i smutek zasępił piękne lice, uśmiechała się Panna Salomea — z szablą w ręku à cheval, będzie charmant; a Panna Róża przyjazna Iwanowi, rada, że Pan Rabski pozostał, modliła się o powrót Sawyny a kiedy Rabski opowiadał, że przed wyjazdem wyspowiadał się i przyjął ciało i krew pańską, jakby na wieczną podróż się wybierał; ona powtarzała — Bóg go nam powróci; bo kto z Bogiem, to i Bóg z nim.

VI.

W Warszawie w Polskim grodzie, w Zygmuntowej stolicy, na królewskim zamku wywieszono czerwoną chorągiew; na jej tle biały orzeł rozpostarł skrzydła, zdaje się kąpać we krwi i wołać, krwi! krwi; ale obok niego niepędzi srebrny jeździec po błękitnem polu i archanioł nie srebrzy się na malinowem niebie, choć bracia litwini i rusini hurmami nagarnęli się pod lacką chorągiew, koni dosiedli, mieczów dobyli, i wołają: za Polskę, za Polskę.

Jak zajrzeć okiem w około Warszawy, tak wszędzie tłumy wojennych ludów zaległy i miasto i błonia, i sioła i wzgórza; jak zasłyszeć uchem, tak zewsząd dolatuje szczęk i brzęk, ten tent, krzyk i wrzaski; jak piasku, taka ćma rozlicznych ludów! tu Francuz wesoło pogwizduje, jakby szedł na tańce; tam Węgier okapany złotem, jak za Huniada czasów na koniu harcuje; tu Brandeburczyk rozprawia o Fryderyku i pasuje wojenne rynsztunki; tam Czech pobratymiec Lacha junaczy, bo wspomniał sobie, że i on miał ślepego Zyzkę, rudego Walensztejna; tu ciężkie giermany szwargoczą i bronią postukują; tam weseli Sławianie Iliryjskie dumki nucą, po Dalmacku się chwalą; tu ospałe a zabobonne Iberyjce dziko zchmurzyli czoła, tam wojenne Sasy i jasne włosy stroją i broń ostrzą; tu Włoch okiem

http://rcin.org.pl

niewiary poziera i zdrady knuje myślą, tam Mameluk wschodnie czoło w powietrzu kąpie, wzrokiem dumy po ziemi wodzi; i wszystkie te tłumy wrzeszczą: na Moskwę! na Moskwę!

Czy to krzyżownicy idą bić się za Bożą wiarę? Czy to ludzie wolności idą wybawiać ludy z niewoli? O nie, jeden tylko człowiek wie, gdzie ich wiedzie i po co; oni jak psy służą jego woli; wolność, kajdany, co on każe, to oni zaniosą ludom. Krzewić Chrystusa wiarę, burzyć Chrystusa wiarę, co on każe, to oni robić będą; i ten człowiek w szaraczkowej kapocie, na białem koniu przyjechał przed szeregi i różnojęzyczne tłumy zawrzeszczały jak z wieży Babela — Niech żyje Cesarz! na Moskwę! na Moskwę.

Wojenne tłumy szły polskim krajem jak szarańcza, gdzie przejdą, to zniszczą, ogłodzą, spustoszą; po ich śladzie długie lata ani trawa ani zboże nieporośnie. Lackie pułki przodem ich biegną, drogę znaczą, dzieci lackiej ziemi wszystko oddają i jeszcze się cieszą, myśląc, że to wszystko dla Ojczyzny; a wódz w szaraczkowej kapocie, co marzy niewiadomo, tylko każe iść naprzód i różno-językowe tłumy wołają: na Moskwę, na Moskwę!

Wojenne tłumy przepławiły litewski Niemen, niezatrzymały się w Kiejstutowem Kownie. Moskwa cofa się a cofa; a oni idą a idą. Zbudzili Litwę do broni, niedługo gościli w Giedyminowym grodzie, pod Mirem lackie pułki pierwsze się z nieprzyjacielem starły, do Smoleńska lackie pułki z swoim rodzimym bohaterem na czele pierwsze weszły. Wódz w szaraczkowej kapocie żadnej pamiątki Polsce niezostawił, tylko skinął ręką na znak, iść dalej i różnojęzyczne tłumy wrzasnęły; na Moskwę, na Moskwę!

Pod Możajskiem, na Borodińskich polach Moskwa całą siłą stanęła do boju. Wódz w szaraczkowej kapocie skinął na znak; zwyciężyć: różnojęzyczne tłumy zawrzały — Niech żyje Cesarz; kopytami zorały, trupami zasiały; i krwią zlały Borodińskie pola i poszły dalej wołając: na Moskwę! na Moskwę.

Lacka jazda szła przodem, białe z czerwonem proporce w powietrzu furkoczą, przy ułańskich czapkach piórupusze powiewają; polskie koniki idą rzeźwo, idą ochoczo, a ułani ukraińskie dumki nucą; a przed przednim pułkiem kilkudziesięciu jeźdźców bieży, a ich wiedzie młody porucznik, na kruczym koniu biało-nogim na zadzie, u porucznika kozacza burka na plecach, a przy ułańskiej kurtce na piersiach niebieska i czerwona wstążeczki, to jawne znaki, że nie skąpił ani życia ani ręki: to Iwan Sawyna, dziedzic Kukulańskiego sioła; choć konik czepki i szabelka ostra i postawa rycerska, ale czoło chmurne, serce smutne, dusza tęskna. Czy zachmurzył się dla tego, że nie tak przystrojony jak Bohdanko Rożyński, jak Igor Zarudzki, co tu hulali po tych krajach, w kontuszu i w żupanie, w chołoszniach i baraniej czapce; a on przystrojony kuso, opięto,

http://rcin.org.pl

pstrokato jak szczygieł. O nie. Czy się zasmucił, że mu półkowództwa jeszcze niedano? O nie; on zatęsknił za czarnem oczkiem, za jasnym włoskiem krasnolicej dziewczyny. Od czasu jak opuścił dom rodzinny ani jednej pomyślnej wieści nie miał; przyjeżdżali ziemlacy i wszyscy mówili: Graf Bukarewicz ciągle dojeżdża do Białego dworu, Panna Józefa ma się do niego, tylko ojciec opiera się jeszcze małżeństwu. Rabski pisał parę razy, pisał, że się żeni z Panną Różą, a o Pannie Józefie ani słowa; ach, z tego zła wróżba ciśnie się do myśli. Sawyna na pociechę sobie marzy: może ona mnie nie zapomniała, a tu mu druga dumka jak zły duch ciśnie się do głowy: i zapomniała i nigdy nie kochała i on chciałby zapomnieć, a nie zapomina; chciałby nie kochać a kocha: w tem któryś z wiary zawołał: Moskwa! Iwan spojrzał i okazała się oku biała Moskwa, zabłyszczały trójkrzyżne kopuły cerkiew i zasiwiał stary Kremlin. Podumał sobie Sawyna, jak tam kiedyś litewski Olgierd na Wielkanoc z Litwinami i z pisanką przyjechał do Cara Dymitra, jak skruszył o mury Kremla giedyminową kopię; i zaczął o tem dumkę nucić, kiedy ułan powodyr nazad zwrócił konia — Dońce, Dońce. — Iwan uszykował jeźdźców i puścił się naprzód, tuż, tuż pułk lacki nadbiegł. Dońce jak rybitwy wrzeszczą i jak rybitwy się wywijają, a ani rady się z niemi zetrzeć, bo każda kupka w mgnieniu oka się rozpierzcha, jak ogniki polne uciekają kiedy je gonisz, gonią kiedy uciekasz.

Lacki pułk z Dońcami harc zawodził, a tu z tyłu ziemia zajęczała, zatętniała i powietrze zawrzeszczało różnojęzycznemi głosy — Niech żyje Cesarz! na Moskwę! na Moskwę!

Do starej stolicy białych Carów zwaliły się te różnojęzyczne tłumy, a tam pusto i głucho, jakby morowa zaraza wymiotła miasto, tylko po lochach i pod strychami kryją się resztki ludzi, niby tknięci i ocaleni zarazą; po mieście rozbiegło się żołdactwo i zwyczajnie wojennym nałogiem bezprawi i rabuje; a wódz w szaraczkowej kapocie do Kremla zajechał i różno-językyczne tłumy zawrzeszczały — Niech żyje Cesarz! w Moskwie! w Moskwie!

Już mrok wieczoru zaszarzał, kiedy Iwan Sawyna rozmawiał z kilku ziemlakami przed pustym domem, rozmawiali po ukraińsku; ziemlacy odeszli, a Iwan sam dumał; jakiś człowiek z za węgła wyszedł i skradał się jakby miał na myśli zły uczynek.

Iwan chwycił dłonią za rękojeść szabli; człowiek schylił się pokornie — Ojcze pomiłuj.

— Czego chcesz?

— Ojcze ty Ukrainiec i ja kozak.

— No cóż chcesz? —

Kozak się zbliżył, oglądał się na wszystkie strony — Mój Rotmistrz umiera a i on kozak.

— Gdzie on jest?

http://rcin.org.pl

— Tutaj.

— Prowadź mnie — i szedł za nim, bo szczerota w słowach kozaka silnie przemówiła do Iwanowego serca: za drewotnią w chlewku, którego drzwi zawalone były gnojem, leżał ranny Rotmistrz. Iwan z kozakiem go wynieśli na podwórze, on słabym głosem zaszemrał — Semen... Francuzy — a kozak mu odpowiedział — Ojcze to nasz, Ukrainiec czy Lach — i zanieśli do izby. —

Tam kładąc rannego na burce, Iwan spojrzał mu w oczy — Jełowajski.

Ranny ocknął się: — Sawyna — obadwa się powitali.

Kiedy Jełowajski trochę przyszedł do siebie, Iwan go zapytał: — Dawno ty z naszych stron wyszedłeś?

— Drugi miesiąc, jak zostawiłem żonę.

— Ty żonaty... z kim?

— Z Panną Teklą Prawdzicówną.

— A Pan Podkomorzy?

— Zdrów, często o tobie gada.

— A Panna Róża?

— Poszła za mąż za Rabskiego.

— A Panna Salomea?

— Czeka na męża. —

Zatrzymał się jakiś czas Iwan — A Panna Józefa? — Jełowajski milczy; powtórzył — a Panna Józefa?

— Już pewno poszła za mąż, za Grafa Bukarewicza.

— Jak to pewno?

— Już po zaręczynach, za miesiąc od mojego wyjazdu miało być wesele; ja nie mogłem być, bo musiałem wyjechać. — Iwan już nie słuchał, tylko oparł się o ścianę i zadumał się. Jełowajski milczał: po chwili Sawyna ręką machnął, przez zęby mruknął — Ona mnie nie kochała — i dodał głośniej — Jełowajski, czego ty chcesz, tu zostać bezpiecznie.

— Na Don jechać. —

Wyszedł Sawyna, ze trzy godzin bawił i wrócił — Jełowajski masz przepustkę, podwoda przed wrotami czeka; jedź szczęśliwy, pokłoń się im odemnie — głos mu zadrżał; widno łza cisnęła się do oka — Powiedz, że ją kochałem i kocham, powiedz, że mnie więcej nie zobaczy. — Odwrócił się, jakby pożegnanie od siebie odpychał. Jełowajski go zrozumiał — Bądź zdrów Sawyna, jeśli dożyję to się pokłonię. — Stary Doniec Semen, jak piastunka dziecię, owinął, otulił swego Rotmistrza, wziął na ręce — Bywaj zdrów Panie Lachu, Bóg tobie niech szczęści, wszystko dobro dla ciebie — i wyszedł.

Sawyna posłyszał głos kacapa woźnicy, posłyszał głuche uderzenie kopyt końskich i skrzypnięcie podwody; zapłakał: — Ona mnie nie kocha, a ja ją tak kocham — pobolał, popłakał, bo nikt nie widział, ani słyszał, tylko ściany pustego domu;

http://rcin.org.pl

potem przyszli towarzysze z wesołemi słowy, z gwarnemi krzyki; a on już nie płakał, tylko bolał i milczał.

Nie długo różnojęzyczne tłumy gościły w starym Carów grodzie; lud Moskiewski nie groził, nie przechwalał się, tylko milczkiem warzyli w sobie gorzką myśl: czy dla wrogów pobudowano domy białej Moskwy? czy Carowie wystawili cerkwie Boże na stajnie, na składy wrogom? czy Kreml na to wznieśli, aby z niego najeźdzca panował? Znalazł się człowiek natchnienia, co im szepnął w ucho: — Gruzy i zgliszcza dla wroga, niech się w nich zakopie, albo ztąd precz ucieka — i jakby czarnoksięzką mocą, w setnych miejscach jaskrawym ogniem zagorzała biała Moskwa; i cerkwie Boże i Kreml pożarem płoną; darmo gasić ogień, darmo nieść ratunek, bo to lud silnej woli, wielkiego natchnienia, swoje mieszkania pali, swoje dostatki niszczy, żeby wrogowi nie zostawić ani dachu, ani chleba; woli marznąć z chłodu, z głodu umierać, jak dźwigać obce jarzmo.

Różnojęzyczne tłumy pod broń stanęły, wódz w szaraczkowej kapocie wyjechał na białym koniu; w jego oczach, na jego twarzy wola i nic więcej; skinął ręką na znak, idźcie... i różnojęzyczne tłumy ruszyły z miejsca, ale nie do Kaługi, tylko tym szlakiem zkąd przyszły; jeszcze zawrzeszczały: — Niech żyje Cesarz! — Ale już nie językiem, tylko myślą domówiły — z Moskwy, z Moskwy!

Kopią się śniegiem, trupami znaczą drogę. Moskwicin za wrogiem w pościgi ruszył; mnogie hurmy Suzdalów, Permców, Twerców i całej Moskwy dzieci, trop w trop idą za różnojęzycznemi tłumy, niby cechy sielskie za pogrzebnym orszakiem. Dońce i Uralce po bokach zabiegają i palą z janczarek na wieczny odpoczynek; Kałmucy i Baszkiry niby płaczki przyśmiertne dzikim głosem w uszy piszczą; dzień i noc pokoju nie dają, a głód morzy, a zimno mrozi. Wódz w szaraczkowej kapocie każe stanąć i staną; każe zwyciężyć i zwyciężą, jeszcze zawrzeszczą różnojęzycznemi głosy: — Niech żyje Cesarz! — Ale już nie wołają do Moskwy, tylko myślą: z Moskwy, z Moskwy.

Mało-Jarosławiec i Krasne hojnie zleli krwią i swoją i Moskiewską; ale jak przyszli, tak wyszli z Moskiewskiego carstwa: przynieśli z sobą śmierć i spustoszenie i zostawili po sobie śmierć i spustoszenie. Litwa powitała wracających braci i tych niby zbawców, ale powitała łzami i niemocą. Wódz w szaraczkowej kapocie ani pomyślał o tem, że mu noga powinie się w szczęściu; on w swojej dumie ani miary, ani hamulca nie miał, a Bóg mu pokazał, że jest człowiekiem. Różnojęzyczne tłumy przyszły nad gniłą Berezynę, i z przodu i z tyłu hurmy Moskwy; wódz kazał rzucać mosty, w brody przechodzić i bić; szli i bili, wrzeszczeli: — Niech żyje Cesarz! — i nic więcej.

http://rcin.org.pl

Za Studzianką, ubitym szlakiem szła garstka jeźdźców, to szwadron lackich ułanów, przed nim na kruczym koniu rotmistrzuje Iwan Sawyna. Słońce zaszło, mrok poszarzał, jodłowe lasy jak całuny grobowe przy śniegu ciemniały; lackie konie szły raźnie, ale smutno i ułani dumek nienucili, a Sawyna jedno a jedno myślał: ona mnie nie kochała; może za Ojczyznę, za matkę Polskę zginę. — W tem coś zamajaczało przed lasem, ułan powodyr strzelił i mknął nazad, i z lasu wysypała się moskiewska jazda; Sawyna szablę wychwycił z pochwy, burkę odrzucił na lewe ramię; nie po kozaczemu Sława Bohu, ale po lacku krzyknął — za mną wiara! — i ułani zakrzyczeli hura, hura! i z kopyta pomknęli; wpadli, złamali moskiewską jazdę, moskwa w las uciekła a lackie ułani za nią pognali. W lesie chwilkę był tentent, szczęk, huk i krzyk, a potem cicho.

Tylko po nade drogą, pod jodłą leży ułan ranny, a koło niego stoi konik, konik głowę spuścił, wędzidłem podzwania niby na podzwonne, a ułan burką się otula jak może i z cicha mówi: — Boże zmiłuj się nad nią; Boże przebacz mnie, Boże przyjm mnie do siebie. — Ucho ludzkie zasłyszało tę modlitwę, przyszedł jakiś stary Litwin, stanął, popatrzył, poruszył ułana: — Co ci panoczku?

— Człowieku Boży, przyprowadź mi Księdza, zlituj się, ja ranny, ja umieram — i szepcząc odmawiał pacierz Litwin, wziął go, podniósł i niósł do niedalekiej chaty w borze. Konik jak pies biegł za nimi; Litwin chciał go odgonić, ułan rzekł słabym głosem prośby: — Mój konik, mój konik, niech bieży — i Litwin dał mu pokój.

W chatce na tapczanie Litwin złożył ułana i opatrywał ranę. Ułan modlił się i prosił — Księdza, Księdza, niech mnie wyspowiada. — Litwin opatrzył ranę — pod piersiami kuli niema — założył żżutym chlebem, przewiązał, rozpogodził oko, skinął głową — Nic ci panoczku nie będzie — i przeżegnał się krzyżem świętem i Sawyna, bo to był on, takoż świętym krzyżem się przeżegnał, a Litwin w głos powiedział — Kto z Bogiem, to i Bóg z nim.

VII.

W białym dworze i zwyczajne i dziwne się rzeczy porobiły. Panna Tekla wyszła za mąż i Panna Róża za mąż wyszła, to zwyczajne. Ale Panna Józefa kochała a nawet kocha Sawynę, a o nim zapomniała i niewierzy co jej ojciec, co jej siostry, co jej szwagier mówią i powtarza: on mnie nigdy nie powiedział, on mnie nie kochał, to wszystko urojenia, bajka. Nie kochała a nawet nie kocha Grafa Kamerjunkra, a jednak tak się dała skłonić namowom ciotki, tak uwierzyła pustym, fałszywym

http://rcin.org.pl

słowom Grafa, że mówi: on mnie kocha, uszczęśliwię go i będę z nim szczęśliwą; to dziwne, ale też to tylko w sercu i czynach kobiety można widzieć dziwne i niepojęte rzeczy. Panna Salomea się radowała, że dokazała swojego dzieła i migreny i supiry ją odstąpiły: quel bonheur! ma nièce będzie Grafinią, et ce cosaque niech się tam tłucze na koniu pour la patrie; pojedziemy do Petersburga; les spectacles, Rasyn, Kornel, et avec ce cosaque cóż? do kościołabyśmy jeździli, quelle idée. — Podkomorzy długo się opierał, burmusił i zrzędził; ale cóż robić, siostra głowę kuczy, córka chce; powiedział — Kiedy chce, niech idzie; jak sobie pościele, tak się wyśpi — i pomyślał: Pan Bóg pobłogosławi innym sposobem Sawynie, bo to dobry chłopiec, dobry Polak.

Już był naznaczony dzień ślubu, kiedy jednego dnia ni stąd ni zowąd, pod biały dwór zajechały moskiewskie kibitki, w nich zasiedatele, czynownicy i żołdacy. Podkomorzego jak diabli grzeszną duszę porwali i potaszczyli do Kijowa do twierdzy. Córki, siostra szlochają, a oni po domu gospodarują, znaleźli kilka strzelb i kilka spis połamanych, jawny dowód, że bunt myślał robić. Graf z cicha się wyniósł, Zasiedatelowi kilka bomażek w rękę wcisnął, żeby niedoniesiono Jego Cesarskiej Mości, iż bywał w domie buntownika. Jeszcze kilka razy ukradkiem nawiedził biały dwór, opiekę obiecywał, przyrzekał wstawić się do Cesarza, ale kiedy zabrano pod nadzór rządowy majątek Podkomorzego, Graf oziębł a potem przestał bywać; niedługo wieść się rozeszła, że ma się żenić z córką jakiegoś tam wysokiego urzędnika tamożennego, odsądzonego od urzędu za kradzież, a który dawał zięciowi w posagu pięćdziesiąt tysięcy dukatów gotówką.

W białym dworze smutek i rozpacz, po ojcu, po bracie, o zamęściu Grafa parę słów powiedziano i zamilczano. Rabski opiekuje się osieroconemi niewiastami. Córki płaczą i modlą się; i panna Salomea już po francuzku niepapla, tylko do kościoła jeździ i w domu klęcząc pacierze mówi — Kiedy trwoga, to do Boga. Panna Józefa myśli o ojcu ale myśli i o Sawynie, zawsze znajdzie powód mówić o nim i pilnie słucha, co o nim mówią.

Już wszędzie gadano, że Francuzi przez Niemcy za Ren się cofają, że różnojęzyczne tłumy, wszystkie oprócz jednych Lachów, zaparli się wodza w szaraczkowej kapocie i przeciw niemu swoje bronie obrócili. Uleczony z ran przyjechał Jełowajski, żona go wita, on zwiastuje prędki powrót Podkomorzego, mówi o Sawynie; panna Józefa to kraśnieje, to blednieje i lubo jej i rozkoszno i na płacz się zbiera, ona go kocha, całem sercem, całą duszą, dziękczy Bogu, że ją od nieszczęścia zbawił, prosi Boga o szczęście i westchnie, czy on mnie jeszcze kocha, czy mnie jeszcze kochać będzie.

http://rcin.org.pl

Wrócił Podkomorzy, a o Sawynie ani słychu ani wieści. Cesarz wszystkich ułaskawił, wszystkim przebaczył. Do Polski, z Niemiec, z ponad Renu, wracają Lachy wojacy pod rodzime strzechy, a Sawyny jak nie ma, tak nie ma. Panna Józefa płacze, jakby chciała oczy wypłakać; na krasie, na zdrowiu nikuie. Ojciec ją cieszy — Moje dziecko przestań się trapić, przestań się dręczyć. Bóg pokarze, ale Bóg się i zmiłuje — Nawet panna Salomea dwa razy nowennę odprawiła po polsku na klęczkach o przyjazd Sawyny, a jego jak niema tak niema.

W maju miesiącu, w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego, wszyscy z białego dworu poszli piechotą do Tryhur na odpust; tam do kościoła Bożego napłynął tłok pobożnego ludu; krzyżem leżą, klęczą, biją się w piersi, czołami o ziemię i biją i modlą się, a kapłani Boży pieją na chwałę Panu, po Sławiańsku — Hospodynie Boże pomiłuj nas, pomiłuj nas — lud niezgodnemi a szczeremi głosy odśpiewuje: pomiłuj nas, pomiłuj nas, a rozgłos dźwięczy i huczy — pomiłuj nas.

Jakiś człowiek w kozaczej burce wszedł do kościoła, twarz jego blada, smutna, przeżegnał się krzyżem świętym, korny pokłon Bożemu domowi oddał i uderzył się w piersi. Panna Józefa przypadkiem spojrzała w tę stronę, oczy ich się spotkały, ona z cicha zawołała — to on, to on — i on ją poznał, przeżegnał się i wychodził z kościoła. Rabski go spotrzegł i za nim wyszedł na cmentarz; Sawyna już odwiązywał od płotu kruczego konika, Rabski go porwał za szyję — Iwanie, jak się masz? — Sawyna się obejrzał — Ignacy, chciałem was zobaczyć raz jeszcze; teraz ich pożegnaj, bądź zdrów — i rzucił się w jego objęcie.

— Iwanie, ty z nami zostaniesz. Józefa...

— Pani Grafini...

— Nie, ona twoja. Tu lud z kościoła wychodził a Iwan powtórzył — ona moja — i jak szalony prawie do nóg rzucił się Pannie Józefie — ona moja, ona moja — Ona go podniosła, rękę ścisnęła — twoja, twoja Iwanie, na zawsze — i Podkomorzy go ściskał i cała rodzina go ściskała, a dobry lud błogosławił temu powitaniu.

Po chwili wracali do białego dworu, Iwan z niemi, a kruczy konik za niemi. Iwan opowiadał, jak długo ciałem bolał u poczciwego Litwina, jak dłużej jeszcze sercem bolał, jak mu zatęskniło za rodzinną krainą, jak chciał raz jeszcze zobaczyć ojczystą strzechę, a potem pojechać gdzieś, het daleko na kraj świata, jak po drodze wstąpił do kościoła do Tryhur i tam znalazł swoje szczęście.

W kilka niedziel później było wesele Iwana z panną Józefą. Ksiądz Nicefor ślub błogosławił, Panna Salomea po polsku do ślubu go prowadziła, były tany i hulanka i cukrowa wieczerza, a potem przenosiny.

http://rcin.org.pl

Kiedy Sawyna z żoną wysiedli z powozu przed dworem Kukulańskiego sioła, gromada, czeladź, stara Horpyna, wierny Dmytro, wszyscy ich witali, wszyscy im błogosławili. Państwo młodzi nim próg przestąpili oboje się przeżegnali. W Imie Ojca i Syna i Ducha Swiętego. Amen.

A Dmytro jakby na wtór przemówił półgłosem. — Kto z Bogiem, to i Bóg z nim.

http://rcin.org.pl

KONSTANTY HORODENSKI.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I.

Jarugami i stepami sira wilczyca bieży, jak płaczka wyje, na wilczęta woła a wilczęta nie biegną; w jarugach głucho, na stepie pusto, tylko wycie dalekim rozgłosem het het niesie się i płacze i jęczy.

Stepem od Żurbiniec ku Halczyńcowi szedł starzec; na nim świta wytarta, na łokciach dziurami świeci, po brzegach strzępami się strzępi; chołosznie łatane, wychodzone postoły, za onuczki szmaty, w ręku kij, przez plecy torba, na głowie trochę mlecznych włosów, a na twarzy kupa zmarszczek, długa broda i wąs spłowiały od wiatru i słońca, a wiek jeszcze niesterał do szczętu rodzimego blasku w siwem oku.

Patrzy na okolicę, rozgląda: słońce zachodzi, już tylko połową twarzy ziemi przyświeca, druga połowa gdzieś za ziemię się zasunęła; niebo czyste, nawet białawe chmurki po nim nie wędrują, tylko jasne obłoki jakby rąbkiem cieniutkiej namitki, powlekają się jakąś mgłą ledwie mogącą się dojrzeć, to poprzedniczka zmroku.

Na polach po jednej stronie drożyny, złoci się żyto, złoci się i czerwieni pszenica i razem kłonią kłosiste czoła ku zachodzącemu słońcu; po drugiej stronie sznurami, łanami, na przemiany złoci się jęczmień i owies, jak śniegiem bieleje kwiatem hreczka, miedzią czerwienieje kiciaste proso, pożółka groch i po dolinach zieleni się smukły len; na odłogach, na miedzach, sterczą budiaki, a gdzie niegdzie jak węże wiją się drożynki zarosłe zielem.

Daleko, daleko na prawo, długim rzędem ciągną się futory jak las jaki, w lewo niewieliczka mogiła, a za nią Halczyniec sioło.

Starzec na wszystko popatrzył, zdaje się, że każdej rzeczy z osobna wzrokiem szukał, jakby te futory, te drożyny, te pola, ta mogiła, to sioło, były dawne jego znajome, oczy mu łzami

http://rcin.org.pl

zaszły, pierś westchnieniem się wzdęła. Siadł na carynie, oburącz sparł się na kiju i czoło i wzrok schylił ku ziemi: czy dumał, czy słuchał.

Kiedy niekiedy przepiórka w zbożach zapidpadiacze, kiedy niekiedy dyrkacz zadyrka, skowronek na dobranoc smutnie pośpiewa, po dalekich błotach kaczki kwaczą, a żaby z głucha kumkają.

Widno w Halczyńcu na pacierz w dzwony uderzono, bo daleki rozgłos podzwonnego zajęczał i żałośnie rozbijał się po powietrzu. Starzec westchnął, jak gdyby mu serce chciało się wyłonić, zapłakał, czy ze smutku, czy z radości, czy z przypomnienia; jedno z trojga: złożył ręce jak do modłów, wzniósł ku niebu oczy iskrzące i łzawe zarazem, krótko a gorąco się pomodlił i jakieś przelotne uczucie rozpogodziło jego czoło.

Podzwonny rozgłos ucichł, słońce zaszło, mrok zaszarzał, rosa bez szmeru wilżyła ziemię; dokoła, daleko, szeroko, cicho, głucho, tylko starzec sam dla siebie nucił:

Oj wy pola, oj wy lasy,
Oj wy, moje lube, drogie!
Dawne, dawne temu czasy,
Jak ja rzucił sioło błogie,

Siedem roków z górą mija,
Jak pogonił ja stąd na Krym,
Koniem rzutkim gdyby żmija,
W ręku szabla, w myśli krew, dym.

Hulaliżmy, aj hulali;
Oj na jawie, były krew, dym.
Z ogniem, z mieczem przehasali,
I w zdłuż i w szerz Nogaj i Krym.

Ucichł na chwilkę, a potem dalej, ale smutniej, ale ciszej nucił:

Smutna gadka, opłakana,
Mołodzcowi być w niewoli;
Dla kozaka jasyr Hana,
Oj źle, gorzko, takiej doli.

Nasz Watażka za Dunajem,
Czy ma konia, czy zdrów jeszcze?
Czy ze spisą taj z nahajem;
Czy mu dziewczę w ręce pleszcze

Oj wy pola, oj wy lasy,
Oj wy moje, lube, drogie,
Dawne, dawne temu czasy,
Jak ja rzucił sioło błogie.

http://rcin.org.pl

Wstał i szedł drożyną ku Halczyńcowi, rozpatrywał wzrokiem, myślą witał dobrze znane miejsca i bawił się dumkami o dawnych ubiegłych czasach.

II.

Nad ruczajem, na osicie pstrokata sroka skrzekocze; oj, sroczko skrzekocz, skrzekocz, a wszystko co wiesz, wyskrzekocz.

Halczyniec sioło dawna dziedzina Horodeńskich; siedm lat temu nazad, kiedy Bohdan Chmielnicki, psia niewiara, matkobójczą dłonią krwawił łono matki Polski i nie darowanym występkiem, nie słuchał rozkazów Króla Jegomości, Króla Polski, nie szanował majestatu tronu, w pomoc swoim zbrodniom wezwał na braci Lachów, Tatarzyna, Bisurmana. Wtenczas Konstanty Horodeński, dziedzic Halczyńca, ośmnasto-letni młodzieniec, syn jedynak po zmarłym ojcu, krzyknął na swoich — Hej za spisy, za nahaje, taj na koń — Konstanty Horodeński zaklął się na imie Króla Jegomości, na imie matki Polski, że z ogniem z mieczem w goście do Tatarzyna pobieży, że śmierć i spustoszenie w gościńcu mu zawiezie. I na wronym koniku, krągło jak rybie oko trzystu jeźdźców poprowadził za sobą, na Krym, w goście z gościńcem.

Wszyscy w siole widzieli, jak to małe wojsko kozacze szło na boje raźno, ochoczo. Wszyscy widzieli jak konie basowały pod mołodźcami, jak kraśne kołpaki, kosmate burki, kąpały się w powietrzu, jak nad ramionami sterczały spisy, przy bokach błyszczały krzywe szable, jak mołodźce po swojemu, po kozaczu czwanili się postawą, nahajkami wywijali. Wszyscy słyszeli tętnienie koni, pobrzękiwanie broni, gwarne brzmienie, głośne hukanie wojennej pieśni.

W Halczyńcu na gospodarstwie został Mikołaj Horodeński, brat stryjeczny Konstantyna, razem z nim wychowany, prawie jednolatka, tylko na nieszczęście kuternoga; nie zdatny na kozaka, niezdolny do konia; jemu jakby sobie samemu Konstantyn we wszystkiem ufał, wszystko powierzył.

Pomarli starce, podorastały dzieci, dziewice powychodziły za mąż, mołodyce pobabiały; a lackie i kozacze i tatarskie i moskiewskie nawet wojska przez Halczyniec przechodziły; a jak nie widać, tak nie widać mołodźców Pana Konstantyna Horodeńskiego.

Psy zaszczekają, ziemia zatętni, pieśń wojenna w powietrzu zabrzmi, ludzie sielscy przed chaty wybiegałą i powiadają sobie: może to oni, może to oni? Oj nie oni, nie ich to koniki, nie ich to spisy, nie ich to nahajki. O Boże nasz Boże, czyż my naszych już nigdy a nigdy nie zobaczemy.

http://rcin.org.pl

Tylko w białym dworze Halczynieckim, nie z upragnieniem Pana wyglądają, nie tęsknią za nim. Pan Mikołaj Horodeński dawnych sług co do nogi precz pooddalał, a nowych i to z cudzych siół na służbę poprzyjmował. Z Chmielniczenkiem jedno trzymał i ciągle powtarzał — Musieli tam gdzieś na Krymie wyginąć, albo jeśli jeszcze nie zamarli, to zamrą w Hańskim Jasyrze.

III.

Z osiki zleciała na łozinę sroczka, a skrzekocze. — Oj skrzekocz sroczko, a wszystko wyskrzekocz.

Niedaleko Halczyńca, o jedną gonę stepowego konia, było sioło Połowecko. Przed siedmią laty panem tego sioła był stary Sotnik Neczypor Solecki. Miał żonę już podbabiałą, syna Stefana, dwudziesto-letniego parobczaka, dziarskiego mołodzca, ale ten, dawno, dawno temu, pokłonił się Panu ojcu, Pani matce, siadł na konika, co mu siostrzyczka ze stajenki wywiodła i pojechał na pohulankę z Konstantynem Horodeńskim.

Miał Neczypor córę, czarnobrewą Tetiankę, czternastoletnią dziewuszkę, białego liczka, jak kaliny kwiat, kraśnego rumieńca, jak żurochwiny jagoda, wzrostem taka smukła, taka kształtna, taka rozkoszna jak zielona iwa. Jak wyprowadzała konika braciszkowi, to tylko troszkę zapłakała i po cichu modliła się o szczęśliwy powrót dla niego, ale kiedy żegnała Konstantyna Horodeńskiego, to szczerą krwią zakraśniała, bielidłem chusty pobladła; a kiedy on odjechał, to tak płakała, jakby chciała oczki wypłakać, tak rączki łamała, jakby chciała koście połamać; dniami i nocami modliła się i trapiła, tęskniła i bawiła się srebrnym pierścienim, darem Konstantyna Horodeńskiego. Widać, że choć jeszcze dziecina, serduszko u niej zagadało przed czasem.

Biegły dnie za dniami, za miesiącami miesiące i lata nawet za latami, a Tetianka jedno a jedno ma i w głowie i w sercu. Kochanie i wierność dla Pana Konstantyna mołodźca.

Darmo stary Neczypor i matka Jewdocha mówili: — Doniu nasza, przepłaczesz młode latka i na cóż to się zdało? jak Pan Bóg się zmiłuje, to da i bez płaczu, a jak nie to i płacz nic nie pomoże. — Ona tęskniła, płakała.

Trzy razy do Połoweckiego dworu przychodzili swaty z czarną kurką, z kołaczem z pszenicznej pytlowanej mąki, z flaszą wódki szumówki od Pana Mikołaja Horodeńskiego, po ręczniki do Tetianki i trzy razy panowie swatowie wracali do Halczyńca, z czarną kurką pod pachą, z nietkniętym kołaczem w chustce, z nienadpitą flaszą w ręku, bez ręczników.

http://rcin.org.pl

W kilka czasów po ostatnim powrocie panów swatów z wojskiem Kozackiem i Tatarskiem przyciągnął Chmielniczenko w Kijowskie, i w goście zajechał do Mikołaja Horodeńskiego. Oj piliż tam, jedli, hulali w Halczynieckim dworze. A ku dziwocie wszystkim, Pan Chmielniczenko, Mikołaja Horodeńskiego, niepoczesnego urodą, nierycerskiego sercem, a do tego kuternogę, mianował Atamanem Czernobylskiej straży i strażnikiem Berdyczowskiego zamku.

Pan Neczypor Solecki, zagorzały druh braci Lachów, wierny syn matki Polski, nie przyjechał witać niewiary Chmielniczenka, choć to Ataman wszej Kozaczyzny i za to mu źle było.

Chmielniczenko się rozsierdził, kazał Tatarom Połowecka sioło zrabować, spalić, a lud Boży bisurmańskiem żelazem z tego świata precz regnać.

Co rzekł, to się stało. Wieczorkiem Bisurmanie na bachmaty wskoczyli, zakrzyczeli po swojemu: Ałłach! Ałłach! i kopnęli ku Połowecku. Niebawem, niebawem, przed północą, nim koguty zapiały, jasne łuno zaświeciło nad Połowieckiem siołem i ogniste szmaty, niby gwiazdy latające, z tamtąd podlatywały ku niebiosom; a kiedy kto w kołowrocie Halczyńca sioła przyłożył ucho do ziemi, to słyszał krzyki, wrzaski, jęki, płacze, tłumne, gwarne, a wszystko zmięszane razem.

Z białym dniem, jeszcze dogorywało, tliło w Połowecku sioło; bury dym gęsto się kłębił i rozmazywał po niebiosach; dokoło sioła psy biegały skomląc i wyjąc; świnie gromadziły się kupkami, jakby zdziczałe poparskiwały i parły się ku siołu.

Na stepie nie widać samopas konia, ani bydlęcia; wszystko to musieli Tatarowie zabrać, albo może pogorzało z siołem i z ludźmi. Kruki nawet i wrony się nie zlatywały, bo jeszcze na nich nie przyszedł czas.

Szarym zmrokiem dziad i chłopak z Hryszkowieckiego sioła widzieli jak dwóch Bisurmanów całym pędem bachmatów, sadziło bezdrożem do Berdyczowskiego szlaku; jeden z nich wiózł przed sobą na siodle dziewicę, czy nieżywą, czy omdlałą i nic więcej.

Dudarycha, stara baba z Halczynieckiego futoru, szepnęła na ucho nie jednej kumie, pod przysięgą na imie Boże, pod zaklęciem się w diabła, że wyraźnie widziała, jak kuternoga na myszatym koniu prowadził Tatarów na Połowecko. O świcie widziała wyraźnie, jak z tamtąd powracał manowcami. Stary Dudar może i widział, albo wiedział, ale na wszystko odpowiadał: — Moja chata na odludziu, ja nic nie wiem.

Tak zginął z rodem i z dostatkiem stary Sotnik Solecki, tak zginęło z ludem Bożym sioło Połowecko.

W kilka dni później za siołem, za Halczyńcem, była biesiada wojskowa. Chmielniczenko podejmował na niej Lackich posłów i kozaków z Żytomierskiego, z Owruckiego. Jak się rozochocił

http://rcin.org.pl

niewiara Bohdanko, wyszedł na mogiłę, ręką wskazał ku miejscu, gdzie było przededdniami sioło Połowecko.

Patrz Panie Kozacze,
Tam nikt już nie płacze;
A ty rób, skacz wraże,
Jak Ataman każe.
Inaczej dam licho,
Będzie jak tam cicho.

Potem obrócił się do posłów Lackich, bogato przybranych, Jaśnie Wielmożnych i Wielmożnych Panów i przemówił do nich kozackim językiem:

Patrzaj i ty Lasze!
Na mogiłę stanę,
Okiem na świat hlanę,
Po Bug, za Bug nasze.

Zeszedł z mogiły i krzyknął: — Pijmy! hulajmy. — I pili i hulali, a muzyka brzmiała, a kozacza pieśń grzmiała, na pogrzeb Połowecku siołu, na sławę Chmielniczeńkowi niewiarze.

IV.

Sroczka pstrokata znowu podleciała na osikę i po swojemu skrzekocze. Oj skrzekocz sroczko, skrzekocz, a wszystko co wiesz wyskrzekocz.

Chmielniczeńko pociągnął z wojskiem w dalszy pochód, a Pan Mikołaj Horodeński nie pojechał hetmanić Czernobylskiej straży, ale za to prawie ciągle siedział w Berdyczewskim zamku; co tam robił, to niewiadomo.

Kuternoga na powierników ludzi nie przybierał, a schadzek jego z didkiem nikt nie podpatrzył, rozmów nikt nie podsłuchał; jednak tak to musiało być, bo Pan Mikołaj Horodeński prowadził dziwny rodzaj życia.

W parę dni po zostaniu dowódzcą Berdyczewskiego zamku, Kuternoga zakazał ludziom straży i służby wchodzić do zamkowych komnat, jeden tylko przechrzta sługa poufalec, robił ład w tych komnatak, a i on jednak nie miał klucza od narożnej wieży. Kuternoga zawsze go nosił za pasem, od strony szabli.

Nikomu ze straży i ze służby nie było wiadomem, aby w zamku przechowywano jakiego jeńca, albo zbrodniarza, a jednak Kuternoga co dnia, dwa razy na dzień, krom śniadań, obiadów i wieczerzy, każe przynosić sobie najwykwintniejsze

http://rcin.org.pl

przysmaczki i najkosztowniejsze wina; w żadnej z komnat śladu nie było, aby te łakocie spożywał, to wino spijał. Sam sługa przechrzta myślał, musi Pan karmić diabła; a inni ludzie z cicha powiadali: — Kuternoga i Didko pokumali się z sobą.

Nie jednej nocy rybak pędząc łódkę prędem Hnyłopiata, widział, jak w oknach narożnej wieży światełko błyskało, podobne do blasku wilczego oka w pustym stepie. Pomyślał sobie: może to w ciemną noc świeci tam próchno, albo może i wzrok diabli; ale niewiele o tem ludziom gadał.

Nieraz kozakowi straży o północnej dobie zdawało się uchem zachwycić od góry narożnej wieży jakiś płacz i jakieś gniewne fukania, a czasem śpiew smutnej dumki, co ucho pieści, łzę sprowadza do oka, a serce rozdziera; spojrzał w górę, nic nie widać i pomyślał sobie: może to wiatr takie dziwy dokazuje, a może diabli lacką duszę męczą; ale nie wiele o tem przed ludźmi gadał; czy ze sromu, żeby bracia kozacy z niego się nie śmieli, czy ze strachu, żeby kuternoga konopianym powrozem nie kazał mu mowy odebrać.

Tak to się tam działo w Berdyczewskim zamku. Chmielniczeńko, kiedy mu się nie udało jak powiadał: diabła wartą szlachtę i rzeczpospolitę wygonić za morza, a króla Polski zrobić królem, umykając z pod Beresteczka, na krótki wypoczynek zajechał do Pana Mikołaja Horodeńskiego.

Kuternoga bardzo się zakłopotał, a Chmielniczeńko po swojemu za stołem miodek popijał i prześpiewywał.

Oj nie czwań się Panie Lasze,
Było wasze, będzie nasze;
Mam ja szablę, spisę, nahaj,
Zagram Lachom, dobrze haj, haj.

— Słuchaj, Mospanku, Żydów wyrżnąć, Wyzuwitów wywieszać, szlachtę ładu nauczyć, z resztą Polska niech będzie; ale tak:

Nad nami król, to nasz Pan,
Pod nim szlachcic, chłop, cygan,
A wasza pospolita rzecz,
Z Polski, z Litwy, z Rusi precz, precz.

Wypił miód i pojechał, a nim miesiąc upłynął, już Chmielniczeńko z nowem wojskiem na Lachów ciągnął. Pod Biało-Cerkwią z Panami Hetmanami mir zawarł, Królowi Jegomości przysięgę posłuszeństwa z całem kozactwem wykonał. Ale ciągle dumkę marzył, żeby Rzeczypospolitej kark skręcić, a Panom szlachcie tak dać po tebinkach, żeby na wieczne czasy zapomniała o przywilejach i pałamarce. Bogu to świętemu wia-

http://rcin.org.pl

domo, czemu Chmielniczeńko inaczej zrobił, jak myślił, jak mówił.

Temczasem Mikołaj Horodeński dziedzicował spokojnie nad Halczynieckiem siołem, dowodził w Berdyczewskim zamku; a żadnej zmiany nie było w rodzaju życia kuternogi. Od czasu spalenia Połowecko sioła zawsze jedno a jedno, zawsze toż samo.

V.

Przestała skrzekotać pstrokata sroczka i odleciała gdzieś het daleko; musiała wszystko wyskrzekotać, co tylko wiedziała.

Na niebie czarno, ledwie kilka drobniutkich gwiazdek złotemi oczkami błyska i na ziemi nic nie widać; od południa wiatr wieje i dziwnie szumi kłosami zboża. W Halczyńcu siole gdzie niegdzie z okien światełka migocą, a pies w kołowrocie podziawkuje.

Stary Anton dochodził do sioła, patrzał, jak światełka jaśnieją, słuchał, jak wiatr szumi po zbożu, jak psie dziawkanie dzwoni w powietrzu i dumał i nucił:

Światło błyska, pies szczeka,
Żyją ludzie w tym siole,
Nikt tam na mnie nie czeka
Z chlebem, z solą na stole.

Niech kto pozna mnie dziada,
Niech mym słowom zawierzy,
Haj i haj! biada mi biada!
Zmówię kopę pacierzy.

Aż tu wrzasnął głos. — Stój człowiecze, a zkąd ty?

— Tutejszy Panie bracie.

— Kto ty?

— Anton Kaczorowski.

— Takiego człowieka ja tu nie znam, chodź do dwora; hej Żurba, ty do kołowrotu, ja poprowadzę. —

Stary Anton po głosie nie poznawał tego człowieka, nawet ucho jego zdało się słyszeć brzmienie mowy Poleszuka; w ciemnościach nie widział twarzy strażników. Pomyślał sobie, licha godzina przyszła na sioło, kiedy tak go pilnują jak obozu przed nieprzyjacielem i szedł powoli.

Choć sucha była ziemia, w jednem miejscu poczuł nogą błoto kałuży, przypomniał sobie, to pod parkanem cerkwi, spojrzał w górę i ujrzał jak trzy czarne kopuły kąpią czoła w czarnym przestworze, popatrzył w prawo, tam w okienkach światełko

http://rcin.org.pl

błyska, to karczma; o nie to te światełko tam co przed dwunasto laty świeciło, ale tak świeci jak dawniej; miło mu w duszy, ale i smutnie zarazem. Na dziedzińcu psy zaszczekały ale nieznanemi głosy, jak to kiedyś bywało. We dworze ciemno, nieludno, nie tak jak za Pana Konstantyna.

Do kuchennej izby zawiedziono Antona, tam jakiś człowiek jak wieprz opasły, zyzowaty i łysy, chrapawym głosem o wszystko go wypytał i rzekł — Nawidzony dziadu, jutro cię do Pana zawiozą.

Ni kawałka chleba, ni słomy na posłanie staremu nie dano, on zabolał i podumał sobie: przyjdzie na was koniec, niedługie wasze panowanie.

VI.

Jak się siwe sokoły z gniazda rozlecą, długo, długo po świecie latają, Bóg wie w jakie strony, a kiedyś, kiedyś znowu się zlecą i poklekoczą sobie w dzioby o ubiegłych czasach, bo sokoły nie jak góry, ale jak ludzie zdybywać się mogą na tym tu Bożym świecie.

Kuternoga już spanoszał i panka udawał; w ustach ciągle — hej! pódź tu, albo poszedł precz; na człowieka nie ze starszyzny, nie szlachcica jak na parszywego psa poglądał. Kiedy przed nim stawiono Antona, on dobrze poznał, że to stary piastun jego i Konstantyna, choć nogą kuterlawił, ale za to mu Pan Bóg dał oczy bystre i pamięć niczego, długie brwie nasępił na oko, strasznego chciał udawać, nawet wzdął policzki, jakby to on był taki chwat.

— Co ty za jeden, psia duszo?

— Anton Kaczorowski Wielmożny Panie, czy to Pan mnie niepoznał; prawda, dawne czasy, ja się postarzał, a...

— Dosyć tego, a twój Pan gdzie? — i wodził okiem po starcu, jakby chciał przewiercić na wskroś jego myśli.

— Ja niewiem, my na Krymie...

— Mów prawdę, stary psie, i spanoszony kuternoga niestrachał się podnieść rękę na swojego dawnego piastuna.

— Przysięgam Bogu, że ja prawdę mówię.

— Nauczę ja ciebie prawdy; hej! — wszedł sługa przechrzta — zaprowadzić tego huncwota do więzienia, niech się tam zobaczą, a okuć go dobrze; ja was nauczę; na mnie zdrady? huncwoty na szubienicę — Antona wyprowadzono, on ani słowa niemruknął, tylko głową potrząsł; a Mikołaj Horodeński pienił się ze złości i drżał ze strachu, dwoje to robił na jeden raz. —

Ciemne to więzienie w tym Berdyczewskim zamku, pieczara pusta, głucha; nawet nietoperz tam niezaleci, ni szczur, ni kuna

http://rcin.org.pl

się zawałęsa, tylko Hnyłopiat bezustannie w ucho więźniom szepce niby piosnkę tęsknoty do wolności. Tam prowadzono starego Antona. Przy bladem świetle latarni widział po prawej i po lewej stronie mnogich więźniów w kajdanach na nogach i na rękach, za szyje poprzykowanych do mura, jak brytany; dźwiękiem sierdzistej rozpaczy, w ojca, w matkę, w diabła łajali kuternogę i jego zbirów. Każdy się dopominał, jakby o jakie dobro — Trzysta diabłów by wasze dusze zabrało, a kiedy na mnie kolej — Psia jucha, hycel kuternoga na pohybel jego duszy. — Strażnicy na całą odpowiedź kijami okładali więźniów i wiedli dalej Antona. Jemu zdało się słyszeć znane głosy, ale przy migającem światełku w obrośniętych i dzikich twarzach nie mógł poznać ani jednego znanego sobie lica.

Szli dalej aż do głębi pieczary; jeden ze strażników rygiel powiercił i drzwi otworzył, tam takoż tylko dwóch ludzi było, oba leżeli na słomie i twarze mieli poobracane do ściany; ci milczeli, ani klątwy, ani złorzeczenia z ust niewypuścili. Strażnicy do nich nic nie przemówili, czy z trwogi, czy z uszanowania. Antona tam przykuto i strażnicy wyszli.

Taka ciemność w pieczarze jak w grobie; Anton westchnął a dwaj więźniowie przemówili do siebie o nowym towarzyszu; starzec ucho natężył i zawołał.

— Panie mój, Watażko Konstantynie.

— To ty, mój stary Antonie. Obudwóm łańcuchy brzęknęły, widać że obadwa chcieli się rzucić sobie w ramiona i powitać się, jak się u Lachów witali zawsze młody Pan ze starym sługą. Stary Anton zwyczajnie już dziad smutnie westchnął, a Konstantyn Horodeński, bo to był on, zgrzytnął zębami.

— Ty tutaj stary?

— Tutaj Panie mój — i nie śmiał młodego Pana o nic zapytać.

— Mów nam, jakim sposobem się tu dostałeś. —

Anton posłuszny woli Pana, długo opowiadał, jak zostawał w Jasyrze u Krymskiego Hana, jak Pan Han dobrodziej Krymu i Budziaku wypuścił na wolność jeńców kozaczych, z warunkiem, aby szli służyć Chmielniczeńkowi przeciwko szlachcie polskiej. On Anton drogę zmylił, nieposzedł do Perejasławia, ale od słobody do słobody, od futoru do futoru dostał się do Halczyńca sioła, a stamtąd tu do więzienia; i po głosie widno było, że w tenczas, kiedy się smucił złą dolą swojego Pana; swoją dolą się radował, że był przy Panu, którego wypiastował na swoich rękach; skończył mówić, chciałby wiedzieć, co się z Panem działo przez te czasy, a o nic niezapytał.

Konstantyn Horodeński zapewnie zgadł myśli Antona.

— Z Krymu dostaliśmy się ze Stepanem do Wołoszy, a stamtąd do Krasnych Jas; tam Pan Hospodar przyjął nas chlebem i solą, ale w zamian żądał naszej krwi i naszych szabel,

http://rcin.org.pl

bo prowadził wojnę przeciw Bisurmanom: o takie rzeczy Kozaka dwa razy się nieprosi; siła miesięcy hulaliśmy za Dunajem i za Bałkanami; ale jest wszystkiemu koniec, mandrówka po czużynie się sprzykrzy, wilk chowany i na starość ciągnie do lasu i kozakowi chce się do Ojczyzny. Rzuciliśmy Wołosze, pokłoniwszy się za chleb i za sół, a jaka była nasza robota, o tem najlepiej powiedzieć mogą Bisurmanie, popamiętają oni nas długo. Po drodze nadybywaliśmy obcych ludzi, od nikogo nie można było się dowiedzieć o naszych, tu w Berdyczewie dowiedzieliśmy się, że brat Mikołaj mieszka, pomyśleliśmy: on nam wszystko powie; przyjął nas hojnie, mnie zwał swoim panem dobrodziejem; Stepana dobrym przyjacielem; mówił, że chcąc ochronić mój majątek przystał na stronę Chmielniczeńka, ale że wszystko co mego odda; Stepanowi powiedział, ze Pan Neczypor Solecki i czarnobrewa Tetiana pojechali w kraj lacki. Piliśmy i hulaliśmy ażeśmy się z nóg pozwalali; a kiedyśmy się pobudzili, byliśmy ot tu jak teraz. Ja niewiem, co za diabeł przystąpił do kuternogi. — Udawał w słowach wesołość, żeby niebardzo smucić starego Antona, ale w sercu jej nieczuł. Solecki cały czas przemrukiwał — kuternoga zdrajca, huncwot, psiawiara.

W tem w stronie przeciwnej drzwiom, zapiszczało jakby wiercenie klucza, zaskrzypiały wrzeciądze i światło bryznęło na więzienie; przechrzta wierny sługa kuternogi wszedł do więzienia z dwoma latarniami i przyświecił twarze więźniów; a we drzwiach niewiasta w bieli trzymana za rękę przez kuternogę boleśnie krzyknęła — Konstantyn — mój brat — i osunęła się na kolana przed Mikołajem Horodeńskim. Więźniowie targnęli się na łańcuchach; sługa przechrzta żywo wyszedł z więzienia, drzwi się zawarły i to wszystko stało się tak szybko, tak krótko trwało, jak zjawisko jakie, jak senna mara; ciężko było okiem cały obraz zachwycić, a ciężej jeszcze w myśli go zatrzymać. I znowu ciemno, głucho w więzieniu, a Hnyłopiat po swojemu szemrze i mruczy w ucho.

VII.

Na pustyni, na ogorzałem dębie siedziała kraska, promienie słońca igrają z jasnem pierzem, a ona smutnie główkę pochyliła i jeszcze smutniej od czasu do czasu wrzaśnie.

Na wieży Berdyczewskiego zamku była komnata strojnie przybrana, ściany ociągnięte powłoczą, na podłodze barwiaste kobiercy, a w około węzgłowia wschodnie, i po wschodniemu w alabastrowych urnach tliły się wonne kadzidła. Tam była dziewica, ale nie odaliska wschodu; nie bawiła myśli marze-

http://rcin.org.pl

niami rozkosznego kochania, nie usypiała tem omdleniem niemocy, co zawsze w ślad bieży po szczęsnem a jednostajnem kochaniu. Na twarzy taka blada jak grobowy marmur, usta ledwie się krasą cienią, błękitne oko już się nie iskrzy żarem uczucia, ale jeszcze błyszczy od łzy, a kibić taka wiotka, taka niezieмska, że zda się zlada wiatrem uleci ku niebiosom, do rodzimej siedziby duszy; jednak była piękna, była urocza, półtajnia krasy owiewała ją dokoła i nęciła serca ku niej i miłością i litością. Sparła czoło na dłoni, nie płacze, nie wzdycha, ale po twarzy widać, że puściła myśl na gorzkie dumki. Taką była Tetiana Solecka.

Ona widziała śmierć ojca, śmierć matki, napad i spustoszenie rodzimego domu, a z rozpaczy i przestrachu serce jej niepękło, dusza niewydarła się z łona, bo taka była Boża wola. Mnogie a mnogie tygodnie przepłakała w więzieniu u Mikołaja Horodeńskiego, a oczów sobie nie wypłakała. Dotąd darmo jej groził, darmo ją błagał kuternoga, aby z dobrej woli została jego żoną, zawsze jedno i toż samo powtarzała: — Nie, nie chcę, nie nigdy nie będę. — Kuternoga miał siłę, miał władzę nad słabą dziewicą, a nie śmiał ich użyć, on ją kochał, bo i brzydka dusza kochać może. W dzień serdził się i przyrzekał samemu sobie: — Zmuszę — stanął przed dziewicą, zestrachał się a odchodził szemrząc w myśli: jutro zrobię i tak ciągle było. Dziewicy niemiłem było życie, ciężko, gorzko na sercu od złej doli, ale bogobojna dusza cierpiała i korzyła się przed Bogiem jak męczennica Pańska.

Teraz Mikołaj Horodeński nowy cios dziewicy zadał, pokazał brata i kochanka w więzieniu, w swojej mocy i powiedział:

— Tetiano, nie chcesz mnie dobrowolnie za męża, im każń i śmierć w twoich oczach, a potem zobaczemy. Bez przymusu, bez szlochów, przed ołtarzem przyrzekniesz mi być moją, moją na zawsze, nazajutrz dzień im wolność i swoboda, a nam szczęście; namyśl się do jutra, ja ci przysięgam, niech mnie diabli żywcem porwą, jeśli niedotrzymam co przyrzekam: do jutra, do jutra. — Takiemi słowami kuternoga oddał dobranoc Tetianie.

Dziewica noc całą oka nie zmrużyła, przed bezsenną myślą cały świat mar się przesnuł; jakby na jawie widziała pożar rodzicielskiego domu, dzikie twarze Tatarów; słyszała krzyki przestrachu, jęki śmierci i wrzaski dziczy; widziała umierającą matkę, skrwawionego ojca, oboje do niej wołali: — Ratuj brata, ocal nam syna, ocal ostatniego potomka Soleckich rodziny. Widziała miecz nad gardłem kochanka, sznur śmierci na szyi brata, obadwa ku niej wyciągali ręce i oczyma zdawali się błagać — życia! życia! — Kilka razy porwała się z miejsca, przeciera oczy, nie śpi, a wszystko to słyszy, wszystko to widzi;

http://rcin.org.pl

te mary męczyły ją do białego dnia; z białym dniem one znikły, a ona pomodliła się i wtenczas to dopiero siadła na węzgłowiu, wsparła czoło na dłoni i puściła myśli na gorzkie dumki.

Drzwi się otworzyły i wszedł kuternoga; u niego niepewność w oczach, dziki smutek na czole, a uśmiechem krzywi usta. Wziął za rękę Tetianę, ona mu jej nie wyrwała, jak to bywało dawniej, pocałował: — A cóż krasna Panno?

— Pójdę za mąż. —

Padł jej do nóg: — Za mnie? o moje kochanie!

Widno, że wszystkie siły ducha zebrała na odpowiedź, bo głosem nierwanym łkaniami rzekła: — Za Mikołaja Horodeńskiego, ale dziś ślub, dziś wolność memu bratu i Konstantynowi. — Niedomówiła, głos jej zesłabł i wzdrygnęła się.

On powstał: — Tetiano, dziś ślub, jutro im wolność.

— O nie, dziś.

— Nie mogę. —

Czy odgadywał, jakie postanowienie dziewicy, czy dla innej jakiej przyczyny, mimo szczęścia upierał się przy swojem.

— Nie mogę, nie mogę, jutro dopiero.

— To i ja nie mogę. —

Nic dzikszego jak człowiek co z nagłego szczęścia do gniewu przechodzi, zaiskrzył okiem kuternoga. — Nie możesz, a więc dziś im śmierć.

Ona milczała.

— Nie chcesz, poczekaj, zaraz, w twoich oczach: — i obrócił się do wychodu. Ona porwała go za kontusz.

— Czekaj, mogę, chcę, dziś będę twoją! — i załamała ręce. —

VIII.

Kwitnie kalina przy dereniu, wicher po świecie kręci, drze się kwiat kaliny i nawet nie poszemrze jękiem.

We wtorek nad wieczorem był ślub w Berdyczewskiej kaplicy; Pan młody kuternoga, ryżo-włosy, paskudny na licu, jak piekielne dziecko, jak sam szatan wyglądał. Panna młoda blada, chwiejąca się, smutna jakby wstała z martwych grobu. On nie poważył się uśmiechać, a ona nie zapłakała; ale oboje wymawiali słowa przysięgi. Kapłan ze drżeniem błogosławił temu małżeństwu; a dwóch sług kuternogi za świadków służyło, a z resztą była pustka w kaplicy.

W komnacie zastawiona godowa wieczerza, ale na dwie osoby tylko, wina zamorskie, kosztowne jadła, bakalie, owoce i cukry na srebrze i złocie stały, ale kto je będzie pożywać? Oblubienica siadła w kącie i duma, oblubieniec jakieś rozkazy daje słudze przechrzcie; ale cicho, więcej na migi jak na słowa,

http://rcin.org.pl

trzy klucze wziął od przechrzty i schował zanadrze, kazał sobie coś jeszcze dać, to pęk mniejszych kluczów i takoż schował, potem mruknął słowo: jutro i pokazał ręką, jakby chciał pchnąć nożem, nareszcie przechrztę odprawił za drzwi.

Tetiana uważała wszystkie jego migi i słyszała słowo: jutro; musiała odgadnąć ich znaczenie, pojąć myśl kuternogi i niewieścim obyczajem szybko, żwawo, jakieś nowe a dziwne postanowienie zrobiła; obróciła się do swojego męża i po raz pierwszy uśmiechem go powitała, jak konająca matka, co przed dziećmi chce zataić swoją boleść. Kuternoga nigdy uśmiechu na jej twarzy nie widział, chciał się do nóg rzucić, całował ją w ręce, ona pozwalała; siedli do wieczerzy, ona jadła; i jemu nalewała wina w puhar, on pił z radości, z nałogu; oczy mu się iskrzyły, twarz kraśniała, nawet w głowie poczęło się mącić, ale czyż odmówić można, kiedy kochana oblubienica nalewa i prosi: pij, pij.

Już po wieczerzy słudzy odeszli; w sypialnej komnacie kuternoga rozmarzony winem, rozmarzony miłością, poważył się swoje usta przyłożyć do ust młodej żony, pocałował; ściskał jej ręce, nogi; ona błagała: Panie ... litości ... o! mój Boże ... pozwól ... pozwól, niech się pomodlę.

On bełkotał pianym językiem słowa miłości i w głowie coraz gorzej się moroczyło, zdaje się, że wszystko tańczy koło niego, a tam w komnacie tylko jedna świecznica słabem światłem płonie i przypatruje się temu małżeństwu, tej nocy ślubnej.

Kuternoga nie rozebrany, w szatach zasnął na węzgłowiu. Tetiana na klęczkach modli się i rzuca okiem na strony, zegar zamkowy dwanaściekroć razy uderzył, puszczyki puhuczą, wiatr wyje po swojemu i pod murami zamku Hnyłopiat po swojemu szemrze i mruczy.

Tetiana powstała, spojrzała na ściany, tam atagany i miecze, zadrżała, zimny pot wystąpił na jej czoło; na palcach cichutko zbliżyła się do męża, duch w sobie zaparła, śpi; ręką sięga zanadrze, czy szuka bicia serca? o nie; klucze pomalutku wyciąga, on ziewnął, mruknął; ona jak martwa zatrzymała rękę zanadrzem, znowu jednostajnym snem oddycha, wyjęła trzy klucze, ciśnie je w ręku i po raz drugi sięgnęła ręką zanadrze: on śpi jak zabity; leciuchno wyciągnęła pęk z małemi kluczami. Czy się przebudził, bo podniósł głowę, nawet zdaje się łypnął oczyma i sennym głosem zawołał: hej tu! Tetianie nogi w kolanach się ugięły, jak w febrze drżała, ale on obrócił się do ściany i zachrapał; ona złożyła ręce jak do modłów, westchnęła jak na podziękowanie Bogu; zapaliła latarnkę i na palcach cicho poszła do drzwi, co wiodły z sypialnej komnaty na wieżę, otworzyła drzwi zwolna, zniknęła z komnaty, a świecznica to buchnie, to gaśnie zwyczajnie na skonaniu; kuternoga śpi i w komnacie cicho, głucho.

http://rcin.org.pl

IX.

Wilczyca pojękiem głosi po jarach, a wilcy na wtór korowodem wyją, kozacze serce nawet kołacze, a innym ludziom w piętach stygnie od strachu.

Czarno, dziko, w pieczarze więzienia, Konstantyn zgrzyta zębem, łańcuchy targa jakby chciał je zdruzgotać, a nie może — Ona tu, ona tu, w mocy tego psiawiary. — Stepan mu odpowiadał brzękiem łańcuchów i słowami — Ha! psia wiara, psubrat. — Stary Anton tylko milczał, dumał i do Boga się modlił.

Skrzypnęły drzwi więzienia, Konstantyn zawołał — Precz z jedzeniem, ginąć to ginąć, lepiej z głodu jak na szubienicy.

Drzwi się rozwarły, światło błysnęło i ukazała się niewiasta w bieli jak święta pańska wśród ciemności — To ona, to ona! — obadwa zawołali.

— Bracie... Konstantynie... — i sama nie wiedziała kogo na wolność wypuszczać i jakby jej duch święty szepnął w ucho, jednym z małych kluczyków otworzyła kajdany starego Antona, a on uwalniał z więzów swojego Konstantyna i Stepana.

Konstantyn wołał — Moja luba, Tetiano, tyś nie jego.

Ona odpowiadała — Konstantynie! Konstantynie! — i dalej milczała.

Stepan ściskał siostrę — A nasz ojciec, a nasza matka?

— Nieżyją.

— Pomarli?

— Tatarzy pomordowali, dom spalili, mnie porwali i tu zawieźli.

— Ha zdrajca kuternoga, ja mu dam, ja mu dam. —

Temczasem stary Anton uwalniał więźniów z drugiej pieczary, to wszyscy dawni jego towarzysze, kozacy Konstantyna Horodeńskiego, co z nim chodzili na Krym; kuternoga pojedyńczo ich łapał i do więzienia pakował, a niebawem miał posłać Chmielniczeńkowi na pastwę, było ich spełna trzydziestu; obrośnięci nędzą, zmitrężeni na cieli, ale grała w nich kozacza dusza i kozacza krew wrzała. Skoro ujrzęli Watażkę zawrzeszczeli — Sława Bogu! żyj nasz Watażko, nasz Konstantynie! my z tobą, ty z nami! oh zahulamy jeszcze, zahulamy, po naszemu, po kozaczu.

Tetiana załamywała ręce — uciekajcie, uciekajcie! Stepan, Konstantyn do niej wołali: Tetiano, prowadź nas, prowadź.

W pieczarze słomę zapalili i przy tym ogniu wesela, dzikie krzyki powitania huczały.

Nie strach tych ludzi dzikiego oblicza, nie strach ognia, ale duch kozaczy wionął w serce Tetiany; chwyciła za latarnię, poszła naprzód, a oni całą czeredą za nią, po schodach na wieżę, schodami do sypialnej komnaty.

Ocknął się kuternoga, na nogi się porwał, patrzy co za bie-

http://rcin.org.pl

siadników weselnych żona mu prowadzi. Nim usta otworzył, nim żona go zasłoniła sobą, już oni mu pięściami przecierają oczy, za broń chwytają i rozbiegają się po zamku.

Nim dzień zajaśniał, mołodce zdławili kuternogę, a djabeł duszę jego porwał i przechrztę do diabła posłali; cała załoga poddała się Panu Konstantynowi Horodeńskiemu; i w niebogłosy wołano: żyj nasz Watażko! żyj Panie Konstantynie Horodeński! Sława Bogu! Sława Bogu!

W sześć miesięcy później były ślubowiny Pana Konstantyna Horodeńskiego z Praksedą Solecką, dziwną wdową po kuternodze. Biesiady były sute, hojne; biesiadnicy mnodzy, weseli. Konstantyn Horodeński drwił z Chmielniczeńka, żył szczęśliwie z żonką, ze szwagrem i ze starym Antonem a z Królem Jegomością i matką Polską zawsze jedno trzymał.

Przeszło wiele lat, Konstantyn Horodeński owdowiał; smucił się, płakał nawet, a potem zagrała w nim żyłka kozacza, pożegnał starego Antona, rzucił Halczyniec sioło i dmuchnął na Zaporoże. Tam okrzyknięto go panem Koszowym. On Sojusz zawarł z ojcem Mazepą Atamanem kozaczej Ukrainy, pomirzył mołodców Zaporoża z bracią Lachami; pod Pułtawą gonił na ostrze przeciw wojskom białego Cara; Karola Szwedzkiego i Atamana Mazepę za Dniepr przeprowadził i zmarł na czużynie, a wszystko to dla Matki Polski.

http://rcin.org.pl

DO PANI KONSTANCYI Ł.....

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Wyznaję Pani, nie obyczajem chełpliwej pokory niektórych pisarzy, często powtarzających — nie pamiętam gramatyki mojego języka; — ale ze szczerotą żalu, iż bardzo mało zastanawiałem się nad odcieniami wyrazów oznaczających podobne rzeczy lub uczucia. Pisarze owi obmawiając siebie o zapomnienie gramatyki, zapewnie mieli chęć, aby pomyślano, na co im gramatyka, oni tak piszą, że z ich pism można wysnuć prawidła dla języka, oni są prawodawcami gramatyki. Ja mojem wyznaniem nie mogłem pochlebić pisarskiej dumie, każdy rzeknie: pisze a nie zna odcieni znaczenia wyrazów, to niedobrze; prawda że niedobrze; piszę ot lat kilku, a ledwie trochę znam te tak zwane podobno-znaczniki wyrazów. Nie ze złej chęci albo z zapomnienia to pochodzi, ale z wypadków silniejszych od mojej woli; nimem został pisarzem byłem arcy-próżniakiem umysłowym, nie zmysłowym, bo polowałem, jeździłem, tańcowałem i hulałem ile mogłem, a ani razu w podobnych rzeczach nie wymówiłem: nie chcę, nie mogę; zostawszy zaś pisarzem, nie mam czasu, bo piszę, ale chcę się uczyć czego nie umiem i ile razy trafi się zręczność, to jej błogosławię i uczę się, dobrze czy źle, tego nie wiem i z tego com dotąd napisał, Pani wiedzieć nie możesz, a nawet pomyślisz sobie i zapewnie powiesz: do czego zmierza ta cała bazgranina? otoż ja obawiając się, aby kto inny nie odpowiedział na Pani zapytanie, sam odpowiadam — do powiastki.

Dnia 28 Października, roku pańskiego 1839, w Poniedziałek wieczorem, znachodziłem się w Paryżu, ale w polskim domie i to w staro i w szczero-polskim, gdzie myśli, uczucia, słowa, czyny i wszystko polskie i dla Polski. Tego wieczora było nas kilku Polaków; i dwóch cudzoziemców sąsiadów Polski. Gospodarz domu rozmawiał o Polsce, bo to jego i nałóg i rozkosz i prawo. Gospodyni siedząc przy krosienkach, haftowała srebrem na czarnym aksamicie; ta robota nie była przeznaczona w hoł-

http://rcin.org.pl

dzie zbytkowi, ale w ofierze niedoli, bo na sprzedaż dla niesienia pomocy, chorym, nieszczęśliwym i dziatkom Polski, z owej rodziny cierpiących z dala od ojczystej ziemi. I lubo i smutno było zarazem patrzeć na tę piękną Panię, jak drobną i kształtną rączką rzucała białe kwiaty na tło żałoby, jak błękitnem okiem błyszczącem tym świętym, niebiańskim ogniem, co choć niemo ale wyraźnie do wszystkich gada: mam serce, co kochać i cierpieć umie; poglądała na swoją robotę, od szasu do czasu łzawiąc to cudne oko, tem objawieniem się tkliwości, snutej z myśli, że to praca poświęcenia się dla nieszczęścia; patrzeć na te krucze włosy z lekka muskające gładkie lice, po którem wałęsał się uśmiech zadumania i igrała wola. Taka była ta Pani woli i serca, czarodziejka ciałem, czarodziejka duszą.

Nie przypadkiem ale umyślnie zbliżyłem się do tej Pani; obyczajem syna stepu, nad wszystkie arcy-dzieła świata, wolę piękne oko kobiety, bo to najpiękniejsze arcy-dzieło Boże; nad wszystkie rozprawy rozumnych mężczyzn wolę rozmowy kobiety, bo w nich skarbnica wielkich prawd serca i duszy.

W rozmowie, do której należał jeden z Polaków, rozprawiano, jakie uczucie jest wyższem, czy kochać, czy uwielbiać; ja utrzymywałem, że kochać, mój ziomek i przyjaciel powiadał, że uwielbiać: spieraliśmy się i każdy z nas przytaczał mnóstwo słów na poparcie swojego twierdzenia, a wszystkie musiały być bardzo liche, widziałem to z łagodnego uśmiechu Pani domu, w którym zarazem malowała się dobroć pobłażania naszym bredniom i trochę radości, że tak łamiemy sobie głowę nad uczuciami, które chociaż może doświadczaliśmy, ale nie umieliśmy dobrze pojąć i właściwie odcieniować i wyrazić. Kiedyśmy się już dość nagadali, a żaden z nas nie był przekonanym, czyja była prawda, Pani domu taki wydała wyrok: uwielbiać można często i to na chwilę, kocha się rzadko i to na długo: kilka osób razem można uwielbiać, kochać tylko jedną; uwielbianie przemija i niezostawi nic w pamięci po sobie; kochanie choć przeminie, w pamięci nigdy się nie zagładza; po uwielbianiu ślad w ślad idzie obojętność, po kochaniu nienawiść albo zemsta; uwielbianie łechce miłość własną, pochlebia próżności; kochanie robi dobro sercu; kto uwielbia albo jest uwielbianym, nieprzestaje być pospolitym człowiekiem jeśli nim był dawniej; kto kocha albo jest kochanym, musi albo wznieść się wyżej nad ludzi, albo upaść niżej od ludzi. Po tych słowach obadwa powiedzieliśmy: kochać, i zamilkliśmy.

Wieczorem wróciwszy do siebie siadłem koło kominka i zacząłem rozmyślać o uwielbianiu i o kochaniu i zadrzemałem, chociaż w kominku dobry ogień się palił, lampa jasnem światłem płonęła, a na stole był biały papier, trzy pióra i w kałamarzu pełno czarnego atramentu. Drzemiąc ani razu nie zamarzyłem o tych słowach kochać, uwielbiać, a cóż dopiero

http://rcin.org.pl

o uczuciach; tylko ujrzałem się w towarzystwie dwóch moich szkolnych i dobrych przyjaciół, a z którymi już dawno a dawno nie widziałem się; jeden był Kazimierz Wieża, a drugi Ignacy Poraj; uściskaliśmy się serdecznie, ma się rozumieć we śnie; oni mnie wzięli za ręce i wyprowadzili na podwórze; wiatr silny wył jak u nas na Ukrainie i śnieg gęsty i suchy w twarz mi potrzepywał jak u nas, przed gankiem stał kozak w naszej kozaczej burce i trzymał cztery konie wrone zwyczajnie kozacze, po naszemu nawet posiodłane; żywo wskoczyliśmy na konie i pomknęliśmy z kopyta cwałowemi skokami. Zmarzła ziemia zatętniała, zahuczała jak u nas, śnieg zimnemi pocałunkami pieścił nam twarze, a konie miotły za sobą tumanami śniegu; konie po szalonemu, wichrem pędziły, wiatr i nam i koniom gwizdał w uszy, jakby szeptał: w cwał, w cwał; a ziemia tętnieniem poklaskiwała naszemu biegowi. O! to było w naszej rodzimej Ukrainie, mijaliśmy i stepy i lasy, a długo pędziliśmy i żaden z nas do drugiego nie przemówił, tylko hulaszczo nam było, bo zdało się, że orły, że sokoły nas niosą; nareszcie stanęliśmy przed wielkim dworem, oho, dobrze go poznałem: zsiadamy z koni, wchodzimy; idziemy przez mnogie komnaty, wszędzie pusto, aż w ostatniej siedzi niewiasta cała w czerń przybrana i płacze; zbliżam się, ona podniosła śliczne czoło, poznałem ją, ona mnie poznała, chciałem ją powitać, może zapytać o przyczynę smutku, a może nawet i pocieszać; ale ona się uśmiechnęła smutnie, dziwnie, a ja się obudziłem.

Drzewo do szczętu spłonęło na kominku, ani śladu żaru, nawet węgiel spopielał, lampa już dawno musiała zagasnąć, bo ani czuć było samowolnie gasnącego knota, świt już nie złodziejem wkradał się w szyby okna, ale białym dniem rozlał się po pokoju i było jasno, a na stole znalazłem przed sobą na dawnem miejscu i papier i pióra i kałamarz z atramentem. Z obudzeniem się zamarzyłem o kochaniu i o uwielbianiu; a zacząłem w myśli zbierać wspomnienia o niewieście w czerń przybraną, o moich dwóch szkolnych przyjaciołach i postanowiłem o nich napisać nie powiastkę, ale prawdę.

Chociaż to niema być ani komedya, ani tragedya, ani nawet dramat; tylko po prostu prawda opowiedziana strychem powiastki, jednak pozwalam sobie przed zaczęciem opowiadania, wypisać główne osoby, które wchodzą do tej powiastki. Jeśli krytykom nieprzypadnie do smaku ten rodzaj pisania, tem gorzej dla nich, mniejsza oto; ale jeśli czytelnicy a szczególniej czytelniczki przy zaczęciu zaczną ziewać, tem gorzej dla mnie i o to nie mniejsza; bądź co bądź, przystępuję do moich osób.

Jan Mozyra był Sędzią granicznym Winnickiego powiatu, a zatem Jaśnie Wielmożnym, bo sędzia graniczny coś więcej znaczy jak sędzia powiatowy, który do urzędowego miana niemoże przybierać tylko kusy przydatek Wielmożny bez Jaśnie;

http://rcin.org.pl

choć jakaś stara gadka powiada: Jaśnie zgaśnie, a Mospanie zostanie; jednak to Jaśnie musi mieć wielką ponętę dla szlacheckiego serca, kiedy panowie obywatele Podolscy wyprosili sobie u nieboszczyka Cesarza Aleksandra, aby w miejscu jednego Podkomorzego, jak to się dzieje na Wołyniu i Ukrainie, mogli w każdym powiecie wybierać dwunastu sędziów granicznych i dwa razy tyle kandydatów; tak iż w każdym dworze na Podolu jeśli nie dwóch albo więcej, to przynajmniej mieszka jeden Jaśnie Wielmożny. Pan Mozyra oprócz tego, że był Jaśnie Wielmożnym Sędzią granicznym, miał dwie wioski ogromne co się nazywa i parę kroć sto tysięcy złotych polskich w kapitale, na procencie w pewnych rękach; przed latami był wolarzem, swoją własną pracą dorobił się majątku, ale o tem wara gadać. Ojciec jego był ekonomem u Pana Potockiego Kaniowskiego Starosty, dziad Podstarościm u Księcia Wojewody Lubomirskiego, a pradziad może ciurem u jakiego Hetmana albo Wojewody; ale i o tem wara gadać. Pan Mozyra zawsze gadał o wysokim i starożytnym swoim rodzie, o wielkich dostatkach swoich przodków. Raz w Berdyczowie w czasie Onufrejskiego jarmarku, nieboszczyk Hackiewicz jenerał francuzkiego wojska i polskich szulerów, rzekł do Pana Mozyry: — Waćpan Dobrodziej Pan z chłopów, a ja pan z panów. — Jaśnie Wielmożny Sędzia tak się rozindyczył, iż koniecznie chciał się rznąć na miecze z panem Hackiewiczem, ale Pan Hackiewicz wytłumaczył się powiadając, że on Jaśnie Wielmożny Sędzia ma chłopów poddanych, jego przodkowie ich mieli i z ich pracy pochodzi majątek, a zatem oni panowie z chłopów. On zaś Hackiewicz niemając innych poddanych, tylko dziesięć palców i pięćdziesiąt dwie kart, któremi ogrywał Panów, jest Panem z Panów. Sędzia się udobruchał i choć niegrywał w karty, tą razą przegrał Hackiewiczowi pareset dukatów i to w faraona. Zresztą Pan Mozyra był to sędzia graniczny, któryby prochu zapewne nie wynalazł, gdyby już wynalezionym niebył ale też jak to mówią, zawsze w pole wyprowadzićby się niedawał.

Jaśnie Wielmożna Sędzina Mozyrzyna z domu Jadwiga Barciakiewiczówna, naprzód garderobiana, potem stołowa panna, nareście panna respektowa u Pani Hetmanowej Rzewuskiej, pierwszym ślubem wyszła za mąż za starego brygadyera kawaleryi narodowej Dzierycza, a po jego śmierci powtórnem małżeństwem zjednoczyła się z Panem Mozyrą; chorowała na wielkie państwo i lubiła być panią w domu, z resztą zdrowa na ciele i na umyśle.

Panna Teresa Mozyrzanka córka jedynaczka Państwa Sęstwa, ośmnasto letnie dziecko, śliczniutka jak aniołek, ale, ale, ale, zwyczajnie pieszczoszek ojca i matki; panna bogatego domu, której nigdy niepowiedziano, niemożna, tak nie będzie.

Kazimierz Wieża od prapraojców herbowy szlachcic,

http://rcin.org.pl

dość majętny nietylko na jedną ale i na dwie osoby, hulaszczy młodzieniec, trochę wietrznik, trochę bałamut, zagranicami nigdy niebywał, ale z francuzka w salonie umiał i ukłonić się i rozmówić. Książek nieczytywał, ale często przypatrywał się okładkom, tytuły w pamięci zachował i rozprawiał o tem, czego nigdy nieczytał i o tem, czego nigdy niewidział. Gdyby chciano mieć dokładną statystykę panien, mężatek, balów, jarmarków, polowań i innych pohulanek na całej Rusi; dobroci dróg, odległości miejsc, wiele trzeba czasu, aby one przebiedz pocztą lub swoimi końmi w każdej porze roku, Pan Kazimierz by taką statystykę zrobił po sztukmistrzowsku, nawet możnaby od niego się dowiedzieć o wielu przypadeczkach domowych, które tu często w rozmowach naprowadzają na te znaczące zwrótki: Państwo ci w zgodzie żyją, kochają się, ale; Pani ta cnotliwa, pobożna, ale; Panna ta, dobra, łagodna, ale; i tak dalej owe pochwały, przygany, rady, użalania się i zwierzania się, ustawicznie kończone nieskończonem ale. Przy tej swojej zalecie, Pan Kazimierz nielubił długo miejsca zagrzać, w domu rzadkim gościem; jeśli komu dobrze zrobił, to ot tak sobie, bez myśli; jeśli komu zła naniósł, to także bez myśli ot tak sobie.

Ignacy Poraj jednolatek z Panem Kazimierzem, syn zasłużonej krajowi i zamożnej rodziny. W Niemczech kończył nauki, z niemieckich książek ssał i prawdy i nieprawdy; marzył wedle nich, wedle nich żył; ci, co zbliska go znali, kochali go; ci, co go w świecie tylko widywali, powiadali, skrzywiona głowa, dziwaczy.

Zenon Inhołowski rzecz rzadka w Polsce, szlachcic półpanek i syn półpanka, zarządzał fabryką sukienną swojego ojca i spółki i był człowiekiem rachunkowym; on wierzył tylko w to, co może się dodawać, odejmować, mnożyć i dzielić a więcej w nic.

Panna Franciszka Mozyrzanka rokiem starsza od Panny Teresy, jej stryjeczno rodzona siostra; ładniutka, milutka, ale wychowanka, ale sierota.

Było to roku tysiąc ośmset dwudziestego ósmego, i rzecz się działa na Podolu, na pograniczu Ukrainy i Wołynia, w Lityńskim powiecie.

I.

— Mój ty Ignasiu — jak mól szperasz po książkach, diabli wiedzą na co i po co, zdrowie stracisz, umrzesz i świata nieużyjesz.

— A ty jak go używasz?

— Jak?... dziwne zapytanie; jem, piję, tańcuję, poluję, kocham się i koniec; czyż nie żyję?

http://rcin.org.pl

— Prawda, ja nigdy się niekochałem.

— To z ciebie fryc; dwadzieścia pięć lat skończył a jeszcze się niekochał?

— Bo też to nie tak łatwa rzecz kochać się.

— Sprobuj.

— A tyż kochałeś się kiedy?

— Mój Boże, żebym tyle lat żył, ile razy się kochałem, tobym starszego wieku dożył jak Matuzal; ot ja ci powiem bez ogródki, że jak mi się tylko zdarzy zobaczyć pannę czy mężatkę z ładniutkim buziaczkim, albo z szykowną kibicią, serce moje natychmiast się zapala jak proch leszczyński, nie tylko ją kocham, ale uwielbiam.

— Kazimierzu, tyś się niekochał, ty kochać się nie możesz.

— Ba, ba, ot niechby no tu była jaka piękna kobietka, zobaczyłbyś, czy umiem i mogę się kochać.

— Tak wierzę, ale czyż to kochanie?

— A jakże ty chcesz?

— Kochać jak kochał Otello Desdemonę, Romeo Julietę, Werner Karolinę.

— Dosyć, dosyć, to pewnie kochania z twoich książek; napisać wszystko można, ale zrobić to nie tak łatwo, z resztą i jakże się oni kochali?... ja ci powiadam, że kiedy mi się podoba kobieta, to diabeł wie, cobym dla niej zrobił. —

Ignacy widać niesłuchał mowy Kazimierza, bo chodził po pokoju i dumał, nareście mruknął sam do siebie — Nie wiem, ja nigdy się niekochałem.

Kazimierz usłyszał to mruknięcie, rzucił w kominek niedopalone cygaro. Ot słuchaj Ignacy, zróbmy zakład.

— O co?

— Kto z nas lepiej kochać i umie i może.

— Ja ci powiadam, że się nigdy niekochałem; ale jakże podobny zakład wykonać można?

— Ja ci powiem jak; stąd o dobrą milę mieszka Pan Sędzia Mozyra; jak wezmiemy pocztowe konie, to zajedziemy przed półgodziną a jak swojemi to najdalej za godzinę; jedźmy tam, wszak czy prędzej, czy później staniemy w Konstantynowie, to mniejsza oto.

— Zapewnie, że mniejsza, ale pocóż pojedziemy do Pana Mozyry, czy w nim mamy się kochać?

— Ależ on ma córkę, taka piękniutka jak cacko, jak Morgulcówna i takoż Teresia się nazywa. Niedawny z Drezna powróciła.

— Czy ty ją znasz?

Dzieckiem widywałem, ale starego dobrze znam.

— O cóż tedy ma być zakład?

— O to, kto z nas lepiej będzie mógł i umiał się kochać.

— A któż będzie naszym sędzią?

http://rcin.org.pl

— Panna.
— Niezawsze tego kobieta wybiera, kto lepiej i więcej kocha.
— Prawda, więc jedźmy bez zakładu.
— Ja się i na zakład zgadzam, ale cóż będzie, jak się obadwa zakochamy i będziemy kochali.
— To obadwa zapłaciemy i na przyszłym jarmarku wydamy balik za te pieniądze. Jeśli Panna będzie, to i ją zaprosiemy na balik.
— O wiele zakład?
— O pięćset dukatów, za tysiąc można mieć balik, co się nazywa.
— Zgoda.
— Kochany Ignaś! — Uściskał go serdecznie. — Taki ciebie nie przerobili ci Niemcy, została żyłka polska. Prawdę to wówią, że tak wilk chowany wróci do lasu, to znowu będzie wilkiem. — Hej Opanas! —
Żywo wszedł kozak. — Co Pan każe?
— Poszlij gospodarza na pocztę, żeby duchem przyprowadzili sześć koni, a sam dawaj nam się ubierać, odpakować walizę.
— Zaraz Panie. —
Taka była rozmowa między Ignacym Porajem a Kazimierzem Wieżą, w Chmielniku, w zajezdnej karczmie.

W kwadrans czasu później sześć dziarskich, chartowatych koni stało zaprzężonych do Warszawskiego koczo-bryka. Zwoszczyk jeden siadł na kozioł, drugi na koń i obadwa się przeżegnali krzyżem świętym i obadwa poprawili czapki na bakier, Panowie wsiedli do koczo-bryka, drzwiczki stuknęły. Kozak wskoczył na kozioł obok zwoszczyka i krzyknął: — Ruszaj! — Zwoszczyk pocmokał, foryś zagwizdał, dzwonek zadzwonił, konie kopnęły w kłus, w kłus, a potem w poskoki, a nareście takim czwałem mknęły, jakby bały się, żeby koczo-bryk ich nie wyprzedził, jakby duch z siebie chciały wyprzeć.
We dwadzieścia minut zajechali do wioski Pana Sędziego.

Jaśnie Wielmożni Sęstwo przyjęli gości bardzo uprzejmie; zaraz na pierwszym wstępie Pan Sędzia wyciął, że jego pradziadek był w wielkiej przyjaźni z pradziadkiem Poraja, podówczas Kasztelanem Wołyńskim i Hetmanem mniejszej buławy; przytoczył jakąś przygodę, która im się przydarzyło, ani śmieszną, ani smutną; ale widać do okazyi sporządzoną i dodał: — My stara niedorobkowa szlachta, od najdawniejszych czasów i bratališmy się i trzymaliśmy się z sobą. — Potem nie przepomniał mówić o swojem Sęstwie. — Obywatele uczcili we mnie po-

http://rcin.org.pl

tomka dawnej szlachty, posesyonata z naddziadów, jedno-głośnie obrany zostałem Sędzią granicznym, a Pan wiesz, że Sędzia graniczny u nas to znaczy, co u Panów na Wołyniu Podkomorzy, Jaśnie Wielmożny.

W tymże samym czasie Sędzina plotła Panu Kazimierzowi o jakiejś Pannie Kunegundzie Barciakiewiczównie, która razem z jakąś Panną Barbarą Wieżanką były przy dworze Ludwiki Maryi, żonie Króla Władysława Czwartego, a później Jana Kazimierza. Sanguszkowa to mi zawsze powiada, jakie one psoty wyrabiały, bo wiesz Pan, że o tych psotach jest rękopism ogromny u naszych Czartoryskich w Puławach. Pan znasz tę naszą Radziwiłłowę w Starej-Sieniawie? choć ona Zakrzewska z domu, ale była za Mateuszem Radziwiłłem, tym Berdyczowskim... My się z sobą kochamy jak dwie siostry. I tak dalej opowiadała o swojej ścisłej przyjaźni i dalekiem pokrewieństwie z Paniami wielkich rodów Litwy, Polski i Rusi; szczęściem na ten raz dawała pokój Książętom i magnatom zagranicznym.

Weszła Panna Teresa. O! jakaż ona ładna, jaka szykowna. Piwne oko, to bystro ogniem strzela, to słodko omdlewa, jakby się kąpało w odbryzgach łzy. Gładkiem a białem liczkiem, kraśnym rumiańcem, koralowemi usteczkami i splotami ciemnych włosów i mszystą brwią wzrok ku sobie nęci, a kibicią wiotką, polotną, serce łechce.

Kazimierz na nią patrzy i wzroku od niej oderwać nie może i sam sobie w myśli powiada: i jakże to ją nie uwielbiać?...

Po przedstawieniach, po powitaniach, po pustej nic nie znaczącej rozmowie, Teresa siadła do fortepianu i grała smutek i cierpienia dziewicy z Lamermoru, a takie smutne, takie czułe dźwięki z klawiszów wybijała, że Ignacemu mimowolnie w oczach łzy stanęły i serce się ścisnęło. Potem zaśpiewała aryę z Normy z takiem uczuciem twarzy, z takiem uczuciem głosu, że Ignacy zerwał się z miejsca, stanął, zatrzymał kołatanie serca w łonie, ustami duch zatamował, duszą na nią patrzał, duszą jej śpiewu słuchał. Chwilę był w omamieniu, a kiedy zaczął przychodzić do siebie, pomyślał: O, jak ona czuje i jakże jej nie kochać?

Po obiedzie z przypadku kilkanaście osób z sąsiedztwa przyjechało do państwa Sęstwa; były panny, młode mężatki, była młodzież! ni stąd ni z owąd ułożono potańcować, ma się rozumieć po fortepianowej muzyce, ma się rozumieć takoż, że do fortepianu zasadzono pannę Franciszkę Mozyrzankę; biedna sierota siadła i grała hulaszcze mazurki, miłośne walce i polotne galopy, ale błękitne jej oko nie pozierało na tanecznikow, było jak martwe; blada twarz, ozdobna w jasne włosy, nie zrzuciła z siebie barwy cichego i ciągłego smutku. Nikt na to nie zważał, bo to sierota, wychowanka.

http://rcin.org.pl

Ale wszyscy zważali na Teresę w mazurku; to skocznie pląsa jakby płynęła, to gładko chodzi jakby z niechcenia; a kibić taka gibka jakby się podawała wianiu wietrzyka wzniesionego tańcem, jakby się z nim igrała i przed nim umykała; w obracaniu zda się, że chce się owinąć w około tanecznika i główkę polotnie przechyli i w mig wyrwie się z ujęcia, na bok odskoczy, w górę wzniesie dziewicze czoło i uśmiechem pół-dumnym, półzalotnym ciśnie na zuchwalca. Kazimierz nie stracił okiem jednego ruchu jej ciała i powtarza samemu sobie: jakże ją nie uwielbiać?

Przyszedł walec i ona tańczyła z Kazimierzem; jaka rozkoszna, opuściła wiotką kibić w jego ramiona, kołuje, kołuje. Wiatr trzepie w suknie i drażni oko migami przycisków sukni do kształtów kibici. Oczy pałające ogniem na pół się przymykają, twarz krasą płonie, usta drżą, rozrzuciły się ploty włosów i w polotach muskają miłośnie i lica i czoło. Ignacemu w oczach się ćmi, zęby zaciska z zazdrości na Kazimierza, krew mu warem kipi, serce ogniem płonie; piany zazdrością, miłością piany, powiada samemu sobie: Za nic Dezdemony, Juliety, Karoliny; ona, ona, ja ją kocham.

Późno po wieczerzy, prawie nadedniem, dwaj szkolni towarzysze, ale teraz może już nie tacy przyjaciele jak byli wczoraj z rana, wracali do Chmielnika.

Kazimierz cygaro palił i nucił zwrotki rozmaitych piosnek; Ignacy milczał i czasem zadrżał jakby go zaskórny dreszcz napadał.

— A co mój Ignasiu, nie śliczna, nie piękna dziewczyna? ja ci się przyznam prawdę, że ją kocham, uwielbiam. — I głos jego dźwięczał wesoło. —

Ponuro, przez zęby odpowiedział Poraj: — I ja takoż ją kocham.

— Tylko?

— Tylko. — I obadwa zamilkli. —

II.

W parę dni po owych niespodzianych tańcach Panna Teresa znudzona czytaniem romansów, graniem na fortepianie, a nawet śpiewaniem, znudzona pieszczotami i pochwałami matki, wypytywaniem się ojca, czy nie braknie jej jakiego stroju, cacka i czy nie potrzebaby po to posłać do Berdyczowa, do Pana Szafnagla, albo nawet wypisać z zagranicy, przyszła do pokoju, w którym była Panna Franciszka, siadła na kanapie, założyła ręce na krzyż, zwyczajnie jak osoba która nie ma i nie wie co

http://rcin.org.pl

ma robić; oczyma szukała czemby mogła nudę odpędzić i zabawić się, ale nic znaleść nie mogła.

Panna Franciszka koło okna haftowała w krosienkach pokrycie na krzesło dla Pani, tak bowiem zwała Sędzinę; niewolno jej było powiedzieć stryjenku, albo na stryjaszka stryjaszek, trzeba było koniecznie mówić Pan i Pani i to jeszcze wielka łaska, bo w sąsiedztwie w niektórych domach wychowanki i sieroty takie jak ona musiały ciągle powtarzać: Pan Marszałek, Pani Sędzina, Panna Prezesówna i tak dalej. Jej zaś wolno było mówić do stryjecznej siostrzyczki: Teresiu; tylko przy sługach i czasami w przytomności państwa należało nazywać Panna Teresa, nigdy zaś Panna Sędzianka.

Chwila była milczenia, nareszcie Teresa je przerwała:

— Franusiu, porzuć robotę, a chodź zemną do ogrodu.

— Nie mogę, Pani kazała, żebym koniecznie dziś skończyła robotę.

— To skończysz przy lampie.

— Ty wiesz, jak mnie oczy bolą, doktor kazał, żebym nic nie robiła przy świetle.

— Od jednego wieczora nic ci się nie stanie, chodź. —

Franciszka z cicha jakby to chciała ukryć przed Teresą, westchnęła, wstała od roboty i popatrzyła w okno — Teresiu, patrz jaki brzydki czas, błoto, deszcz mroczy.

— Co to znaczy, ja chcę, chodźmy — twarz miała nadąsaną a głos rozkazujący. Franciszka już i słowa nie rzekła, tylko poszła za Teresią ubrać się, a potem do ogrodu. —

Teresa zapewne nie wiedziała, ile złego zrobiła Franciszce tem wyprowadzeniem na ogród; chodzić po ogrodzie po błocie i w deszcz nie bardzo wielkie cierpienie; ale iść tam dla tego, że się musi, nie z własnej woli, nie z potrzeby, nie dla dogodzenia widzimisiu lubiącej nas i od nas lubionej osoby; ale aby spełnić to widzimisię tej, która nam za każdym krokiem okazuje swoje panowanie i zmuszając do posłuszeństwa, niejako wyrzuca dobrodziejstwa rodziców; o! to przykro jedno takie słówko, jedno skrzywienie się twarzy, zakrwawi serce. Franciszka gorzko pomyślała: ja sierota... i gwałtem łzy jej popłynęły z oczów.

— Co ci jest? nie bój się, mama nic nie powie za nieskończenie roboty, na siebie winę wezmę.

— Dziękuję ci — i chustką łzy ocierała. —

Teresa nie zastanawiała się nigdy nad uczuciem swojej stryjecznej siostry, jej dziękuję wzięła za szczerą prawdę i zaśmiała się — Jakież z ciebie dziecko, czyżby mama za takie drobnostki się gniewała. Słuchaj Franusiu, ja chcę zapytać ciebie o jedną rzecz.

— Co chcesz?

http://rcin.org.pl

— Pamiętasz Pana Wieżę i Pana Poraja, którzy we środę byli u nas?

— A jużciż pamiętam.

— A ani słowa do nich nie mówiłaś, aniś nawet na nich nie patrzyła.

— Ale pamiętam.

— Powiedzże mi któregobyś z nich wolała?

— Żadnego, bo ani jeden ani drugi nie dla mnie.

— To prawda, ale gdybyś była na mojem miejscu?

— Ty jesteś na swojem, to lepiej możesz wybierać.

— Ale ja chcę wiedzieć, cobyś ty zrobiła?

— Ja nie wiem.

— A ja wiem, a nie powiem.

— Co takiego? — i jakieś zalęknienie przewinęło się po jej twarzy, nawet blade lica trochę się zarumieniły.

— Ja wiem, kto mnie się podoba, ale tobie niepowiem. — I odwróciła się od Franciszki, ale po chwili znowu zaczęła: — Franusiu proszę ciebie powiedz, który z nich zdaje ci się być ładniejszy i lepiej.

— Na co to ci się zdało, ale kiedy tak chcesz to ci powiem, że ja wolałabym Pana Poraja.

— To trzymajże z nim; — i tą razą porzuciła Franciszkę i wróciła do domu. Franciszka została sama i nie płakała, nie smuciła się więcej jak dawniej, tylko bawiła się dziwną myślą — on się jej nie podobał, ona go kochać nie będzie — i tak ją zajęła ta myśl, że chodziła po ogrodzie niezważając ani na mrokę, ani na błoto, aż lokaj przyszedł: — Proszę Panny do Imości. —

Czego nigdy niebywało, spojrzała na lokaja: — Cóż tam takiego?

— Goście przyjechali, Imość chce, żeby herbatę dawano. — Na tę wieść o gościach już nic więcej nie pytała, tylko prędko pobiegła; lokaj stary sługa widział ślady łez i wzruszenie na twarzy dziewicy, wzruszył ramionami: — Nie daj Boże być na czyjej łasce, biedna sierota.

W salonie było nowych dwóch gości, jeden już podstarzały, o siwych włosach, z ogromnym brzuchem, u niego na twarzy się malowały wesołość i dobroduszność; to był Pan Zacharyasz Inhołowski, były Marszałek Bohusławskiego powiatu, wiodący ród z prawdziwych ruskich Kniaziów; drugi młodzieniec niebardzo rosły wzrostem, suchy, blady, siwych oczów, prawie nieruchomych; to był syn Pana Marszałka, Pan Zenon; niedawno przybył z Wiednia, gdzie ćwiczył się w sztukach rękodzielnictwa i handlu, a teraz rządził rękodzielnią sukna, bardzo sławną na całej Ukrainie.

Panna Franciszka wszedłszy z roztargnieniem, oddawała

http://rcin.org.pl

ukłony powitania, aż Pani Sędzina musiała po kilka kroć razy mrugać, aby herbatę kazała dawać.

Po herbacie Pan Sędzia z Panem Marszałkiem wyszli na fajeczkę i na pogadankę. Panna Teresa swoim obyczajem siadła do fortepianu i grała i śpiewała, a Pan Zenon jakby to było nie dla niego, siadł przy Pani Sędzinie i rozmawiał o wełnie, o postrzyganiu sukien i o farbierstwie; w słowach jednak był bardzo oszczędnym, zwyczajnie człowiek handlowy. Wieczór przeszedł cicho i spokojnie.

Kiedy ojciec z synem oddali dobranoc gospodarstwu i pannom i znaleźli się sami w pokoju dla siebie przeznaczonym, ojciec zapalił fajkę:

— No i jakże Panna Waćpanu się podoba?

— Nieprzypatrywałem się, ale zdaje się, że jest dobrze.

— Mówiłem z Panem Sędzią, on nie jest od tego, aby wydać córkę za Waćpana.

— Proszę ojca, jaki jest majątek Pana Sędziego w gotówce i w ziemi i czy kapitał w pewnej ręce, czy go można zaraz odebrać?

— Kapitału ma dwa kroć sto tysięcy, które na przyszłe kontrakty może mieć w gotówce; a majątek Sędziego wart przynajmniej pięć kroć sto tysięcy złotych, ani grosza długu; ale to sęk, żeby się Pannie podobać. —

Zenon już wyjął pugilares z kieszeni i ołówkiem mazał jakieś rachunki. Kapitał obrócony na fabryczne zapomogi, może przynieść dwadzieścia pięć od sta, a jeśli puści się na ryzykę, to może przynieść i trzydzieści pięć.

— Co Waćpan bałamucisz, przedewszystkiem trzeba, żebyś Pannie się podobał.

— Niech mi ojciec wierzy, że nietylko trzydzieści pięć, ale i pięćdziesiąt od sta może przynieść, kiedy nim się będzie dobrze kierowało, a nawet można przychodem zdwoić kapitał: fabryczne zyski to wielkie, szczególniej w naszym niefabrycznym kraju.

— Wierzę, ale tu idzie o Pannę.

— Zaraz — i rachował — z ziemi nie można mieć więcej jak cztery do pięciu od sta, kiedy zwyczajnym sposobem się gospodaruje; ale zaprowadziwszy owce, siedmio-polne gospodarstwo, można mieć od dziesięciu do piętnastu od sta.

— Co Waćpanu jest? jeszcze skóra na baranie, a już targ na nie.

— Ja wyrachowałem, że minimum przychodu rocznie wyniesie sto tysięcy, a maksymum może być do trzech kroć sto tysięcy.

— Ależ bo to o pannę rzecz idzie, a Waćpan już rachujesz.

— Oczywista korzyść, ja gotowem się żenić, choćby jutro.

— To sęk, czy panna zechce.

http://rcin.org.pl

— Trzeba natychmiast te rzeczy kończyć, bo nic zgubniejszego w handlu, kiedy kapitał długo martwym leży.

— Idź Waćpan spać, jutro może będziesz inaczej gadał.

III.

Panowie Inhołowscy bawili kilka dni u Państwa Sęstwa, pomimo to, że Pan Zenon narzekał na stratę czasu niepoświęconego handlowi i na stratę kapitału leżącego martwo. Jakoś przypadkiem Pan Zacharyasz, choć sam temu niewierzył, bo był staropolskim poczciwym szlachcicem, napomknął: wziąść posażną żonkę to jest prawdziwie handlowa robota. Odtąd Zenon uważał Pannę Teresę niby za wynalazek fabryczny do nabycia, albo bogatą kopalnię, zaczął się jej przypatrywać i rozmawiać z nią. Zapewnie nie o miłości ale o handlu, obrachowywał zyski, straty i przychodziło mu na myśl, żeby ją puścić na akcye, za granicami towarzystwa handlowe za pomocą akcyi już były znanemi; w Polsce nowa rzecz, co za szczęśliwy pomysł z żonki ciągnąć korzyść przez akcye. Kiedy tak w Zenonowej głowie dojrzewała szczęśliwa myśl handlowa, panowie Poraj i Wieża wracając z Konstantynowa, zajechali do Państwa Sęstwa.

Zaczęły się zaloty, młoty Inhołowski swoim handlowym obyczajem ciął arytmetyczne koperczaki, to jest naprzód obrachowywał słówka, spojrzenia i ukłony, któremi ma obdarzać Pannę i po rekapitulacyi dziennego rachunku nic nie dodał żeby nie było bankructwa, nic nie ujął żeby nieobwiniono go o nierzetelność, to stałe i nieodzowne prawidło, którego nieprzekroczył nigdy bezkarnie żaden handlarz w świecie.

Pan Wieża nałogiem wielbiciela płci pięknej, ale wielbiciela na Rusi i to nie Krzemienieckiego ale Machnowieckiego powiatu, plótł androny o rozmaitych paniach i pannach, ale to o młodych i jeśli nie pięknych to przynajmniej przystojnych, przez uszanowanie o starych gadać się nieważył, a do brzydkich czuł rodzimy niczem nieprzezwyciężony wstręt; w jego opowiadaniach nie było ścisłej obmowy, ale pochwały i przypadeczki które można było rozmaicie tłómaczyć. Mistrzował w wynachodzeniu owych powodów za pomocą których nietylko można ale trzeba było pocałować w rączkę Pannę Teresę, albo szepnąć jej do ucha jakąś półtajemnicę, zawsze potrafił podać jej ramię i prowadzić ją do stołu, u stołu przy niej siadał, oczyma bezustannie na nią strzelał i bawił rozmową, czasem uprosił, że potańcowała z nim walczyka, ma się rozumieć, że w tenczas bez prośby Panna Franciszka musiała siadać do fortepianu,

http://rcin.org.pl

często Pan Kazimierz zagrał i zaśpiewał jakąś fatałaszkę, a zawsze był wesoł, uprzejmy i nadskakujący.

Ignacy nieśmiał patrzeć oko w oko Teresie, ale kiedy ona się od niego odwróciła, to wtenczas wzroku z niej niespuścił, nieśmiał się do niej zbliżyć, ale kiedy przypadkiem znalazł się koło niej, to mu było słodko, lubo, ale i lękliwo zarazem. Kazimierza nieraz radby nożem przebił, a do Zenona czuł jakąś niepojętą odrazę. Mało mówił, a kiedy chciał co mówić przy Teresie, to mu dziwnie głos dźwięczał, oczy pałały, twarz kraśniała, a słowa albo gładko i potoczysto płynęły, albo rwały się nagle, stosownie do tego jak ona się uśmiechała, albo krzywiła śliczną twarzyczkę tem półdąsaniem się, którem to tak dobrze kobiety bez słów powiedzieć umieją: to mnie nudzi. Bez Teresy Ignacy był smutnym i odpowiadał z roztargnieniem tak, nie, i więcej nic; nawet kiedy Kazimierz umyślnie wtrącił słówko o niemieckiej, albo angielskiej literaturze, której tam ani on ani nikt oprócz Ignacego nieznał. Po nocach Pan Ignacy niesypiał, ale pisał wierszem i prozą, chociaż dawniej przez nieśmiałość zapewnie nie przez skromność, nieodważał się swoich myśli i utworów i marzeń czarnym atramentem na białem papierze wypisywać, może też mu ich i brakowało i trzeba było miłości, aby objawił się jego talent; trzeba było miłości, aby go wzniosła nad niego samego. W krótkim przeciągu czasu napisał poemat i powiastkę, a tak wybornie, że znamienity nasz krytyk Michał Grabowski wyrzekł o poemacie: po mnie, po Goszczyńskim, po Malczewskim, po Bohdanie Zaleskim, Poraj piąty poeta na Rusi: (jeszcze w ówczas Groza i autor Zawieruchy niebyli znanemi na pisarskim świecie); o powiastce zaś powiedział: ja i on piszemy stylem dziewietnastego wieku; to zdanie było pasowaniem Poraja na wielkiego poetę, na wielkiego pisarza. Obyczajem dawnych pisarzy niewskazywał swoich płodów na dziewięcioletnie gnicie w tekach, ale pozwolił, aby mu je wykradzano i kiedy je czytano u Państwa Sęstwa, a do tego używano Bartłomieja Czopowicza niegdyś bakałarza parafialnej Międzyborskiej szkolki, a dziś prowentowego pisarza u Pana Sędziego, Panna Teresa się uśmiechała, a oczy jej świeciły chlubą, bo w każdym opisie bohaterki siebie poznawała. Pan Kazimierz sierdecznie się nudził, poziewał a nareście wyszedł z pokoju palić cygaro i poświstywać piosenki. Pan Zenon dopytywał się, wieleby za to można było wziąść pieniędzy i jak wiele trzeba czasu do napisania powieści albo poematu, po swojemu rachował ołówkiem w pugilaresie i niemógł się wstrzymać aby niezawołał, lepiej być farbierzem, albo postrzygaczem niż poetą. Stary Zacharyasz i Państwo Sęstwo słuchali pilnie, z widocznem wzruszeniem na twarzy i powtarzali ciągle: czy to tak do prawdy było. A panna Franciszka i bladła i

http://rcin.org.pl

rumieniała się i roniła łez perły i drżała jak liść osiki. O! ona czuła, ona piękna była; gdyby był na nią patrzał Ignacy, byłby może jej podziękował wzrokiem wdzięczności, ale on wzrok miał wlepiony w twarz Teresy i z jej oka czekał swego wyroku.

Tacy byli trzej zalotnicy jeśli nie wszyscy do serca, to wszyscy do ręki panny Sędzianki i tak czas przechodził u Państwa Sęstwa.

IV.

Dzień był jasny, słońce pięknie świeciło. Po śniadaniu postanowiono pójść na przechadzkę do bliskiego lasku, ale piechotą dla nowości, tak chciała panna Teresa i dosyć. Pan Zacharyasz podał ramie Pani Sędzinie, a Pan Sędzia szedł przy nich. Kazimierz potrafił jeszcze w pokoju zamówić sobie ramie Teresy, Zenon odebrał jakieś listy, postanowił zatem w czasie przechadzki, żeby nietracić czasu, porobić notatki do odpisów, a może jakie rachunki, zawsze miał przy sobie pugilares z ołówkiem, kolej tedy padła na Ignacego, aby podał ramię Pannie Franciszce.

Teresa z Kazimierzem jak dwoje dzieci wybiegli naprzód, to rzucali się, żeby zrywać kwiatki, gonić motyle i znowu się łączyli i ona mu zdawała się wieszać na ramieniu, jak gałązka powoju, na smukłym wrzosie; jak kwiatek wiosny błyskała licem i oczkami, jak motył wiosny zdawała się ulatywać po nad trawą.

Ignacy z Franciszką szli zwolna i milczeli, ona miała rumieniec na twarzy, oko żywsze, piękniejsze niż zazwyczaj; muślin kołnierzyka prędkiem i nierównem chwianiem wznosił się i opadał jak gdyby pierś oddychała po zmęczeniu się, jak gdyby wietrzyk silny z nim igrał, a jednak Franciszka dwóch kroków niebiegła, wietrzyk głęboko spał w powietrzu, ani w listki trącał ani trawki muskał. Ignacy ani zważał na dziewicę co szła obok niego; co z lekka cisnęła się do jego ramienia. Oczyma patrzał na Teresę, a w myśli marzył o miłości, o zazdrości. Franciszka widziała to, odgadła jego myśl i przerwała milczenie.

— Jaka Teresa ładna?

— Piękna jak bóstwo.

— A jaka ona dobra?

— Jak anioł, prawda, czyżby inaczej być mogło.

— Ile ona warta, żeby ją kochać.

— Ja kocham, kocham i kocham — namiętnie wymawiał te słowa, oczy mu się iskrzyły, a twarz przykryła się nadludzkim zapałem. Franciszka zbladła, łzy powieką niemogła powstrzymać, westchnęła i nic nierzekła.

http://rcin.org.pl

Przypadkiem Kazimierz spostrzegł tę grę twarzy młodzieńca i tę bladość; niepojmował ani domyślał się coby to mogło znaczyć, ale ot tak sobie, pokazał to Teresie i powiedział.

— Widzi Pani, jak Pan Ignacy pali miłośne oświadczenia Pannie Franciszce.

— Czy Pan myślisz, że Pan Poraj miałby się zakochać w... — i zatrzymała się, jakby ząbkami zagryzła piękne usta.

— Niech Pani skończy, ja nikomu nic niepowiem.

— W takiej woskowej figurce.

— O! dalibógże, nie to chciała Pani powiedzieć.

— A cóż?

— Przynajmniej w takim koczkodanie, albo w takiej szurpie.

— Choćbym to pomyślała, tobym tego niepowiedziała. —

Kazimierz nie poeta, niebadacz ludzkiego serca, ale odgadł to uczucie panny Teresy, że lekceważenie i poniżanie stryjecznej siostry przeszły na niezasłużoną niczem pogardę, a mogły dójść do nienawiści, poprawił kapelusz. A ja ośmielam się przed panią to powiedzieć.

Teresa się uśmiechnęła, nie z gniewu ale na podziękowanie.

— I Pan powiadasz, że Pan Poraj mógłby się zakochać w Franusi.

— Poetom wszystko wolno; kto wie czy jednego dnia Panna Franciszka nie będzie Panią Porajową, a Pani wiesz, że Poraj i sam dość majętny i ma ciotkę bezdzietną, której liczą ośm milionów majątku, wszystko na niego spada.

— Dajże Pan pokój, ona będzie Panią Czopowiczową — ze złośliwością w oczach to wyrzekła, a Kazimierz dalej o tem nie mówił. —

Po przechadzce Panna Teresa była zalotniejszą niż zwykle dla Poraja, tak iż on sobie pomyślał: może mnie kocha; ale kiedy wieczorem Franciszka opowiedziała Teresie całą rozmowę z Panem Ignacym i z zapałem dotąd sobie nieznanym mówiła za nim, Teresa spojrzała jej w oczy.

— Cóż dziwnego, że Pan Poraj mnie kocha, czyż to on jeden mnie kocha, dobrze byś zrobiła, żebyś się nie mieszała do rzeczy, które do ciebie nie należą; i odtąd była dla Poraja jak dawniej, czasami zalotną, czasami obojętną, a czasami nawet unudzoną, widać było, że lubiła się zabawiać tą męczarnią kochającego serca. —

Jednak ta zabawka miła i powabna dla wielu kobiet trwać niemogła długo. Wszyscy trzej zalotnicy jeden po drugim niemogąc nic ostatecznego wyrozumieć z ust Panny, oświadczyli się rodzicom. Wszyscy byli majętni, dobrych rodów, wszyscy trzej zatem odebrali jedną i tęż samą odpowiedź:

— My Pana bardzo szacujemy, szczęśliwibyśmy byli z połączenia się z pańską familią, ale to zależy od naszej córki. —

Odesłani do Panny Teresy, wręcz jej oświadczyli i swoją

http://rcin.org.pl

miłość i swoje chęci, każdy swoim strychem. Panna rumieniła się, spuszczała oczy ku podłodze:

— Ja Pana szacuję, ale nic wyrzec nie mogę, zostawmy to czasowi. —

Nawet Pan Kazimierz nie mógł z pięknych ust wydobyć jednego słówka więcej, ani zmienić tego przeklętego: zostawmy czasowi. Bo też to przeklęta rzecz doprawdy to zostawmy czasowi, to wyrok, co powiada zakochanemu młodzieńcowi: bądź niewolnikiem, męczennikiem, a czy dostaniesz nagrodę to niewiadomo i najpewniej, że nie; nie nastręcza tej uciechy jawnego sarkania: ona mi odmówiła.

Inhołowski pierwszy odjechał, powtarzając: lepsza szkódka jak szkoda; on wiedział, że czas drogi, że to kapitał życia ludzkiego. Pan Kazimierz pięknie, szykownie pożegnał i rodziców i pannę, zapalił cygaro, siadł do kocza i ruszył zaganiać szkapy, włóczyć się po balach, po pohulankach i zapewne uwielbiać kobiety, byle były ładne i młode. Ignacy najdłużej wahał się, najdłużej był niewolnikiem obojętnej a zalotnej dziewicy, ale w końcu i on odjechał pod rodzimą strzechę; samotnością się otoczyć, smutkiem przywalić i żywić rozpacz i żyć rozpaczą.

Niebrakło na nowych zalotnikach Pannie Teresie; chłopska gadka mówi: gdzie jest miód tam będą i pszczoły, gdzie jest piękna dziewczyna, tam będą i chłopcy; i prawdę mówi. Coraz nowa młodzież zjawiała się w domu Państwa Sęstwa, ale jakoś tak się trafiało, że wszyscy nie byli majętniejsi i lepszych rodów, jak pierwsi trzej. Rodzice córce czasem powiadali: zawsze trzeba się trzymać pierwszego kupca; a ojciec jak sobie podochocił a przypomniał dawne wolarskie czasy, to i zanucił:

Oj nie przebieraj; żebyś nie przebrała.
W miejsce kanarka, dudka nie dostała.

Teresa się nadąsała i potrząsając głową rzekła z pewnością: wrócą oni wrócą; wszystkich swoich zalotników częstowała jednem i temże samem: zostawmy to czasowi. Widać, że jej serce nigdy nie zagadało: kocham; a ciągle powtarzało: lubię, żeby mnie kochali, niech mię kochają. Zalotnicy jak to mówią z kwitkiem czyli z niczem odjeżdżali, a czas płynął.

Panna Franciszka, smutna, cierpiąca, niknęła na krasie, jak kwiat kaliny, po pierwszym przymrozku; niknęła na zdrowiu, jakby suchoty ją tknęły i nikt na to nie zważał, bo to wychowanka, sierota.

Kilka miesięcy upłynęło od czasu, jak Pan Ignacy Poraj wyjechał z doma Państwa Sęstwa Mozyrów. Drugi dzień dopiero wstał z łoża do którego go wtrąciła choroba kochania,

http://rcin.org.pl

stokroć cięższa i nieznośniejsza jak na raz wszystkie inne choroby duszy i wszystkie choroby ciała, siadł koło kominka, założył nogę na nogę, splótł ręce na piersiach, nie czytał, nawet książki koło niego nie było, nie patrzał na płonące drzewo w kominie, bo głowę schylił ku piersiom i tam oczy wnurzył, jak gdyby serce swoje chciał dopatrzyć i dumał: o Pannie Teresie.

Niesłyszał jak po zmarzłej ziemi zaturkotały koła powozu zajeżdżającego przed ganek, ledwie usłyszał otwierające się drzwi od swojego pokoju, chociaż otworzyły się z trzaskiem, podniósł głowę i ujrzał, kogo?... Kazimierza Wieżę.

Kazimierz cofnął się w tył, zalękł go widok Poraja podobniejszego do trupa jak do żyjącego człowieka, ale wnet przyszedł do siebie i ze łzami w oczach ściskał przyjaciela.

— Mój Ignasiu co ci takiego? —

Poraj nie odpychał przyjacielskiego uścisku — Nic mi nie jest.

— Tyś chory.

— Byłem, ale teraz zdrów jestem.

— Takeś zmizerniał, mój Ignasiu, jabym ciebie nie poznał.

— Daj pokój użalaniom się, a mów mi o niej — szyderczo się zaśmiał.

— O kim, o niej?

— O naszym zakładzie; pamiętasz w Chmielniku.

— Prawda, ktoż z nas wygrał? Ja Teresę uwielbiałem.

— A teraz?

— Zapomniałem.

— Ja kochałem.

— A teraz?

— Nienawidzę; kobieta bez serca, bez czucia.

— Więc obadwa przegraliśmy.

— Poczekaj jeszcze, jeszcze nie koniec. — Wstał i przeszedł się po pokoju. Kazimierz patrzał na niego i zawołał, jakby mu jakie natchnienie do myśli przyszło.

— Ignacy ty ją kochasz?

— Nienawidzę.

— Słuchaj Ignacy, daj pokój nienawiści, a wracaj do niej.

— Ja do niej wracać, a to jak?

— Żadnego nie ma zalotnika, Państwo Sęstwo zgłaszali się do mnie, abym powrócił.

— Zgłaszali się. — Chodził po pokoju milcząc i coś układał w myśli; nagle stanął, uchwycił się ręką za czoło. — Mam! Znasz ty Ewelinę Oskierkównę, moją siostrzenicę?

— Znam.

— Prawda, że piękna osoba?

— Prawda.

— Ma dwa razy więcej posagu, jak Panna Mozyrzanka.

http://rcin.org.pl

— Prawda
— Chcesz się z nią żenić?
— Wielka rzecz, żebym chciał, ale czy ona pójdzie za mnie?
— W tem moja rzecz, będę twoim swatem, czy zgoda?
— Zgoda, ale słuchaj teraz wet za wet, ja darmo nic nie chcę.
— Słucham.
— Wracaj do Teresy, wiesz, że ty nie byłeś dla niej obojętnym.
— Jakim sposobem? —
Tu Kazimierz opowiedział całą rozmowę, jaką z nią miał w czasie owej przechadzki u Państwa Sęstwa.
Ignacy słuchał pilnie, jak gdyby oczyma, uszyma i ustami chciał połykać każde jego słowo, a potem zgrzytnął zębami i zachychotał. — Ha! rozumiem, dziękuję. Kazimierzu, zaraz jedziemy, pozwól, żebym napisał list pilny.
Odszedł Ignacy, a Kazimierz myślał co jemu się stało, dziwny człowiek; ale Panna Ewelina, piękna dziewczyna co się nazywa; o! ja dawno już ją uwielbiałem. Mniejsza o Mozyrzankę, gdyby tylko się udało, mógłbym o sobie powiedzieć, że urodziłem się w czepku.
Kiedy wrócił Poraj, oczy mu błyszczały po kociemu, jak dwie świce, na bladej, smutnej, ale rozognionej twarzy; rzucił na stół dwa listy już zapieczętowane i zadzwonił na służącego. Wieża temczasem rzucił oczyma na podpisy i przeczytał jeden: — Jaśnie Wielmożnemu JMPanu Mozyrze, sędziemu granicznemu powiatu Winnickiego i Dobrodziejowi. — Drugi: — Pannie Franciszce Mozyrzance i dopisek pod spodem do rąk własnych.
Wszedł Paweł wierny sługa, kamerdyner Pana Poraja.
— Mój Pawle, weź te listy i jedź do Pana Mozyry, tylko rozumiesz, oddaj list pannie Franciszce do rąk jej własnych, zozumiesz.
— Rozumiem. Czy zaraz jechać?
— Zaraz i odpis przywozić. Poszlij, niech Janek konie zaprzęga i zajeżdża, a Tomasz niech przychodzi dać mi się ubierać; tylko rozumiesz Pawle, do rąk własnych oddać list pannie Franciszce.
— Rozumiem. —

Jeszcze przed wieczorem obadwa przyjaciele przyjechali do Państwa Oskierków; Pani Oskierczyna była siostrą cioteczną Poraja i miała dożywocie na wiosce wartującej trzykroć sto tysięcy, która po jej śmierci miała wrócić Porajowi. Przyjęcie było i serdeczne i uprzejme. Panna Ewelina znała dawniej Kazimierza Wieżę, podobał się jej i z tańca i z postawy i z we-

http://rcin.org.pl

sołości. Poraj nie wchodząc w długie rozhowory, oświadczył iż dożywotnią wioskę zapisuje Ewelinie, byle rodzice wydali ją za Kazimierza. Zmowiny wykonały się natychmiast, na trzeci dzień były zaręczyny, a ślub naznaczony za miesiąc.

Czwartego dnia z rana, Poraj zawsze z Kazimierzem powrócił do siebie do domu, a wieczorem wrócił Paweł.

Paweł oddał list.

Ignacy żywo odpieczętował i czytał:

Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodieju!

«Z niewymownem ukontentowaniem odebrałem list J. W. WPana Dobr. Miło mi, że JW. WPan Dobr. raczysz być łaskawym na nasz domek i chcesz zachować tę przyjaźń, jaka panowała między naszymi przodkami, zwyczajnie jako między starą szlachtą, ludźmi dobrze zasłużonymi krajowi i od dawien dawna posesyonatami. Z listu JW. WPana Dobr. wyczytuję, że musiało zajść jakieś nieporozumienie, czyli raczej omyłka; dla wyświecenia której ośmielam się upraszać JW. WPana Dobr., abyś zaszczycił nas swojem odwiedzeniem. Na co oczekując z niecierpliwością; mam honor zostawać Jaśnie Wielmożnego WPana Dobrodzieja

Najniższym sługą.

Mozyra.
Sędzia graniczny Winnickiego powiatu.

J. W. Sędzina moja żona i moja córka łączą J. W. Panu Dobr. najpiękniejsze ukłony.

Poraj rzucił list o ziemię. — Co on oszalał, Pawle, co to jest?

— Panie, ja niewiem, tam się dziwne rzeczy działy.

— A list Pannie Franciszce.

— Oddałem.

— Odpisu niema.

— Oto jest, dobył karteczkę na której było napisano ołowkiem. — Do Olszanki, do mojej ciotki Pani Piotrowskiej.

— Cóż to znaczy? —

Paweł ruszył ramionami i okiem wskazał na Pana Kazimierza. Czy można przy Panu?

— Mów.

— List pański oddałem Pannie Franciszce i ona taka była uradowana, że aż jej łzy w oczach stanęły, powiedziała: dziękuję ci Pawle, zaraz odpiszę. Dobra panna, żeby Pan wiedział, jaka ona dobra; pobiegła do Państwa, a tam słuchać było wielki rejwach i płacze, dopiero później Agata wyniosła mi tę kar-

http://rcin.org.pl

teczkę i powiedziała, że Panna Teresa o mało nieskoczyła w oczy Pannie Franciszce, Pani Sędzina podobno ją uderzyła, a Pan Sędzia na zgodę powiedział: zaraz mi precz wyjedzie z naszego domu. Mnie odprawiono, a widziałem do bryczki zaprzęgano konie. —

Ignacy niedał mu już dalej mówić, skoczył z miejsca, zachychotał — tak jakem myślał, żywo niech zaprzęgają, koni, koni.

I godziny nieupłynęło, a już Pan Poraj jechał bitym szlakiem. Woźnica wyciągniętego kłusa pędził konie, a on wołał: ruszaj, ruszaj.

VI.

Cóż to się dzieje u Państwa Sęstwa? Panna Teresa w rozpaczy, nie z smutku, ale ze złości, nie płacze tylko zęby zaciska, całą kibicią się pręży, sinieje, położyć się niechce, a wszystkich ze swojego pokoju wypędza. Od matki nawet się odwraca, a ciągle powtarza — a ja mówiłam, że ona wszystko gotowa zrobić, trzeba było tu zamknąć, niechby tu siedziała.

Skądże ta rozpacz złości? Oto, któryś z usłużnych sąsiadów przywiózł wiadomość, że Pan Kazimierz Wieża żeni się z Panną Eweliną Oskierczanką; oto Pani Piotrowska napisała także, dziękując Państwu Sęstwu za opiekę nad jej siostrzenicą i z doniesieniem o szczególnem szczęściu, że pannie Francisce trafił się mąż, a tym mężem był Pan Ignacy Poraj, już od kilka dni przybyły do Olszanki. Pani Piotrowska w całej swej dobroduszności prosiła o błogosławieństwo dla swojej Franusi.

W tymże samym czasie Panowie Inhołowscy ojciec z synem przyjechali do Państwa Sęstwa, już nie po serce i rękę Panny Teresy, ale o pożyczenie pieniędzy; bo sukienna fabryka była w złych interesach i trzeba było koniecznie dwakroć sto tysięcy złotych polskich i to na kontrakty, aby ją podratować.

Na drugi dzień po ich przyjeździe, Panna Teresa bardzo rano weszła do pokoju rodziców: na twarzy jej niebyło widać gniewu, a w oczach łez, ale na czole malowała się pewne postanowienie, które tylko zrobić może w duszy i objawić twarzą kobieta, w chwili cierpienia miłości własnej, albo obrażenia dumy. W krótkich słowach przełożyła rodzicom swoją chęć wyjścia za mąż za Pana Zenona Inhołowskiego i to zaraz, jak najprędzej.

Ojciec jej łagodnie przekładał, że trzebaby nad tem się zastanowić i szczęścia tak lekko nieważyć?

http://rcin.org.pl

— Ale papa wprzódy życzył sobie tego zamęścia.

— Moja duszo to prawda, ależ Pan Zenon tak dawno u nas niebył? — niedomówił, że przyjechał teraz pożyczyć pieniędzy.

— Cóż tego, ja go chce mieć mężem.

— A jak on niezechce?

— On niezechce, zobaczemy; ja go pójdę zapytać. — Podniosła czoło, chciała się uśmiechnąć i uśmiech przymarzł na ustach.

— Teresiu, zastanów się, rzekła matka z kolei, pozwól żebyśmy czuwali nad twojem szczęściem.

— Mamo, ja się zastanowiłam, albo dziś będę wiedzieć, że pójdę za mąż za Pana Zenona, albo się zabiję — i wyszła z pokoju.

— Ach Janie! ona gotowa to zrobić.

— Moja Pani, coś to w tem się święci.

— Święci, żeś tę Franusię przyjął do naszego domu, ona to wszystko narobiła.

— Cóż ona zrobiła?

— Co zrobiła? odmówiła Pana Wieżę, odkochała Pana Poraja i ty pytasz co zrobiła, twoja to dobroć! wprowadziłeś wroga w nasz dom. Co ona winna?... jabym ją nauczyła.

— Pozwól moja Pani, pójdę już do Pana Zacharyasza — i co żywiej szlafrok nadział. —

I syn i ojciec już nie spali, ojciec sparł na ręku siwą głowę i ze łzami mówił: — Na moje stare lata, trzeba będzie zostać bankrutem!

Syn nieruchomy z zimną twarzą kończył jakieś rachunki. — Trzeba dwadzieścia pięć tysięcy rubli, a fabryka może pójść dwa lata, a potem zyski; jak Pan Sędzia pożyczy pieniędzy, wszystko ocalone.

— A jak nie pożyczy?

— Do tradycyi nie dopuścić, pod rozbiór oddać majątek.

— Bankructwo! bankructwo!

— Nie, podstawić wierzycieli, otaksować drogo, a potem za bezcen nabywać kollokacye.

— Oszukaństwo Panie synu! o nie! wolę z torbami pójść, jak być oszustem. —

W tem drzwi się otworzyły i wszedł Sędzia; Pan Zacharyasz tak był przerażony bankructwem, iż zapomniał nawet oddać dobrydzień Sędziemu.

— A cóż Panie Janie?

— Namyśliłem się?

— I jakże?

— Pożyczyć nie mogę.

— Nie możesz: — I pobladł Pan Zacharyasz, Zenon znowu zaczął rachować.

— Nie mogę. Ale jest inny sposób.

http://rcin.org.pl

— Jaki?
— Pożenić nasze dzieci; na kontrakty wyliczę dwakroć. — Pan Zacharyasz patrzał to na Sędziego, to na syna.
— Ależ Panna Teresa nie chciała — Zenonie?
— Teraźeśmy ją przekonali.
— Zenonie, co ty mówisz?
— Ja zgadzam się na wszystko, jeśli Panna Teresa zezwala.
— Więc zgoda Panie Janie?
— Zgoda, jutro albo i dziś zaręczyny, a ślub jak najprędzej, czas naznaczemy.

VII.

We dwa miesiące później, było to w Kijowie na kontraktach, Gubernator cywilny Katerynicz dawał wielki obiad, na który był zaproszony Zenon Inhołowski ze swoją młodą żoną; nie mógł odmówić tych zaprosin, bo potrzebował pomocy Pana Gubernatora, żeby mógł zaciągnąć dług w kaźnie na dusze; po obrachunku pokazało się, że posag żony nie mógł opłacić zupełnie wszystkich długów.

Pani Inhołowska przybrała się jak najstrojniej, ale zaledwie wysiadła i weszła do salonu, pierwszy mężczyzna, którego spotkała, był Pan Kazimierz Wieża, który ją przywitał uprzejmie, wesoło, potem zbliżył się do najpiękniejszej kobiety z całego zgromadzenia i szeptał jej coś do ucha; to była Ewelina, jego żona. Teresa przypatrywała się piękności Eweliny i pobladła i tak się jej słabo zrobiło, że zbliżyła się do okna i ustami oparła się o szybę. Tam na dziedzińcu zajeżdżała przecudna kareta, malowana w herby, ozdobna złocistemi bronzami; ciągnęło ją sześć koni anglezowanych; lokaje, furmani w pysznej barwie: w salonie mówiono:

— Jaka kareta, jakie konie? to Pani Porajowa. Jaka ona szczęśliwa! dziś mąż zapisał jej spadek po ciotce, ośm milionów; ależ ona warta tego, jaka dobra, jaka ładna; ktoby to się spodziewał! —

Teresa już dalej nie słuchała, krzyknęła przeraźliwie i osunęła się na posadzkę. Wynoszono z salonu omdloną niewiastę, właśnie w chwili, kiedy Państwo Porajowie wchodzili. Ignacy poznał Teresę, zadrżał i odwrócił się, Franciszka skoczyła ją ratować.

Na drugi dzień, Ignacy blady, z obłąkanym wzrokiem, przechadzał się po salonie swojego mieszkania; w tem przyjechała jego żona i Kazimierz.

http://rcin.org.pl

— A cóż?

— Biedna Teresia!

— Cóż jej takiego?

— Biedna — cichym głosem dodała, dostała pomieszania zmysłów — i łzy z oczów ocierała. —

Ignacy popatrzał na Kazimierza — Kazimierzu...

— Doktorowie powiedzieli, że niema ratunku.

— Zwaryowała.

— Tak. —

Uściskał żonę, ale gwałtownie — Franusiu daruj, daruj — i wybiegł z salonu.

Ona osunęła się na kanapę — Ignacy, Ignacy, on ją kochał, on ją kocha, on mnie nigdy nie kochał!

Kazimierz ją wziął za rękę: — Niech się Pani uspokoi.

— Niech Pan idzie do niego. —

Wtem z głucha huknął, jakby strzał pistoletowy.

Franciszka porwała się z kanapy — ja nieszczęśliwa, on nieżyje — biegła ku drzwiom. Kazimierz ją zatrzymał, krzyknął na służące, oddał im wyrywającą się Panię, a sam pobiegł do pokoju Ignacego.

Tam zapach prochu, dym prochu. Ignacy siedział w krześle, oparty o poręcz, pistolet leżał na podłodze, z twarzy krew ciekła; cierpiał, ale milczał. Kazimierz, słudzy niosą mu ratunek; posłano po lekarzy.

Na stole leżał papier świeżo napisany.

— Franusiu daruj! Kazimierzu, ty uwielbiałeś i zapomniałeś, ja kochałem, nienawidziłem, zemściłem się i kochałem. Ja mogłem i umiałem się kochać, ja wygrałem zakład.

Tą razą śmierć nie była powolną woli. Ignacy żył i chciał życia. Umiejętność lekarzy pomalutku wracała zdrowie jego ciału; troska i kochanie żony prędko wróciły zdrowie jego serca. On na nowo kochał, ale nie Teresę, tylko żonę. I kiedy Kazimierz przyniósł mu wygrane złoto, on uśmiechnął się, ale nie gorzko tylko lubo.

— Kazimierzu! nikt z nas nie wygrał i ja zapomniałem; ja kocham, ale Franusię — i w czoło pocałował żonę.

— Więc Franusia wygrała. — I Kazimierz złożył przed nią pieniądze.

— Wygrałam! Ja kocham i będę zawsze kochać. — Mężowi oddała pocałunek za pocałunek. —

http://rcin.org.pl

Wynaleziono kochanków ubogich a kochających się i przy ślubie w wianie dano im zakładowe złoto. Teresa wyzdrowiała i na łonie wiary szukała przebaczenia za dawne rzeczy, pociechy na teraz. Franciszka pożyczeniem znacznych pieniędzy Zenonowi, otworzyła mu pole przemysłowe. Panowie Wieżowie byli szczęśliwi. I Franusia była szczęśliwą, a Ignacy nieraz powtarzał, całując żonę: — O! ja umiem kochać, a kocham.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

TRECH-TYMIROW.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I.

Hej na koń! na koń! do szabel panowie bracia; zemsty! zemsty! — Tak wołał mąż siwo-brody i siwo-wąsy cały w brzeszczotową zbroję przyodziany, na głowie u niego misiurka jeszcze z pyłu nieotrząśnięta, przy boku szabla, a u spodu na pochwie koński pot śliznie, widać, że tylko co zsiadł z konia i znowu chce na koń.

W tejże samej komnacie było kilku rycerzy takoż zbrojnych od stóp do głowy; po uginaniu się kolan pod ciężkiemi ciałami, po pociąganiu się w ramionach, po rozprostowywaniu wstaw, widać, że i oni tylko co z siodeł zleźli. Ale był tam i człowiek w opończy bez zbroi, na twarzy zgrzybiały zmarszczkami, postawą garbiący się ku ziemi, jakby go ku niej chylił ciężar lat przeżytych na tym tu świecie; oczy miał zatroskane, a czoło pogodne, poglądał na Pana i milczał.

Siwy rycerz chodził po komnacie; to boleśnie wołał, jakby nikogo z ludzi przy nim nie było. — Moja stara żona, moje dzieci! to dziko pomrukiwał. — W pień Suzdalów, zemsta! zemsta! — i patrzał na swoich rycerzy, ich tylko kilku, ale gotowi na jego rozkazy; potrząsł głową, gorzko westchnął i stanął przed starcem w opończy.

— Bohdanie, mów jeszcze raz jak to było, mów wszystko. — Oparł się o ścianę i ujął się ręką za policzek, żeby rycerzom niepokazać, co się na jego twarzy dzieje. —

Bohdan ze sromu czy z żalu, jeszcze bardziej oczy w dół ponurzył. — W sam dzień Iwana Kupajły, kiedy lud biegł nad rzekę święte ognie zapalać i skoczne zabawy zawodzić i pieśniami Chrzciciela sławić, Posadnica i trzy dziewice twoje posadniku i twoje dziecko syn jedynak wyszli na zabawy bratać się z ludem bożym jak się to zawsze dzieje na naszej Rusi. Aż tu nadbiegło kilku młodych Ogniszczan wołając: Suzdale! Suzdale idą, uciekajmy. Wszyscy uciekali gdzie kto mógł; przed Suzdalem a przed dżumą jeden strach; choć oni nas powojowali, ciężko nawyknąć do obcego pana, nam prostemu ludowi. Ćma

http://rcin.org.pl

Suzdalów zwaliła się do zamku. Posadnica kazała ich hojnie częstować jak przyjaciół kniaziowskich, cywunów do komnat zaprosiła. Ich dowódzca był ten sam cywun Meszczerak, co dawniej ciebie tak często nawiedzał. Niewiem co tam się stało, bo zaraz po wieczerzy porwało mnie dwóch kniaziowskich Grydniów, zamknęli w dolnej pieczarze i całą noc strzegli. Słyszałem jak przez sen, jakby dalekim rozgłosem przyniesione do ucha i krzyki i wrzaski i szczęk broni i wielki tartas nad sobą w zamku. Białym dniem Grydniowie mnie wypuścili, mówiąc: Psie, pilnuj zamku — i poszli, a ja za niemi. W zamku pusto i głucho, ale w komnatach nic nietknięto, wszystko na swojem miejscu było jak teraz; pytałem Suzdalów, gdzie się ludzie podzieli, co to wszystko znaczy?... oni na całą odpowiedź na koń siedli i pojechali; ruszyłem do sioła, tam ni żywej duszy, istna pustynia, ani psa, ani koła w żadnej chacie nie było, wszystko przed Suzdalami w las uciekło. W kilka dni dopiero zaczęli się ściągać Ziemlodzierżce i Ogniszczanie, a nikt Suzdalów niewidział, bo do szlaku nikt się nie zbliżał. Już to od tego nieszczęścia księżyc po raz drugi nowiem się odświeżył.

Przestał mówić starzec, siwy rycerz słuchał pilnie, jakby po raz pierwszy to opowiadanie brzmiało w jego uchu, nawet czas jakiś milczenia nieprzerywał, nareście na starszyznę swego rycerstwa spojrzał okiem, w którem za łzą migotały rozpacz i gniew:

— A wielu nas jest? —

Jeden ze starszyzny się odezwał. — Tu sześćdziesięciu ośmiu, z Tretiakiem idzie trzydziestu, w Kijowie z Raszkiem zostało dwudziestu dwóch. — I dodał — A kiedyśmy szli z kniaziem Bogulubskim na Torżek, było nas pięciuset konnych spełna, jak rybie oko.

— Prawda, zapomniałem — zgrzytnął zębami i przez zęby dla siebie samego mruknął. — Dobrze mi tak, służyć obcemu Panu Suzdalowi, mam nagrodę. — Podniósł głos na gromki dźwięk rozkazu. — Idźcie, każcie karmić konie, żywcie się sami, prześpijcie się i bądźcie w pogotowiu. Bohdanie zostań — Starszyzna wyszła a on znowu zaczął chodzić po komnacie.

— Mało nie czterystu Rusinów głową nałożyło, za kogo? za Suzdala, wroga Sławiańskiej Rusi. Ja piersi nadstawiałem, krew przelewałem; jak pies wiernie służyłem, komu? Wrogowi Rusi. Kto mi porwał żonę, dzieci, kto zelżył, zbezcześcił moje stare lata! sługa pana, któremu ja służyłem. Ha! ja Sławianin, potomek krwi sławiańskiej, służyłem Suzdalowi?... choć ja stary, jeszcze się pomszczę. —

Widać, że trzeba mu było, ażeby wyrzucił na jaw te słowa, bo trochę się uspokoił w swojem chodzeniu, nawet się zatrzymał.

http://rcin.org.pl

— Bohdanie dawny towarzyszu, stary mój piastunie, gdzie znałeś ludzi Rusi?

— Posadniku jak zechcesz...

— Gdzie? mów.

— U Wojewody Tymira.

— Ha, to mój wróg, on sługa Monomachowiczów, ja go ogłosiłem za zbójcę bez czci i wiary.

— O! on ma i cześć i wiarę. Olegowiczów nieuznał za panów, bo oni z Suzdalami się pobratali, a on Suzdalom służyć niechce. Porzucił dostatki, poszedł w puszcze, za łoże przybrał gołą ziemię, za dach niebo, nieraz głód i chłód cierpi, a przed Suzdalami czoła niechyli.

— Prawda, prawda, ale on duszę swoją i swoich zapisał rodowi Monomacha.

— Posadniku, wy się swarzycie, a Suzdal Ruś dzierży, was bezcześci. —

Myślał Posadnik — Ale ja Wojewodę obraziłem.

— On wszystko zapomni, bo tu idzie o walkę z Suzdalem.

— Ty myślisz?

— Pewny jestem, Tymir to krew sławiańska, szczere dziecko naszej Rusi.

— Stary, ty choć guślarz, nie wiesz, że jeżeli się komu serce zakrwawi, to trudna z nim zgoda.

— Siry orzeł kocha skały swoich gniazd, orły wadzą się między sobą, niechże jaki sęp ich skały napadnie, razem, razem wszystkie na niego biją, a czyż ziemia ruska nie gniazdem waszem. Posadniku czyż ty i Tymir nie Rusini? Czyż Suzdal nie wróg sławiańskiej Rusi. O! ludzie naszej Rusi, nie gorsi, nie mniej kochają swoje gniazdo, jak sire orły — wyprostował się staruszek i oko się jego roztroskało, bo to sławianin guślarz Rusi, przemawiał do sławianina rycerza Rusi, o rodzimej ziemi, przeciw wrogowi Suzdalowi. —

Potrząsł głową — Słuchaj Bohdanie, ja gotów, a gdzież znajdziemy Wojewodę.

— O znajdziemy, znajdziemy Posadniku. Jak siry wilk pójdę na włóczęgę po wszej Ruskiej ziemi; gdzie niedostępne puszcze, gdzie dzikie stepy, gdzie odludne ostrowy na naszym Dnieprze, tam zabrzęczę w strony mojej gęśli, zawiodę pieśń sławiańską, a odezwie się któryś z Tymirów, bo oni tam... znajdę ich, a ty tu Posadniku czekaj i gotuj zemstę na Suzdala.

— Ja pójdę z tobą, ale ty stary, czy podołasz podróży, czy dosiedzisz na koniu.

— Oj i nogami podołam i koniem poharcuję, jak za dawnych czasów; krew ruska się nie starzeje, nogi nie sztywnieją, kiedy idzie o posługę dla rodzimej ziemi: zobaczysz Posadniku. —

I Posadnikowi twarz rozmarzyła się zapałem — Pokłonię

http://rcin.org.pl

się Tymirowi, powiem mu: wasza prawda i razem na Suzdala, za kraj, za moich.

Bohdanowi kapały z oczów łzy, ale łzy radości — Sokole mój, ja ciebie wypiastowałem, ja tobie od kolebki kładłem w ucho Bojanowe dumy o naszej Rusi; darło mi się serce, kiedyś ty posadniku kłonił czoło przed Dołgorukim i Bogolubskim Suzdalskiemi kniaziami, jakeś bieżał pod ich znaki z swojem ruskiem rycerstwem; o! ja twój piastun, chciałem ciebie porzucić i na stare lata pójść het precz w świat, ale woli mnie zabrakło i teraz tego nie żałuję; ty posadniku rodzonaś dziecina twojego ojca. Tak zawsze robili twoi naddziadowie!...

Posadnik rzucił się w objęcia swojego piastuna — Bohdanie, idźmy, chodźmy, moja żona... moje dzieci... Ruś...

Bohdan ściskał swojego pana i ze łkaniem powtarzał: — Jedźmy, chodźmy... Ruś... Ruś...

Taka była rozmowa między Światosławem Daszkowiczem Posadnikiem Wasylkowskiej ziemi, rycerzem znamienitym na Rusi, a jego piastunem Bohdanem. Po ścianach komnaty porozwieszane stare zbroje i broń stara, myśliwskie przybory, głowy odyńców z kłami, skóry wilcze i niedźwiedzie z pazurami i inne łowieckie łupy, dodawały jakiejś dzikiej, ale ruskiej barwy obrazowi ściskającego się starca sługi, z już nie młodym panem, dla miłości ku rodzinie, ku Rusi; dla zemsty za rodzinę, za Ruś.

Było to w chwili, kiedy wnukowie Olega spierając się o władztwo nad Kijowem z wnukami Monomacha, wezwali ku pomocy Suzdalskiego kniazia. Jerzy Dołgoruki i jego syn Andrzej Bogolubski, wziąwszy na żołd swój Połowców runęli na kraj Ruski; Olegowiczów i Monomachowiczów precz wygnali, po wszej Rusi szeroko rozpuścili pożogi, spustoszenie, śmierć i gwałty, i tym sposobem właszczyli dla siebie Ruś, Sławian z ruskiej ziemi gnali nad Klazmę, nad Wołgę, a wysławiańszczoną Ruś chcieli posiedlić Suzdalcami i Ugrami i zrobić niesławiańskie państwo. Rusini opuszczeni od kniaziów przybylców, Rurykowego niesławiańskiego szczepu, przypominali sobie potęgę Bolesławów; jedna mowa, jedno i toż samo pochodzenie ciągnęły ich ku Polsce; ale Lachowie uplątani w niemieckie sprawy, nie mogli podać bratniej ręki, a Suzdale jarzmo niewoli tłokli na Ruś. Nadarmo Dołgoruki nastawiał moc warownych zamków po wszej ruskiej ziemi i poosadzał je licznemi załogami Suzdalów i Połowców, nadarmo obiecankami i cackami hołubił Rusinów i okrutnemi kaźniami ich dręczył; choć nie jawna, ale kryjoma i zacięta wojna trwała. Nadprypeciańskie puszcze, stepy Ukrainy, Dnieprowe i Dniestrowe ostrowy, zaludniły się Rusinami, co przysięgli mieczem i ogniem tępić Suzdalów i dotrzymywali jak mogli i jak umieli. Wielu jednak Rusinów wprzęgło karki w suzdalskie jarzmo; ci jeździli z daninami do

http://rcin.org.pl

Dołgorukiego i z Bogolubskim chodzili na wojenne wyprawy; możne rodziny na Rusi jedne trzymały za suzdalskim kniaziem, drugie przeciw; Ciwuni jednak i Grydniowie Dołgorukiego dławili i nękali wszystkich bez wyjątku i za łeb trzymali każdego, co nosił imie Rusina: zwyczajnie zawłaszczyciele.

Z powodu wojny Olegowiczów z Monomachowiczami, między rodzinami Rusi były rozdwojenia, a nawet rodowe nienawiści; tak się też działo między rodzinami Daszkowiczów i Tymirów, podówczas znamienitemi na Rusi. Daszkówicze stronniki Olegowiczów Suzdalowi się poddali. Tymirowie wierni Monomachowiczom, nigdy Suzdala, ani za Pana, ani za druha uznać nie chcieli. Światosław Daszkowicz Wasylkowski posadnik, ojciec trzech córa krasnolicych, Olgi, Heleny, Marty i syna Ostafiego, chodził z Bogolubskim na wyprawę na Torżek. Piotr Tymir, Wojewoda Czehryński, ojciec trzech synów, Wszesława, Jaropełka, Włodzimierza i córy Praksedy, rzucił dziedziczne zamki, peregorody i słobody, a poszedł z żoną na włóczęgę, na rozboje; za Ruś.

II.

Niedaleko starego Urucza była puszcza, straszna dla ludzi, miła zwierzowi. Tu i owdzie jeżyła się skałami i mogiłami, tu i owdzie pożłobiła się w jarugi i podrążyła się w głębokie pieczary; miejscami zaplotła się ciemnym lasem, miejscami porosła kiciastą sosniną; a tyle tam łomów i wywrotów, wykotów, że i samemu diabłowi trudnoby tamtędy ścieszkę zrobić: tam źródła Usza i Zerewa, wody Norynia i Sławeczny natworzyły bez liku przepaścistych bagien i zgniłych jezior. Mnogie lata temu upłynęły, jak Kazagowie tam przebywali; stamtąd zagony zapuszczali po przednieprzańskiej Rusi i dla tego puszcze te zwano Kazagską górą.

Nad sinym Dnieprem, złotousty Bojan śpiewał Igorową wyprawę na Kozagskie pułki, więcej sto lat temu ubiegło. Bojan wstąpił w niebiosa śpiewać złote dumy Bogu Twórcy i świętym Pańskim. Koście wojennego Igora lichy robak toczy, jednak wsza Ruś powtarza Bojanowe dumy, jak pacierz powszedni, sławi sławę Igorową jak spuściznę swoją. Kozagowie jak plewa przed wiatrem szczeznęli z Ruskiej ziemi, gdzieś zaginęli na przepadłe imie, a jednak puszczy pozostało zwanie Kozagskiej góry.

Noc była, po niebiosach chmury za chmurami nawałem gnały; czasami tylko blado-licy księżyc i jasno-oka gwiazdka mignął, błysną, podraźnią się z olbrzymiemi cieniami puszczy i znowu znikną, a wiatr wyje, jakby wilcy i niedzwiedzie całej puszczy na raz wielkim korowodem zawiodły.

http://rcin.org.pl

Tam w tej puszczy, w skalistej pieczarze jakby w warownym zamku, przebywał Wojewoda Czehryński z żoną, z rodziną i z nielicznym ale dzielnym pocztem wiernych Rusinów. Dziwne to było mieszkanie: w miejscu makat i kobierców, szczera opoka, w miejscu węzgłowia i łoża, mech i suche liście; a w pieczarze pełno rozmaitej broni i Rusinów pokotem śpiących. Wojewoda się cieszył tym przyborem komnat swojego nowego zamku, bo to nie łupy ale śmierć dla Suzdala. Stary Wojewoda jeszcze nie spał, w jednym załomie pieczary słuchał donosy swoich Rusinów i dawał im rozkazy. Twarz jego była sucha, blada, oko smutkiem przyterane, ale czoło pogodne, harde i postawa rosła, mimo wiek jeszcze się czwaniąca. Słowa jego były krótkie, ale kto je odebrał, długo, długo się niemi cieszył.

Porozchodzili się wszyscy, jedni spać, drudzy w drogę. Wojewoda ukląkł i pomodlił się, potem przyszedł nad łoże żony, stanął i żegnał krzyżem świętym i ją i dziewczynę swoją jedynaczkę. Wojewodzina się przebudziła.

— Panie, a wrócili nasi synowie?

— Nie, jeszcze.

— Tak długo! — I w oczach jej zazwierciedliła się macierzyńska obawa.

— Oni wrócą. Śpij Anno.

— A ty Panie?

— I ja spać pójdę. —

Anna zmrużyła oczy niby do snu, a marzyła o synach i za niemi do Boga się modliła. Wojewoda owinął się w siermięgę niby do snu, a na mchu obok żony się nie położył, tylko cichutko wyszedł z pieczary wyglądać i wysłuchiwać. Ciemno, nic nie widać, tylko czasem jak robaczki święto-jańskie, u dołu puszczy zamigoczą wilcze oczy, ale Rusin wilka się nie lęka i wilk nie stracha się Rusina; od czasu najścia Suzdalów oni pokumali się z sobą. Nie raz i nie dwa, Rusin na szlaku, około słobody, zamordował Suzdala, albo Połowca, a wilk pożarł wraże ścierwo i stąd kumostwo. Ale co do ucha, to różne posłuchy się niosły. Łosie na żer pędzą, łomoczą puszczą, jakby tabun wojennych koni kopytami stukał po szlaku; lisy poszczekują, niby zwiadnika wabi zwiadnik; sowa jęczy jak płaczka Rusinka za zmarłemi dziećmi; niedźwiedź porykuje niby Suzdal ranny, a wiatr wyje i szumi wrzawą wojny. Wojewody ucho wprawne, wszystko to zna i nie słyszy ani kroków ludzkich, ani głosu ludzkiego; tęskni za synami, a coś ważnego się niepokoi i marzy o swojej Rusi. On ojciec; on Rusin.

Tak przemarzył aż do świta, obejrzał się po za siebie; tam o kilka kroków na kamieniu siedzi Wojewodzina, nie czekała zapytania.

— Nasze dzieci, oni poginęli, wpadli w ręce Suzdala. — Płakała i załamywała wyschłe ręce.

http://rcin.org.pl

— Nie płacz Anno, oni żyją, oni wrócą; tyś Rusinka, oni dzieci Rusi. — Silniej te słowa wymawiał, choć łzę w oczach powstrzymał. —

Wtem gwizdnięcie dało się słyszeć w puszczy, jedno, drugie i trzecie.

— To oni! to oni! — Wojewoda sam odgwizdnął i jakby cudem Bożym ziemia puszczy porodziła kilkunastu zbrojnych Rusinów, to strażnicy puszczy. Niebawem ukazał się z puszczy młodzieniec hoży, rosły, przybrany w sirak prostego słobodnika. Wojewodzina krzyknęła.

— Włodzimierz! a bracia? —

On nie miał czasu matce odpowiedzieć słowem, uściskiem, bo go ojciec zapytał:

— A Kniaź?

— Idzie ojcze, ja ich o kilka gon tylko wyprzedziłem.

— Z kim?

— Z Wszesławem, z Jaropełkiem.

— Nie wziął zakładników?

— Nie ojcze.

— Czy ma straż przyboczną?

— Nikogo, sam jeden.

— Jak to?

— Kniaź Izasław powiedział: Wielki Książe Rusi Wojewodzie Tymirowi wierzy jak samemu sobie.

— I nie zawiedzie się. Anno, co mamy gotować na przyjęcie wielkiego Kniazia?

— Rusini moi do broni! Hej tu do mnie, Pan nasz między nas przybywa. Wnuk Olega Rusinom się powierza. Izasław krwią zmaże pakty zawierane z Suzdalami przez swoich rodnych Olegowiczów.

— On Olegowicz, nie pomny, żeśmy z Monomachami trzymali, bieży ku nam, aby porwać chorągiew Rusi i wieść na Suzdala. Ruś mu dopisze. —

Rusini zbrojni stawali koło swojego Wojewody, młody Włodzimierz, choć drogą zmęczony, trzymał chorągiew Ruską; na malinowem tle srebrzy się archanioł Michał, nogami już szatana zdeptał, a jasny miecz jeszcze trzymał wzniesiony do góry. To rodny opiekun, serdeczny święty Sławiańskiej-Rusi. Pop przybrał szaty kapłańskie i wziął do rąk krzyż ze Zbawicielem. Wojewodzina w sobolowym szłyku, Prakseda z rozpuszczonemi warkoczami, wszyscy wyszli przed pieczarę i oczy i uszy tężyli ku puszczy, z tamtąd wyglądali kniazia... Pana!

Niebawem ukazał się gość pożądany. Kniaź Izasław choć długą drogę przebył, szedł rzeźwo, śmiało, a dwaj Tymirowicze panoszyli się chlubą. Stary Wojewoda przykląkł na kolana przed kniaziem.

— Wielki kniaziu Rusi, panie nasz miłościwy, witaj między

http://rcin.org.pl

nami. My twoi poddani, czekamy na twoje rozkazy, nie wielu nas jest; ale wierni tobie, wierni Rusi. —

Kniaź podał rękę do pocałowania Wojewodzie i podniósł go. Witajcie mili bracia, ja z wami, wy ze mną, dalej na wroga, za Ruś.

I zewsząd odezwały się wrzawne okrzyki. Niech żyje wielki kniaź Izasław, na wroga, za Ruś.

Ruskim obyczajem każdy wielkiego kniazia w rękę całował i była radość, było wesele; kapłan mszę świętą pod gołem niebem odprawił; wielki kniaź chorągiew Rusi w ręku trzymał, bił się w piersi i modlił. Rusini pokłony bili, śpiewali hymny na cześć Bożą, a puszcza brzmiała rozgłosem świętego wesela.

Tak stu Rusinów niespełna, w puszczy wśród najechanego i zawojowanego kraju, witało wielkiego kniazia, Pana Rusi. Tak możny Wojewoda, samowolny wygnaniec dla miłości ojczyzny, odtrącał od swojego serca dawne niechęci, chylił harde czoło przed Olegowiczem, wiódł go na Wielkie Księztwo, żeby dać Ojczyźnie wodza, któregoby imie wsza Ruś znała; Pana, przed którymby wsza Ruś ukorzyła się posłuszeństwem i wolą i zlała się w jedną nierozdzielną całość. Tak kniaź Izasław stawał na prożbę garstki Rusinów, walczyć za rodzinną ziemię, krwią i życiem okupywać winy i błędy swoich rodnych Olegowiczów. I kniaź i wojewoda i Rusini, mimo małość liczby pewni byli zwycięztwa, bo mieli serca i ręce, a na woli im niebrakło.

Już było południe, nad Sławeczny wodą dało się słyszeć ciche brzękanie gęśli i śpiew niebardzo głośny.

Smutno, tęskno, we wszej Rusi,
Pusto w stepie, głucho w lesie;
Suzdal jarzmem, kark nam dusi,
Połowiec knut na nas niesie,

I niedali mu dośpiewać, wszyscy trzej synowie Wojewody skoczyli w tę stronę. I ledwie zdrowaś Marya wymówić było można, już oni powrócili ze starym guślarzem Bohdanem i z siwym rycerzem Daszkowiczem. I czemuż młodzi Tymirowie taką cześć okazywali Posadnikowi, wszak to wróg ich rodziny: to prawda, ale on miał trzy czarno-brewe córy, sławne z krasy na całe okolice, a oni mieli i serca i oczy.

Bohdan wciąż opowiadał jak dnie i noce chodzili, nim ich znaleźli, Posadnik milczał i wzdychał, przed Wojewodą powiedział: Twoja prawda, twoja, ja mam nagrodę, a oni będą mieli albo moją pomstę, albo moją śmierć.

Wojewoda podał rękę Posadnikowi — kto ma wolę mścić się nad Suzdalem, ten z nami, ten nasz — i wiódł go do wielkiego kniazia.

http://rcin.org.pl

Daszkowicz powitawszy Olegowicza, swojego dawnego Pana, zdziwionem okiem pozierał na Tymira.

Wojewoda mu szepnął na ucho. — To potomek kniaziów ruskich, a ja Rusin.

Potem Daszkowicz opowiadał swoje domowe nieszczęścia, młodzi Tymirowie rwali się biedz na wroga, widać, że serdeczną zemstą ku niemu się pałali. O! oni znali i dobrze znali Daszkowiczówny, bo któżby je nieznał na ruskiej ziemi. Wielki kniaź poruczył dowództwo Wojewodzie. Doświadczony to wódz Wojewoda: rzekł Daszkowiczowi: ciebie ojcu pomściemy i Rusi usłużemy; dawał potrzebne rozkazy i wysyłał ludzi na wsze strony, a stary Bohdan chodził między Rusinami, brząkał w gęślę i śpiewał.

Święć się Rusi, hej do broni!
Święć się Rusi, hej do koni!
W imie kniazia, w imie Boga.
Za broń, na koń, taj na wroga!

III.

Nad Dnieprem, nad sirym Dnieprem, poniżej Kijowa, stał obronny zamek wprost na przeciw niżowego ostrowu. Stamtąd w dali widne było miasto Kijów, a dokoła słały się i lasy i stepy. Tam kniaź Suzdalski posadził liczną załogę i dał nad nią dowództwo Dymitrowi Meszczerakowi, swojemu ulubionemu Cywunowi. Meszczerak tam panował, jak drugi kniaź. Dziki to i paskudny człowiek był ten Meszczerak, podły i nikczemny przed panem, dumny i okrutny dla podwładnych, wyuzdanych chuci, a niczem nieposkramiającej się woli; zapragnął żony, córki albo dostatku jakiego Ziemiodzierżcy a nawet Posadnika, to Ziemiodzierżca i Posadnika kazał powiesić, a dobro jego zasobił na swoją rzecz. Jerzy Dołgoruki wielce go cenił, bo on zgadywał myśli Pana, wszę ruską ziemię zastawiał szubienicami i sotkami Rusinów na nich wieszał. Andrzej Bogulubski jak brata go miłował, bo Meszczerak i bogactw i nałożnic podostatkiem mu dostarczał, a Rusinów trzymał w ryzie okropnego przestrachu.

Jednego czasu któryś z Grydniów mu powiedział: — Posadnik Daszkiewicz ma trzy córki, najkrasiwsze dziewice w całej Ruskiej ziemi. Meszczerak kazał wsiąść na koń kilka sotniom Suzdalów, napadł na Wasylków, zabrał Posadnicę z córami i z młodym synem. Mówił on: wprzódy moje, a potem ich poszlę Bogolubskiemu i byłby spełnił to, co mówił, gdyby

http://rcin.org.pl

nie kazano mu iść w poszlaki za Tymirem, a potem niewezwano do Kijowa, aby tam ład zrobił. Meszczerak Tymirów wyśledzić nie mógł, a Kijowianów z tysiąc powiesił. Tymczasem Posadnica z córami. z synem siedziały zamknięte w Meszczerakowym zamku, bo tak go zwano.

Był to poniedziałek, dzień niedobrej wróżby; chmurno było na niebiosach a mglisto w powietrzu; z okien zamkowej wieży mało co widać, a jednak trzy kraśne Rusinki i młody Ostafi patrzały prze okna swojego więzienia; oczy ich pozamakały łzami, a piersi westchnieniami się pomordowały, rumiane lica dziewic poblady, a wesołe czoła tęsknotą się powlekły. Młody Ostaf sierdził się a sierdził, ale trudno zawsze się sierdzić, zawsze wzdychać i płakać; choć w nieszczęściu kiedy się jest razem, są chwilki, że o tem nieszczęściu się nie myśli, a pustemi rzeczami się zabawia.

Posadnica siedziała w kącie tej izby więzienia; czy się modliła, czy drzemała, jedno z dwojga, bo nic nie mówiła, a nawet nie patrzała na dzieci; wszyscy czworo stali w oknie; widzą jak kijowskim szlakiem w czwał pędzi Połowiec, koń jak sarna sadzi susami, chciał konia w miejscu osadzić przed bramą, zachwiał się i padł na ziemię, żywo porwał się na nogi, a koń stał obok niego.

Olga westchnęła — Na takim wronym koniu zawsze jeździł Wszesław Tymir i ciemne oczy spuściła ku dołowi.

Helena pokraśniała — I on sam takiej postawy, jak Jaropełk Tymir.

A Marta się uśmiechnęła — Może to jeden albo drugi, bo pewnie nie Włodzimierz, onby z konia nie zleciał — i jakby na przechwałkę potrząsła głową.

Młody Ostafi udał, ze zachmurzył czoło — Wszystko Tymir, Tymir, wszak to wrogowie naszego rodu, między Daszkowiczami a Tymirami niemasz zgody.

Marta mu spojrzała w oczy — Wszak i Prakseda Tymirzanka.

— Ja też o niej nie mówię.

— Ale myślisz, to na jedno. —

Drzwi się otworzyły i wszedł jeden z kniaziowskich Grydniów, a za nim dwaj Smerdowie Meszczeraka, w kosztownych naczyniach przynieśli jadło i napoje. Cywun kazał sowito raczyć więzionych gości, niebrakło im na niczem, tylko na wolności.

Grydnia pokłonił się Posadnicy — Nasz wielmoża dziś przed nocą przyjedzie, kłania się wam Posadnico i wam panieńki i prosi, żebyście jak najstrojniej przybrały się na jego przyjęcie, zaraz przyniosą szaty ze złotej lamy, z jedwabiów drogiemi kamieniami naszywane, które on wam szle w podarku.

Posadnica spojrzała na niego dumnie — Podarków twego Cywuna nie potrzebuję, rozkazów jego nie spełnię.

http://rcin.org.pl

— Posadnico, pomyśl dwa razy, wielmoża kazał powiedzieć: nie spełni mojej woli, zaraz jej syn pójdzie na szubienicę, będzie jej powolna, jemu wolność, a im wszystkim szczęście; jakem Meszczerak przyrzekam, a Meszczerak co przyrzecze, to dotrzyma, Ruś o tem wie. —

Młody Ostafi jak żmija sunął się w oczy Grydniowi i policzek mu wyciął — Psia wiaro, niewolniku, mojem życiem chcesz kupić niecześć mojego rodu!

Posadnica krzyknęła, młode dziewice były gotowe na ratunek bratu, ale Grydnia silną ręką schwycił go za gardło, huknął i straże weszły. Ostafi się wydziera, matka błaga, córki proszą, a Grydnia nieubłagany, rzucił go strażom — Wziąść go i okuć w kajdany. — Kiedy oni go wynieśli, on z zimną krwią jakby nigdy nic nie było, przemówił do Posadnicy — Śmierć i życie waszego syna w mojej woli, ale ja nie chcę zakrwawiać dnia wesela Wielmoży. Posadnico, bądź posłuszną woli Cywuna, a ani włos z głowy twemu synowi nie spadnie, ja wszystko zapomnę.

Przelękła i stroskana matka przyrzekła wszystko, byle ocalić swoje dziecko, swojego jedynaka. Przyniesiono siła bogatych szat, było w czem wybierać: złote łamy, jedwabie, tyftyki, drogie kamienie i perły, Bóg wie z jakich krajów; cały skarbiec niewieściego szczęścia i niewieściej próżności; nie jedna niewiasta wieleby a wiele rzeczy oddała, żeby to wszystko posiadać, z niewolą by się oswoiła, dziesięćby lat życia nie przydała do tych co już ma, ale odjęła z tych, co jej pozostają do przeżycia; bo to miła zabawka dla niewiasty temi szatami, temi klejnotami przystrajać swoją krasę i chwalić się nietylko przed ludźmi; ale przed samą sobą: ja to wszystko mam.

A jednak trzy kraśne Rusinki ze łzami przewracały te bogactwa i przez łzy na nie pozierały. Matka ze łzami ich prosiła — Przybierajcie się, ocalcie brata, ocalcie mnie syna. Może Bóg nad nami się zmiłuje, on miłosierny. — Sama im wybierała szaty, nie patrząc na nie, a one je przywdziewały także nie patrząc się. Smutne to, bolesne takie obleczyny, rzewnemi łzami oblewane, a ani razu okiem zadowolnienia nie umilone.

Kiedy tak Rusinki na zamkowej wieży przywdziewały szaty gorzkiego żalu, a może i sromu; do zamku przyjechał dziki Meszczerak; skoro zsiadł z konia, zaraz zapytał Grydnia — A co?

— Wielmożo, wszystko się stało według twojej woli, przybierają się dobrowolnie.

— Dobrowolnie, to dobrze; nie zapomnę o tobie — Grydnia się nisko pokłonił — A syn? to Daszkowicz.

— Srożył się, kazałem go do więzienia zamknąć, a potem...

— Potem zobaczemy, a teraz niech przygotują sutą ucztę, dwóch Cywunów moich przyjaciół przyjedzie z Kijowa, nieżałować niczego, niech wszystko będzie po kniaziowsku.

http://rcin.org.pl

— Dobrze Wielmożo — i odszedł. —

Jak szatan zaśmiał się Meszczerak — O teraz pohulamy sobie, jak kniazie; alboż to my nie kniazie?

VIII.

Uczta w Meszczerakowym zamku, trzej Cywunowie jak Baszowie bisurmańscy rozwalają się po węzgłowiach, nie sorbety piją, ale lacki miód i zamorskie wina; grajkowie grają, śpiewacy pieją. Posadnica smutna siedzi i milczy, trzy Rusinki w jedwabie, w złote lamy przybrane, łezkami ciemne oczki myją, a rumieńcem białe lica kraszą, jak iwa nad wodą, tak one chyliły czoła ku dołowi. Cywun Meszczerak zbliżył się do Posadnicy.

— No Posadnico, a chcesz ty być moją świekrą — Posadnica milczała — Moja Wielmoża, nie szyj tak ustami, bo to na złe wyjdzie; na ruskiej ziemi niebrak drzewa na szubienice, a synek twój może tak podyndać, jakby kto i drugi — Nie czekając na jej odpowiedź, ani nawet patrząc na nią, przypatrywał się dziewicom — I ta ładna i ta niczego, i ta takoż, jabym chciał wszystkie trzy — podrapał się w głowę — ale cóż robić, obiecało się — Hej panowie bracia, ja was częstuję nie Ogniszczanką, ale Posadniczką Daszkowiczówną, znajcie, jak na Rusi Meszczerak gości. —

Dwaj Cywunowie ze swoich miejsc powstali, a dziewice i kraśniały i bladły i drżały jak w febrze. Posadnica podniosła się i stanęła między Cywunami a dziewicami swojemi — ona matka; nawet groźnie spojrzała na Meszczeraka; on zgrzytnął zębem, skrzywił usta do połajania Suzdalskiego, ramie już podniósł, kiedy wszedł Grydnia.

— Wielmożo, od Halickiego kniazia Wołodara Bojar przyjechał gońcem.

— To go przyprowadzić, niech widzi i powie swojemu kniaziowi, jak my panujemy na Rusi, jak i jego Haliczowi kiedyś będzie. — Meszczerak i Cywuni zasiedli swoje miejsca, a dziewice odetchnęły trochę. Posadnica w myśli wymówiła — Boże zmiłuj się. —

Po chwili nadszedł Halicki Bojar, całkiem zbrojny, nawet hełmu nie zrzucił z głowy, przyłbica kryła mu czoło, a ciemna broda dolną część twarzy, siwe oko zerkało po sokolemu, a postawa rosła i składna naponoszyła się ruskim obyczajem.

— Cywunie Suzdalskiego kniazia, na dzisiejszy nocleg gościnności u ciebie proszę. Ja Roman Paszkowicz, goniec kniazia Wołodara pana wszej Czerwonej Rusi, jutro pojadę do twego kniazia Bogolubskiego.

http://rcin.org.pl

— Bojarze, jesteś gościem moim, pozdrawia ciebie Cywun Meszczerak — i wskazał Czerwono-Rusinowi miejsce siedzenia. Posadnica i trzy młode dziewice pilnie patrzyły na przybyłego gościa, pilnie słuchały jego mowy, choć on wzrokiem jawnie to pokazywał, że ich nigdy nie znał i tak pewnie być musiało, bo Czerwona-Ruś to daleka kraina; między Kijowem i Haliczem są i góry i rzeki i lasy i stepy. —

Meszczerak raczył gościa, bo Suzdale choć wiele sławiańskich obyczajów się zaparli, zachowywali jeszcze dawną gościnność. Dziki Cywun jakby o najchlubniejszej sprawie opowiadał Bojarowi o powodzie swojej uczty. Bojar marszczył czoło, widno Rusinowi przykrą była ta niecześć wyrządzona Rusinkom, kiedy Meszczerak dodał: — Dziś wszyscy trzej się żenimy — Bojar prędko ale gromko podchwycił.

— Cywuni, ja wam zapalę pochodnie do ślubu.

— Prosiemy — odpowiedział Meszczerak i po lisiemu poglądnął na swego gościa; ten głos gromki, ta groźna postawa, jakieś niemiłe drżenie w nim rozbudziła.

— I bez prośby zrobię Cywunie, niechcę być niemym świadkiem waszego wesela; udawał śmiech, bo chichotnął, a twarz się nieuśmiechała, może Rusin marzy dumkę pomsty, a może zawiść zagadała mu do serca. Cywun Meszczerak choć podchmielony, opatrywał list gończy i wyraźnie na nim widział pieczęć Księcia na Haliczu; osoba gońca we wsze czasy święta była na Rusi, Cywunowi nieprzypadł do smaku młody Bojar, a jednak podejmował go hojnie, uprzejmie. —

Nastąpiła chwilka milczenia, chwilka okrutna dla Posadnicy; przed oczyma jej stanęły niecześć córek, śmierć syna; widzi i jedno i drugie: macierzyńskie serce targa się w łonie, a myśl durzeje, a ciało w niemoc wpada. Dziwna rzecz! w serca dziewic wstąpiła nieznana otucha, oczkami proszą Rusina: nie daj nas! łezki trochę się zatrzymały i dumne twarzyczki nawet swarzyły Cywunom; już Meszczerak powstawał ku zakończeniu uczty, kiedy gość Bojar przemówił:

— Cywunie, mam z sobą Giermka Haliczanina, pozwól, niech przed rozchodnem zagra pieśń naszą Halicką, na dobranoc tym pięknym Rusinkom, na dobranoc wam Wielmoży.

— Dobrze, niech zagra i zaśpiewa kiedy zechce, byle co wesołego; niech tylko nasze oblubienice rozweseli, dam mu szubę z biłek i połowieckiego konia.

— A, tego wronego, com to widział przed twoją stajnią Cywunie?

— Jakiego?

— Całkiem osiodłany, jakby do drogi.

— Hej Grydnia — i wszedł wierny Grydnia: — Co to za koń wrony stoi osiodłany przed stajnią?

— To tego Połowca, co przybył z Kijowa od Wielmoży.

http://rcin.org.pl

— Ha prawda, trzeba go dziś jeszcze odprawić, niech przyjdzie i w drugiej komnacie na mnie czeka. —

Wtem wszedł Giermek Haliczanin, piękny, hoży, młody i rosły jak jego Pan; Rusinki pokraśniały, a najmłodsza Marta aż odwróciła się w drugą stronę, jakby przed Haliczaninem wstydziła się swojej niewoli i przed nim strachała się swojego sromu; Haliczanin chwycił za teorban, palcami po strunach zadrumkał i głosem piosnkę zawiódł.

Trzy kaliny w polu stały,
Błyszczy rosa na kalinie:
Trzy dziewczyny tak płakały,
Aż łza rzewna z oczek płynie.

Trzy jastrzębie lecą w pola,
W dzioby krekczą, skrzydłem świszczą;
Trzem zuzulom, strach, zła dola,
Główki tulą, smutnie piszczą.

Trzy sokoły przypadły w czas,
Trzem jastrzębiom śmierć zadały;
Trzy zuzule uciekły w las,
A sokoły klekotały.

Zakwitnie kwiat na kalinie,
I kalinie będzie chlubą;
Stanie chłopiec przy dziewczynie,
Dziewcze będzie jego lubą.

Przestał śpiewać, a drumkanie jeszcze drumkało; Cywunowie pozierali na siebie, a nic tej pieśni nie zrozumieli; ni wesoła, ni smutna, Bóg wie co takiego. Posadnica złożyła ręce dłoniami jak na podziękowanie Bogu i nadzieja błysnęła w jej stroskanem oku. Połowiec długiem oczekiwaniem znudzony, wszedł do komnaty zuchwałym krokiem zwyczajnie najemnik wojny.

— Wielmożo czego chcesz odemnie?

— Którędyś jechał?

— Na Wasylków. — Cywun groźnie spojrzał Połowcowi, ten nic się niezmieszał, podniósł czoło jeszcze hardziej. — Tam słychać Wielmożo, że Posadnik Daszkowicz do was gotuje się w goście przyjechać, ja tam widział pełno Ogniszczan ziemio dzierżców już pozbrojonych, po drodze ludzie gadali o Kniaziu Izasławie i o starym Tymirze. —

Mruknął Meszczerak. — Niech przyjadą jutro na dobrydzień, bo jak nie, to ja im poszlę zaprosiny — wstał, porwał za rękę młodą Martę. — Ha, już czas. — Ha już czas, powtórzył giermek Haliczanin i migiem wychwycił miecz z pochwy; nim Rusinka pośpiała w tył się żachnąć, już Meszczerak powalił się

http://rcin.org.pl

na ziemię od cięcia Haliczanina i wrzasnął: — Hej zdrada, bić, mordować — Połowiec za drzwi wyskoczył, Halicki bojar mieczem błysnął, Cywunowie do broni się porwali, siła Grydniów i straży do komnaty wpadło, Rusinki za noże chwyciły, bój się zaczął. Haliczanie tną w prawo i w lewo, sobą zasłaniają Rusinki; słychać niewieście krzyki, Wszesław, Włodzimierz. Suzdale nie męztwem, ale liczbą namagają. W tem z nadwora doleciały wrzaski, pożar! pożar! i głos donośny, brzmiący: — Ja Jaropełk Tymir, za mną, za mną!... Połowiec, to był on, leciał do komnaty, płatał mieczem ksobie i na odlew i nikt za nim nie bieży, a jednak trwoga i popłoch chwyciły za serca Suzdalów, zmykają na wsze strony, a pożar w liczne łuna się szerzył, a z za wałów dolatywały mnogie i wrzawne krzyki wojny.

Przy jasnych łunach pożaru widać, jak od Dniepru, od Ostrowa suną tłumy pieszej Rusi jak mrowie, jak czereda diabla dziko wrzeszczy. Widać jak od stepów kupami sadzi jazda Ruska, jak czereda wilków po stepie się rozbiega i jak wilcy ponuro powykuje. Ćma Suzdalów wybiegła na wały ku obronie, niewidać między niemi żadnego z Cywunów, niewidać też i żadnego z Tymirów, wewnątrz twierdzy pożar coraz się wzmaga, już nawet zamek w płomieniach się kąpie.

Suzdale bronią sią na wałach, Rusini prą na nie, huk i wrzask, szczęk i jęki, hucznym rozgłosem leciały na stepy, na lasy, a łomot gorejącego zamku dzikiem krechtaniem wtórował temu rozgłosowi.

Już świt zajaśniał, a łuna pożaru gęstym dymem zaszarzała, kiedy Piotr Tymir z Rusinami dostał się na wały, on zatknął na wale chorągiew Archanioła i krzyknął — Bogolubskiego mi tu żywcem przyprowadzić! — Suzdale broń rzucali i na klęczkach prosili o życie; Tymir okiem szukał synów, żadnego niewidać. Światosław Daszkowicz wpadł z drugiej strony na wały i wołał: moja żona, moje dzieci! — a zamek mu już nawet brechtaniem nieodpowiedział, tylko kłębiastym dymem w oczy sunął.

Jeden z Suzdalów zawołał: Bogulubskiego tu niebyło, on w Kijowie. Wojewoda o synów niepytał, on zrozumiał, co się stało, potrząsł głową i cicho ale ponuro szemrał: w pień, w pień Suzdalów.

Jeden z Grydniów Suzdalskiego kniazia, uchwycił się za nogi Daszkowicza: twój syn w pieczarze.

— A żona, a córki?

— Tam w zamku. —

Posadnik nogą go kopnął precz od siebie i zawrzeszczał: W pień Suzdala, w pień, zemsta! zemsta!

Ruś po swojemu wzięła się do roboty. I kapłan Boży tak prędkoby służby świętej nieodprawił, jak się oni rozprawili z

http://rcin.org.pl

Suzdalami; jeszcze słońce nie wysoko podeszło a już pożar z Meszczarakowego zamku narobił zgliszcz, a Rusini z Suzdalów narobili krwi i trupów.

Posadnikowi przywiedli syna jedynaka uwolnionego z pieczary więzienia, ale żony i córek nieprzywiedli. Tymirowi ani jednej kostki z jego trzech synów nieprzynieśli.

W ruskim obozie kniaź Izasław oczekiwał na swoich dwóch wodzów. Swiatosław Daszkowicz z synem na kolana przed nim padał. Wielki kniaziu zemsty, zemsty jeszcze! moja żona, moje córki!... i w ręce go całował.

Wojewoda takoż zgiął kolana: Wielki kniaziu, Bogolubskiega tu niemasz, do Kijowa, do Kijowa chodźmy, tam twoje panowanie, wolność i niepodległość Rusi.

Izasław o nic Wojewodę nie pytał, tylko skinął głową na znak przyzwolenia i to ruskie powstanie szło do Kijowa, co gonę, co chwilka rosło w ludzi pieszych i konnych. Posadnicy, ziemiozdzierzce, ogniszczanie, wszyscy Rusini biegli, bo prawy kniaź krew Olegowicza, stanął na ich czele i wiódł ich na Suzdalów, do Kijowa, do Kijowa.

Tegoż samego wieczora stary Bohdan, wierny sługa Posadnika, opowiadał ze łzą w oku, ze stłumionem łkaniem w piersiach, Wojewodzinie Czehryńskiej i czarnobrewej Praksedzie, jak młodzi Tymirowie niespokojni o los trzech Daszkowiczówien, zmyślili przed wielkim kniaziem Izasławem i przed ojcem, że Bogulubski przybył do Meszczerakowego zamku. Wojewoda żądny pojmania wroga Rusi, przyzwolił, aby jeden z synów dostał się i podpalił ogniem tę siedzibę Suzdalów poniedziałkowej nocy, przeznaczonej na uderzenie na zamek, dwóch drugich wysłał po słobodach i peregorodach zbierać lud rusi pod chorągiew Wielkiego Kniazia Rusi. Los padł na Jaropełka, on w drodze zabił Połowca gońca i jak Połowiec przybył do zamku. Wszesław i Włodzimierz w miejscu posłuchać woli ojca, nadybali posła Halickiego zamku; co się dalej stało, Bogu to tylko samemu wiadomo, bo ani jeden z naocznych świadków niezostał, coby o tym ludziom opowiedział, ale musieli oni mnogość Suzdalów namordować, bo to krew Tymirowa, krew ruska. Wojewodzina łzami się zalewała, a słuchała pilnie słów Bohdana. — I Prakseda łzy roniła, ale mimowolnie, gwałtem cisnęła się do jej serca myśl nie smutna. — Ostafi żyje, Tymir z Daszkowiczem ręce zgody sobie podali.

Jeszcze tydzień nieupłynął, a już w Sławiańskim grodzie, w starym Kijowie, ze czterystu dzwonnic dzwony na gwałt radości jęczały; w czterystu cerkwiach krocie Rusinów Bogu dzięki składało, modlitwami, hymnami, za Ruś; Kniaź Izasław prawy władca Rusi zajechał do warownego Peczerska, Suzdalów precz wygnano z Ruskiej ziemi, za Dniepr, za Ugr, nad Klazmę nad Wołgę, Tymir i Daszkowicz gorszko opłakali śmierć

http://rcin.org.pl

swoich i wciąż boleli, ale pomścili się hojnie na wrogach Suzdalach, na psubratach Połowcach. Prakseda Tymirzanka wyszła za mąż za Ostafiego Daszkowicza. Sam wielki Kniaź im błogosławił; na zgliszczach Meszczerakowego zamku usypano mogiłę, wzniesiono warowny zamek, otoczono go peregorodami i cały gród z zamkiem nazwano na wieczną pamięć późnym Rusinom: Trechtymirów. Przy zakładowinach ruskiego grodu tak stary guślarz śpiewał prostą piosnkę:

Święć się Rusi, lata płyną,
Mrą rodziny, ludy giną,
A Ruś nasza pozostanie,
Ty nam to dasz, Boże Panie.

Na Ruś przyjdzie znów zła dola,
Najdzie Suzdal, z nim niewola.
Oj! Rusinie, nietrać serca,
Przyjdzie, pójdzie precz zabierca.

Kniaz nasz zawsze stanie z nami,
Wiara, wolność z Rusinami.
Nieskąpcie krwi, nieszczędźcie głów,
A pomnijcie Trech-Tymirów.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

ZŁOTY KRZYŻYK.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I.

Maryo!... Maryo!... i ty nie chcesz mojego szczęścia i ty mnie odpychasz? — Tak mówił młodzieniec pohożej urody do dziewicy stojącej obok siebie; ona spuściła krasne czoło ku ziemi, błyszczące oczy zamgliła rzęsą, obsłoną dziewiczego wstydu; pół-głosem przemówiła: — Pawle! ja ciebie kocham.

— Ty mnie kochasz, a jechać nie chcesz ze mną? Maryo! tam za skałą, nad brzegiem rzeki, czeka mój koń wrony; chodź moja luba, moja jedyna! Błyskawicą poleciemy na Wołosze, za Dunaj. Tam inni ludzie, inne obyczaje; tam nie powiedzą: ona hrabianka, a tyś prosty szlachcic i to kozaczego rodu, nie stworzeniście dla siebie. Maryo, jedź ze mną! — Ukląkł przed nią i całował serdecznie jej rękę, ona drobnej rączki nie wydziera, zda się, że z lekka przyciska swoją dłoń do jego dłoni. — Pawle, nie mogę, ja mam rodziców; czekajmy, Bóg się zmiłuje nad nami.

— Bóg się zmiłuje, ale nie twój ojciec. — Porwał się z klęczek — Jaśnie Wielmożny Hrabia i Marszałek, pamiętasz, co wczoraj powiedział: Panie Pawle, moja córka twoją być niemoże, inne mam względem niej zamiary, i odwrócił się odemnie, a ja jak żak stałem, słowa nie przemówiłem; ale... — zębami zgrzytnął i tem zgrzytnięciem w pierwszym poskoku osadził wybuch słów. —

Dziewica złożyła ręce dłoniami, błagalny wyraz czarnych oczów zbrylantował się przezroczystą łezką — To mój ojciec, nie bluźń przeciw niemu.

— To twój ojciec; prawda, przebacz — znowu padł na kolana i chwycił ją za szatę — Maryo, uciekaj ze mną, ojciec przebaczy.

— Nie, nigdy tego nie zrobię, matkaby moja z rozpaczy umarła, Pawle, i ty masz matkę.

— Mam — westchnął, zwiesił głowę ku ziemi — wszystko dla mnie stracone.

http://rcin.org.pl

— O! nie mój miły, ja ciebie kochać będę po wieki wieków, nigdy niczyją nie zostanę; czas, cierpliwość, a kiedyś będziemy szczęśliwi.

— Czas, cierpliwość — powtórzył młodzieniec z gorzkim półuśmiechem, którym zazwyczaj dławi się płacz — puste słowa dla kochającego serca, Maryo, ty mnie nie kochasz.

— Ja ciebie nie kocham — dziewica osunęła się w jego ramiona; po raz pierwszy ich usta zetknęły się pocałunkiem nieśmiałym, ale słodkim, ale rozkosznym; on nie śmiał swoich ramion opleść w około jej wiotkiej kibici, przybrudzoną myślą kalać święte uczucie miłości: na sercu mu dziwnie, w duszy niepojęcie; ach! on wierzy teraz, że ona go kocha. —

W tem coś po piasku zaszerkotało, zaszeleściało gałęziami. Dziewica odskoczyła — Pawle, bądź zdrów, noś moją pamiątkę — i rzuciła mu zwinięty papier, sama mknęła krętą ścieżką, kilka razy z pomiędzy drzew mignęła białą suknią i znikła jak błędny ognik, jak przelotna gwiazda, które po zniknięciu z przed wzroku oczów, jeszcze igrają ze wzrokiem myśli.

Młodzieniec splótł ręce palcami — Maryo! Maryo! — i niepobiegł za nią: jak po zjawisku cudu, tak on gonił myślą w tę stronę, gdzie ona przepadła dla jego oczów. Rozwinął papier, tam krzyżyk złoty na sznurku usnutym z kruczych włosów Maryi; całował włosy, całował złoto, całował papier, a namiętnie, bo ona niebiańska dziewica na to nie patrzyła. A potem jakaś mu dziwna myśl przyszła do głowy, stał i skoczył w tę stronę, skąd go doleciało szerkotanie i szelest; jak dziecko chciał karać ptaka czy zwierza, co spłoszył dziewicę panią jego serca i nic nie znalazł.

Błoga cisza do koła, nawet ranny wietrzyk nie poddmuchiwał lekkiego puchu kwiatów, a złote promienie słońca swobodnie zwierciedliły się w bujnych kroplach rosy; świat na powitanie białego dnia umilkł i niejako niemem podziwieniem dziękczył bożej jasności.

Ten mirczy stan świata opacznie przystaje do uczucia młodzieńca; swoim spokojem zwarzył w jego sercu przelotną chwilkę błogości i ocknął jakieś niemiłe wrażenie: stanął, wydobył złoty krzyżyk, ale nie pocałował, usta mu się boleśnie przekrzywiły — Dała mi krzyżyk na drogę, dobrze mi tak, pocom prosty szlachcic pokochał hrabiankę; nie, już ja jej nie zobaczę, nie zobaczę mojej matki — i pociągnął dłonią po oczach, jakby stamtąd łzy się dobywały, choć i oko i źrenica suche.

Wracał do swojego konia, ale krokiem leniwym; coś go trzymało w tym zaczarowanym gaju; ledwie uszedł kilka kroków, ujrzał postać człowieczą klęczącą pod drzewem, głowa odkryta i łysa, broda żółtawa jak paczos wybielonego lnu, bury habit przyzłacał się pod promieniem słońca; to mnich kapucyn,

http://rcin.org.pl

Ksiądz Tadeusz, odprawiał poranne pacierze pod sklepieniem niebios, przed obliczem Boga. Młodzieniec się zatrzymał, mnich skończył pacierze, powstał i zbliżył się do niego; na sędziwej twarzy starca wydobył się wyraz przychylności jakby rodzicielskiej, zaschłą rękę podał młodzieńcowi — Panie Pawle, moje dziecko, co tu porabiasz tak rano, we dworze muszą spać jeszcze.

Młodzieniec ucałował rękę mnicha, bo to jego dawny nauczyciel, opiekun lat dziecinnych — Księże Tadeuszu, ja ich budzić nie myślę, przyjechałem po raz ostatni zobaczyć te miejsca i pożegnać na zawsze.

— Co ci jest moje dziecko, gdzież ty wyjeżdżasz?

— W dalekie, nieznane kraje, już ja tu niemam co robić, podobno już się z sobą widzieć nie będziemy. Księże Tadeuszu, pobłogosław mnie.

— Tyś chory Pawle.

— Oj tak chory, tu na sercu — i wziął się ręką za serce — ale w głowie nie. Księże Tadeuszu, ty wiesz, jak ja kocham Maryę; on wczoraj nieproszony odmówił mi jej ręki, o ledwie, że wejścia do swego domu nie zakazał.

— Nie rozpaczaj, mój kochany, ufaj w pomoc Bożą, to się wszystko da przerobić. Pan Marszałek zastanowi się, zmienić może swoję wolę.

— On Hrabia zmieni swoję wolę?... Księże Tadeuszu, żebyś ty widział, jak on wczoraj napuszony kupionym tytułem z wysoka gadał do mnie; do mnie szlachcica, którego praojciec wojewodował Ukrainie, hetmanił takim wojskom, jakich on i jego ród cały nigdy nie widział i widzieć nie będzie. — Zasiniała i sprężyła się żyła na czole młodzieńca, postać jego zdawała się rość na drożdżach gniewu, twarz piękniała dzikim kozaczym zapałem, z całej siły ręką klasnął o udo — i na toż to przyszli Wyhowscy, prawnuki Jana, aby jakiś tam hrabia Siryczyński, nie za zasługi ale za pieniądze ujaśniewielmożniony, nosa przed nimi zadzierał. Ha! ha! wczoraj bym go nauczył, ale Maryo! Maryo! tyś tam była, ty jego córka i mnie serca zabrakło, zdrętwiało mi ramię; ale czekaj, co się przewlecze, to nieuciecze, jeszcze nieschyrlała kozacza szlachta w Owruckim i Żytomirskim, jeszcze do ostatniego kozacy niewymarli na Ukrainie; są bracia Zaporożce za Dunajem, przyjdzie czas, że po naszemu, po kozaczu weźmiemy się do żelaza, a zrobiemy wam ład, panowie hrabiowie, panowie barony; chcecie zapomnieć, żeście polska szlachta, my wam przypomniemy, my dzieci polskiej ziemi, przyjdziemy zapytać o rachunek wasze sumienia; przyjdziemy, nie z uniżoną pokorą, ale z prożbą, co to krew toczy, koście chrupocze, oh! zahulamy sobie, zahulamy, zobaczysz Panie Hrabio, Marszałku Sowietniku i Kawalerze — głos mu się

http://rcin.org.pl

zatknął w piersiach, a jeszcze ustami ruszał, iskrzył oczyma i groził ręką. —

Mnich milczał, nieprzerywał gradu słów partych gniewem obrażonej dumy i boleścią rozranionego serca, tylko w myśli modlił się: Boże, opamiętaj to twoje dziecię.

Może zgadł młodzieniec niemą prożbę mnicha, bo porwał go za rękę. — Księże Tadeuszu, ty myślisz, że ja oszalałem. O nie! nie! ja wiem co mówię, co robię i co zrobię; zobaczysz, czy ja Paweł Wyhowski nie zrobię drugiej Koliszczyzny, drugich Konotopów. Krwi się napiję, we krwi się skąpię, posypię z ludzkich kości kopce wysokie jak stepowe mogiły, zobaczysz, księże Tadeuszu.

— Bogdajem ja niewszystko to widział. Panie Pawle a twoja matka? — matka, moja Matka... i nagle twarz młodzieńca się zmieniła; sinia żyła z czoła zeszła, siwe oko nie iskrzy się żarem, ale się wilży łzą — O moja dola! nieszczęśliwa dola, już ona niezobaczy swego syna i ja jej niezobaczę. —

Tyś jej jedyna podpora, pociecha, Pawle. I masz ty serce opuszczać ją na stare lata? przypomnij dziecinny wiek, jak ona ciebie karmiła, piastowała, tyś był źrenicą jej oka i teraz, jak ona ciebie kocha.

— Biedna matka, ty wiesz księże Tadeuszu, co się dzieje w mojem sercu, tyś je kształcił, oh! jak ja miłuję moją matkę.

— Łaska Boża z tobą, opamiętaj się mój synu, cóżby ona schorzała, obarczona wiekiem, porabiała bez ciebie jedynej podpory. Ona niema innej opieki oprócz Pana nad Panami, Twórcy naszego w niebie a ciebie na ziemi; niezostawiaj matki na starość sierotą na tym świecie.

— Przestań ojcze, bo mi serce pęknie.

— Moje dziecko lube, uspokój się, wróć do matki, ona ciebie do macierzyńskiego łona przyciśnie i będzie ci słodko, lubo, bo dopełnisz powinności syna, kiedyś i ciebie Bóg dziatkami obdarzy. Bóg nawet na tej ziemi dobre dobrem nagradza i twoje dziatki sowicie ci wypłacą miłością za miłość.

— Nie dla mnie takie szczęście Księże Tadeuszu.

— Nierozpaczaj, moc Boża wielka! On świat nieraz zmienił i dla czegożby nie miał zmienić serce człowieka; wracaj do domu, ufaj, Marszałek się rozmiarkuje. —

Na samo wspomnienie Marszałka zczerwieniał się młodzieniec; — ja wracać do domu, opowiadać mojej matce obelgę i nieszczęście moje i patrzeć na jej cierpienie, nie, nigdy! Słuchaj, księże Tadeuszu! o łaskę, o dobrodziejstwo błagam ciebie, ciebie mojego nauczyciela, duchowego ojca; powiedz biednej matce, że ja pojechałem gdzieś tam het na koniec świata, ot tak sobie, powiedz wszystko, albo nic niemów, zrób, co zechcesz, pożegnaj ją odemnie — z cicha dodał: pożegnaj Maryę, a teraz mnie pobłogosław — i schylił głowę przed mnichem.

http://rcin.org.pl

Mnich ujął go za głowę i usta drżące przyłożył do jego włosów — Pawle, moje dziecko! mój synie! zostań z nami. Bóg pobłogosławi twojemu życiu, my ci będziemy dziękczyć wdzięcznością, zostań z nami, pójdę na kolanach błagać Marszałka. — Młodzieniec uściskał go, wyrwał się z jego objęcia — nie mogę, ojcze Tadeuszu, bądź zdrów: — jak wściekły wybiegł z gaju i spuścił się nad rzekę.

Mnich chwiejącym się krokiem szedł za nim, tężył w tamtą stronę stroskane oko, złożył ręce do modłów: — Boże strzeż jego duszę, błogosław mu.

Świętobliwy starcze, darmo za nim wzrokiem gonisz; już tentent czwałującego konia zahuczał pomiędzy nadbrzeżne skały i gęstym rozgłosem rozbijał się po gaju. W Teterowie pluskała woda śmigana kamykami zwiru miecionemi z pod końskich kopyt. Mnich stanął, oczy pełne wiary wzniósł ku niebu — Boże wielki, pobłogosław mu — i resztę modlitwy za dzieckiem swojego wychowania, kończył myślą chrześciańskiej pokory i błagalnym wyrazem twarzy.

II.

Jakiegoś praźnika muszą się spodziewać w hrabiowskim dworze; od rana bose i odarte chłopstwo grasuje dziedziniec, gnój i śmiecie wynosi, żwir przymiata, a przystawy pod oknami pańskiemi nahajami smagają biedny lud i łają po moskiewsku w ojca, w matkę. Dwornia przybrała się w galonowaną liberyę, a Dworecki, bo tak się nazywał marszałek dworu Pana Hrabiego, czyli Grafa, jak na psów świszcze na tę dwornię: niechnoby który prawornie się nie sprawił, to husak i łozy.

W bawialnym pokoju przechadzał się Pan Hrabia przybrany w ciemno-zielony frak, na szyi order świętej Anny, na piersiach przy fraku na złotej sprzążce krzyżyk świętego Włodzimierza, medal bronzowy za ośmset dwónasty rok i krzyż maltańskiego kawalera.

Poprawił bronzowe popiersie Cesarza wszech Rossyi stojące na kominie, chustką spędził muchy z olejnych portretów: Jenerał-Gubernatora Kijowskiego Żołtuchina i Feldmarszałka Barona Von-den-Osten-Sakena, dowódzcy pierwszej armii rossyjskiej, z resztą przypatrywał się przybraniu bawialnego pokoju. Wszystko tam było bogato, wystawnie, pełno kosztownej porcelany, sreber, kryształów, olejnych malowideł, przypominających wojny Suwarowa, Kutuzowa, mahoniowych sprzętów z Petersburgskich stolarnii i obić zielonego i ponsowego kolorów.

Pan Hrabia w swojem dumaniu coś pociesznego siekał

http://rcin.org.pl

myślą, bo się uśmiechał i ręce zacierał, a kiedy weszła Hrabina, zawołał: — Moja żono — to już przebranie serdecznego uczucia w hrabiowskiem sercu! powszednie nawykł nazywać Pani Hrabina, a w szczególnych wypadkach, moja Pani. — Nieoszacowany nasz sąsiad Złotnicki, adjutant naszego kochanego Jenerała Zołtuchina, pisał do mnie, że dziś tu przyjedzie z Pułkownikiem Beklemeszowem dowódzcą Iziumskiego huzarskiego pułku. — Pogłaskał swoje krzyżyki i zawdzięczył się przyśmiechem, jakby tym znakiem chciał ozłocić ważność swoich słów.

Hrabina widać nie pojmowała myśli swego męża, bo zapytała z twarzą słodkiej powagi: — I dla czegoż ciebie tak radują te odwiedziny?

— I dla czego moja Pani? dziwne zapytanie. niewiesz, co to ma znaczyć? żałuję Pani. — Złośliwie się zaśmiał, niby dowcip małpował... — Otoż Pani Hrabino, Pan Pułkownik może zostać naszym zięciem, a Aleksander w jego pułku może dosłużyć się i stopni i orderów. Pan Beklemeszów adjutant cesarski, znakomitego rodu i bogaty; cóż to trudnego było odgadnąć przyczynę mojej radości?

— Mój mężu, ty wiesz, jak Aleksander prosił, aby go odesłać do Warszawy do Uniwersytetu; on wcale nie ma ochoty do wojskowej służby, z resztą on taki młody, w wojsku tyle pracy i trudów; wojna może nadejść, — i z temi słowami zawitało na twarz uczucie macierzyńskiej troskliwości. —

Oblicze hrabiego zwiastowało, że ucho jego głuche na głos błagalny matczynej twarzy. — Pani Hrabino, wola ojca święta, a jam ojciec, Aleksander będzie żołnierzem; Cesarz łaskawie nam panujący, woli żołnierzy jak uczonych, a ja nie poświęcę losu mojego dziecka dla jakiegoś tam widzimi się; moja Pani, dobrzebyś zrobiła, żebyś Maryi wybiła z głowy te niepotrzebne fochy i płacze.

— Sercu rozkazać trudno, pozwólmy jej przynajmniej, niech sobie trochę popłacze.

— Czy i Pani Hrabina użala się nad losem córki, której ubzdrzyło się w głowie zakochać się w jakimeś szlachetce. Jeszcze też czego niestało, żeby hrabianka, marszałkówna poszła za mąż, za... za kogo? za Wyhowskiego i któż to ten Pan Wyowski?

— Mój mężu, dałbyś temu pokój, wszakżeś sam zapraszał Pana Pawła Wyhowskiego do naszego domu, sameś zdawał się sprzyjać jego zalecankom do naszej córki.

— Moja Pani, co to, kiedy komu Pan Bóg odmówi bystrego pojęcia; zapraszałem Wyhowskiego do domu, prawda, przez szpary patrzałem na jego grzeczności dla Maryi i to prawda; ale cóż to były w ówczas za czasy?... przedwyborowe. Owrucka szlachta, co to się nosi jedną nogą w bucie, drugą w postole,

http://rcin.org.pl

po polsku, w kontusiku, w żupanie, z szerpętyną na parcianych sznurkach przy boku, w konfederatkach na bakier na lewem uchu, za nic by mnie nie obrała Marszałkiem, krzyknęliby: nie pozwalam i kwita; Panowie Wyhowscy jak się szastnęli; ten do brata, ten do swata, ten do kuma, niemówię, może nie jednę szkapę zajeździli, nie jednę parę butów zdarli, ale też za to jedno-głośnie okrzyknięty zostałem Marszałkiem.

— To też dla tego tak im się zawdzięczasz?

— Alboż niedość się im wypłaciłem, nie żałowałem ani wina, ani jadła; przez całe wybory ci szlachcicowie przy moich stołach żarli jak wieprze, opijali się jak bąki i jeszcze musiałem się z nimi ściskać za panie bracie; czy niedość im tego?

— Ja nie mówię o całej szlachcie, ale o Wyhowskich rodzinie.

— I oni tam byli, z resztą coż dziwnego zrobiłem, moja Pani? powiedziałem temu Panu Pawłowi, nie podobasz mi się Waćpan na zięcia i pewny jestem, że już się nie pokaże u nas; bo te szlachciątko dumne, jakby jaki Książe, jemu się zdaje, że Wyhowscy, to Sanguszkowie albo Lubomirscy.

— Mój mężu, ależ Wyhowskich rodzina dawna, zasłużona krajowi.

— Dosyć tego pani Hrabino, wiem, że wyjedziesz z bitwą pod Konotopami, otoż dla tego samego Wyhowski nie może być moim zięciem, nie życzyłbym wcale aby dzieci mojej córki szczyciły się przodkiem uznakomiconym Konotopskiem zwycięztwem; darmo pragnąć Jagiellońskich czasów, przestawajmy na tych co mamy; a teraz proszę ciebie moja żono, abyś Maryę nakłoniła do grzecznego przyjęcia gości — i wyszedł zapewnie zrobić przegląd i powydawać rozkazy. —

Hrabia Siryczyński miał już lat do pięćdziesięciu, słusznego wzrostu, czerstwej urody, usta grube i szerokie, znamiona próżności, czoło niskie kwadratowe, cecha rachunkowej głowy, chciwej zbiorów; nos duży, czupryna gęsta i twarda, jak powiadali ludzie pochodził z mieszczańskiej rodziny, za któregoś tam króla elekcyjnego uszlachcony. Nie majętny z rodziców, był przy panu Miłowskim bogatym dziedzicu Ukrainy, pierwszym mężu teraźniejszej żony Pana hrabiego; jakie tam obowiązki spełniał to niewiadomo, to tylko było znanem, że się powadził z panem Miłowskim i zwada była tego rodzaju, że się skrupiła na skórze mieszczańskiego potomka. Pani Miłowska kobieta litościwa, wysłała cichaczem kilkaset czerwonych złotych skrzywdzonemu i z tem, w ówczas po prostu bez hrabstwa, pan Siryczyński udał się do Czerniechowa, do bogatego Zawiszy; przez tego obywatela zacnej szkatuły, używanym był do skupywania podradów i oddawania onych rossyjskim prowianckim urzędnikom; tak się rozkochał w Zawiszy, iż stał się drugim nim; tak

http://rcin.org.pl

jak on nie lubił polowania, powtarzając: — żeby to co dobrego było, jużby dawno Żydzi zaarędowali polowanie.

W kilka czasów Pan Miłowski zmarł, a Siryczyński jako wdzięczny człowiek, przyjechał pocieszać jego wdowę i wkrótce z nią się ożenił: jakto było, nim do tego przyszło, o tem ludzie tyle nagadali, że żeby nie być języcznym tragarzem, dość powiedzieć, iż się ożenił z wdową, dziedziczką pewnej części majątku, a dożywotniczką reszty.

Z wdową i majątkiem dostał pasierba, już podrostka; przez ojczymowską troskliwość sam go uczył arytmetyki; za dojściem pełnoletności pasierba, jak zrobili próbę arytmetycznej nauki, Pan Władysław pasierb został przy jednej tylko wiosce na Ukrainie, a ojczym zabrał resztę włości leżących w Owruckim i Radomyślskim powiatach. Siryczyński mówiąc o pasierbie, powiadał: — twarda głowa, do literatury możeby się zdała, ale do rachunków ani weź. — Pan Władysław zaś kiedy się zgadało o ojczymie, powtarzał: — żyd zawsze żydem, z mieszczanina albo pies albo sobaka i ta ostatnia była treściwa Ukraińska gadka.

Temczasem Siryczyński został ojcem dwojga dzieci, pięknej Maryi i Aleksandra i w tej to chwili, w brew przykładowi, jaki mu dawał Czerniehowski Zawisza, opanował go szał próżności; naprzód w Wiedniu kupił sobie hrabski tytuł, potem w Petersburgu za pieniądze dostał kawalerstwo maltańskie, a nareszcie jak to powiadają, pozwól kurze grzędy, ona zechce być wszędy; Panu Hrabiemu zachciało się być powiatowym Marszałkiem. Ale ze szlachtą Owrucką i Radomyślską chcąc dójść do ładu, trzeba mieć nielada głowę i tam i tam spadł jak niespyszna, nawet w kandydatach nie został.

Na drugich wyborach już by mu się może było i udało; przyjechał oplataną bryczką nie koczem, za nim ze dwanaście wozów z kuchnią przywaliło, ze szlachtą za panie bracie się cmokał i po cmokach oblizywał się jak po lipcowych bekasach i to dubeltach; śniadaniami i obiadami szafował, zakarmiał szlachtę, jakto mówią po dziurki i zapajał na śmierć. Już jednogłośnie ułożono Hrabiego Siryczyńskiego obrać Marszałkiem; przed samemi wyborami u Hrabiego było wielkie śniadanie; Jakier Żytomirski kupiec winny, nie Francuz, ale żyd, na butelkach poczepiał karteczki vin de graf i vin du ren, w miejscu vin de Grave i vin du Rhin; służba hrabiego niepiśmienna z najlepszą wiarą postawiała butelki na stole, a Hrabia zajęty w myśli przyszłym plumażem, ani zważał na to.

Na tem śniadaniu był niejakiś szlachcic Ignacy Strumiło, bywalec, co to nie z jednego pieca chleb jadał; a choć w Polsce urodzony, niepotrzeba mu było jechać do Paryża po dowcip, spojrzał okiem i już w głowie ułożył co tu zrobić, nie przez złe serce, ani dla jakicheś tam widoków, ale tak sobie żeby się zabawić; jednemu, drugiemu szlachcicowi pokazał palcem na bu-

http://rcin.org.pl

telki, szepnął na ucho: — Patrz bracie, jeszcze nie Marszałek, jak nas przyjmuje: oto kazał postawiać wino dla Panów Grafów, a to drugie dla nas szlachty durniów, a cóż to będzie, jak zostanie Marszałkiem. — Szlachta dalej tabaki zażywać, wąsy podkręcać, oczyma do siebie łypać na porozumienie się i porozumiała się; jak się należy, do czysta ze stołu zjedli, do dna z butelek co było wychylili i poszli na salę wyborową.

Tam po przemowie starego Marszałka, wszyscy wołali: — Jedno-głośnie Hrabiego Siryczyńskiego prosiemy. — Hrabia się kłaniał, a głosy wrzały, prosiemy! prosiemy! Wtem jeden szlachcic, nazwiskiem Bech, stłumionym głosem jak z kufy zawołał: — Nie pozwalam! dla formy proszę o wota! — Waćkowski poparł: — Proszę o wota! — Czopowski zawołał: — Prosiemy o wota! — I wszyscy zawrzeszczeli: — Prosiemy o wota! — a nawet stuknęli szerpetynami o podłogę; nie ma rady, wota nastąpiły. Siryczyński kłaniał się a kłaniał każdemu wotującemu; jakkolwiek mu to było przykrem, zawsze myślał sobie, zostanę Marszałkiem. Ale kiedy przyszło do obrachunku wotów, ze sto ośmdziesięciu pięciu gałek miał tylko cztery afirmatywy, reszta same negatywy. Zagryzł usta, pomyślał, otoż to serca obywatelskie, ufajże im i wyniósł się z wyborowej sali, a szlachta krzyczała na całe gardło: — Oto tobie wino dla durniów i dla grafów.

Na przyszłych wyborach, za opieką przemożnej między szlachtą i znakomitego wspomnienia w dziejach Polski, rodziny Wyhowskich, został Marszałkiem. Dawniej jeszcze dostał medal bronzowy, jako datkujący, w czasie ośmset dwunastego roku, przeciw Francuzów.

W czasie swojego marszałkowania zalicytował wszystkie poczty z całego powiatu na swoją rzecz i co było zyskowniejszych podradów. Z urzędnikami rossyjskiemi żył dobrze, wiedział o przysłowiu: ręka rękę myje, kto smaruje to i jedzie i za to też, przedstawiony od Gubernatora, dostał w nagrodę gorliwości swej służby krzyżyk świętego Włodzimierza. Na przyszłe trzylecie został Marszałkiem Radomyślskim, a tam jenerał Żołtuchin, upatrzywszy w nim szczególny afekt ku cesarskiemu tronowi, uzyskał dla niego order świętej Anny na szyję.

Marszałek stał się próżnym i dumnym, dla chłopów i służby był nieznośnym, jak to jest zwyczajem wielu Panów Polskich z tamtej okolicy. Z żoną chcąc udawać Pana, wpadał w śmieszność, dla dzieci nie umiał być dobrym ojcem, nigdy nie badał ich serca, nie badał swojego i myślał, że oni tak powinni myśleć jak on.

Pani Hrabina dla pokrycia tajemnicą pewnych dawnych rzeczy, chociaż tkliwego serca i dobra matka, znosiła próżność rozkazywania, a nawet głupstwa mężulka.

Marya wwiedziona na drogę życia, tem niebiańskiem prze-

http://rcin.org.pl

czuciem, co sie niemal zawsze nastręcza na przewodnika niewieście i które wtenczas nawet, kiedy źli ludzie zawezmą się precz go odegnać, nie przestaje nawiedzać Bożą duszę i szamotać się z szatańskiemi radami, Marya szła za natchnieniem duszy, za popędem serca, kochała co było dobre; pobożna, łagodna i z serca i z posłuszeństwa bożemu nakazowi, miłowała tych, co jej życie dali i powolną była ich woli. U niej, piękna polska dusza, od kolebki nawykła do szlachetnej powinności, ona wielbiła ziemię, na której się narodziła, kraj, w którym wzrosła; i ze źródła to tej szlachetnej powinności, wysnuło się namiętne pokochanie Pawła Wyhowskiego; kochała go jak tego, który swoją miłością obiecywał zamożnie upiększyć jej życie, kochała go jak potomka znakomitego męża, dobrze zasłużonego Polsce. Oddawna wykarmiła w swojej duszy myśl stałą, nieprzełomną, że złamać zaprzysiężoną wiarę kochankowi, jest to największą zbrodnią, jest to zadać śmierć jej i jego szczęściu; słowem był to ziemski Anioł, z uczuciem nieba, z namiętnościami ziemi.

Brat jej Aleksander jeszcze nie otrząśnięty ze szkolnego pyłu nauki, z książki myślał, z książki prawił; dla jego duszy dotąd nie nadeszła urocza chwila, w którejby sama samodzielnie mogła przejrzeć po świecie i plonami uzbieranemi w książkach rozlać się na czyny życia. Taka była rodzina hrabiów Siryczyńskich.

III.

Już południe, ziemia przykrążyła pod sam żar słońca, na dworskim dziedzińcu i pusto i czysto, a biedne chłopstwo zmitrężone robotą dla pańskiego widzimisia, szło na inną dworską powinność, doszemrując przeklęstwo przeciw niedobremu Panu, łając z cicha, myślą, pańskich przystawów.

Wtem z daleka zadzwoniły pocztarskie dzwonki, Hrabia Marszałek spójrzał w okno. Wysadzoną drogą z Radomyśla pędzi kocz taszczony sześciórką dziarskich biegunów; słychać jak foryś drze się na całe gardło, jak gdyby jego ze skóry darto, głuszy dzwonek i kuczer czasami chrapawo zawrzeszczy z moskiewska i słowem i batogiem zagada do koni. Już widać jak lejcowe i dyszlowe szkapy w kłusie polotnie nogami przebierają aż w oczach się bałamuci, a prystiażne załamawszy karki na strony, sadzą w czwałowych skokach, zębami ziemię chwytają, a grzywami zmiatają pył z drogi. Widać jak w spuszczonym koczu, jak na stosowanych kapeluszach pływają jasne pióropusze, jak czerwienią się kołnierze, pobłyskują ordery i guziki.

http://rcin.org.pl

Hrabia Marszałek uśmiechał się i odwrócił od okna — Maryo, proszę być grzeczną.

Tu zahuczał bruk przed gankiem, aż szyby zadźwięczały; niebawem kamerdynery i łokaje drzwi na rozciesz rozwierali; Hrabia pokłonami i ściskaniem ręki przyjmował gości w progu; suwaniem butów po posadzce i uprzejmem wskazywaniem ręką niejako ich popychał przed sobą do bawialnego pokoju.

Tu dopiero zaczęły się przedstawienia i te rozmowy czcze, puste, ogołocone z uczucia, a dźwięczne brzmieniem głosu, te obrzędy wchodu do światowego towarzystwa, które zazwyczaj chrzci się mianem znajomości wielkiego świata.

Pułkownik był w kwiecie męzkiego wieku, urodziwej postawy, twarzy przystojnej, zwyczajnej, która nierozpłomieniała się wyrazem gorących uczuć, orlich pomysłów, niezacieniała się nijakością umysłowej niemocy, ani też bawiła odbijaniem pociesznych przywidzeń myśli. Z dawnego rodu jeszcze starych Rurykowych Bojarów, żywił w sobie szczątki hardości moskiewskiego szczepu; wychowany w nowej stolicy, w Piotrowym grodzie nabrał zwierzchnego poloru; to jest szychem obwinął i grubo obszamerował co było rodzimego złota. Po francuzku gadał jak Francuz, ale po rossyjsku nie jak prawdziwy Rossyanin; uczeń nowej Petersburskiej szkoły, nie powiedział dziesięciu wyrazów ojczystym językiem, żeby w nich nieznalazło się pięciu lub sześciu skradzionych z francuzkiego, niemieckiego albo innego jakiego języka; czytywał francuzki Journal des Debats i inne peryodyczne pisma z zagranicy wpuszczone do Rossyi i był jak to zowią tegoczesni Moskale, liberałem; jednak nigdy niewahał się nad rozkazem wyliczenia pewnej liczby sotek pałek, albo nahajów swoim żołnierzom lub sługom, mówiąc, bez tego nic nie można dokazać na świecie, a szczególniej z naszym północnym ludem.

Grał, tańczył, śpiewał, rysował a nawet haftował, a wszystko miernie. Począwszy od upinania piór przy niewieścich kapeluszach, idąc do składu parowych machin i ocenienia siły wielomożnej pary a kończąc na filozofii Kanta; począwszy od rozbierania olbrzymich zamiarów Napoleona, idąc do pojęcia muzycznego ducha Webera i Rossiniego, a kończąc, jaki powinien być kształt kopyta konia bieguna, albo skład piersi u lotnego charta; na wszystkiem się znał i o wszystkiem rozmawiał, ale jak? śmiało i bezczelnie. Poetę, dyplomata, chemika, modniarkę, myśliwca i żołnierza, zgoła, wszystkich zawsze przegadał, choć prawie nigdy nie przekonał; czasami grzeczny, uprzejmy, serdeczny, a czasami cierpki, niedostępny, zmieniał się jakby jedno trzymał z wiatrem, albo jakto mówią z niewieściem widzimisiem. Rad ucha nadstawiał podchlebstwom i ciągle o sobie mówił. Wedle niego, jego ród był najdawniejszym, jego dostatki najpotężniejsze, i przygody, które go spotkały, jedne

http://rcin.org.pl

dziwniejsze od drugich, ale tylko w jego oczach. Myślą sobie powtarzał, nademnie niemasz nic na świecie: jednem słowem, był to skończony Ja, utwór jakich pełno wydaje pozorne wychowanie wielkiego świata. Dodać do tego należy, że wszystkie gry w karty znał tak dobrze jak student swoje abecadło, i petersburgskim obyczajem, umiał przegrywać pieniądze, ziemie, psy, ludzie, konie, a nawet swoje kochanki i wszystko to raczej z naśladownictwa jak z upodobania.

Ludzie czucia i rozsądku uważaliby go za prawie nijakość; ludzie zaś mody mieli go za doskonałość; jednak ci co z bliska znali pułkownika, powiadali, że u niego czasami, choć rzadko, serce zagadało i chwilowo robiło go innym człowiekiem, jakim był zazwyczaj.

Po pierwszych obrzędach powitania, pułkownik poprawił krzyżyki, których było pełno na zielonym mundurowym fraku, bo jak powiada stary poeta Dawidów, utyskując na losy Rossyi: — Dzisiaj huzary w wice-mundurach walcują po posadzce, każdy papla o Jominim, a o wódce ani słowa. — Poprawił misternie uczesane włosy i szumnemi słowami sypnął, iż ma dwa tysiące pięćset pięć poddanych dusz w Kostromskiej gubernii, ośmset w Wiatskiej, na nowych osadach koło Woroncza tysiąc trzysta i tak dalej aż do Jenisejskich bezludziów, bo i tam miał pułkownik niepomierzone dziesięciny ziemi, a karmił się nadzieją dostania darowizny w duszach na ich zasiedlenie. Za każdą razą odwoływał się do Złotnickiego po francuzku: — Dymitrze, znasz moich Kostromców, co to za wierne psy, a Wiatczyki, kuczery jak niemasz na świecie; z Worończanów mam takich żokejów o jakich i w Anglii trudno. — Złotnicki potakiwał i słowami i głową.

W Hrabiego mniemaniu rosła wartość pułkownika i jedynie przez wzgląd na nieprzekroczenie prawideł światowych wstrzymywał wykrzyk podziwienia. Hrabina nawet rozmilała twarz uśmiechem. Marya była milcząca, smutna, ale ta zadumczywość cierpiącej miłości więcej jeszcze wdzięku dodawała jej twarzy; ona nie słuchała pośpiewnej mowy przybyłego gościa i zwyczajem młodych panienek z ukradku okiem na niego nie pozierała, chociaż pułkownik ciągle wzrokiem na nią zarzucał, bo jak snadniej podziwiać złoto słonecznego oblicza, przysłonięte na półprzejrzystą chmurką, tak snadniej rozkoszować wzrokiem po licu dziewczyny, ociągniętem dumaniem: oko nie zniosłoby nagiego blasku słońca, oko nie zniosłoby żywej barwy piękności. Pułkownik, jak to obyczaj podobnych jemu ludzi, myśli: biedna od pierwszego spojrzenia zakochała się, nieśmie podnieść oczów, abym nie odgadł już odgadniętej tajemnicy i rad był z siebie: nie trudna rzecz dla niego.

Jeden z Sąsiadów Hrabiego szlachcic starej daty, jeszcze Sędzia grodzki za przedrozbiorowych czasów, Pan Stanisław

http://rcin.org.pl

Zubowski, w czasie wyliczania poddanych dusz przez pułkownika, w kąciku pokoju zapisywał coś ołówkiem w pugilaresie, a kiedy pułkownik odjechał, rzekł do Hrabiny — Mościa Pani Hrabino Dobrodziejko, w głowie mi się pomieścić nie może, skąd ci moskale nabierają tyle poddanych dusz; od czasu jak ci huzarowie przyszli w nasze strony, na starość dla zabawki spisuję, ile też każdy powiada mieć dusz męzkiej płci. I wiesz Waćpani Dobrodziejka, że po obrachunku pokazało się, że do nich należy dziewięćdziesiąt i dwa miliony ośmset sześćdziesiąt i trzy tysiące dwieścia czterdzieści i jedna dusza, nielicząc w to kobiet ani duszyczek po skazkach narodzonych, albo zatachlowanych w czasie rewizyi, a chociaż jeografowie napisali, jak mi powiadał mój wnuk student ze szkoły księży Bazylianów z Owrucza, że Imperyum rossyjskie niedochodzi ludnością sześćdziesięciu milionów, jeśli wszystkie pułki takie bogate, muszą zapisywać w poddaństwo zagraniczne kraje, a z czasem zaintromitują się do czyśca i do piekieł po poddane dusze, bo Bóg to święty wie, czy na tej ziemi dla nich stanie — Hrabina nieśmiała wdawać się w rozmowę, bo hrabia ruszał ramionami, widać nierad z powątpiewania sąsiada o bogactwach Beklemeszowa.

Pułkownik często nawiedzał dom hrabstwa, zawsze był pożądanym gościem choć nie dla wszystkich; panna mu się podobała, a może też krociowy posag w gotówce, zdałby się był na odkupienie dusz zahartowanych po same uszy skarbowym długiem. Na czysto tedy huzarski pułkownik zaczął ciąć zalecanki do Maryi, ona od niego stroniła, bo choć wszyscy z jej rodziny zapomnieli o Pawle Wyhowskim, ona nie zapomniała, nie zapomniał takoż i ksiądz Tadeusz; on często jeździł pocieszać starą matkę Pawła i zawsze przywoził stamtąd jedno i toż samo, niewiadomość, gdzie się obraca luby wychowaniec i nadzieję, że kiedyś zmiłuje się Bóg nad stroskaną dziewicą.

Beklemeszow hojnie sypał między sługi i służebnice sinemi i czerwonemi bumaszkami, a jedni i drugie przez wdzięczność mu powiadali: Nasza panna dziś o panu pułkowniku mówiła, nasza panna patrzyła w okno, kiedy pan pułkownik jechał i tak dalej; nietrzeba było i tego, aby zapewnić moskiewskiego bojara, że jest zapamiętale kochanym, bo on jeszcze w swojem życiu ani jednej chwili niezawątpił o zwycięztwie nad kobietą. Oświadczył się hrabiemu i ani pytając Maryi, ułożono przyszłe małżeństwo; duma i próżność ojca tego chce, po co pytać serca dziecięcia?

Dzień za dniem bieży i życie jako tako schodzi, kiedy na przeploty koleje wypadków to zaweselą to zasmucą; ale kiedy los zawistny samym tylko smutkiem zaweźmie się darzyć człowiekowi, oj wtenczas godziny życia niemiłe a samo życie nieznośne. Biedna Marya ze smutkiem w duszy, z boleścią na sercu, z łoża wstaje, noc dołęgliwie przemarza i dzień niemiło

http://rcin.org.pl

dla niej przemija. Ksiądz Tadeusz zawsze powiada: nic o Pawle niewiemy, ufaj w Boga, szanuj rodziców, miej nadzieję. Ona modli się, błaga Boga, w niego tylko ufa, szanuje rodziców i bawidełka nadziei nie odpycha; ale cóż jej potem, kiedy przed sobą końca swojemu smutkowi nie widzi.

Dnia jednego, był to październikowy piątek, wiatr jesieni odmuchiwał liście z drzew i słał niemi trawniki i nagą ziemię; słońce patrzeć nierade na te grabieże wiatru, obrzuciło swoje oblicze zasłoną z chmur ołowianej barwy i rankiem niebo mraczyło, jakby gotując się do łez żalu nad żałobą świata.

Ksiądz Tadeusz przechadzał się po ogrodzie i myślą porównywał jesień ziemskiego roku, do późnej jesieni swojego wieku i dumał: już ja dalej zaszedłem; niebawem dla mnie przyjdzie i zima wieku; złożył ręce na piersiach: twórca mnie powoła do wiekuistej chwały i wtedy dopiero zacznie się dla duszy wieczna wiosna z wiecznem latem. Tak dumając zaszedł do owej lipy, gdzie przed miesiącami roznamiętniony Paweł żegnał kochającą Maryę; on to sam Tadeusz co wówczas spłoszył ich wyznania miłośne, a może zapobiegł złemu odrywając ucho Maryi od słuchania błagalnego głosu kochanka; ksiądz Tadeusz jakby swoje własne dzieci kochał Pawła i Maryę, ale i czuwał nad niemi jak nad dziećmi.

Świętobliwy starzec przypomniał sobie tę chwilę, rzucił okiem pod lipę, tam klęczy Marya; śnieżna suknia ściele się po zwilżonym piasku, wiatr bezładnie rozwiewa sploty kruczych włosów, z czarnego oka łzy jak perły czyste ściekają po bladem licu, stroskane czoło wznosi ku niebu, ręce przyciska na serce. Miłosierny Boże, zmiłuj się nademną — twarz cała pałała wyrazem gwałtownej prożby o litość. Ksiądz Tadeusz niemógł stłumić ciężkiego westchnienia. Marya powstała, łzy otarła, ale spostrzegłszy Bożego kapłana, puściła łzom wolne wodze — Księże Tadeuszu, jakem ja nieszczęśliwa.

— Moja córko, uspokój się, nie narzekaj. Bóg nam powróci Pawła.— Powróci aby mnie widział małżonką drugiego, ja tego niezniosę, żyć niemogę, dziś jeszcze umrę — i dłoniami zakryła oczy, ksiądz się zbliżył — Cóż się stało, wszak nic smutnego o losie Pawła niedoszło do naszego ucha, wszystko po dawnemu.

— Gdyby wszystko było po dawnemu, jużbym i to wolała, ale słuchaj księże Tadeuszu: wczoraj wieczorem ojciec i matka mi powiedzieli, że ręka moja przyrzeczona rossyjskiemu pułkownikowi, że pojutrze będą zaręczyny; ani łzy ani prożby moje niezmiękczyły ich woli, a ja tej nocy nie umarłam, ale teraz umrę. O! lepiej umrzeć, jak być nieposłuszną rodzicom, albo wiarołomną kochankowi. — Stary kapłan wziął ją za rękę, nie szuka w swojej głowie słów pociechy, ani rad upamiętania, a może na ten raz by mu ich zupełnie zabrakło, bo on czuł sercem nie głową, całą rozpacz rozdartego serca, skołatanej duszy

http://rcin.org.pl

dziewicy — Moja córko, chwilkę cierpliwości, do jutra, nierozpaczaj — i oboje szli w milczeniu ku dworowi; zdaje się, że umówili się jak zaradzić złemu, bo na sędziwej twarzy starca przewlokł się słaby promyk nadziei i łzy nie tak hojnie kąpią liczko dziewicy. Marya poszła do swego pokoju boleć myślą i sercem, a ksiądz udał się do hrabiego komnaty. —

Kiedy wszedł do komnaty, zastał hrabiego Marszałka z hrabiną, widać w małżeńskiej zwadzie, bo u Hrabiny w oczach łzy. Hrabia zapyrzonej twarzy, skoro dostrzegł księdza Tadeusza obrócił się do żony — Pani Hrabino inaczej być nie może, daliśmy słowo, z resztą, na te płacze nie wiele trzeba uważać, teraz poszlocha a potem kiedyś będzie nam dziękowała.

Hrabina wyszła i słowa nierzekłszy, ksiądz Tadeusz schylił czoło — Panie Marszałku przepraszam, może przeszkodziłem rozmowy z Panią Marszałkową.

— Nie księże kapelanie, proszę siadać, mam z tobą do pomówienia, możesz mi pomódz.

— Słucham.

— Wczoraj przyrzekłem moją córkę w małżeństwo pułkownikowi Beklemeszowi; to połączenie się ze wszech względów odpowiada mojemu życzeniu i Pani Hrabina była tego samego zdania: dziś fochy Maryi zawróciły jej głowę, zachciało się abym ja w brew szczęściu i honorowi mojego rodu, odmówił albo odłożył do czasu to małżeństwo. Masz u nich wziętość, przemów do nich, wolałbym dobrym sposobem dojść do końca, jak uciekać się do rodzicielskiej władzy. Księże kapelanie, będę ci wdzięcznym za to.

— Panie Marszałku, dla mnie sowitą nagrodą widzieć szczęście twoje i szczęście twojej rodziny. Bóg rodzicom nadał wielką władzę nad dziećmi, ale dał serce, aby uczuciem miłości kierowali tę władzę.

— Księże kapelanie i do czegoż zmierza ta mowa?

— Do pochwalenia twojej chęci Panie Marszałku, którąś oświadczył w tej chwili, że wolisz dobrym sposobem, jak użyciem władzy, doprowadzić do końca twoje postanowienie.

— Prawda, że wolałbym, ale kiedy niemożna inaczej, to użyję władzy; zmuszę, musi tak być jak ja chcę.

— Jak kapłan boży, jak człowiek doświadczenia, Panie Marszałku; powinność moja i uczucie nakazują mi dać ci rady, o które może i niestoisz. Ty chcesz związać wiecznem ogniwem dwoje ludzi, których ani serce, ani dusze niewiążą się z sobą; chcesz dziecko swoje wepchnąć w doczesne nieszczęście a może i w występek, zatrzymaj się ze spełnieniem czynu, którego po chwili zapóźnobyś żałował; zostaw czasowi, może on jej serce uleczy, a może twoję wolę zmieni.

— Księże jak z kazalnicy gadasz, ale nie znalazłes we mnie

http://rcin.org.pl

słuchacza, nie zmienię com raz postanowił; pojutrze będą zaręczyny, a w dziesięć dni ślub mojej córki z pułkownikiem.

— Panie Marszałku, nie z kazalnicy do ciebie przemawiam, ale błagam: nie szlij córki na ofiarę nieszczęściu, poradź się swojego serca, ono ci lepszym będzie doradzcą, jak tam jakieś światowe widoki. My ludzie jak pająki snujemy żądzę dostatków i zaszczytów, a jeden podmuch śmierci niszczy całe nasze osnucie: szczęśliwy wtenczas, kto umierając niema nic, albo mało co zarzucić swojemu sumieniowi. —

Marszałek się skrzywił. — Księże kapelanie, próżne twoje słowa, ja się nie gniewam, bo szanuje w tobie kapłana, ale bądź pewnym, że nie zmienię mojego postanowienia.

Kiądz Tadeusz przystąpił i wziął go za rękę. — Panie Marszałku, to twoje dziecko, twoja krew, cóż jej będzie po bogactwach, po zaszczytach, kiedy szczęścia nie będzie miała; serce serca potrzebuje, nie złota, nie honorów. Ojcze zlituj się nad dziecięciem; chrześcianinie nie rób złego bliźniemu. — I łzawe oko starca błagało nielitośnego rodzica.

Hrabia Marszałek nie rozczulił się, twarz jego była i nieruchoma i zimna, jak głaz; wyciągnął obojetnie rękę z ręki starca. — Księże kapelanie, dajmy temu pokój, muszę wychodzić porozsyłać zaprosiny do przyjaciół na pozajutro. — I wyszedł.

Ksiądz Tadeusz postał czas jakiś, głową ruszył, westchnął. — Tu u ojca się nie udało, ale tam może się uda; Boże wspomagaj mnie! — Porzucił pokój Hrabiego i tego dnia jeszcze pojechał do Radomyśla.

Mowa Księdza Tadeusza była cierpkim napojem dla Pana Marszałka, nie dlatego aby miała dotknąć jego serce, albo wzruszyć sumienie, ale że obraziła jaśniewielmożną dumę: jak to?... ksiądz jakiś i to jeszcze kapelan, śmiał rady dawać jemu, wielkiemu panu, znakomitemu człowiekowi? Hrabia przez wzgląd na swoję godność powstrzymał wybuch gniewu, ale jeszcze bardziej zatwardział w swojem postanowieniu. Żona ani słowa nie poważy się powiedzieć, a córka rozpaczą się trawi i na domiar swojego nieszczęścia, nie widzi jedynego pocieszyciela, świętobliwego kapłana.

Wieczorem przyjechał pułkownik, ale jakaś dziwna zmiana w jego postępowaniu; smutny a chce udawać wesołego; często się zamyśla, mało o sobie mówi, czy nadzieja przyszłego szczęścia go przywaliła, czy jaka obawa wkradła się w jego serce. Kiedy Marya gwałtem zmuszona weszła do komnaty, pułkownik do niej się zbliżył i z cicha mówił: — Ja Panią kocham, ale mego szczęścia nie chcę nabyć nieszczęściem Pani. Ksiądz Tadeusz wszystko mi powiedział; proszę być spokojną, a czasem wspomnieć o mnie.

Nie czekał odpowiedzi, nie spojrzał nawet na twarz Maryi,

http://rcin.org.pl

a tamby wyczytał wyraz błagania umilony uczuciem wdzięczności; prędko odszedł do drugiego pokoju i tam coś długo a długo rozmawiał z Marszałkiem, potem przyszedł i nie swoim modnym zwyczajem z uśmiechami i z gęstemi ukłonami, ale serdecznie i smutnie pożegnał matkę i córkę i odjechał.

Po odjeździe pułkownika, Hrabia marszczył czoło i zagryzał wargi. — Pani Hrabino, przypadek usłużył twoim chęciom, pułkownik musi odjeżdżać jutro do głównej kwatery do Tulczyna, a ztamtąd na wojnę turecką; i zaręczyny i małżeństwo odkładają się do czasu powrotu z wojny. — Przeszedł się po pokoju, a zły, że niema na kogo zwalić winy tej przewłoki, groźnie spójrzał na Maryę. — Waćpanna porzuć te szlochy, co przyrzekłem to dotrzymam, musisz być żoną pułkownika. — Obrócił się do żony — Aleksander z Kamieńca wprost pojedzie do Tulczyna, pułkownik przyrzekł mi opiekować się nim.

Biedna matka, która już w duszy radowała się przewłoką, znowu smutkiem zabolała: — Mężu, pozwól przynajmniej niech go pożegnam, pobłogosławię.

— Nic z tego niebędzie moja Pani, żebyś i jemu tak przewróciła w głowie jak twojej córuni — i z gniewem zatrzasnął drzwiami. —

Obiedwie niewiasty spojrzały na siebie. Marya rzuciła się w objęcie matki — mamo! mamo! ufajmy w Boga, on nam dopomoże — i obiedwie się pocieszały, najlepszą i najpewniejszą pociechą, bo ufnością w bożej łasce.

Hrabia Marszałek całą noc oka niezmrużył, bo mu się przymarzyło, że dostatki i zaszczyty z rąk mu się wyrwały, a kiedy poufały sługa chcąc się podchlebić Panu, opowiedział, że pułkownikowscy ludzie opowiadali mu o bytności Księdza Tadeusza u Pułkownika, Hrabiemu myśl podejrzenia wsunęła się do głowy i złością zajątrzyła serce, kazał przywołać Księdza Kapelana.

Sierdził się, ale spostrzegłszy pogodną twarz bogobojnego starca, mimowolnie zatrzymał wybuch gniewu, tylko ucińkową mową rzekł:

— Księże musimy się rozstać, dłużej w moim domu być nie możesz. —

Starzec nie tłómaczył się i o nic nie prosił, na całe pożegnanie odpowiedział:

— Pokój twojemu domowi, szczęście tobie i twoim; niech Bóg ma was w swojej opiece i wam błogosławi, ja będę się modlił za wami. —

http://rcin.org.pl

V.

Za Dunajem, za sławiańskim Dunajem, w Bulgarskiej krainie, stoi stary, odwieczny gród Babadadży, niegdyś tokowisko wojennej sławy Sławian i dziś jeszcze siedziba Sławiańskiego rodu. Za grodem wznosi się góra matka, miejscami łysa skałami, miejscami skędzierzawiona drzewami, u spodu góry kozacza mogiła, choć nie na Ukraińskiej ziemi, ale kozackiemi rękami usypana na pogrzebanie zwłok Atamańskich; pod nią spoczywają proch i koście druha Lachów, pogromcy wrogów Polski, wypieszczonego syna Dniepru, ukochanego dziecięcia stepów Ukrainy, Michała Nekrasy, pamiętnego na wiekopomne czasy między kozaczą i laszą bracią. Na mogile zazwyczaj zasiadają sire orły i kraczą, jakby chciały wykrakać Nekrasę z tamtego świata skargą: brak nam ścierwa, brak nam wrażej krwi. Ukraina drzemie, kozaczą broń żre rdza. A teraz jacyś ludzie tłumnie się koło niej zgromadzili, przybrani po kozaczemu w sinych kontuszach, w białych żupanach, z szablami przy boku, w baranich czapkach na głowie, dziki zapał oiskrzył ich lica, a przypomnienie atamańskich czynów rozpanoszyło ich postawy, bo to lackie dzieci, synowie albo wnukowie tych, którzy z Nekrasą z Dnieprowego Zaporoża unieśli wolność i bezpańskość za Dunaj. Pośrodku nich był młodzieniec, po kozaczemu takoż przybrany, śniadej twarzy, czarnego wąsa, rosły i smukły jak maszt bajdaka, hardy i buńdiuczny jak tabuński koń w stepie, a szparki w oczach jak sokoł; rzucił się na mogiłę i całował ziemię namiętnie, jakby stamtąd chciał wyssać jaki pokarm dla duszy, trunek dla krwi. Zaporożce na to patrzą i rzewni ich ta gorąca cześć oddana pamiątce drogiego wodza; oni bratniem sercem kochali od niedawna przybyłego między nich brata, nie znali jego rodu, dość im na tem, że przybył z lackiej ziemi; ale teraz jeszcze go bardziej kochają.

Młodzieniec wstał, oko mu ogniem płonie i twarz rumieńcem płonie, czupryna się jeży, a postawa rośnie; zdałoby się, że Nekrasa wyszedł z mogiły po kozaczemu zagadać do zgromadzonych braci.

— Panowie bracia, już pięćdziesiąt lat z dobrą górą, jak nasz sławny Ataman Nekrasa rzucił Ukraińskie stepy, a od tego czasu kozacze kości walają się po różnych krajach, a żaden z nas powiedzieć sobie nie może: zawiozę wojenne łupy na Ukrainę, spocznę trochę pod rodzimą strzechą, jak to przystało na uczciwość wojskową. Panowie bracia, czyż naszych ojców Nekrasa na to wyprowadził za Dunaj, aby tu na czużynie nasz ród kozaczy miał zgnić, zaprzepaść?:.. Nie! on pokazał, że kto ma konia, spisę i serce, ten brnie światem gdzie mu się po-

http://rcin.org.pl

doba; i nam nie brak na sercach, mamy konie i spisy. Ukraina do siebie nas woła; porohi Dnieprowe gwarnie i huczno do nas się śmieją. Panowie bracia i myż będziemy spać? spuściznę naszych ojców, ziemię kupioną szczerą krwią, zostawiemy dla Panków i Żydów?...

Tu zawrzały tłumnie głosy:

— Na pohybel Pankom i Żydom! chodźmy na Ukrainę. —

I spójrzeli po sobie i jakby szukali wzrokiem pomiędzy sobą tego, co ich poprowadzi. Dzisiejszy Ataman Hładki już zszedł z pola, kiedyś i on był dzielny, ale zjeździł się jak koń na wojnie.

Młodzieniec widać odgadł tę myśl, bo wzniósł rękę do góry.

— Panowie bracia, czy zasłyszał który z was o Konotopach. —

Kilku razem się odezwało:

— I jakże nie?... nasze dzieci śpiewają o Iwanie Wyhowskim, co chciał na wieczne czasy połączyć Kozaków z bracią Lachami.

— Otoż Panowie bracia, ja krew z jego krwi, kość z jego kości, ja Paweł Wyhowski wasz brat. —

Nie dali mu reszty domówić, czapki jak stado wron w górę wyleciały, a Zaporożce zawrzeszczeli:

— Ty Wyhowski, ty nasz Watażka. —

I po kozaczemu w uściski go wzięli. Cała gromada wrząca wrzaskiem, piana zapałem i radością wracała do Babadadży.

Słońce ozłociło mogiłę jakby na błogosławieństwo wojennemu zapałowi Zaporożców; orły zleciały się i kraczą: krwi ścierwa, krwi ścierwa.

Już w ówczas wrzała wojna między Turcyą i Rossyą, w kilka miesięcy później dzielny Basza Omer z Rione na czele Zaporożców, w Tureczczyznie zwanych Nekrasowcami i Albańskiej jazdy, szedł prawym brzegiem Dunaju na spotycz rossyjskiego wojska. Paweł Wyhowski prowadził pułki Zaporoża i dowodził przednią strażą.

Noc była ciemna, chmurna, tylko błyskawice po błyskawicach na niebie migotały i grom po gromie huczał: na ziemi wody Kamczyku szemrały po opoczystem łożu i pod kopytami końskiemi chrupotały kamyki. Paweł Wyhowski na wronym koniu jechał przed przednim pułkiem i dumał o Maryi. Jemu się zdaje, że to droga do Ukrainy, że niedaleka chwila pomsty nad dumnym Hrabią. Czas i oddalenie nie zrobiły skazy na jego sercu, on kocha Maryę jak kochał, ale też nie zapomniał Hrabiemu Marszałkowi wyrządzonej sobie obelgi, i w swojej namiętnej duszy umie godzić miłość dla córki z zemstą dla ojca. Marząc: on u moich nóg leżeć będzie, a ja jej padnę do nóg; wydobył krzyżyk złoty, upominek miłości i całował go serdecznie; może go nieraz całowała Marya, całował szurek, bo to jej włosy i jej ręka wiązała, a potem smutnie się zadumał o

http://rcin.org.pl

matce; łzawo mu na sercu, on ją osierocił na stare lata i jakby jego prośba przez stepy, rzeki, góry i lasy mogła zalecieć, błaga Księdza Tadeusza; pocieszaj biedną matkę.

Już świtać poczęło,na niebie wędrowały chmury, a po ziemi na obszernym stepie majaczały w dali lasy i wzgórza. Przybiegł kozak powodyr przedniej straży i wskazał ręką na drugi brzeg rzeki, tam rossyjska jazda.

Młody Watażka duchem pułk uszykował, w lewo ku rzece skosił, znanym brodem na drugą stronę przeprawił. Zaporożce po kozaczemu z kopytą półksiężycem zawiedli wojenny taniec, jak za czasów Sahajdacznego płotem spis naparli i rossyjska jazda pierzchnęła bezładnie. Młody Wyhowski jak jego przodek Iwan Konotopski, koniem szastał w prawo i lewo i szablą świstał do siebie i na odlew; czerwone huzary zalegli pole, a siwe konie bez panów hasają po stepie; mołodce hulają po swojemu i cieszą się, że Bóg im Watażkę nadarzył, co przypomniał dawne wojenne sprawy.

Ale czegoż się nagle Watażka za bok schwycił i zachwiał na koniu; w ucieczce huzar z pistoleta wypalił, musiał go ołowiem załoskotać po żebrach. Watażka resztą sił osadził się w siodle, wronego ścisnął, huzara dognał i jednem płatnięciem szabli z konia zwalił. Kilku mołodzców na spisach w górę wyrzuciło rossyjskiego żołnierza, on w powietrzu lacką mową krzyknął — Jezus Marya Józef! i trupem spadł na ziemię.

Wyhowski usłyszał imie Maryi, ale już mu w oczach pomroczało, skręcił koniem w miejscu i sam się z niego zsunął. Mołodzce go obskoczyli, podnoszą Watażkę, on otworzył oczy, rozerwał kontusz, zdjął złoty krzyżyk ze sznurkiem i jakieś dwa papiery wyjął. — Jeśli wam moja pamięć miła, zanieście to do Korostyszowa mojej biednej matce, ona jej odda; jam dawno do śmierci się przygotował... ból przerwał słowa, skrzywił się a nieięczał. Mołodzce mu ratunek niosą, ranę opatrują; w tem jeden z rossyjskich jeńców, popatrzył na husarskiego trupa, ostatnią ofiarę szabli Wyhowskiego i zawołał — Graf Siryczyński. Watażka się porwał — Hrabia Siryczyński.., Marya... i po wymówieniu tego imienia ducha wyzionął.

Mołodzce choć po zwycięztwie smucą się nad trupem potomka Iwana, kozaczej nadziei; w swoim żalu wojennych jeńców w pień wycięli; kilku pojechało z trupem Watażki do Babadadży aby go złożyć w mogile Nekrasy, nowym przybyszem pocieszyć nieboszczyka Atamana, zwiastując mu, że jeszcze iskierka kozaczej wolności niezaginęła na Ukrainie.

Jeden stary Zaporożec pojechał z kartką Watażki, pewny, że mu ziemi niezabraknie i dojdzie gdzie zamierzył, bo dla Zaporoża niema nic niepodobnego na tym tu świecie.

http://rcin.org.pl

VI.

W Korostyszowie, w skromnym domku, niedaleko kościoła, od niejakiegoś czasu mieszkała Pani Starościna Wyhowska, oddawna wdowa, a od kilka miesięcy odjechana synem; synowską wioskę w zarząd oddała bratu nieboszczyka męża, a sama jak tu mówią ludzie, osiadła na dewocyi. Cała jej dwornia składała się z zasłużonej pokojowej i ze starego sługi świętej pamięci Jegomości. Starościna oprócz do kościoła nigdzie niewychodziła i jeden tylko ksiądz Tadeusz ją odwiedzał. Wielebny kapłan po porzuceniu kapelanii Hrabstwa Siryczyńskich został Korostyszowskim proboszczem.

W dzień świętego Stanisława, w rocznicę imienia nieboszczyka męża, Pani Starościna na nieszporach namodliwszy się za błogi odpoczynek, dla świętej pamięci jegomościnej duszy, nabłagawszy u Boga o pomyślność dla syna, wróciła do domu: tam żeby czasu na próżnowaniu nietrwonić, nałożyła na nos okulary, otworzyła księgę żywotów świętych pańskich i bogobojnie w niej czytała; tam jeszcze na starość uczyła się chrześcijańskich cnót, pobłażania i pokory, stamtąd czerpała cierpliwość do znoszenia złych przygód życia i chwalenia Bożej woli nawet w nieszczęściu.

Już jasność dzienna poczynała płowieć i kłonić się do szarego mroku, kiedy wszedł do pokoju stary sługa i krząknął na przerwanie czytania. Starościna obróciła się — Ignacy, co powiesz.

— Jakiś człowiek przyjechał i koniecznie chce mówić z Imością.

— Cóż to za jeden, mój kochany i skąd?

— Bóg go święty wie kto on taki, już dziad; z nami niechce gadać tylko z Imością widzieć się żąda.

— Niech przyjdzie — Wyszedł Ignacy i wrócił ze starym dziadem przybranym w ukraińską siermięgę. Dziad się pokłonił — Sława Bogu — Na wieki wieków amen — odrzekła Starościna. A skąd przychodzisz, mój kochanku i po co?

— Z listem od Wataźki z daleka — i oddał zwinięty papier.

— Starościna rozwija papier, przykłada do oczów, czyta; na twarzy zabolała, ręce jej się zatrzęsły i papier osunął się na kolana — mój syn — i łza gwałtem po starego oka się cisnęła. —

Zaporożec na to patrzy - Matko, twój syn pomarł jak uczciwość wojskowa przykazała. Oj chwacki to był chłopiec, rodzony potomek Iwana, kiedyb tak wszystkim kozakom umierać. Nietrap się matko, cześć i sława pamięci twego syna na całej kozaczyznie.

Zaporożec gadał, Starościna niesłucha, zdaje się patrzeć na niego; jakby zakościała siedzi, ale żyje, bo łza spływa po zmarszczonem licu.

http://rcin.org.pl

Ignacy pobiegł po Urszulę i po księdza Tadeusza, stara służebnica wodą trzeźwi swoją panie, a niebawem nadszedł ksiądz Tadeusz — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, co się tu stało?

Starościna poznała jego głos — Księże, umarł — i chwiejącą się ręką papier podniosła z kolan i jemu oddaje.

Ksiądz czyta pożegnanie Pawła, które przedwcześnie napisał i zawsze przy sobie nosił; on prosi o błogosławieństwo, błaga matki o przebaczenie, i błaga aby Maryi odesłano złoty krzyżyk ze sznurkiem i z kartką doczesnego pożegnania, on pisze, że swoją śmiercią rozwiązał przysięgę miłości na tej ziemi, prosi aby dla niego niezaprzepaszczała swojej młodości, obiecuje za nią się modlić, czuwać nad nią stamtąd z nieba jeśli wolno. I księdzu smutno, na płacz się zbiera — Pani starościno, trzeba się zgodzić z wolą Bożą.

— Starościna na całą odpowiedź wstała, klęknęła i poczęła się gorąco modlić za duszę syna. Zaporożec się przeżegnał i korną myślą odmawiał pacierz błagając o łaskę bożą dla ducha Watażki. —

Ksiądz Tadeusz pomyślał: nasze strapienie może innym przynieść choć chwilowy pokój a może i błogość; zalecił Urszuli czuwać nad zdrowiem Starościny i wyszedł.

VII.

W domie Hrabiego wielkie zmiany, Hrabina od trzech miesięcy z gorączki na tamten świat się przeniosła. Marya z dnia na dzień niknęła na krasie i na zdrowiu; już od dwóch tygodni łoże choroby zaległa; wyblakował rumieniec na jej licu, sterał się blask oka, gładka skura ciśnie się do kości, na czole i na twarzy zmarszczki cierpienia, jak szkielet wychudła, podnieść się na łożu nie może, ale nieskarży się, nie narzeka, sama płacze i wzdycha, a przy ludziach i przy ojcu zmuszonym uśmiechem rozmila lice.

Hrabia Marszałek zawsze próżny i dumny, chciwy zaszczytów i dostatków i teraz w swojej komnacie stokroć razy obracał list z Petersburga i czytał go i cieszył się nim, bo to list co zwiastował pożądane wieści dla pańskiej dumy: stopień i order dla niego, stopnie i krzyże dla syna, a wszystko to z łaski przemożnego wstawienia się Beklemeszowa rodziny do cesarza; niemógł się oderwać od tego listu jak dziecko od nowotnego cacka.

W tem kamerdyner oznajmił księdza Tadeusza, a nim Hrabia wydał odpowiedź już ksiądz był w komnacie — Pokój temu domowi, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — Hrabia

http://rcin.org.pl

się namarszczył — Cóż nowego księdza tu sprowadza, czy znowu jakie rady, nauki?...

— Panie Marszałku, oto masz, Paweł Wyhowski umarł. — I dał mu kartkę i zwinięty papier. —

Hrabia powtórzył: — Umarł, — i niegodny uśmiech przewinął się po jego twarzy. Przeczytał, rozpatrzył. — Umarł! moja córka przestanie się trapić, będzie powolną mojej woli.

Wstał i wychodził. Ksiądz Tadeusz chciał go za połę zatrzymać. — Człowieku, zmiłuj się co robisz? Zabijesz ją.

Hrabia piorunem wybiegł za drzwi i już w pokoju córki.

Jakby z wieścią szczęścia tam przybiegł; rzucił jej na łoże złoty krzyżyk, włosiany sznurek i kartkę. — Paweł Wyhowski nie żyje!

Ona już zbladnąć nie mogła, bo i tak blada; na porumienienie się gwałtownego żalu krwi brakło i łzy wyschły. Wzięła wszystko. — On nie żyje! — Rzuciła okiem na papier, przycisnęła go do ust. — On nie żyje! — Do ojca się uśmiechnęła, wzięła krzyżyk złoty, a spostrzegłszy Księdza Tadeusza. — Księże Tadeuszu wyspowiadaj mnie. — Ksiądz przystąpił do łoża i spowiadał, a Hrabia stał w miejscu, widać coś go tknęło w serce.

Skończyła się spowiedź. — Pobłogosław mnie. Ojcze mój daj mi swą rękę. — Ksiądz błogosławił, a Hrabia jakby niemy podał swoją rękę i Marya przyłożyła ją do ust. — Zwłoki nasze nie spoczną razem; jam mu wierną była, ale dusze nasze znajdą się tam. — Wzniosła oczy do nieba, opadła na łoże, lekkiem tchnieniem westchnęła i skonała. Oko do reszty zagasło, a anielski uśmiech zdawał się jeszcze igrać na ustach. Usta i lice białe jak kwiat kaliny, a jej ciało tak lekko leży na łożu, jakby było z puchu zwiane, bo ztamtąd przed chwilką wyleciała anielska dusza do rodzimego mieszkania.

Hrabia odwrócił się, wyszedł z pokoju i Ksiądz Tadeusz udał się za nim, bał się ojcowskiej rozpaczy, bo widział, że serce zaczyna wołać o swoje prawo.

Kiedy to się działo, przyjechał z Kijowa jenerał gubernatorski adjutant, przywiózł patent na sowietnika aktualnego sztackiego Jego Cesarskiej Mości i order Aleksandra Newskiego; i w tejże samej chwili przyniesiono list z głównej armii. Adjutant o niczem niewiedząc oznajmuje cesarskie podarki. Hrabia nie słyszy; odpieczętował list i z niego wypadła drukowana kartka, podniósł; to urzędowe oznajmienie śmierci syna; nie czytał listu Beklemeszowa, rzucił go na ziemię. Adjutant powtarza co przywiózł. Hrabia boleśnie wymówił: — Moje dzieci! — załamał ręce. Adjutant rzucił na stół dary i nic nie gada. Ksiądz Tadeusz w imie Boga przemawia do chrześciańskiego serca, a Hrabia na nic nie patrzy, niczego nie słucha; stał się

http://rcin.org.pl

ojcem, stał się człowiekiem; łzami zapłakać nie może, ale ciągle ze łkaniem powtarza: — Moje dzieci! Moje dzieci!

W pięć dni później w Korostyszowskim kościele grobowemi całunami oczepiono ściany i zapalono mnogą liczbę grobowych gromnic. Dwa katafalki stoją, na jednem czarna trumna, drugi jeszcze czeka trumny; w kościele mało ludzi, tylko księża grobowym głosem śpiewają eksekwie na wieczny odpoczynek duszy; przed trumną klęczy zgrzybiała niewiasta w czarny kir przybrana: modli się. W tem wnieśli drugą trumnę i za nią wszedł mężczyzna już nie młody takoż czarno przybrany; padł na kolana i bił się w piersi. Po hymnach, po modłach, wszyscy wychodzili z kościoła; i mężczyzna i niewiasta wstali z klęczek i jakby trafem ku sobie się obrócili, na siebie spojrzeli.

Hrabia, bo to był on, zadrżał i mało nie upadł do nóg Starościnie.

Ona mu podała rękę. — Bogdaj Bóg tak ci przebaczył, jak ja przebaczam. — On ją uścisnął za rękę. — Jam zbrodzień! duma moja! zabiłem nasze dzieci! — Ksiądz Tadeusz dodał bogobojnym głosem: — Nierozpaczajmy, oni w niebie, a Bóg przebacza pokutującemu grzesznikowi.

Lud wychodząc mówił: — Wyhowska w kościele przebaczyła Siryczyńskiemu, może i Bóg mu przebaczy.

http://rcin.org.pl

SŁOBODYSZCZE.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Nad sirym Hnyłopiatem, gdzie dziś Słobodyszcze sioło białemi chatami szeroko się ściele, było wielkie miasto i stał niegdyś stary zamek; były tam baszty płowym mchem porosłe i mury gęsto szczerbami pokiereszowane; były tam wysokie wieżyce do wyglądania wroga: nieraz z nich kozak wodził okiem po stepie i duszą tęsknił: nie idzie, nie idzie Tatarzyn: i podziemne więzienia tam były. A teraz chwast i ziele porosły dawną posadę zamczyska; nie widać tam ni jednego zgliszcza zwalisk; ni kamień zaczernieje, ni kość zabieleje między chwastem, tylko ile razy kozacze dzieci siadłszy na kije wybiegną na zamczysko, niby wroga wyglądać, niby wojować wroga, to tyle razy ziemia stęka i wnętrzem rozgłośnie pojękuje, jakby chciała wyłonić na jaw, na świat, wszystko, co wie o starym zamku, i czasami miłosierny guślarz przywlecze się na zamczysko, siądzie na murawie i ciekawym ludziom opowiada dawne dzieje o zamku: i ja jedno z tych opowiadań słyszałem i opowiadam.

I.

Cicho było w mieście, już kogut po raz pierwszy na północ zapiał; głucho było w stepie, już wilk zawył w jarudze. Po wałach, po basztach, przed bramami zamku, liczne straże bezustannie przechadzały się mierzonym krokiem, bo to w zawojowanym kraju, a tam niema końca wojnie. I w zamku jeszcze nie wszyscy spali.

W komnacie całkiem ociągniętej karmazynową makatą, hojnie przerzucaną złotem, było trzy osoby: niewiasta młoda, piękna, ale smutna i blada, czy cierpiąca duszą, czy schorzała ciałem; jedno z dwojga. Mężczyzna średniego wieku, surowy twarzą, ale nie dziki; ponure zadumanie rozlało się u niego po szerokiem czole i cierpienie zwierciedliło się w oczach; o! i on musi mieć niezagojone rany, pewniej w duszy, jak na ciele.

http://rcin.org.pl

I malutka dziecina w kolebce, aniołeczek jasno-włosy i rumianolicy, spał i we śnie się uśmiechał.

Świecznica mdłem światłem przyzłacała komnatę; niewiasta stała zwieszona nad kolebką, jak płacząca wierzba ku wodzie, to wyprostuje się jak ściekła osika i dumnie spojrzy, na kogo? na mężczyznę, a potem schyli czoło i westchnie.

Mężczyzna szerokim krokiem przechadzał się wzdłuż komnaty od ściany do ściany; nie liczył kroków, nie marzył o lubych tkankach szczęścia, o pianych dumkach wielkości, sławy, ale cierpiał, jakby u niego wyrzuty sumienia darły myślami; poglądał to na niewiastę, to na dziecinę, widno, że chciał coś mówić i odwagi nie miał ust otworzyć. Nareszcie przystąpił do niewiasty i wziął ją za rękę.

— Anno tyś chora? —

Ona obojętnie wysunęła swoją rękę z jego ręki. — Nic mi nie jest Panie.

— Czas by przecie przestać płakać?

— Ja nie płaczę.

— Ale to gorzej dręczyć się i samej sobie śmierć zadawać.

— Ja nie myślę o samobójstwie.

— A popełniasz samobójstwo?

— O nie! —

Znów ją wziął za rękę. — Anno, ty mnie nie kochasz, ty mnie nigdy kochać nie będziesz?

Ona milczała, ale ręki swojej nie wysuwała z jego ręki, zostawiła ją tam nieruchomą, jakby martwą. On patrzył jej w twarz i łzawiły mu się oczy.

— Patrz Anno na tę dziecinę, nad nią się zlituj, nie zostawiaj ją sierotą.

— On ma ojca.

— Ale jemu potrzeba matki.

— Ojciec mu będzie przykładem, przewodnikiem. — I dziwnie, jakby z urąganiem, spojrzała w oczy mężczyźnie. —

On wypuścił jej rękę. — Anno! Anno! przestań; nie zakrwawiaj mi serca. — Chwycił się za serce. — O! ono i tak mnie boli! boli! — I chodził jak szalony po komnacie; ruchem ciała zapajał zgryzotę ducha, ale zapoić nie mógł, bo nagle się zatrzymał. — Tak, tak, jam zdrajca! — Zębami o zęby stuknął i twarz dziko skrzywił i oczyma dziko zamigotał.

Ona zadrżała i ku kolebce przechyliła piękną głowę, jakby tam pod opieką dzieciny chciała się skryć przed dzikiem obliczem mężczyzny. U niego ten wybuch rozsierdzonego serca prędko minął, zbliżył się do niewiasty.

— Anno, ty mnie się lekasz? —

Ona podniosła twarz, na której nie było rumieńca, zmierzyła mężczyznę od stóp do głowy okiem, w którem nie było śladu ani przestrachu, ani łzy. — O nie Panie, ja się nie lękam.

http://rcin.org.pl

— Anno, jeśli nie przez miłość dla tej biednej dzieciny, to przez miłość dla twych rodziców, zaklinam ciebie!

— Co każesz Panie? Ja się dla nich poświęciłam i gotowam jeszcze.

— Co?

— Poświęcić się.

— Tylko i nic więcej?

— Nic więcej.

— Więc ani dla mnie, ani dla tej dzieciny nie masz żadnej litości? —

Ona milczała.

— Więc i nadziei mieć nie mogę, abyś mnie kiedy kochała? —

Ona milczała.

— Anno, powiedz, czem mogę zyskać twoją miłość, wszystko zrobię. — Podwiedz czem?

— Niczem.

— To nigdy, nigdy mnie kochać nie będziesz?

— Nigdy.

— Nigdy a nigdy? —

Powtórzyła. — Nigdy a nigdy.

— Ha!... — I znowu jak szalony chodził, giął ręce jakby chciał palce ze staw powyłamywać, gryzł usta, aż krew z nich wydobył, nareszcie zmógł się i rzucił się na węzgłowie twarzą ku ścianie, jak bez ducha, jak trup. —

Niewiasta pozierała na niego obojętnie, zimno, ale kiedy westchnął, jak gdyby z tem westchnieniem chciał ducha wyprzeć z łona, a potem załkawił płaczem jak dziecko, jak kobieta, ona zbliżyła się do niego.

— Panie, co ci jest? —

Ocknął się. — Nie dobrze mi Anno, nie dobrze!

— Może zawołać twoich sług Panie?

— O nie! dziękuję, to przejdzie. Anno proszę, siądź tu koło mnie. — Obrócił się ku niej twarzą i łzy starł z oczów. —

Ona siadła, on ją wziął za drobną rączkę i pocałował.

— Anno, ja nie tak występny jak nieszczęśliwy. Bóg to wie, ludzie mi świadkami, jak ja ciebie kochałem, jak ja ciebie kocham, znam ja to dobrze, żem zbrodnię popełnił — i gorzko westchnął. — Słuchaj Anno! słowo rzeknij, poprawię się, żyć przestanę — i zatrzymał mowę, a oczyma żebrał jej odpowiedzi.

— Ona nieodpatrzyła na niego, ale odrzekła: — żyj Panie.

— Dla kogo mam żyć?

— Dla twego syna Panie — i wskazała ręką na kolebkę.

— Dla niego, o prawda! ale ja chciałbym żyć dla niego i dla ciebie; a tyś nieszczęśliwa! —

Niewiasta spojrzała mu w twarz, a po jej licach przewałęsało się jakieś lekkie wzruszenie, on ją ściskał za rękę.

http://rcin.org.pl

— Anno biedna! tyś nieszęśliwa, ty mnie kochać nie możesz, kochałaś i kochasz Dymitra. — Ona westchnęła i ciemne oczy spuściła ku podłodze. — O tak Anno! ty go kochasz, powiedz prawdę.

— Panie, przestańmy mówić o tem.

— O nie! mówmy o nim Anno, on taki szlachetny, taki waleczny! ja przyznaję, że mu zazdroszczę wiele rzeczy, a nadewszystko twojej miłości; powiedz przedemną wszystką prawdę, jak siostra przed bratem, ty go bardzo kochasz Anno? tyś taka nieszczęśliwa, jeśli on żyje.

— Jakto, albo on umarł? — Przestrach i boleść jak błyskawice szybko i nagle rozmigotały po jej twarzy i w jej oczach.

— Uspokój się, ja nic nie wiem, ale dwa lata... to czas. —

Po raz pierwszy od bardzo dawnego czasu łzy stanęły w oczach niewiasty w przytomności ludzkiej. — Powiedz Panie, proszę ciebie, ty wiesz co z nim się stało, ja nawykłam do nieszczęścia, od jednego razu nie umrę, powiedz proszę — i zwolna ścisnęła mu rękę i płakała, jak gdyby chciała wypłakać u niego słowo co jej może zwiastować wielkie nieszczęście.

Jemu boleśnie, ale on ją tak kocha, z nią płacze. — Anno, o! ty go bardzo kochasz!

— Kocham! kocham! Panie — i osuwała się z węzgłowia na kolana przed nim — ale ja ci wierną byłam Panie, i wierną będę do śmierci. —

On ją podnosił i całował, a ona się nie wzbraniała. — Anno, on żyć musi, ty go tak kochasz, kochaj! kochaj! O nim mówmy, o nim zawsze będziemy mówić — i cisnął ją do siebie i pocałunkiem pieścił, a ona płakała, ale nie wzdragała się od jego pieszczot.

Dziecina w kolebce cicho spała, świecznica jedyny świadek tej rozmowy, tych dziwnych pieszczot, przy skonaniu chwilkami jaśniejszem światełkiem rzucała i widać było jak od łez ożywiało się i piękniało lice niewiasty, jak się trochę, trochę rozpogadzało surowe i ponure oblicze mężczyzny.

Kto był ten mężczyzna?... kto była ta niewiasta?.., oboje nieszczęśliwi?

II.

Mężczyzna, był Piotr Jakubowski pułkownik Czehryńskiego kozaczego pułku, a niewiasta Anna Jabicka, córka Szymona Jabickiego takoż pułkownika kozaczego pułku, dwa lata temu niespełna jednym miesiącem, poślubiona małżeństwem Piotrowi Jakubowskiemu.

http://rcin.org.pl

Trzy lata temu jeszcze Bohdanko Chmielnicki, rozzłoszczony do reszty na polskich panków, może więcej bezrozumnym jak występnym czynem, wezwał ku pomocy Moskwę i chcąc skrócić wybryki, wziąć w karby ładu nieład szlacheckiej Rzeczypospolitej, zadawał śmiertelny cios matce Polsce i sam z nierozważnego człowieka kierował się na wielkiego zbrodniarza; a swojego sprzymierzeńca, białego Cara, narzucał Lackiej Kozaczyźnie na Pana. Wtenczas to Szymon Jabicki, posłany z Kaniowskim pułkiem na zimowe leże po nad kozaczy Teterów, mieszkał z żoną i z dziećmi w starym Cudnowie.

Panna Anna w ówczas miała siedemnaście latek; o i zdrojowa woda nie była swieższa, hoższa od niej i trzcina nie smuklejsza, nie wiotsza od jej kibici; jak wiewiórka tak się wywijała, tak się łasiła: jak raz rzuciła oczkiem na młodzieńca, to aż mu serce na wskroś przeszyła; jak się uśmiechnęła do niego, to aż mu lubo i miło, a tak serdecznie, że nietylko konia i spisę, ale i duszę gotówby dla niej oddać; a kiedy go rączką dotknęła, to mu krew w ciele kipiała jak war, a oczy jak żar się żarzyły. Oj, cudna była dziewczyna, rodzima Laszka, bo Pan Szymon Jabicki herbowy Lacki szlachcic; kość z kości, krew z krwi jednego z towarzyszów Przecława Lanckorońskiego, co to zaszli za Dnieprowe porohy, hulaszczo turbować Bisurmana; swojemi piersiami stawić szańce Tatarzynowi, dla bezpieczeństwa matki Polski.

Szymon Jabicki nie był bogaty ani w srebro, ani w złoto, ani w kitajki, ani w adamaszki; za młodu co łupem nagrabił na wojnie, to w czasie pokoju przehulał z bracią kozakami zwyczajnie po kozaczemu. Jak się żenił z Panną Anną Łobodzianką, miał kozaczy strój, szablę, konia i nic więcej. Po ożenieniu się majątek jakoś nie przyrastał, ale co dzieci, to przymnażało się bez liku. Pan Bóg go kochał bo dziećmi darzył, a diabeł nienawidził, bo pieniędzy nie narajał. W sześćdziesiątym roku swojego życia miał dziesięciu synów i córkę jedynaczkę, więcej kopy ran od szabli, od spisy i od kuli; siły czepkie, szablę ostrą, dziarskie konie a duszę hulaszczą, kozaczą, a do tego żołd pułkownikowski, corocznie płacony przez Króla Jegomości i Rzeczpospolitę Polską i przytem oberchapki na wojnie i w pokoju: więcej niczego nie potrzebował. Synów wszystkich dziesięciu powysyłał do kureniów Zaporoża, do pułków rejestrowych, jednem słowem, porobił kozakami; każdemu staropolskim obyczajem dał na drogę dukat w rękę i trzydzieści batogów na kobiercu, powtarzając: — Słuchaj i szanuj starszych, a bij wroga, to wyjdziesz na człowieka. — O córkę wcale się nie turbował, zawsze swojej starej żonie mówił: — Ciekawa dziewczyna, nie leniwa, za chłopcami nie biega, w posagu ma dostatek urody, a do tego dodamy naszą i naszych rodów dobrą sławę, znajdzie męża.

http://rcin.org.pl

I prawdę mówił, rojem chłopcy wiercili się koło panny Anny, ale między nimi było dwóch co nad wszystkiemi rej wodzili. Piotr Jakubowski, szlachcic herbowy Polski, już podówczas asawuła przy Panu Atamanie Chmielnickim, pan i dziedzic nad Hujwiańskiej Andruszowki i Dymitr Mohyła istnego kozaczego rodu, towarzysz Dziatkowskiego kurenia na Zaporożu, ale pan i dziedzic Słobodyszcz i mnogich włości po nad Hnyłopiatem.

Jakubowski więcej trzydziestu lat liczył, w obozie one przeżył; był to piękny i okazały mężczyzna, choć trochę surowy postawą i obyczajami, miał serce co mogło i umiało kochać; ale przytem miał upór rodzimy Rusina, co to zawsze jedną i tąż samą dumkę śpiewa: bądź co bądź, jak ja chcę to tak być musi; i z Panem Bogiem zerwę i z diabłem się dobratam, żeby postawić na swojem; choć potem pożałuje swojej roboty, to kroku nie cofnie, a dalej brnie a brnie; woli żeby gadano: łotr źle robi; jak żeby powiedziano: czego chciał, tego nie zrobił, co mu się dziś zachciało, to mu się jutro odechciało.

Mohyła ledwie skończył dwudziesty trzeci rok; krasiwy młodzieniec, pyłki, namiętny, zwyczajnie kozak; do wszystkiego brał się serdecznie, z zapałem. Kiedy go raz zapał pochwycił, to go zaniósł tam gdzie żaden rozum, żaden upór nie zaniesie. On jak kochał to kochał, jak to mówią, na zabój.

Serduszko panny Anny od razu skłoniło się do młodego kozaka, bo on jej i ustami szeptał w ucho słowa kochania, i twarzą i oczyma kochanie okazywał, a surowy Jakubowski chociaż kochał i dobrze kochał, swojemi zalotami więcej poszanowania i strachu jak miłości w dziewczynie wzniecał. Anna kochała Dymitra i tego przed nikim nie taiła; państwo Jabiccy oboje sprzyjali kozakowi: matka dla tego, że dostatni pan, ojciec, że hulaszczy młodzieniec, przylepka, dawne lata mu przypominał.

Dwa razy Mohyła z Jakubowskim rąbali się w pałasze o Pannę i dwa razy Jakubowski okiereszowany, musiał Mohyle dać pole. Już były zaręczyny między Panną Jabicką a Panem Mohyłą i ślub miał nastąpić niebawem, kiedy nadeszły owe przygody nieszczęścia na Polskę, owa wojna domowa, zapalona przez Chmielnickiego, a w późne lata skończona zgubą kozaczyzny i złą dolą Polski.

Jabicki dostał rozkaz od Chmielnickiego, żeby co prędzej szedł do Białej-Cerkwi z pułkiem. Stary pułkownik wahał się, czy ma usłuchać rozkazów Atamana, czy sprowadzić pułk do panów Hetmanów polskich; w końcu przemogła powinność żołnierska i uczciwość wojskowa nad przewidywaniem i obawą polaka: on jeszcze nie wiedział o zamysłach Chmielnickiego, tylko się domyślał; poszedł do Białej-Cerkwi z pułkiem i zabrał z sobą żonę i córkę, mówiąc Mohyle — w Białej Cerkwi was

http://rcin.org.pl

pożenię, ojciec Ataman nieodmówi prowadzić mojej córki od ołtarza. Kochankowie przy pożegnaniu popłakali trochę, ale wzajem sobie powiedzieli — zobaczemy się za kilka dni — Mohyła byłby razem z niemi pojechał, ale odebrał naglące wezwanie i musiał stawić się co prędzej u rodzonego brata swojej matki, księcia Dymitra Wiśniowieckiego.

Jakubowski Asawuła Chmielnickiego powiadał: tylko Bóg święty a może diabel drugi wie, co ja dumam, co ja knuję, a więcej nikt — i tak robił. O tem zaś dobrze wiedział, że Mohyła i przez swoje pokrewieństwo z Książętami Wiśniowieckiemi i Zbarażkiemi i przez uczucia swojego serca, będzie z Lachami jedno trzymał zawsze i wszędzie. Widział zaś całe wahanie się Jabickiego. Z tem wszystkiem pobiegł do Atamana: będzie ona moją, będzie ona moją — powtarzał sobie samemu w myśli przez całą drogę, jakby ukochaną śpiewkę.

Niebawem wykryły się na jaw zbrodnicze zamiary Chmielnickiego; stary Jabicki został zelżonym przez Atamana i okutego w kajdany uwięziono w Czehryńskim zamku. O Mohyle przyszła wieść, że własnym kosztem wystawił pułk kozaczy i z nim poszedł pod znaki Księcia Wiśniowieckiego służyć Królowi Jegomości i Rzeczy-pospolitej Polskiej. Jakubowski zaś został pułkownikiem Czehryńskiego pułku; była to pierwsza nagroda pierwszej zdrady.

Darmo stara Jabicka i młoda Anna do nóg rzucały się Chmielnickiemu; łzami zlewały kobierce, po których on deptał, jękiem prośby głosiły pod jego namiotem; on rozsierdzony, piany gniewem, a może i trunkiem wołał: — Precz precz, kto mnie w duch niesłucha, temu na gardło miecz — i wypędził z pod namiotu, jak wyganiają natrętne psy, albo dziada żebraka z żydowskiej izby.

Tegoż samego wieczora stawił się przed niemi Piotr Jakubowski, smutny ale surowy; bez żadnych przedwstępów wprost powiedział — Mam rozkaz Atamański, ale mogę go odprosić; jutro albo Anna Jabicka będzie żoną moją, Piotra Jakubowskiego, albo Szymon Jabicki straci życie; jedno z dwojga, do wyboru — Stara Jabicka jak bóbr płakała, a Anna bez łzy w oku przystąpiła do Jakubowskiego, podała mu rękę — Jutro Anna Jabicka będzie żoną Piotra Jakubowskiego, ale dziś jeszcze niech Ataman wyda rozkaz uwolnienia mojego ojca.

W godzinę później pojechał kozak z rozkazem do Czehryna, aby uwolnić starego Jabickiego z więzienia; i razem zawiózł mu mianowanie na dowódzcę Baturyńskiego zamku. Nazajutrz dzień był ślub Anny Jabickiej z Piotrem Jakubowskim i sam Ataman Chmielnicki odprowadzał nowo zaślubionę od ołtarza: to była druga nagroda dawnej zdrady i dzisiejszego dobrego czynu.

Za nadejściem Moskwy, Chmielnickiego pułki szarańczą

http://rcin.org.pl

runęły na Matezyznę, a Jakubowski dowodził przedniemi strażami i lacką ręką mordował braci lachów, pustoszył Polską ziemię, po Słucz za Słucz; Ataman niewiara obsadził kraj ojczysty swemi buntowniczymi pułkami, a Moskwa wszędzie po zamkach, po grodach swoje załogi postawiała, żeby na wodzy trzymać Chmielnickiego i przyuczać go do jarzma niewoli, a w kraju polskim siać ziarno swojego panowania. Jakubowski w tenczas dostał na posiadanie Słobodyszcze i mnogie włoście, dziedzictwo Mohyły.

Z początku wojny widziano Dymitra Mohyłę, jak na czele swojego pułku, ścierał się raźno, ochoczo, walecznie, z buntowniczą bracią i po swojemu mordował Moskwicinów, ale potem stracono o nim i wieść i opyt, czy zginął na wojnie, czy poszedł w jakie inne miejsce bronić matkę Polskę i walczyć za nią.

Piotr Jakubowski sprowadził żonę i zamieszkał w Słobodyszczach, tak kazał Pan Ataman Chmielnicki, a z Bohdankiem niema co sporzyć, kiedy on każe. Jego nie wiele kosztuje rozkaz; zetnij mu łeb, a zmartwychwstanie po śmierci już się nieprzydarzało w tych niedobrych czasach. Anna powiła Syna mężowi, ale jak przedtem, tak i potem zawsze była jednaka; zimna, smutna, obojętna nawet, ale cierpiąca. Jawnie ni razu się nieuśmiechnęła do swojego dziecięcia, ni razu niezapłakała przed mężem; a co potajemnie myślała, tego nikt niewiedział oprócz spowiednika, a ten nikomu nic nie mówił. Nikła na krasie, terała w sobie zdrowie, cierpieniami duszy i serca snuła wątek życia. I mąż cierpiał i tak oboje żyli w nieszczęściu.

III.

Kilka dni upłynęło od tej chwili, w której Anna po raz pierwszy od dwóch lat zapłakała w przytomności męża. O! jakże to wiele dobra zrobiło, zdaje się, że z temi łzami choć ciężko ale pomalutku wypływał osad cierpienia trawiący serce jak rdza żelazo. Od tej chwili, czy to z mężem rozmawiała o Dymitrze, czy to dziecinę swoją pieściła, czy pozierała okiem po Słobodyszcza stepach, czy spojrzała na pierścień swoich zaręczyn z Dymitrem, zawsze trochę popłakała i zawsze potem piękniejszą i hoższą była; nawet uśmiech, dawny wygnaniec z jej oblicza od czasu do czasu nawiedzał jej usta i krótką chwilkę bawił się z niemi i słodkim wdziękiem życia umilał to życie, dotąd tak smutne, tak martwe.

Bolesnem było mężowi to lekarstwo, które wynalazł na chorobę żony; ale on przy swoim uporze, przy wszystkiem swo-

http://rcin.org.pl

jem złem, miał w sercu i dobro; on nie raz sobie powtórzył: ja jestem twórcą i dawcą jej nieszczęścia; niechże przynajmniej jej ulgę niosę, choćby ofiarą własnego szczęścia, choćby wolnem samobójstwem życia; nie dla mnie szczęście, ona mnie nie kocha a ja tak ją kocham! Na co mnie życie, żeby na mnie ludzie krzywo patrzali, a ja sam siebie nienawidził— Tak rozmyślał i żonie ciągle gadał o Dymitrze; to przypominał dawne miłostki, to bolał nad jej i jego losem, często lękał się, czy Dymitra jakie nieszczęście niespotkało i zawsze obiecywał; niech tylko zjawi się między nas, to mu wyjednam zgodę z Atamanem i oddam wszystko co tylko do niego należy; Anna za jego słowa płaciła mu łzą wdzięczności i uśmiechem wdzięczności i jedną i drugiem pruła po jego sercu, jakby ostrzem noża; on cierpiał i kiedy niekiedy marzył bawidełko nadziei: wdzięcznością przywyknie do mnie, kto wie, czy potem nie będzie mnie kochała — i tym sposobem postanowił uzyskać kochanie nie kochającej siebie, ale przez siebie kochanej niewiasty.

Przed miesiącami Anna niepokazywała się nigdy gościom przybywającym odwiedzać Pana Jakubowskiego i mówiono: mąż zazdrośny młodą żonę jak w muzułmańskim haremie zamkniętą trzyma; on chciał nią się chlubić przed światem, lackim nałogiem, co i lubi, żeby wszyscy chwalili i zazdrościli tego co on posiada; ale nie mógł, Anna niechciała, a teraz sama wychodzi do gości i rozmawia z niemi i gościnność domu umila grzecznością, tą ponętą co czarodziejskim urokiem zwabia odwiedziny — ona to robiła nie z własnego upodobania, ale przez chęć przypodobania się mężowi, przez wdzięczność, ofiarą odpłacała za ofiarę.

Przed miesiącami nigdzie niechciała wyjechać z Słobodyszcz, jak gdyby chciała żywcem zagrzebać się w Dymitrowym zamku, a teraz sama powiada: jedźmy w sąsiadztwo i już nie dodaje Panie, tylko mówi mężu, a czasem nawet Pietrze. O! i jakaż to nagła zmiana? On jej sprowadza adamaszki i złote lamy, perły i klejnoty, sorokami sobole i wszystko czego dusza zapragnąćby mogła, oprócz ptasiego mleka, bo tego nigdzie niedostać. Czy jej to radość sprawia, czy nie, tego niewiadomo, ale zawsze na podziękowanie się mu uśmiecha. Ona się uwzięła, żeby obudzać w jego sercu nadzieję szczęścia przez wdzięczność.

Goście i sąsiedzi ci co nieznali dawniej Anny mówili, jaki szczęśliwy Pan Jakubowski! ma dobrą żonę co go tak kocha; ci co je znali, powiadali czasem; tak kochała Dymitra, a zapomniała o nim, nic dziwnego, zwyczajnie kobieta; w oczach ludzkich Piotr Jakubowski nosił na sobie ciężar ogromnego szczęścia, a w swojem własnem sercu żywił cierpką boleść; bo też to boleść jakich mało, mieć bezustannie w myśli i w ustach imie kochanka swojej kochanki, a do tego żony; i nie módz o nim mówić z gniewem, z nienawiścią, ale z użaleniem się jak

http://rcin.org.pl

o przyjacielu. Jednak już pierwsze nagrody swojej ofiary widział, a nadal zostawała mu nadzieja.

Tak się działo w Słobodyszczach, w zamku, między Państwem Jakubowskimi, kiedy jednej niedzieli z rana pojechano do Tryhur na nabożeństwo, do kościoła księży Bazylianów. Anna nie była ni smutniejsza, ni weselszą jak to jej obyczaj od niejakiego czasu. Jakubowski rozpowiadał w drodze o Dymitrze — dam na mszę, na akafest i jałmużnę każę rozdać, na intencyą o jego pomyślność, o jego prędki powrót, bo on żyć musi, tak mi przeczucie mówi — żona na podziękowanie sama go pocałowała w twarz — Pietrze jakiś ty dobry — i łza zabłysła i pół uśmiech poigrał z ustami, pocałunku samowolnego jeszcze dotąd nie było.

W kościele, Anna modliła się szczerze, na klęczkach, kiedy Bazylianie mnogim chórem poczęli śpiewać hymn na cześć Boga Twórcy i Matki dziewicy i zbawiciela rodu ludzkiego. Ale czegoż tak nagle modląca się niewiasta pobladła, słania się słania, chyli ku ziemi, byłaby się osunęła na kamienną posadzkę, gdyby jej mąż niepodchwycił i niewniósł do zakrystyi. Tam otworzyła oczy — słabo mi było — i chciała stanąć o swojej sile, a musiała się oprzeć na ramieniu męża.

— Moja duszko, co ci jest takiego?

— Słabo mi było, to nic, przejdzie, jedźmy.

— Mój aniele, zajdźmy do księdza przełożonego, tam spoczniesz trochę.

— O nie, dziękuję, jedźmy.

— Poczekaj Anusiu, napij się wody, tyś tak pobladła.

— To nic, mój mężu, jedźmy. — I wzięła go za ramie i błagalnie mu spojrzała w oczy, że on nie mógł oprzeć się jej chceniu i pojechali. —

W drodze Jakubowski przypomniał sobie: niemiałem czasu dać pieniądze na intencye Dymitra, poszlę z domu. Ale Anna nic nieodpowiedziała, tylko parę razy westchnęła smutnie, jakby jaki ciężar przywalił jej serce; mąż łamał sobie myśl na odgadnienie, co ona zobaczyła, co ona usłyszała w kościele; i zawsze przychodził do tego samego wniosku: to jakieś przypomnienie. Anna była smutna, prawie zawsze zamyślona, ale z mężem uprzejma i dziecię swoje pieściła, tylko kiedy mąż mówił o Dymitrze, ona nic nieodpowiadała.

W tym czasie Bohdanko Chmielnicki powołał część starszyzny kozaczej do Perejasławia; Piotr Jakubowski musiał tam jechać; kiedy żegnał żonę, to ją ściskał, całował, a ona mu powiedziała: — Niebaw długo, powracaj do nas — i malutkiego syna podała ojcu i bardzo jej smutno było.

Ze łzami w oczach wyjechał z domu Jakubowski, zaleciwszy Watażce i Sotnikom ostróżność i pilność; bo to w zawojowa-

http://rcin.org.pl

nym kraju, a tam za lada czem, głucha cisza porodzić może gwałtowną burzę.

IV.

Słońce zachodziło gdzieś tam za Skryhłowiecki las, a zachodziło krwano, na wiatr; o! to chwila dumania; choćby jaki człowiek, kiedy stanie i spójrzy na zachodzące słońce, musi chwilkę podumać; bo to przejście z jasnego ruchu życia, do szarego spoczynku, niejako oswajanie z wiecznym snem śmierci.

W Słobodyszczach u zamkowego okna siedziała piękna Anna, na jej kolanach malutki synek piął się, aby rączętami poigrać z gładkiem licem, z kruczym włosem mamy. Ona białą dłonią broniła się od jego pieszczot i powiodła okiem na czerwone słońce i na płowy step oblekający się mglistym tumanem, westchnęła; w tem dziecina chwyciła ją za palce i gwałtem chciała zerwać pierścień zaręczyn z Dymitrem, łzy jej stanęły w oczach; może to on, jego głos, o! nie, to nie on, on tam być nie mógł i spuściła czoło ku dziecinie i jasne jego włoski muskała rumianemi ustami.

Wszedł Watażka zamku, pokłonił się; ceładec poprawił, wąs musnął.

— Wielmożna Pani, ksiądz Bazylian przyjechał z Tryhur od księdza przełożonego.

— To go prosić i prosić Pana Rządcę.

— On chce koniecznie z Wielmożną Panią się widzieć.

— To go prosić — odszedł Watażka, Anna wstała, weszła do drugiej komnaty, oddała dziecko niańce i wróciła na powrót. —

W komnacie już był Bazylian sam jeden. Czemuż u niego tak dumne czoło, wzrok tak groźny, wszak on mnich nie Pan ziemski, nie Ataman Zaporoża. Czegoż ona tak zadrżała, spuściła oczy i naprzód kroku niepostąpiła, wszak ona nie przestępna niewolnica haremu, idąca na zawołanie gniewnego Baszy, tylko bogobojna chrześcijanka staje przed kapłanem Bożym.

Mnich potrząsł głową — Anno! Anno!

Ona oparła się o ścianę — Dymitrze, to ty.

— Ja Dymitr Mohyła twój kochanek — i zbliżył się do niej i chciał ją wziąść za rękę.

— Dymitrze litości, ja mam męża — i padła na kolana. —

On jej niepodniósł, niedotknął nawet — wiarołomna! — takim głosem to wymówił, jak gdyby serce jęknęło i oboje czas jakiś milczeli.

Na jego śniadej twarzy wystąpiło ponure uczucie, czy zemsty czy rozpaczy i błyszczało tak smutnie, jak błędny ognik na gro-

http://rcin.org.pl

bach mogilnika; wzrok miał posępny i czoło posępne, a postać gibka, rosła, nie panoszyła się dawnym zapałem i temi przechwałkami nieszczęścia, cecha człowieka, który więcej chce jak może; niegarbiła się pod ciężarem nieszczęścia, tym znakiem upadku w niedoli, tem żebraniem jałmużny litości, ale była w tej mierze zwyczajnej, która do każdego oka gada: niepotrzebuję straszyć, ani też pomocy i litości niczyjej niepotrzebuję; cierpię ale sam sobie wystarczę w mojem cierpieniu.

Ona podniosła na niego łzawe oczy; jakby na wyrzut jego cierpkiemu słowu.

— Dymitrze, ty wiesz wszystko.

— O wiem, wiem wszystko; daruj Anno i wziął ją za rękę i ona się podniosła, ale zaraz wyrwała swoją rękę z jego ręki.

— Dymitrze, tyś mnich?

— Ja nie mnich Anno! ja wziąłem suknię mniszą, żeby ciebie pomścić, siebie pomścić.

— Ja mam męża.

— Zdrajcę Ojczyzny! zdrajcę ludziom! — Ona pobladła, ale i słowa nie rzekła. — Słuchaj Anno, wyrzeknij się tego człowieka zbrodni, bez czci i wiary — i chciał ją ująć za ramię, oczy mu pałały miłością i prożbą. —

Ona w bok się zemknęła i prędko zawołała, jak gdyby gwałt sercu robiła. — O! nie, nie, to mój mąż.

— Twój mąż. — Przez zęby przepuścił grobowy głos.

— I ty go kochasz Anno? —

Anna milczała.

— Mów Anna, tyś z nim szczęśliwa? —

Szepnęła — szczęśliwa, — i oczy skryła w dłoń.

— Szczęśliwa! wiarołomna! — Zawołał Mohyła i wtenczas postawą, twarzą, był jak dziki zwiastun śmierci i spustoszenia, jak Ataman Zaporoża, kiedy z kureniami mołodców przybieży nad Perekop i powie Tatarzynowi: Nie chcesz co ja chcę, to ogień i miecz swoje zrobią.

— Słuchaj Anno, ty nie chcesz jechać ze mną, ty nie chcesz jego porzucić, śmierć jemu, śmierć wszystkim jego; ja się pomszczę, zobaczemy! —

Ona drżąca blada, pada przed nim na kolana. — Stój Dymitrze!

— Dymitrze, on przyrzekł, on ci wszystko odda.

— Oprócz ciebie.

— On taki dobry, on tak mnie kocha.

— Precz wiarołomna. — I odtrącił ją od siebie. — Ty za nim błagasz. Precz! precz! — Ona jęknęła i twarz przyłożyła do nagiej podłogi; zimno jej było, gorąco jej było; dreszcz porwał ciało, a dusza tak się zbłąkała, iż straciła pamięć. Kiedy otworzyła oczy, była na węzgłowiu, a mnich bazylian Mohyła

http://rcin.org.pl

klęczał koło niej, łzami ją trzeźwił i białą jej rączkę przyciskał, to do ust, to do serca. Z cicha ustami zaszemrała.

— Dymitrze, mój Dymitrze!

— Anno, ty mnie kochasz?

— Kocham, o! kocham. —

Mohyła twarz swoją zbliżył do jej ręki, chciał ją ująć.

Ona wymknęła się. — O! nie, nie, nie. — I stanęła na nogi i oczy jej błyszczały i twarz była rozpłomieniona; złożyła ręce jak do modłów. — Dymitrze litości, ja mam męża.

I on złożył ręce dłoniami. — Anno litości, ja ciebie kocham!

— Nie dla nas szczęście.

— Dla nas, dla nas Anno. — I znowu chciał ją pochwycić; ona jeszcze raz obroniła się.

— Dymitrze, powinność! ludzie! — I błagała go oczyma jakby o życie dla siebie.

— Ty mnie nie kochasz Anno.

— O kocham!

— Anno, kiedy mnie kochasz, bądź ze mną. — Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie; z początku się nie opierała, ale nagle zatrzymała się. — Słuchaj Dymitrze, ja z tobą ucieknę.

— Kiedy?

— Dziś.

— Zaraz?

— Jakże, jeszcze dzień, przy ludziach.

— Prawda, więc w nocy.

— A straże? —

Pomyślał. — Słuchaj Anno, w komnacie twego ... — Zgrzytnął zębem. — Tego zdrajcy, za makatą, tam gdzie był wizerunek ojca; nie wiem czy teraz jest ... — Westchnął. — O ja wiem, że tam w tej mojej komnacie, ten zdrajca obrał dla siebie mieszkanie dzienne; tam w murze jest głowa gwoździa wsunięta w mur, gliną zabielona; chodźmy tam.

— O nie, ja znajdę, mów Dymitrze.

— Znajdziesz; prawda, to na gładkim murze dołek znaczny, pociśnij, odskoczą drzwiczki i zobaczysz schodki, nie lękaj się Anno, choć one kryte i ciemne, ale wygodne: to droga do mnie, do naszego szczęścia; trzymaj się ręką muru i idź ciągle pieczarą, nie zbłądzisz, tylko kroku nie cofnij, idź naprzód; jak usłyszysz szum i mruczenie, nie lękaj się, to rozmowa Hnyłopiata ze zwirem i ze skałami, a ja tam będę czekał na ciebie, moja luba, moja jedyna, nie zabraknie nam światła, nie zabraknie szczęścia. Anno! Anno! ty mnie przyrzekasz? —

Spuściła czoło ku ziemi, zarumieniła się jak jagoda maliny; nawet z lekka zadrżała jak liść osiki. — Przyrzekam Dymitrze. — I ścisnęła mu rękę lubym uściskiem.

On ją w rękę całował. — Anno, moja Anno! — Głos mu

http://rcin.org.pl

dygotał, twarz mu zakraśniała, oczy iskrzyły się jak żarzewie węgla, z ust gorącym tchem wionął.

— Dymitrze, uciekaj, bo wszystko się nie uda. — I drżała jak w febrze.

— Anno, jeden pocałunek.

— O Boże! — I pocałowała go. — Uciekaj.

— Bądź zdrowa Anno! o północy, pamiętaj! pamiętaj! — Puścił jej rękę i szybko za drzwi pyszedł, widać, żeby się nagle od niej oderwać: jak piany, jak szalony. —

Ona na węzgłowie padła. — Dymitrze! Dymitrze! — I ramiona ku niemu wyciągała i na oczy polotna rzęsa spadała: i dziwno, nieznano, lubo jej na duszy, ale jego w komnacie już nie było.

Długą godzinę trwała rozmowa Pani z Bazylianem, a nikt nie śmiał jej przerwać. Choć słyszano głuchy płacz i głuchy jęk i głośniejsze słowa, nikt nie śmiał wejść do komnaty, bo taki był rozkaz Pana: nigdy nie stawić się przed obliczem Pani, póki ona sama nie zawoła; a ona nie wołała i nikt nie wszedł, choć niańka Tetiana i Wataźka Semen, dawny i nieostępny sługa i towarzysz Piotra Jakubowskiego, byli tuż w pobliżu, gotowi na jej rozkazy.

V.

Noc była czarna, na Bożym świecie, jak w pieczarze, nie masz srebrnego księżyca i gwiazdki wszystkie co do jednej się pochowały; wiatr wył jakby na raz z tysiąca tysiąców paszcz wypierał dech i dzienne ponure gawędy pomrukiwał w konary stuletnich dębów, szatańskim poświstem poświstywał w suche badyle bodiaków, i szumiąc głaskał i wichrował osoki stepu.

Od Szwejkówki, wartkim prądem Hnyłopiata, mknęło czółno, dwóch wioślarzy kiedy niekiedy pluskali wiosłami, a trzeci stał w czółnie, poglądał okiem po ciemnej przestrzeni i nic nie widział.

— Ułasie a daleko?

— Serdeczny ojcze, jeszcze z piędziesiąt gon. — Wtem z pomiędzy wycia wiatru dało się słyszeć niby dalekie dziawkanie psa.

— To Żurbyn futor.

— A żyje stary Żurba?

— Dziwo, że żyje, ale nie w futorze; jak Wielmożnego Pana nam nie stało, to i nie stało i starego; ten Jakubowski oddał futor swojemu słudze, żydowi przechrzcie, a stary Żurba poszedł z torbami w dziady.

http://rcin.org.pl

— To ten zdrajca wiele wam złego robi?

— Oj! żeby to on był najlepszy, to nie będzie taki jak ty serdeczny ojcze; to daremna rzecz. Twój ojciec panował naszym ojcom; twój dziad naszym dziadom: tak zawsze było, trzeba Panie, żeby twoje dzieci panowały naszym dzieciom. —

Mohyła westchnął.

— Nie smuć się Panie, tak ono będzie, to twoja Batkowszczyzna tego nie przerobi ani Pan Chmielnicki, choć on bardzo silny, ani biały car, choć on bardzo wielmożny; jak oni nam gwałtem narzucili Jakubowskiego na Pana, tak my jego wyrzucimy gwałtem, jedno tylko słowo powiedz Panie. —

Mohyła dumał, a drugi wioślarz się odezwał.

— Dobrze mówi Ułas, każ serdeczny ojcze, a zobaczysz czy w mig Jakubowskiego diabeł nie weźmie, bo to co prawda, to prawda: co tam jakiś Jakubowski, to nie nasz Pan Mohyła, daleko kusemu do zająca. Czy to on z ludźmi tak jak Pan rozmawia? u niego inaczej nic tylko: Pójdź precz huncwocie, psiawiaro zrób to, suczo jucho nie rób mi tego; jakby to ludzie Boży psami byli? u jego Watażki, asawuły batogami niewiasty nasze chłoszczą, ludzi aby za co do husaka pakują, ćwiczą łozami i na wstyd starcom brody golą. Haj! haj! tak za Pana nie bywało. —

Pies podziawkiwał sobie, a kur zapiał w futorze.

— Ułasie, Matwieju prędzej, już północ.

— To pierwszy raz kur pieje; ale ot i Słobodyszcze, teraz cicho, bo straże wrażego panka jak nocnice czuwają. —

Wdali błyskało światełko na zamkowej wieżycy i słabym odblaskiem kąpało się w wodzie, a tak słabym, że nawet cień zamkowego cielska i narożnych baszt niezarysował się na tle Hnyłopiata.

U Mohyły serce w łonie biło silnie i niecierpliwość i obawa szamotały myślą, jak koło młyńskie sześciernią; nie przez ostrożność, nie przez trwogę, ale przez nałóg wojenny, za pasem pod kozaczą świtą opatrzył pistolety i poprawił rękojeść atagana. Już to niebył mnich Bazylian, ale kozak w świcie, w chłoszczniach i w baraniej czapce; przy cieniach nocy nie było widać ani jego twarzy, ani postawy, a ciekawa byto rzecz zobaczyć, jak hulaszcze dziecko Ukrainy, kochanek jawnej wojny, złodziejem mknął na czółnie, nie palić Bisurmańskie grody, nie pieśnią śmierci budzić Tatarzyna, ale kraść cudzą żonę; choć miłość dmucha w serce, choć nadzieja poigruje z duszą, jednakowo musi mu być aby trochę wstydno w oczach: tak nigdy nierobili mołodce Zaporoża; oni zamki palili, wycinali w pień załogę, niekradli ludzi ale gwałtem zabierali, wśród białego dnia, albo wśród jaśniejszej jeszcze nocy, bo przyświeconej łunem zniszczenia, znakiem, że Zaporożec zabrał cudze dobro, a boju i pogoni się nielęka.

http://rcin.org.pl

Czołem zwichnął w lewo, z cicha grzbietem otarł się o żwirowate kamyki i stanął; Mohyła żywo wyskoczył, woda chlupnęła, piasek brzegu skwirknął, błysnęło, kilka strzałów na raz huknęło. Przy tym nagłym błysku Mohyła spostrzegł kilku ludzi na brzegu, migiem wychwycił pistolet z za pasa i strzelił w tę stronę. Głos jakiś przeraźliwie krzyknął. — Och! żywo bieżcie, łapcie szelmę.

Ale już Matwij porwał w pół Mohyłę gwałtem i wniósł go na czółno. Pociemku mnodzy ludzie przybiegli na brzeg aż w wodę skoczyli, po raz drugi strzelili, aż ołowiane kule zapluskały po wodzie jak na wtór gęstemu i silnemu pluskaniu wioseł; przy błyśnięciu zajrzano jak czółen wiosłował pod wodę i stamtąd huknął jeszcze strzał i zagrzmiał głos silny ale bolesny: — Zdrada, wiarołomna, zobaczemy. — I w cieniach nocy wszystko zniknęło, a wiatr wył jak dawniej.

Wtenczas kiedy Mohyła czółnem płynął po rodzinnym Hnyłopiacie, w zamku Anna po gorączce miłości, z nią walczyła powinnością ku mężowi i miłością ku malutkiej dziecinie. O! jakże się ona dręczyła te kilka godzin od szarego wieczora do północy; i płakała i modliła się i pieściła dziecinę i całowała obrazy świętych pańskich; z początku ludzi szukała, na niańkę, na swoje służebnice, na Watażkę, na Pana Rządcę, na wszystkich patrzała, błagalnym wzrokiem patrzała, jakby żebrała u nich słówka rady, oni milczeli, bo ona o nic ich niepytała, a oni zapewne o niczem a niczem niewiedzieli i wiedzieć nie mogli. Niańka Tetiana tylko smutnie na nią pozierała i ciągle jej przynosiła synka do pieszczenia. Watażka Semen był ponury milczący jak zawsze.

Weszła sama jedna do komnaty, w której mąż składał swoję broń, bogactwa i papiery, na makacie wisiał wizerunek, ale zakryty czarną kitajką. Anna podniosła kitajkę i odsłoniła popiersie Jeremiego Mohyły Wojewody Kijowskiego, ojca Dymitra. Jakże on podobny do syna! takie same oko ciemno-siwe, namiętne i czoło tak dumne i twarz taka śniada, iskrząca zapałem. Anna patrzy i serce jej rośnie miłością: to on, to on, on taki; odwinęła makatę, znalazła w murze wskazany dołek, już prężyła rękę do pociśnięcia, kiedy coś nagle i niespodzianie stuknęło w komnacie, puściła makatę i wstecz się cofnęła, wzrokiem rzuciła do koła komnaty, nic niewidzi, nareście dostrzegła w drugim rogu komnaty bułatny miecz męża, zerwał gwoździ i padł na podłogę; sposępniała myślą, ale znowu jej oko przybłąkało się na wizerunek Jeremiego Mohyły i już wracała do makaty, kiedy dziecina w trzeciej komnacie głośno zakwiliła; drgnęło matczyne serce, pomyślała: biedny synek on prosi — mamo niezostawiaj mnie sierotą. Nieposzła do makaty, tylko zbliżyła się do okna; otworzyła ramy, okiem rzuciła na ciemny świat, ustami chwyciła wiatru, widno, że nowym chło-

http://rcin.org.pl

dem chciała ostudzić piekło serca, niedumała, tylko stała jak w obłąkaniu i po chwili dopiero poczęła przychodzić do siebie. Wiatr wył na dworze, a dziecina kwiliła w komnacie, Annie łzy pocisnęły się do oczów i szepnęła: niepójdę, niepójdę.

To ciche: niepójdę, było niejako hasłem do nadbrzeżnych strzałów, bo w tejże samej chwili huknęły one nad brzegiem. Anna krzyknęła, boleśnie, przeraźliwie, chwyciła się za ramę i tam zawisła; czy chciała przez okno skoczyć, czy okno zamknąć, niewiadomo, siły ją opuściły, a na jej krzyk przybiegły służebnice i zaniosły do łoża chorą Panię.

Nazajutrz dzień Anna cierpiąca w łożu, główki podnieść nie mogła, mdłym wzrokiem wodziła po komnacie; promienie słońca lśkniły się po karmazynie makaty, koło łoża siedziało dwie służebnic, dalej na stolku siedziała niańka Tetiana, kołysała dziecinę, a sama rzewnie płakała. Anna kilka razy westchnęła, zdało się, że chce przemówić, a nie może głosu wyrzucić, nareszcie rzekła. — Co to było? zadrżała i zmrużyła oczy, chce wiedzieć a boi się usłyszeć co to było.

Jedna ze służebnic powiedziała; wczoraj jacyś ludzie chcieli się podkraść do zamku, Watażka Semen zabity.

— Zabity... powtórzyła Anna, a... i głos jej zatrzymał się.

— Nikt więcej, tych ludzi odpędzono, posłano za niemi w pogoń. —

Tetiana spojrzała na Panią i jeszcze bardziej zaczęła płakać. Watażka Semen był najstarszym bratem, jedynym opiekunem Tetiany.

VI.

Pogoń nie mogła znaleść poszlaki o Mohyle, Anna jeszcze nie opuściła łoża choroby, kiedy przejechał Piotr Jakubowski. On ją witał ze łzami w oczach, z troskliwą obawą w sercu; ona nieśmiała podnieść na niego wzroku, jak gdyby zbrodnię jaką popełniła, a malutki synek bezustannie łasił się to do ojca to do matki, jak gdyby temi pieszczotami chciał ich zespolić z sobą.

Markotno było Jakubowskiemu po wieści o śmierci Watażki Semena, zaczął o tem mówić przy żonie, ale widząc jak ona bladła, drżała, rzekł — moja duszko niech to ciebie nie trwoży, tego zamku nikt niezdobędzie nawet podejściem; i przestał mówić przy niej o nieszczęsnym wypadku, co pozbawił najwierniejszego sługę i najlepszego przyjaciela.

Wieczorem kiedy żona trochę usnęła, on zawołał Tetianę do swojej komnaty i rozpytywał, co tu się działo w jego nieprzytomności. Nie miał on zwyczaju szpiegować żonę, czy to sam czy to przez szpiegów, ale tą razą jakieś niepojęte uczucie

http://rcin.org.pl

pchało go do wywiadywania się. Tetiana opowiadała mu o bytności księdza Bazyliana. — Długo on długo rozmawiał z naszą Panią, niewiem czy spowiadał, czy jakieś nieszczęście zwiastował Pani, ja ani słówka jednego niesłyszałam; Pani miała twarz zapłakaną i była cierpiącą, niespała jeszcze kiedy to nieszczęście się stało i poczęła płakać.

— Tetiano ja ci bratem, opiekunem — chwila była milczenia, nareście Jakubowski je przerwał — co więcej?

— Pani była w Pańskim pokoju, za ramy się trzymała, kiedy strzelono, myśmy ją tak zostali?

— A Semen widział tego Bazyliana?

— On go sam wprowadził, Pan wie, on nigdy wiele niegadał, jakby żałował słów; kiedy wychodził na swoje nieszczęście powiedział mnie: Tetiano pilnuj Pani, ja temu poradzę, raz z tem wszystkiem trzeba skończyć a dobrze; z tych słów nic ja niezrozumiałam. —

Jakubowski myślał i chodził wzdłuż komnaty, a Tetiana wpatrywała się w wizerunek Jeremiego Mohyły, który, że był odkryty, w swojem zadumaniu niewidział Jakubowski.

— Tetiano, ten ksiądz czy był stary, czy młody i jaki?

— Oto tak podobny do tego — i wskazała palcem na wizerunek — jakby to był on wymalowany. —

Jakubowski spójrzał na wizerunek — kto go odsłonił.

— Niewiem, myśmy tak zastali, Pan wie, że do Pańskiej komnaty nikt niechodził oprócz Pani i Semena. —

Jakubowski patrzał na wizerunek. — Taki?

— Och taki Panie, tylko bladszy trochę i mężniejszy i nie tyle chudy.

— To on, to on. Tetiano idź mi wołaj rządcę, sotników. — Tetiana wyszła, a on w gniewie stukał o podłogę. — To on, to on! Niewierna! — Opuścił ręce. — A ja tak ją kocham, tyle wycierpiałem i tylebym jeszcze był zrobił; gdyby przynajmniej tam het, daleko, majaczał choć cień nadziei . . . a teraz wszystko stracone. — Zacisnął zeby. — Ludzie ze mnie będą się śmieli, ona może już się nie raz śmiała. — Podniósł czoło. — O nie! pokażę, że i ja zemścić się potrafię i mogę. —

Od rządcy, od sotników nic więcej dowiedzieć się nie mógł, tylko, że czółno przypłynęło z prądem rzeki od Szwejkówki, bo ludzie Semena nie słyszeli chłupotania wiosła, a widzieli jak pod prąd odpłynęli: jedni utrzymywali, że było trzech, drudzy, że czterech, inni, że dwóch tylko ludzi, ale wszyscy godzili się na jedno, że ich było niewielu. Jeszcze w nocy pogonie poszły na wsze strony, z białym dniem szukały jak zająca po czarnej stepie i to w listopadzie, kiedy zając w kotlinie kamieniem siedzi i nigdzie wynaleść nie mogli winowajcę.

Jakubowski jeszcze tej samej nocy opatrzywszy zamek i sprowadziwszy do niego z miasta moskiewską załogę, bo wten-

http://rcin.org.pl

czas Słobodyszcze było grodem zamieszkałym przez cztery tysiące samych greków zbiegłych przed okrucieństwem Muzułmańskiem. Sam na czele trzystu jeźdźców, ruszył do Tryhur, a panu Rządcy polecił udać się do Szwejkówki, do Rajek, do Skryhlówki, nadbrzeżnych siół Hnyłopiata, tam wszystkich rybaków zebrać i spędzić ich do zamku i zamknąć w podziemnem więzieniu; w siołach postawić liczne załogi i pilnować podróżnych i sielskich ludzi.

Wszystkie te zachody zapóźne; w Tryhurach sam Jakubowski, mimo opór przełożonego, ze swojemi kozakami wszedł do klasztoru i otoczył klasztor. Szukał i nie znalazł. Z nad Hnyłopiackich sioł naściągano mnóstwo Bożego ludu, niewinnych łozami ćwiczono, do więzień pozamykano, a nie dowiedziano się nic o Dymitrze Mohyle! W Słobodyszczach, w grodzie nękano mieszkańców na darmo.

Wrócił Jakubowski surowy, ponury, ale żadnem słowem nie pokazał żonie, ani gniewu, ani podejrzenia; dniami i nocami czuwał przy jej łożu, ale wzdragał się na samą myśl mówienia o Dymitrze Mohyle. I Anna bała się tej mowy, i dla tego ciągle przemawiała do męża, różne rozmowy wynachodziła, bo lękała się, żeby milczenie nie było powodem mężowi do rozpoczęcia dawnego zwyczaju gadania o nieszczęsnym a lubym kochanku. Ona wdzięczna była mężowi za jego czułość, bolała nad jego smutkiem, bolała nad swojem i kochanka nieszczęściem; chciałaby przed mężem wyznać wszystko a wszystko, a nie śmiała, choć tą myślą nieraz się bawiła.

On dalekim był od wypytywania żony, wolał dręczyć się niepewnością, jak wiedzieć o swojej złej doli; jakiś zły duch w ucho myśli mu szeptał: ona ci niewierną była, tak się uśmiecha, tak często mówi do ciebie, żeby ciebie oczarować i zagłuszyć twoje ucho, zaślepić twoje oko; to zwyczajne zabiegi występnej niewiasty. Stokroć razy zemstę zaprzysiągł i stokroć razy powtarzał: ja tak ją kocham.

VII.

Po kilkunastu dniach choroby, Anna wstała z łoża, zachwycająca tą niemocą, co to niewiastę na pół odrywa od ziemi i zawiesza ją niejako między ludźmi a aniołami nieba. Pięknie jej było, uroczo, z tem bladem licem, z tem zatroskanem okiem, z tą kibicią wiotką, chwiejącą się, co to się zdaje od najmniejszego wiatru walić; patrzeć na te kroki niepewne, nieśmiałe, a tak lekkie jakby ona cała była z puchu zwiana; patrząc na piękność omgloną cierpieniem i tęsknotą, trzeba było ją kochać, bo ona zdawała się garnąć do oka i do myśli z prożbą o opiekę.

http://rcin.org.pl

Jakubowski ją kochał, jak dziecko ją piastował, życieby dla niej oddał, a jednak to swoje życie zatruwał podejrzeniem i zazdrością, a myśl pomsty nawiedzała go od czasu do czasu, nie jak natrętny gość, którego serdecznie pragniemy pozbyć się a nie możemy, bo on ma wolę aby nas odwiedzać silniejszą niżeli my mamy, aby przed nim dom zamknąć.

Jużby zwyczajem ludzkim zapomniano w Słobodyszczach o tej przygodzie, która zrządziła śmierć Watażki Semena, gdyby nie mnodzy więźniowie cierpiący w podziemnych więzieniach zamku. Pan na nich się uwziął: pod chłostą w kajdanach pozamierają, jeżeli prawdy nie powiedzą; a oni cierpieli i milczeli. Przed Panią wzbroniono było o tem mówić; tak kazał pan, a wara, nieszczęście jego rozkazowi przekroczyć. Anna o niczem nie wiedziała, ale gdyby i wiedziała, brakłoby jej odwagi błagać męża, bo trzebaby było odkryć tajemnicę długo tajoną; nie z potrzeby, ona tak była niewinną jak przed widzeniem Dymitra, ale przez pustą obawę, przez pusty wstyd. Niewiasta przestępna czynem, ma zawsze więcej i śmiałości i wybiegów, jak ta, co zawiniła myślą tylko.

Już dochodziła wieść, że Panowie Hetmani Koronni i Litewscy, zbierają wojska na poskromienie buntów niewiary Chmielnickiego, na wypędzenie Moskwy z Lackiego kraju, ale to była tylko wieść. Pan Chmielnicki biesiadował w Perejasławiu, a kozacze pułki stały spokojnie po swoich leżach. Gadano wprawdzie, że dziady z torbami chodząc po jałmużnie rozdawali między lud Boży lackie pieniadze, że lirnicy grali i śpiewali dumki o królach Polskich, a guślarze opowiadali o dawnych i dobrych czasach, kiedy kozacy z Lachami byli nieraz dzielną bracią, a Lacki Król ich ojcem; ale to tylko gadano, każdy to słyszał od tego co sam od kogoś słyszał, a nigdy nie trafiono na pierwszego dawcę tych rzeczy.

W Słobodyszczach w zamkn wszystko było po staremu: żona chorą, mąż ponury; on nieśmiał zapytać o prawdę, ona nie śmiała prawdy powiedzieć i oboje cierpieli.

Była to sobota, dzień Matki Dziewicy; po pięknem i jasnem słońcu nastał wieczór, księżyc zaszedł za rania, ani słoty, ani wiatru nie zapowiedział, ale za rania się schował i na niebie było ciemno, ale taka cisza w powietrzu, iż w zamku słychać mruczenie Hnyłopiatowej wody.

Już oboje państwo ucałowali, upieścili, malutką dziecinę i spójrzeli na siebie, Anna podumała: czemu ja tak kochać nie mogę męża, jak kocham mojego syna. Jakubowski pomyślał; czemu ona tak mnie nie kocha, jak kocha moją dziecinę, a ja tak ją kocham. W tem wpadł zadyszany sotnik i powiódł pana na tajemnicę do drugiej komnaty.

— Ojcze pułkowniku, po naszych siołach chłopi się pobunto

http://rcin.org.pl

wali, z Tryhur ćma ludu ciągnie na zamek; mówią, że na ich czele Dymitr Mohyła, a z nim księża Bazylianie. —

Jakubowski skinął głową. — To nic, cicho, chodź ze mną — i wyszedł dawać rozkazy.

Niebawem wrócił, cierpka boleść i niepokój skrzyżowały się na jego twarzy; w oczach była surowa ponurość, wziął za rękę żonę.

— Anno chodź proszę, chcę z tobą pomówić — i prowadził ją do swojej komnaty, a ona szła jak pajęczyna z wiatrem, poddawała się jego woli. —

Już w komnacie, oboje siedli na węzgłowiu na przeciw wizerunku Jeremiego okrytego na nowo czarną kitajką. Anna tak drżała, że musiała się oprzeć o ścianę, a jemu tak jej żal, iż słowa zamarły na ustach, nareszcie zrobił na sobie wysiłek, wstał z miejsca i postawił krok ku przeciwnej ścianie i zatrzymał się.

— Anno, Anno, powiedz prawdę, to minęło... —

W tem kilka strzałów huknęło na dworze, Anna schwyciła się na nogi, — Ach; to on.

Jakubowski niewyskoczył z komnaty, niebiegł do żony, tylko szybko zbliżył się do przeciwnej ściany, zerwał kitajkę z Jeremiego obrazu. — Niewierna patrz!...

Ona na węzgłowie padła, załamała ręce. — Tam, tam, to on! mężu! Dymitrze!

— Jakubowskiemu pociemniało w oczach, gwałtowna rozpacz zamilkła na chwilkę, a zemsta wołała o swoje, wychwycił miecz z pochwy i stanął nad żoną. — Niewierna! niewierna! A ramie mu zakostniało, miał wolę, a nie miał siły spuścić miecz na tę piękną szyję; w uszach mu szumiało; niesłyszy hucznych i gęstych strzałów i przeraźliwego wrzasku na dziedzińcu — zdrada! zdrada; ognia! palić! w oczach mu iskry latają a niespojrzał, że pod samym zamkiem się rzezą, do komnat wpierają, a zapalone głównie pod same szyby migają.

Anna wyciągnęła do niego ręce — zabij, zabij! a ratuj moją dziecinę — i wiła się po węzgłowiu, jakby ją wielka choroba napadła.

Tu zastukało za ścianą, zatrzaskotało, aż mur zachrupotał; głos donośny wrzasnął, za mną, za mną!

— To on, to on — schwyciła się Anna.

— On, powtórzył Jakubowski i odwrócił się do żony. —

Obraz Jeremiego zleciał, odwinęła się makata i ukazał się Dymitr Mohyła, ze zdobytym mieczem, po kozaczu.

— Ha psie zdrajco! skoczył ku Jakubowskiemu, ale już żona stanęła przed nim, na palce się wspięła, ramiona wyciągnęła aby go sobą zasłonić.

— Mnie zabij, mnie Dymitrze:

— Ty go bronisz wiarołomna! zdradna!... i już ramię z mieczem na cięcie prężył. —

http://rcin.org.pl

Jakubowski odtrącił żonę. — Precz niewierna — i obadwa wrogowie mieczami się pocałowali i tną się na dobre.

Ludzie Mohyły wyskakują z skrytych drwi — on woła, ani go tknąć, mnie zostawić, dalej po zamku i rąbią.

Anna za nogi chwyta, to męża, to Dymitra, przeraźliwym głosem błaga, oni ją włóczą po ziemi, odtrącają a sami mordują się.

W zamku i dziedzińcu i wszędzie bój i pożar zaczyna się dymem kurzyć, płomykami buchać.

Mohyła ranny, ale Jakubowski krwią zlany już na ziemi słabym głosem woła — Anno! Anno! nasz syn, ratuj. I u Anny matczyne serce drgnęło, ze szczęku, jęku i wrzasku, kwilenie dzieciny zdało się dolatywać do uszów, matka skoczyła do dziecka, a Mohyła ostatniem pchnięciem wyparł duch z Jakubowskiego. — Giń zdrajco! — i sam się zmógł, upadł, a jego ludzie wynieśli go na dziedziniec.

Na dziedzińcu jeszcze się mordują, a cały zamek już w płomieniach, bryżdżą iskry na wsze strony, trzeszczą i łomoczą się belki i wiązania.

Mohyła przyszedł do siebie i woła Anno! Anno! gdzie on jest! drabin! za mną!

W tem oknie narożnej wieżycy, pośród czerwonych płomień, ukazała się niewiasta w bieli z dzieciną u łona; mimo trzask i łomot słychać jej głos macierzyński. Ratujcie, słomy, słomy na dole.

I w mig zniesiono słomę pod wieżę, Mohyła ramiona ku wieży wyciągnął — Anno! Anno!

Ona pochyliła się, rzuciła dziecinę i tak była pochyloną mimo płomienie, dziecina padła, zakwiliła, na ręce ją wziął kozak i kilka głosów zawołało: — Zdrowe! zdrowe!

Anna złożyła ręce i słychać było jej głos. — Dzięki ci Boże! dzięki wam ludzie! Dymitrze bądź opiekunem memu dziecku! bądź zdrów! — I zniknęła z okna, a czerwone łuno płomieni zajęło jej miejsce.

Mohyła skoczył ku zamkowi: — Za mną, za mną. Anna moja Anno! — Daremna rzecz, zamek płonął i w zgliszcza się walił, a ludzie Mohyły do reszty załogę zamku wyrznęli.

Biały dzień zajaśniał, słońce wesoło, złotawo się podniosło, zamek dogorywał, moc moskiewskich a niewiele kozaczych trupów po ziemi się walało; ludzie ci co przyszli z siół i ci co byli w więzieniu i ci co zostawali w służbie u Pana Jakubowskiego, witali się i wzajem sobie mówili: — Wszyscyśmy tęgo robili, jak gwałtem nam narzucili Pana Jakubowskiego, tak gwałtem my go precz wyrzucili, a teraz niech żyje nasz rodzony Pan Mohyła! — I księża Bazylianie, to hymny podziękowania, to

http://rcin.org.pl

pieśni pogrobowe na przemiany śpiewali, a Dymitr stał jeszcze na dziedzińcu, pod burką tulił dziecinę Anny; czoło miał wzniesione ku rumowisku wieży, a w oczach gorzkie łzy.

Przeszły lata, na rumowiskach zgorzałego zamku usypano mogiłę i na tym mogilniku trupów ludzkich postawiono kaplicę na cześć pośmiertną Annie Jakubowskiej; na innem miejscu odbudowano zamek, nie taki jak dawny; Dymitr Mohyła z Królem Janem pod Wiedniem i w Węgrzech wojował Bisurmanów, potem został kozaczym Atamanem i z mołodcami Podole obronił od Bisurmańskiego napadu, a zawsze był przy nim młody Jakubowski; Mohyła powiadał i sobie i ludziom, to mój wychowaniec, to syn Anny.

Przeszły jeszcze lata mnogie a mnogie; wielkie miasto Słobodyszcze, nowy zamek i kaplica tak zniknęły jak zamek stary; niesłychać już o rodzinie Mohyłów w kozaczej ziemi, kozacza rodzina Jakubowskich gdzieś za Dnieprem się posiedliła; Słobodyszcze z wielkiego miasta dziś nieogromne sioło, a jednak tam wszyscy od starca do dziecięcia mówią jak o wczorajszym wypadku, o Dymitrze, o Annie, o starym zamku i o dawnym ludzie nad Hnyłopiackim.

KONIEC.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

PRZYPISY.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Powiastkę niniejszą osnowałem na wypadku, który się istotnie przytrafił na Ukrainie w czasie nieszczęsnej koliszczyzny, zwanej powszechnie rzezią Humańską. Hrabia Roman Załuski opowiadał mi o tym smutnym wypadku; rad jestem, że mu mogę powtórzyć na piśmie moje szczere podziękowanie, które już oświadczyłem słowami. Jest to dar przyjacielski zrobiony powieściarzowi, dla którego wielkiem będzie zadowolnieniem, jeśli dawca nie będzie markotnym ze sposobu wystawienia swojego daru przed światem czytającym. Przyznaję się, iż dokończenie tego wypadku miało wiele a wiele dramatycznej treści, ale miałem powody słuszne czy niesłuszne, lecz dla mnie ważne, do niekończenia ostatecznego tej powiastki. Dla zaspokojenia ciekawości czytelników, pozwalam sobie powiedzieć, że w 1818 roku, Marya żyła jeszcze gdzieś daleko na Zadnieprzańskiej Ukrainie. Wnuk Maryi żyje, a może i ja kiedyś dosnuję powieść, jak się zmienią czasy i okoliczności.

Str. 10. w. 9. Wołokita, włóczęga niemający przystanowiska, koczujący bezustannie z wioski do wioski. Używają tego wyrazu, mówiąc o chłopie niemającym rodziny we wsi.

Str. 12. w. 4. Bechtać, podmawiać.

Str. 12. w. 18. Pronoza, chłop bystrego rozumu, co to o wszystkiem wie i wiele rzeczy odgaduje; rzadko kiedy młodemu człowiekowi dostaje się to nazwanie, trzeba, aby doświadczenie dało mu do tego prawo.

Str. 14. w. 10. Hołubić, przygłaskiwać dobrem postępowaniem.

Str. 16. w. 24. Dubno, miasto powiatowe na Wołyniu, sławne kontraktami, które dziś odbywają się w Kijowie.

Str. 21. w. 24. Hys, miejsce wystawione na wszystkie wiatry; najczęściej znajduje się na cyplach lasów, na wzgórzu po nad jarami. Według mniemania gminnego, kiedy szaruga albo zawierucha się zerwie, a diabeł próżnuje, to tam bieży dla zabawki.

Str. 22. w. 12. Schadzka wilków zaczyna się w dzień Niepokalanego Poczęcia, a kończy się w dzień Najświętszej Panny Maryi Gromnicznej, 2go Lutego. Wilcy gromadzą się czasami do sześćdziesięciu, a jak mówią, że i więcej; samem raz widział trzodę wilków złożoną z trzydziestu kilku; nie strach nam zdwoił ich liczbę, bo jechało nas ośm sani za saniami, a wilcy o kilkaset kroków nad drogą wyigrywały się w śniegu. W czasie tych schadzek są daleko śmielsi na stepie jak w lesie; w lesie boją się zasadzki i rzadko kiedy napadają, na stepach zaś bardzo często zdarzają się owe napady.

http://rcin.org.pl

W roku 1826, między Czerniechowem a Żytomierzem, trzech huzarów moskiewskich zostało rozszarpanych z końmi, tylko buty i broń zostały na miejscu; dwa wilki były ubite tamże, po tropach na drugi dzień doszli sześć rannych w Kroszniańskich lasach: myśliwi liczyli, że wilków było sześćdziesiąt i trzy. Huzary bronili się szablami koło drewnianego krzyża.

Str. 29. w. 20. Jest bezzawodnie u ludzi siła, co się przelewa w zwierza i w czasie niebezpieczeństwa robi z niego niejako rozumne a nadewszystko powolne woli pana stworzenie. U siebie w domu miałem konia gnadego sławnego z tchórzostwa, od najmniejszej słomki w bok się rzucał i unosił. Kozak Dmytro, bardzo śmiały człowiek, jechał na tym koniu w nocy i zdybał pięć wilków w czystym stepie. Wilcy przyskakiwali do niego, ale on jechał wolną stępą i bezustannie obracał się do nich, krzesząc ognia w krzesiwko, więcej pół mili ukraińskiej jechał w tem towarzystwie, a koń płochliwy szedł jak najspokojniej.

St, 31. Krzesanie ognia i przymierzanie się ze strzelby trzyma, że tak powiem, w respekcie wilków; po strzale jeśli tylko wilczyca jest postrzeloną, natychmiast rzucają się do sani, jeśli wilk, to pospolicie zmykają. W polowaniach z prosięciem, myśliwi choć mnodzy liczbą, bywają narażeni na wielkie niebezpieczeństwo.

Wypadek się trafił na Ukrainie, że raz jedni państwo, których imienia zapomniałem, napadnięci przez wilków, uratowani zostali poświęceniem się kozaka, który skoczył między wilki i został rozszarpanym, a państwo mieli czas umknąć do wioski. Czasem zaś i takowe zatrzymanie wilków nic niepomoże; słyszałem opowiadanie, że jeden pop grecko-ruski jadąc z żoną, z dzieckiem i z chłopczykiem powozicielem, napadniętym został przez hurmę wilków: chcąc ich ratować rzucił chłopczyka powoziciela, ale to nic niepomogło, wilcy gonili; rzucił dziecko swoje, wilcy jeszcze gonili; rzucił nareszcie żonę, wilcy ciągle gonili, a dopadłszy koni, rozerwały popa. Jedni mówili, że chłopiec, dziecko i popadja zostały nietkniętemi przez wilków: inni zaś utrzymywali, że zostali takoż pożarci. O tem samem opowiadaniu słyszałem w rozmaitych miejscach naszego kraju, a wszędzie powiadano: to tu niedaleko się stało: wnosiłem stąd, że to gdzieś musiało się stać.

Str. 38. w. 11. Nieczestny, nieuczciwy, czestny, uczciwy, wyraz używany na Ukrainie między szlachtą.

Str. 40. Widziałem na Polesiu jednego poberežnika, który mówił, że dwie nocy i jeden dzień cały siedział na dębie, a wilcy czatowali koło niego; bojąc się, aby mu ręce niestrętwiały, przywiązał siebie pasem wpół do grubej gałęzi. Hukał bezustannie, i aż dopiero myśliwi go uratowali. Ten poberežnik długo chorował na gorączkę i marzył o wilkach. Wszyscy utrzymywali, że prawdę mówił. Bardzo często się zdarza, że opadnięty przez wilków, człowiek chroni się na drzewo.

Str. 42. w. 5. Niesamowity, mający zmowę z czarownikami, albo z diabłem samym.

Str. 45. Wojewoda Kijowski, człowiek niezłomnej i hartownej woli, przez dumę dopuszczał się czynów w brew przeciwnych uczuciowi serca, a potępionych przez ludzi. Słyszałem od Skarbnika Grudzińskiego, który znał osobiście Wojewodę Kijowskiego i jego syna Szczęsnego Potockiego, te słowa: — «Wojewoda był surowy, ale przystępny. Duma w nim wszystko a «wszystko głuszyła, tylko miłości ojczyzny zagłuszyć nie mogła. P. Jenerał «(Szczęsny Potocki) niemiał tego hartu, ale równie kochał Ojczyznę. Każ«demu kto chciał dawał się oszukać i to było nieszczęściem dla jego i dla «Polski.» Wojewoda Kijowski używał wielkiej powagi między szlachtą;

http://rcin.org.pl

wszystko sposobił i miał nadzieję, że dostanie koronę dla siebie, a potem dla syna. Pochlebiając liberum veto i narowom republikanckiej szlachty, chciał dopiąć tego, czego chcieli dopiąć Książęta Michał i August Czartoryscy, karcąc te narowy i niosąc wojnę na śmierć obrzydłemu liberum veto. XX. Czartoryscy byli sumienniejsi i logiczniejsi w swojem postępowaniu, oświadczali wyraźnie, czego chcą i czem będą, jak dostaną władzę. Rzucili oni ziarno na przyszłość do rozwagi narodu, dla szczęścia Polski. Zaczynając wielką pracę, mogli sobie powiedzieć: — Może my pracujemy i nie dla siebie, ale pracujemy dla Polski. Trudna była ich praca, bo walczyła na ostrze z nałogami szlacheckiemi. Wojewoda Kijowski zręczniejszy pochlebiał narowom szlachty i tym sposobem wikłał i przywiązywał ją do siebie, a na potem odkładał możność wzięcia jej w karby. Czartoryscy pracowali dla przyszłości; Potocki dla teraźniejszości tylko. Czartoryskich robota żyje i jak gwiazda zbawienia błyszczy Polsce. Robotę Wojewody Kijowskiego zniweczył syn, dając się oszukać wrogom Polski i przedajnym ludziom. Szczęsny Potocki, może mimo woli, idąc torem wskazanym przez ojca, z najlepszemi chęciami, z najgorętszą miłością ojczyzny, padł ofiarą złej wiary wrogów i dodał jedno pchnięcie więcej już tonącej ojczyznie. Naród złorzecząc mu, instynktem, że tak powiem, oddał mu sprawiedliwość, niekładąc go między ludźmi nikczemnego występku i paskudnej przedajności. Piosnka, która jak utrzymują niektórzy wyszła z gminu, a jak drudzy, że była rzucona między gmin, dobrze ten instynkt maluje. Przytaczam tu cztery wiersze:

Pane Potocki, Wojewódzki synu,
Zapropastyweś Lytwu, Polszczu i wsiu Ukrainu.
Dumka twoja buła korolom zostaty,
Piszoweś u Caryci pomoczy szukaty.

Niemasz tam nigdzie: Zaprzedałeś Polskę; poszedłeś służyć Carycy, tak jak to innym wyrzucali. — Rodzina Potockich, idąca od Szczęsnego, z powodu tegoż samego instynktu, zachowała między ludem i między szlachtą na całej Rusi wzięcie i, że tak powiem, serdeczne współczucie; rzecz która nie spotyka inne rodziny, które zawiniły Ojczyznie. Nie bogactwa to robią, bo są rodziny bogatsze od Potockich, szczególnie dziś, kiedy majątek podzielonym jest między dzieci Szczęsnego. Samaż ta rodzina Szczęsnego Potockiego, w każdej epoce Polski, wydobywającej się z jarzma, przejawia czynem swoją miłość ku Ojczyznie: jest to protestacya wyraźna, że Potoccy nie zapominają, czem byli ich przodkowie. W 1809 i 1812, Potockich rodzina dała Ojczyznie do posług Włodzimierza Potockiego. W 1831, Aleksandra Potockiego i syna Włodzimierza młodego, Włodzimierza Potockiego. Ja mniemam, że nie ma ani jednej kobiety, ani jednego mężczyzny z rodu Szczęsnego Potockiego, w którychby kiedy niekiedy nie zagrała krew Polska i nie pchnęła go do posług Ojczyzny. Na Ukrainie mówią: — Dobry to ród. — O innych rodach z tejże nieszczęsnej kategory i tak nie mówią. Szczęsnego ród ma współczucie chętne całej Rusi, a sądzę, że i całej Polski. Innym rodom trzeba tego współczucia dokupywać się wielkiemi ofiarami.

Str. 47. Niezmiernie fałszywe zdanie urosło po niektórych częściach Polski, że Zaporoże i Kozaczyzna cała nie jest niczem więcej tylko hajdamaczyzną wystawioną wybornem piórem P. Goszczyńskiego, w Zamku Kaniowskim. Zaporoże był to zakon rycerski do bronienia granic chrześciańskiej Rusi przeciw Bisurmanom. Byli w nim ludzie waleczni i rozumni. Różyńscy, Daszkowicz, Lanckoroński, Konaszewicz, Wyhowski, Chmielnicki,

http://rcin.org.pl

Paweł Tetera, Jerzy Niemirzycz, Doroszenko, Mazepa, Skorupedzki, Apostoł, Rozumowski, i t. d. nie byli to hajdamacy jak Szwaczka i Gąta. W historyi i pamiętnikach dawnych, dziś wydawanych, widziemy tych poważnych i rozumnych mężów zdolnych przywodzić każdemu narodowi i spełniać najdostojniejsze urzędy. Nawet biorąc kał Kozactwa i tam jeszcze widziemy, że hajdamakami nie byli kozacy z towarzystwa Zaporozkiego. Przytaczam tu wyjątek z szacownych pamiętników księdza Kitowicza; jest on z czasów kału Kozackiego.

O WOJNIE Z HAJDAMAKAMI.

«Podczas podjazdów na hajdamaków, wystrzegali się towarzysze brać na się ładownic bogatych; jeżeli bowiem potyczka nieszczęśliwie padła i uciekać przyszło, hajdamak blaskiem ładownicy zapalony, póty zajeżdżał towarzysza ubranego w blachmal lub srebro, póki go nie dogonił i nie skłół, pomijąc i opuszczając innych, błyskotki na sobie nie mających. Jedna rączość konia przechodząca hajdamackiego, mogła towarzysza unieść od zawziętości hajdamaka, albo też chcąc się pozbyć doganiacza, trzeba było zerwać z siebie ładownice i porzucić.

Towarzystwo ładownice nosiło na prawym boku, szeregowi ładownice na lewym; flintpasy od karabinów na prawym.

Towarzystwo wojując z hajdamakami, używali także małych karabinków, albo sztucców; zawieszając je z lewego ramienia na prawy, albo jak i szeregowi nie przekładając ładownicy na drugi bok, ale na jednym mając ładownice i sztuciec, a to dla różnicy od pocztowych. Kiedy zażywali korabinów, albo sztucców, wtenczas niezażywali dzid, albowiem karabin był straszniejszy hajdamakom niż dzida, którą tu hultajstwo dziwnie zręcznie i daleko lepiej od Polaków szermować umiało. Jeden hajdamak wpadłszy między polskich, mógł czterdziestu w momencie rozpędzić, każdemu zadawszy ranę albo śmierć. Dzidy, po rusku spisy zwane, hajdamacy mieli krótkie na cztery łokcie, nie dłuższe, grotem ostrym żelaznym z obu stron opatrzone; ta spisa i samopał były całym hajdamaki uzbrojeniem, kulbaka na koniu, łączek goły i wojłoczek, strzemiona drewniane, uzdeczka cieniuchna rzemienna, albo parciana; koń był szybki i zwrotny jak wiatr, na wszystkie strony; sam jeździec podobnież lekki ubiór miał: jego koszula gruba, czarna, łojem kozłowym od gadu wysmarowana. Szarawary płocienne, na nogach bóty lekkie albo kurpie, na koszuli kontusz kusy do kolan, z cielęcej skórki z siercią wyprawnej nie przypasany pasem, ale na wierzch zawdziany, rękawy z wylotami dużemi wiszące, albo na plecy założone, na głowie takaż czapka, jak kontusz, cielęca w formę worka śpiczastego uszyta, końcem swoim na prawą stronę zawieszona. Łeb cały ogolony, jak kolano, kosmyk włosów długi nad czołem zostawiony, za ucho zakręcony. Wąsy opuszczone, broda u niektórych ogolona, u niektórych zapuszczona.

Ci hajdamacy mieli swoje siedlisko w Siczy, w kraju do Moskwy należącym, przy granicy Tatarów krymskich; a że często wspominam o tych hajdamakach, traktując o wojsku polskiem, za rzecz słuszną sądzę, opisać ich gniazdo, tyle, ile mi się o niem dostało wiadomości, zwłaszcza, gdy teraz panująca Katarzyna II a cesarzowa Moskiewska, zupełnie z Siczy tych hultajów wypleniła. Sicz jest to miasto, albo raczej obóz kozaków zaporowskich w kraju do Moskwy należącym, w szczerych polach, na kilkadziesiąt mil ciągłych, pustych. Kto w nim dawniej siedział i kiedy go kozacy zaporoscy

http://rcin.org.pl

osiedli, o których mam pisać, nie mogłem pewnej od nikogo powziąć wiadomości, zaczym nie sięgając początku, będę o końcu pisał pomienionych kozaków.

Było w Siczy kozaków, ich terminem zowiąc, czterdzieści kureni (popolsku) korzeni. Każdy kureń zamykał w sobie dziesięć chorągwi, a każda chorągiew sto kompańczyków, czyli po naszemu towarzyszów, co czyniło czterdzieści tysięcy wojska, gotowego na każdy rozkaz imperatorowej Rossyjskiej; ale ich do żadnej wojny za mego wieku, nawet z królem Pruskim i z Turkami wojując, Moskwa nigdy nie używała. Słyszałem iż dla tego, że lud zbyt niesforny, a w potrzebie zazwyczaj z placu pierzchający. Mieli ci kozacy nad sobą hetmana jednego, z pomiędzy siebie na tę godność od imperatorowej Moskiewskiej wyniesionego i zwał się terminem kozackim: koszowy. Ten był wodzem a raczej sędzią we wszystkich sprawach ostatecznym i najwyższym, za cóż albowiem dawać mu imię wodza, kiedy nigdy wojska swego w pole nie wyprowadzał. Religii był schizmatyckiej greckiej, mieli swoją cierkiew i popa i to było dosyć nabożeństwa dla hultajów. Żon nie mieli ani kobiety żadnej pomiędzy sobą niecierpieli; a kiedy który został przekonany, że za granicą miał sprawę z kobietą, tedy takowego do pala w kureniu, z którego był, za dekretem przywiązanego, poty tłukli polanami, to jest szczypami drew, póki go nie zabili; pokazując na pozór, jakoby czcili stan czystości, dla tego też nazywali się pospolicie mołojcami; to jest młodzieńcami, gdy w samej rzeczy prowadzili życie bestyalskie, mażąc się jedni z drugimi.

Rolnictwa bardzo mało traktowali, najwięcej bawili się rybołostwem i chowaniem stad wielkich, rozmaitego bydła i koni. Bydło ich rogate różniło się sierścią od bydła naszej Ukrainy, było bowiem czerwone; bawili się także handlem ryb suszonych, soli, skór, futer i rozmaitych rzeczy zdobytych na rozboju, który był celniejszem ich rzemiosłem.

Każdy kompańczyk był zapisany w regester, składający ową liczbę wojska czterdzieści tysięcy.

Miał każdy swój dom i kram do towarów, które tam przybywającym kupcom sprzedawali, albo za zboża i gorzałkę zamieniali; nie wychodząc nigdy dla potrzeby z siedliska swego.

Kompańczyk miał swoich wyzwoleńców czyli sług kilku, 5, 6, 7 i więcej, podług tego, jak się który miał. Kiedy kompańczyk pochodził w lata sędziwe, wybierał z pomiędzy swojej czeladzi jednego, który mu był najmilszy, prowadził go do kancelaryi i tam uroczyście mianował go swoim następcą. A ten po śmierci takiego ojca wego, ogarniał wszystek majątek, reszta zaś czeladzi przy nim zostawała, albo się do innych kompańczyków rozchodziła; chcąc tedy zostać sukcessorem, trzeba było przylgnąć do jednego kompańczyka, i służyć mu jak najwierniej aż do śmierci.

Kompańczykowie sami mając się dobrze i będąc gospodarzami, rzadko kiedy wychodzili na rozbój i wtenczas bywali hersztami kup hajdamackich. Do takich wycieczek przyprowadzała kompańczyków potrzeba, gdy majątek jakim sposobem utracił, albo gdy do rozboju miał serce i ochotę.

Pospolicie atoli na rozbój wychodzili sami wyzwoleńcy, którzy nim wyszli, musiał się najprzód każdy opowiedzieć swemu kompańczykowi, a potym zebrana kupa generalnemu koszowemu, który tym sposobem, ponieważ wiedział zawsze wiele i w którą stronę udało się ich na rozbój, przeto gdy który koszowy miał dobre zachowanie z panami polskiemi, przestrzegał ich, aby się mieli na ostrożności, uwiadamiając oraz o liczbie ciągnącej na rozbój. Zabraniać im koszowy takiej ochoty niemógł, kiedy polityka dworu obcego

http://rcin.org.pl

prawie dla tego tych hultajów konserwowała, aby Polaków i Tatarów uciemiężali, a oraz ginąć sami w różnych potyczkach i eksekucyach, w liczbę nadpotrzebną nie wzrastali. Do tego rozbój był drogą krotszą i chwalebniejszą do dosłużenia się rangi kompańczyka, niż inne usługi przy boku swego pryncypała. Jeżeli siedm lat szczęśliwie rozbijał, już miał w ręku ascens na pierwsze miejsce wakującego kompańczykostwa; lubo się tego szczęścia nie wielom dostawało, bo ich od polskich podjazdów dużo ginęło, jako się niżej da widzieć lepiej.

Drugą zasługą jeszcze krótszą od rozboju acz nie tak estymowaną, było kucharstwo. Te przez dwa roki bez nagany odbyte, czyniło kucharza kompańczykiem. Ale praca ledwo znosna: każdy kureń, to jest chorągiew miała swego kucharza; ten dzień i noc musiał mieć gotowe jadło dla przybywających w rożne godziny dzienne i nocne, od różnych zabaw kozaków. Był razem kucharzem i szafarzem; powinien był wcześnie starać się u starszego chorągwi o to, czego mu do kuchni brakowało. Nie gotował on tam żadnych wymyślnych potraw ani rozmaitych, tylko dwie raz na raz, całym traktamentem kozackim będące, z skarbu szafowane: kasza jaglana rzadko w mięsne dni słoniną, w postne olejem okraszona i bigos z ryb suszonych, bez wielkiej przyprawy. Nałewał i nakładał tych potraw w koryta podług miary, jak ich ubywało. Kozak przyszedłszy bądź jeden, bądź więcej, siadał w czubki przy korytku, dobył łyżki od pasa i jadł tego i owego, póki mu się podobało; gotowały się te potrawy w kociołkach miedzianych na trzech kijach, nad ogniem zawieszonych. Tenże kucharz miał w dozorze swoim tytuń, który także, jak strawę wyżej opisaną, z skarbu na kurenie rozdawano. W każdym kureniu niedaleko korytek stało kilka lulek wielkich glinianych, mających do koła po kilka dymników, czopkami na sznurkach przywiązanemi, pozatykanych; kiedy który kozak niechciał ekspensować swego tytoniu, siadał do generalnej lulki, wyjął czopek i założył swój cybuch w dymnik, ciągnął, póki mu się podobało; kucharz zaś dawał baczenie na lulki i nakładał raz za razem tytoniem, skoro były wypróżnione; do jednej lulki mogło się zamieścić i ośmiu kozaków, jeżeli mieli cybuchy długie, podług długości tychże, robił się cyrkuł obszerniejszy, a tym samym do przyjęcia i pomieszczenia więcej palaczów sposobniejszym. — Odchodząc od lulki, każdy kozak zatknął swój dymik czopkiem, na sznurku przy lulce wiszącym.

Jeżeli kucharz był ospały i niepilnował swojej powinności w tych dwóch artykułach, każdy kozak nieznajdujący dla siebie jadła lub tytoniu, miał prawo wykropić mu skórę batogiem, a oprócz tej kary, częste skargi na niego zachodzące sprawiały mu degradacyą.

Że tedy takie były publiczne stoły i tytonie z skarbu, przeto żaden kompańczyk swoim wyzwoleńcom niedawał wiktu, tym, którzy dla niego w rybołostwie, myślistwie, pasieniu trzód lub w rolnictwie pracowali; wyjąwszy tych, którzy przy boku pańskim na zawołanie być musieli. Jurgieltu też pewnego żaden wyzwoleniec niebrał, należało do szczodrobliwości kompańczyka udzielić mu co z tych pożytków, około których dla kompańczyka wyzwoleniec pracował.

Trunki w szynkowniach były przedawane: miód, wino i gorzałka; ta ostatnia kozakom najlubsza i najpospolitsza. Wolno było każdemu za swój grosz pić tyle, ile się podobało, byle swojej powinności nie opuścił i hałasu nie robił; bo za te występki surowo karano. Dla czego, choć w Siczy mieszkali najgorsi z całego świata ludzie, apostatowie od wiary i innych zakonów, infamisowie, zbiegowie kryminalni z rozmaitych stron; skromność atoli wielka tam panowała i bezpieczeństwo tak wielkie, iż żadnemu podróżnemu

http://rcin.org.pl

z towarem, po towar, lub w innym jakim interesie do Siczy przybywającemu, włos z głowy nie spadł, pieniędzy nawet gdyby na środku ulicy położonych nikt nie ruszył. Albowiem naruszenie osoby lub majątku cudzego, bądź tamtejszego mieszkańca, bądź gościa, śmiercią natychmiast karano, na kogo tylko padła suspicya, dla którego rygoru wszyscy raraz starali się o wyśledzenie winowajcy, skoro się w tych dwóch przypadkach jaki występek pokazał. Takie prawo ludzkości rozciągali aż do granicy swojej, dalej zaś nie służyło, tylko tym, którzy pozbywszy, lub nabywszy w Siczy towarów, powracali z niemi do domów z paszportem od koszowego. Jadącym zaś do Siczy i prowadzącym towary, było wszelkie bezpieczeństwo zaraz od mety zaczynającej step Siczowy, to jest puste pole, które do Siczy prowadziło z osiadłej Ukrainy.

Po wziętem pozwoleniu od koszowego, hajdamacy szli do cerkwi; tam brali błogosławieństwo od popa, jakoby wychodząc na uczynek pobożny, Bogu miły, niszczenia łacinników, żydów i wszelkich innych rusinów, od ich wiary schizmatyckiej odszczepieńców.

W ziemię tatarską jako sąsiedztwem bliższą wpadali rozmaitemi czasy. Tym pospolicie tylko zajmowali z pastwisk stada koni i bydła rogatego, z którym co prędzej wpław uchodzili, przez rzekę na swoją stronę, za którą Tatarowie nigdy ich gonić nie śmieli, widząc odpór gotowy, od swoich sił mocniejszy i kontentując się tem, co przed rzeką odbili i którego hajdamakę zatłukli.

Głęboko w Tatarszczyznę nie wkraczali, ani siedlisk tatarskich nie plądrowali, ponieważ Tatarowie będąc takimiż rabusiami, jak i hajdamacy, zawsze wsieść na konia i skupić się na swoich najezdników gotowymi byli, a tylko nad brzegiem dawali baczenie, gdzie Tatarowie z swoimi stadami koczują; ukradkiem tedy napadłszy na Tatara mniej ostrożnego albo drzemiącego, wpadli na niego znienacka, co w polach dzikich wielkiemi trawami zarosłych, uczynić im nie trudno było i udusiwszy człowieka, albo mu gardło przerznąwszy, co prędzej zawinęli się około stada; jeżeli mieli zajmować konie, tedy uważali, który ogier wodzi stado, na tego złapanego wsiadłszy jeden hajdamak, krzyknął i co tchu do rzeki pędził, a stado zhukane za nim drudzy hajdamacy z tyłu na innych koniach schwytanych poganiali. Lub jeżeli im czas nie pozwolił ująć żadnego konia; pieszo się w owych trawach do rzeki zmykali, bydło zaś rogate, jak najciszej zająwszy, takimże cichaczem pospieszając ile możności w rzekę wpędzili, gdzie na nich czekali inni kozacy w czółnach, tak dla przewiezienia swoich, jako też dla odparcia pogoni tatarskiej.

Na Ukrainę polską wychodzili zawsze na wiosnę, a powracali przed zimą; wyszedłszy z Siczy w sto, dwieście lub trzysta koni, rozdzielali się na partye, co czynili naprzód dla tego, żeby więcej kraju zasięgnąć mogli; druga: żeby komendom polskim, ściągającym się za niemi, łatwiejsze roztargnienie uczynić mogli; trzecia: żeby razem wszyscy, gdyby zastali pokonani, nie zginęli; czwarta: żeby się łatwiej w małych partyach ukrywać mogli. Formowali z siebie dwojakie kupy: nigdy z sobą nierozłączne, ale osobno szczęścia szukające: jedni plądrowali konno, drudzy pieszo. Jak jazda, tak piechota innej nie zażywali broni, tylko spis i samopałów; piechota sposobniejsza do ukrycia się w wielkich trawach ukraińskich, trudniejsza była naszym do zniesienia, niżeli jazda, raziła bowiem naszych z samopałów, nie będąc widzianą; a jeżeli była do koła obstąpiona, broniła się do upadłej, tak, iż często nasi wziąwszy mocną plagę, odstąpić ich musieli. Albo też oni sami doczekawszy się nocy, z pośrodka nich wymknąć się potrafili. Gdy już tak blisko

http://rcin.org.pl

podjazd polski natarł na hajdamaków, że już dalej uchodzić nie mogli; stanęli w szyku i zdjąwszy czapki, uczynili Polakom pokłon; a dopiero zaczęli się bronić, co czynili częścią przez zuchwalstwo, częścią dodając sobie serca.

Z jazdą mieli łatwiejszą sprawę Polacy, osobliwie kiedy dragonia znajdowała się przy komendzie polskiej. Ta zsiadłszy z koni i dając ognia plutonami, prędko hajdamaków rozpłoszyła, na których zmieszanych i tył podających, wpadłszy jazda pancerna i przednia straż, jednych żywcem schwyciła, drugich ubiła, albo przynajmniej prowadzony tabor z zdobyczą zabrawszy, na cztery wiatry rozpędziła. Lecz kiedy nie było dragonii przy Polakach, ciężko im było ponękać hajdamaków i nie raz od nich dobre plagi wzięli.

Do tych hajdamaków, którzy wyszli z Siczy, przywięzywało się wiele hultajstwa z Rusinów polskich i żydów. Ci rozbijając z nimi całe lato, na zimę rozchodzili się po wsiach, służąc po karczmach za parobków i po gorzelniach, winnicach, za palaczów; drudzy zaś przyjąwszy bractwo hultajskie raz na zawsze, do Siczy z hajdamakami powracali i ci byli nasieniem i potomstwem hajdamaków, którzy oprócz takich plemienników, powracając do Siczy, porywali też i chłopców młodych, bądź obcych, bądź swoich krewniaków, a tak mnożyli się i następowali jedni po drugich, choć żon nie mieli.

Najeżdżali ci hajdamacy szlacheckie dwory, wsie i miasta nawet, nikomu nieprzepuszczając, kogo tylko zrabować mogli: na śmierć prawda najechanych rzadko kiedy zabijali, chyba z szczególnej osobistej zemsty sługi, chłopa lub żyda do hajdamaków zbiegłego.

Ale do wyciśnienia pieniędzy męczyli niemiłosiernie, i chyba znacznym a oraz łatwym obłowem sobie bez ciężkich inkwizycyi ofiarowanym, ułagodzeni zostali, kiedy nie męcząc, poczęstowawszy tylko kańczugiem po plecach, odjechali z takiem pożegnaniem. — Dla tego panowie Ukraińscy wszyscy trzymali po kilkadziesiąt i po kilkaset kozaków nadwornych, którzy ich tak w domu jak w drodze dzień i noc od tych rabusiów strzegli. Miasta zaś i miasteczka w każdą noc przez połowę mieszkańców w broń opatrzonych z kotłami i tarabanami, chodząc po ulicach, pilnowały się od rozboju. A jednak przy takiej chociaż ostrożności w nocy zazwyczaj napadnieni, nieraz tak panowie jak chłopi we wsiach i żydzi z mieszczanami, kościołami i klasztorami po miastach zrabowani zostali, kiedy straż domową albo przełamali hajdamacy, albo też w zmowie zostając, do ucieczki przymusili. Dla tego całe lato w Ukrainie z pomiernej szlachty i chłopi, tudzież arędarze żydzi, nikt w domu niezostawał; ale każdy przed zachodem słońca z duszą wynosił się w step, ukrywszy majątek i jeden kryjąc się przed drugim, mąż przed żoną, żona przed mężem, ojciec i matka przed dziećmi, dzieci przed rodzicami i sami przed sobą; ażeby znaleziony jeden, z bolu niewydał drugiego, gdyby go męczono i o drugich pytano.

Drogi także publiczne obsiadali ciż hajdamacy, w lada dolinie zakradłszy się, nie daleko drogi, uważali kurzawę, która w tamtej ziemi tłustej za każdym jadącym na kształt dymu podnosi się wysoko w górę. Uważali tedy wielkość kurzawy; jeżeli miarkowali, że kto jedzie z małym konwojem albo wcale bez konwoju, wypadali na niego, obdarli ze wszystkiego, co miał; i obiwszy ratyszczami, to jest drzewcami od dzidów plecy, w koszuli puścili; powiedziawszy swoje zwyczajne: porastaj.

Ci którzy szczęśliwie powrócili do Siczy, połowę zdobyczy oddawali swoim kompańczykom, a kompańczykowie dziesiątą część tej połowy koszowemu; takiż podział był koni i bydła Tatarom zabranego.

Z takimi tedy hultajami co lato wojsko nasze, polskiego i cudzoziemskiego authoramentu, odprawiało kompanie, przybierając na czas do siebie

http://rcin.org.pl

kozaków horodowych, to jest nadwornych różnych panów; najwięcej zaś sami za nimi chodzili, bo kozacy z trudna swoich braťów wiernie prześladowali, chyba wtenczas, gdy się rzecz działa bardzo jasno, pod okiem kommendanta polskiego; ale jak na boku opodal, to jak wilcy z psami, z wilczycy i psa spłodzonemi, powąchawszy się, każdy poszedł w swoją stronę.

Kozacy humańscy, Potockiego koronnego krajczego, a potem wojewody kijowskiego, najsprawniejsi byli w dojeżdżaniu i znoszeniu hajdamaków, wyjąwszy, iż tę przysługę bardzo nie wiernie czynili.

Nie napastowali oni nigdy hajdamaków, kiedy na wiosnę na rozbój w kraj wstępowali, tylko pod jesień, kiedy miarkowali, że z zdobyczą powrócą; wtenczas im zastępowali i zdobycz odbierali, a samych hajdamaków, chyba, że się bronili do upadłego, szczerze bili, jeżeli zaś widzieli słabe swoje siły, na tenczas pouciekali, nie bardzo gonieniem za niemi konie swoje mordując.

Kto z zrabowanych chciał odzyskać od kozaków humańskich swoje rzeczy, musiał je dobrze opłacić, darmo nie dostał; które oni poczytali za rzeczy prawnie nabyte, bo z azardem życia.

Kommendanci polscy wielu dostali żywcem hajdamaków, żadnemu nie pardonowali; lecz zaraz na placu, albo wieszali na gałęziach, albo jeżeli mieli czas, żywcem na pal wbijali, która eksekucya takim szła sposobem: obnażonego hajdamakę położyli na ziemię na brzuch, mistrz albo który chłop sprawny do eksekucyi użyty, pal ostro zaciesany, wetknął mu od tyłu, potem założył do nóg parę wołów w jarzmie i tak zwolna wciągnął hajdamakę na pal, a czasem i dwóch na jeden, kiedy było wiele osób do eksekucyi, a mało palów, podnosili pal do góry i wkopywali w ziemię. Jeżeli pal wyszedł prosto głową lub karkiem, hajdamak prędko skonał; lecz jeżeli wyszedł ramieniem albo bokiem, żył na palu do dnia trzeciego; czasem wołał horylki, to jest gorzałki i pił podaną sobie.

I tak to okrutne morderstwo bynajmniej hajdamaków nie uśmierzało; mieli sobie za jakiś heroizm skonać na palu; kiedy się w kompanii przy gorzałce jeden z drugim kamracił, życzył mu: szczo by ty ze mnoju na jednym palu stryrył, to jest: bo dajby ze mną na jednym palu sterczał. Bywali drudzy tak zatwardziałego serca, że zamiast jęczenia w bolu, wołali na dyrygującego zaciągnieniem na pal: krywo idet pane mistru, jakby bolu żadnego nie było, albo jakby go tylko w ciasny bót kto obuwał. Dla tak okrutnej śmierci, acz niby lekce ważonej, hajdamacy wszędzie się do upadłej bronili. Na piędziesiąt hajdamaków trzeba było naszych dwieście, trzysta i więcej aby ich zwyciężyli, równej lub mało większej liczbie nigdy się pobić nie dali. To już wszystko, co mogłem w pamięci utrzymać i com słyszał pewnego o wojsku authoramentu polskiego i regularnym nieprzyjacielu Ukrainy hajdamakach. Jako zaś celem moim jest pisać o obyczajach polskich za Augusta II. tak nie mogę pominąć tego, lubo mam za bajki i gusła: że Polacy wierzyli mocno, iż między hajdamakami wielu znajdowało się harakterników, których się kule nie imały. Powiadali nieraz z przysięgą, że widzieli hajdamaków zmiatających z siebie kule, które w ich twarz albo piersi trafiły, że wyjmując takie kule z za pazuchy nazad na Polaków odrzucali. Dla czego nasi ten zabobon przemagając, robiąc kule na hajdamaków, lali je na pszenicę święconą, to już ta kula miała się chwycić hajdamaka.»

Ksiądz Kitowicz w swoich pamiętnikach mówi o chwili najpośledniejszej Dnieprowego Kozactwa, a jednak widziemy, że Zaporożce, których on nazywa

http://rcin.org.pl

Kompańczykami, nie chodzili sami na hajdamaczkę; chodzili na nią słudzy Zaporożców. W tych czasach łotrostwa Kozactwa, jeszcze byli ludzie zdolni i niepospolici. Razumowski, Kotlarzewski, Czepiha i inni nie byli to ani hajdamacy, ani żadni (antropofages), ale tacy, jak oświeceńsza szlachta polska, a więcej oświeceni od ówczesnych Moskali. O dawnej Kozaczyznie czytajmy pamiętniki do panowania Jana Kazimierza, wydane staraniem nieocenionej zasługi i gorliwości Hrabiego Edwarda Raczyńskiego; czytajmy pamiętniki Albrychta Stanisława Radziwiłła, życie Bogusława Radziwiłła: nie wzmiankuję tu historyi Bantysza Kamieńskiego i z niego tłumaczonych, a tam zobaczemy, że ci Kozacy byli takimi jak szlachta Polska. W nieoszacowanem opowiadaniu Hieronima Radziejowskiego, podkanclerzego koronnego, wydanem przez P. Linage de Vauciennes, pod tytułem: L'Origine veritable du soulevement des Cosaques contre la Pologne, roku 1674, w Paryżu, doskonałe mamy wyobrażenie o Kozakach: ta książka wzmiankuje: «Kozacy są tak potężni, że kiedy Król Henryk Walezyusz umknął z Polski, «Kozacy usiłowali dać na Króla Polsce swojego Hetmana i byliby to uskutecznili, gdyby niektórzy Wojewodowie, niechętni temu, nie potrafili byli wzniecić rozterki między Kozakami. Jednem słowem, Kozacy stanowią «najgłówniejszą siłę naszego Królestwa.» — W drugiem miejscu: «Najbardziej wzmocniło Kozaków wcielenie się do nich mnóstwa szlachty Polskiej, «którzy niemając majątków, woleli wojować pod sztandarem Kozactwa i stać «się Kozakami, jak żyć w nędzy: tak więc Kozacy ożywieni szlachtą Polską, «stali się możnemi i groźnemi Wschodniej potędze.» — Dalej: «My Polacy «mówimy, że Kozacy są poddanemi korony Polskiej, ale oni utrzymują, iż «są tylko jej sprzymierzeńcami i to było powodem do wielkich zatargów. «Prawda jest, iż nie chcieli przyjmować innego wodza tylko ze swego narodu, «a nie brali go z narzucenia od Króla Polskiego. Wybierali go i zrzucali «według swej dobrej woli; jedna tylko oznaka ich podwładztwa była, iż «Hetman ich po obiorze musiał przysięgać na wierność Królowi.

«Powszechnie Kozacy wchodzą do Polski znacznemi siłami, nierobiąc «żadnych spustoszeń i nadużyć; to przestrzeganie karności pochodziło stąd, «że po większej części Kozacy byli bliskimi krewnemi szlachty Polskiej. «Województwa dawały im żywność i pieniądze na żołd.» Dalej mówi o wielmożności Kozaków. Są to słowa żyjącego z Kozakami owego czasu i traktującego z niemi o ważnych zamiarach Władysława IV, z których na nieszczęście zrodził się bunt Chmielnickiego.

Kozacy mówili kilkoma językami, jak to widzimy w Pawle Teterze, w Doroszence, w Orliku i innych. Takie świadectwa są dostatecznem zaprzeczeniem owego fałszywego mniemania o hajdamactwie Kozaków.

Wierzę temu, że szlachta Polska, wstydząc się postępowania niegodnego z Kozakami swoich przodków, wymiawiali onych hajdamactwem Kozaków. Pisarze nasi niby historyczni, dobrzy na wiarę lubili to przedawać za prawdę. Poeta jaki słysząc o Goncie, widząc pianych chłopów, czyli dworskich Kozaków w karczmie, wierszami pieczętował mniemanie o owem hajdamactwie.

Str 55. Do tej pory jest słup w Koniecpolu z napisem, Koniec-Polski.

Str. 59. W roku 1825 rozpoczęła się sprawa między Panem Mołodeckim a Murawiewem Apostołem, synem zięcia Apostoła, o Koszowatę. Bunt Murawiewa w Trylisach, a potem jego śmierć, przecięła proces, a później P. Mołodecki ułożył się z innymi sukcesorami.

Str. 62. Jest to stara piosnka nie rytmowa, a nie wiem czy miarowa śpiewana przez starych myśliwych Ukrainy.

http://rcin.org.pl

Str. 89. Ksawery Branicki, którego Rulhiere nazywa Braneckim, był jednym z najodważniejszych ludzi w świecie; śmiały do zuchwalstwa, hojny do rozrzutności, byłby zapewnie jednym z najdzielniejszych mężów Polskich, gdyby nie był się oddał Moskwie. Nie cierpiał on Moskali, ale tak daleko zabrnął w swoich stosunkach z Moskwą, że jej musiał służyć bądź co bądź. Mówią, że czasami miewał myśl wyższą osiągnięcia korony Polskiej, ale te chcenia były krótkie jak błyskawica, wracał do prozaicznego życia i dla interesu służył Cesarzowej Katarzynie. Już po ostateczuym rozbiorze Polski, mimo swoją rubaszność, gościnność i uprzejmość, Ksawery Branicki nic mógł przywabić do siebie sąsiedzką szlachtą; mało który u niego bywał; polować musiał ze swojemi oficyalistami. W życiu materyalnem szukać on musiał pociechy na swoje zgryzoty. A te zgryzoty pochodziły z wyrzutów, jakie sam sobie robił za swoje wielkie przewinienie względem Ojczyzny. Janikowski i Baniewski nieodstępnymi byli towarzyszami Ksawerego Branickiego i wtenczas, kiedy był Hetmanem koronnym Polski, i wtenczas, kiedy był jenerałem moskiewskim.

Str. 98. Te przekąski nocne Ksawerego Branickiego są autentyczną rzeczą, codzień mu je stawiono; słyszałem to od ludzi, którzy polowywali z Branickim.

Str. 103. w. 7. Zbił się z pantałyku, zeszedł z toru postępowania.

Str. 104. w. 2. Borg, kredyt.

Str. 107. w. 4. Harny, ładny.

Str. 118. w. 7. Zachnąć się, rzucić się w bok.

Str. 118. w. 8. Strybnął, skoczył naprzód.

Str. 124. Jeden z obywateli Machnowłeckiego powiatu, P. W... A..., podobno z tatarskiego szczepu, mimo to, że był majętnym, trudnił się przemycaniem towarów przez granicę z Galicyi na Wołyń i Podole. W roku 1816, złapano mu pięć bryk z towarami kontrabandy i jego samego; był on na koniu. Dońce wiedli go tym sposobem jak Maksyma; oficer doński rozgniewany do najwyższego stopnia był przy tym konwoju; ani było podobna przekupić dońców, tak się uwzięli. P. W... A... zaczął się skarżyć na ból w brzuchu i przeginał się na siodle. Dońce nie pozwalali mu zsiąść z konia; on raz przegiąwszy się zerwał uzdeczkę, i tak czmychnął z między kozaków; kierował się nahajką i jak od stojących uciekł. Jednego dnia upalił szesnaście mil ukraińskich.

Str. 160. Takie księgi prawie każda rodzina u nas posiada. Zostawiłem u siebie siedem ogromnych woluminów takich spisów, teraz więcej jak w domu poczuwam onych wartość i radbym aby kto je zachował od zatracenia: są tam bardzo szacowne rzeczy z pomników historycznych szczególniej do dziejów kozackich; tam była odpowiedź Atamana Szacha, Sołtanowi Amuratowi i opis zwycięztw i przygód Grzegorza Brzuchowieckiego, Atamana Koszowego Zaporoża, spisany z listów, dokumentów i opowiadań przez moją babkę, wnukę tego Hetmana. Takoż opisanie bitwy pod Wiedniem po łacinie z najdrobniejszemi szczegółami, przez naocznego świadka i uczestnika tej bitwy. Nie sądzę, aby nieprzyjaciel kraju miał się łakomić na owe papiery, ale obawiam się, aby nie poszły na formy, na ciasta wielkanocne, jak się to u nas często dzieje.

Str. 163. W czasie pieczywa ciast, mężczyznom niewolno wchodzić do piekarni; boją się, aby nie nawroczyli wzrokiem całej roboty: przez okna tylko się przypatrują i to z ukradka. W piekarni musi być cicho, drzwiami stuknąć, albo co upuścić, broń Boże, bo by się ciasta zapadły.

Str. 186. Wiara, że koście święcone bronią od gradu, jest tak wielka

http://rcin.org.pl

u ludu Ukraińskiego, że żaden człowiek jej nie zaniedbuje. Jeden z moich sąsiadów naśmiewając się ze zwyczaju tego, nie kazał grzebać święconych kości, grad mu wytłukł zupełnie zboże, wtedy, kiedy w okolicy żadnej szkody nie zrobił. Chłopi zaraz powiedzieli o przyczynie, a na dowód przytaczali, że sznury chłopskie obok pańskiego łanu, ocalały, dla tego, że w nich były pogrzebane święcone kości. Jest mniemanie, że jak mysz zje święconą kość, to natychmiast przeobraża się w nietoperza.

Str. 195. w. 17. Pohany, brzydki.

Str. 196. Jest to mniemanie upowszechnione, że kostką nietoperza przyrządzoną czarami, można zjednać miłość za dotknięciem się do osoby, na którą ma się chrap. Widziałem u jednego starego kawalera, wielkiego elegancia, takie kosteczki; nosił zawsze z sobą w kieszeni od kamizelki: drapał rozmaite panie, ale nie wiem czy wydrapał miłość. Ziela dawane przez znachorów i znachorki są rozmaite i rozmaite robią skutki; dają w proszku, albo już rozpuszczone w wodzie, nigdy inaczej, żeby niemożna poznać jakiego gatunku ziele.

Str. 198. w. 10. Husak, dwie kłody, w których jest wydrążenie na nogi, tam sadzą winowajcę.

Str. 203. Nie powtarzam tu rozmaitych posłuchów o rzezi Ukraińskiej, codzień teraz wychodzą nowe pamiętniki o owych czasach i ja sam wiele rzeczy umieściłem w przypisach do powieści Wernyhora.

KONIEC.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

P
507/6-7

http://rcin.org.pl